



DWIE WIZJE PRZYSZŁOŚCI.
TAK SAMO PRAWDOPODOBNE.
TAK SAMO PRZERAŻAJĄCE

Jacek Ingłot

POLSKA 2.0

wydawnic
two b

Jacek Ingłot

POLSKA 2.0



Copyright © by Jacek Inglot, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

[Motto](#)

[Polska 2.1. Wojna dronów](#)

[Polska 2.2. Burza planetarna](#)

[Przyszłość, Polaku!](#)

[Przypisy](#)

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście?

Adam Mickiewicz, *Dziady* cz. III (1832)

Polska 2.1. Wojna dronów

Z czasem blok polski przewyższy potęgą Europę Środkową i Zachodnią i osiągnie dokładnie to, o czym niegdyś marzyły Niemcy. Wchłonie i rozwinie zachodnią część dawnego imperium rosyjskiego, tworząc znacznych rozmiarów system gospodarczy.

George Friedman, *Następne sto lat. Prognoza na XXI wiek* (przeł. Maciej Antosiewicz)

Który to raz umieramy, panie Tarkowski?

Do kurwy nędzy.

Gombrowicz napisał, że Polska to takie coś, co to zdycha, a zdechnąć nie może. No to teraz zdechnie. Muslimy już się o to postarają.

U góry rozległ się przeciągły trzask, przerywając odległe jeszcze buczenie świdrów. Pękała skała, przez którą przedzierały się tureckie krety. M'Beki spojrzął z obawą na sufit: sypał się z niego pył, bo drgania przebiegały przez cały okoliczny górotwór, betonowa, zbrojona tytanem wylewka skorupy bunkra była jeszcze nienaruszona, maszynom pozostały do przewiercenia dziesiątki metrów granitu i bazaltu. Kiedy się zorientował, że go namierzyli, zdążył wysadzić szyb windy, dosłownie na sekundę przed awarią zasilania. Gdyby nie to, już by go dorwali. Teraz musieli przedzierać się przez grubą warstwę skał, pod którą znajdowała się jego dziupla. Mogli oczywiście próbować przedostać się przez szyb windy, ale przebicie się przez splątane żelastwo przemieszane z żelbetem zajęłoby im zbyt dużo czasu, poza tym pewnie obawiali się, że „cwane Laszki” zostawiły im różne niespodzianki nadziewane C4. Prościej i bezpieczniej było przewiercić skałę.

Aleksander M'Beki zwany Olem lub – częściej – Beką zawsze uważał się za człowieka wyjątkowo mało fartownego. Tym razem pech polegał na tym, że jego stacja dozoru została usytuowana tuż nad węzłem A-17, podziemną rozdzielnią, która przesyłała prąd z atomówki w Klempiczu do północno-wschodniej Polski. Rozwalenie tego węzła i odcięcie rejonu stołecznego od dostaw energii bardzo ułatwiłoby Turkom rozbięcie zgrupowania broniącego Warszawy. Dlatego M'Beki praktycznie był już trupem.

Z irytacją spojrzął na zgasłe panele i martwy pulpit sterowniczy. W schronie paliły się żółte światła awaryjne, bo zewnętrzne zasilanie padło, podobnie jak światłowód zapewniający łączność – bunkier był ekranowany, aby nie dało się go namierzyć po emisji sygnału. Sam rozpiędził kable, wysadzając szyb windy, a oczywiście żaden debil nie pomyślał, żeby pociągnąć rezerwowe od dołu, od węzła, nad którym usytuowano stanowisko dozoru. Transformator najwidoczniej wciąż funkcjonował, bo inaczej Turcy daliby sobie spokój z wierceniem. W rezultacie siedział, ślepy i głuchy, w doskonale odizolowanej kapsule sześćdziesiąt metrów pod ziemią, i czekał, aż dotrą tu krety i usmażą go napalmem.

Nie tak miało być, panie Tarkowski.

Z ostatnich komunikatów wynikało, że Niemcy zdobyli Poznań, a tureckie czołówki nacierające od południa dotarły do Piotrkowa. Jeśli utrzymają tempo ofensywy, jeśli rozwalą węzeł, który dozorował M'Beki, i prąd przestanie płynąć, ektodziała wspierające piechotę zamilkną i front przestanie

istnieć. Do wieczora muslimy wkroczą do Warszawy i będzie koniec. Z Olem zresztą też, tyle że wcześniej.

Znowu spojrzął w górę, na sufit, który drżał coraz mocniej. Kretom zostało najwyżej kilkanaście, może dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów – drążyły znacznie wolniej, bo widocznie natrafiły na granit. Trzy, może cztery godziny.

Sięgnął do kabury i wyciągnął visa. Model B2 wyszedł chłopakom z Radomia nadzwyczajnie, pistolet tak doskonale układał się w dłoni, że wręcz do niej przyrastał. M'Beki trafiał z niego z sześćdziesięciu metrów w dziesiątkę, bez optolaserowych wspomagaczy. Położył broń na pulpicie i się wzdrygnął, zgrzytliwy rumor kruszonych skał wwiercał się głęboko w mózg. Nie chciał tego dłużej słuchać. Nałożył na uszy słuchawki i włączył suitę Bacha, choć może bardziej stosowne byłoby *Requiem* Mozarta.

14 kwietnia 2037, wtorek, pomyślał, zamykając oczy. Dzień mojej śmierci.

*

Z książką Adama Tarkowskiego *Projekt „Jagiellonia 2.0”* M'Beki zetknął się po raz pierwszy na akademii, kiedy została wprowadzona do szkół wyższych wszystkich szczebli osobistą decyzją Sidorskiego. Ni cholery nie rozumiał, dlaczego ma się wgłębiać w dzieło nikomu nieznanego nauczyciela historii z Nowego Sącza, napisane w latach 2007–2008, lecz po raz pierwszy wydane, po fiasku licznych prób znalezienia wydawcy, nakładem autora w roku 2012. W liczbie bodaj pięciuset egzemplarzy. Książka, rzecz jasna w ogóle niepromowana, przeszła wówczas bez echa, napisało o niej kilku publicystów, wyśmiewając tezy autora i radząc mu, aby zajął się beletrystyką i tworzył powieści science fiction lub w ogóle rzucił pisanie. „Fantazmaty” i „rojenia na jawie” były najłagodniejszymi określeniami użytymi wówczas przez recenzentów. Publikacja, opatrzona metką dzieła amatorskiego i niepoważnego, właściwie nie zaistniała ani w obiegu czytelnictwa, ani w jakiegokolwiek poważnej dyskusji.

Uważnie przeczytał ją jeden człowiek – Władysław Sidorski (acz dopiero pięć lat po wydaniu, gdy autor już nie żył), polityczny emeryt, choć jeszcze kilka lat wcześniej minister i gwiazda sejmowej mównicy. I chyba jako jedyny w Polsce uznał, że *Projekt „Jagiellonia 2.0”* to nie cudaczne fantazje politologa amatora, lecz geostrategiczna koncepcja, którą nie tylko można, ale wręcz należy zrealizować.

Aleksander początkowo z niechęcią sięgnął do dzieła zaleconego przez

Kierownika , jak powszechnie nazywano Sidorskiego (bo często w przemowy wtrącał frazę o „odpowiedzialności w kierowaniu nawą państwową”). Nie lubił lektur zadawanych z przyczyn ideologicznych, lecz po przeczytaniu pierwszych stron *Projektu* zrozumiał, że coś jest na rzeczy. Tarkowski ze zdumiewającą przenikliwością pisał o sprawach, o których jeszcze do niedawna nikt nie chciał poważnie myśleć, a tym bardziej publicznie ich rozważać. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, w niedawno minionej epoce PPL-u bowiem myślenie tępiono równie gorliwie jak pornografię. Chyba że było to myślenie narodowokatolickie.

W rozdziale pierwszym, zatytułowanym *Naród w maszynie do mięsa*, autor zastanawiał się nad kondycją duchową współczesnych Polaków. I dochodził do wyjątkowo ponurych wniosków. Pisał między innymi:

Młody Baryka w *Przedwiośniu* Żeromskiego wołał desperacko: „Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei!”. Filozofowie twierdzą, że żyjemy w epoce post, także postideologicznej – z jednej strony to wspaniałe (nie muszą się niczemu podporządkowywać), z drugiej – straszne (poza moim osobistym dobrem nic się nie liczy). Czy idea, rozumiana jako czynnik formujący myślenie narodu i jego klasy politycznej, to naprawdę fenomen w ogóle już nieprzystający do współczesności? Idee z natury rzeczy wybiegają w przyszłość, wyznaczają cele do osiągnięcia. Idea – jakkolwiek by to brzmiało trywialnie – organizuje życie zbiorowości ku dobremu lub złemu. A Polska – i to może tłumaczyć zdumiewającą obojętność jej obywateli na własną przyszłość – jest krajem pozbawionym jakiegokolwiek tak rozumianej idei.

Dalej analizował współczesną scenę polityczną pod kątem rynku idei. Jego zdaniem niczego interesującego i dającego się zastosować nie oferują ugrupowania katolicko-konserwatywne, ponieważ serwowanego przez nich od lat bogoojczyźnianego spektaklu żaden rozumny człowiek za poważną ideę wziąć nie może, mając świadomość, że to jedynie maska ukrywająca bezradność wobec rzeczywistych wyzwań XXI wieku. Podobnie ma się sprawa ze stronnictwem pragmatyków od ciepłej wody i sobotniego grilla. Tak naprawdę mało w tej opcji pragmatyzmu, za to dużo nieudolności i lenistwa – bo do tego ów pogląd sprowadzał się w praktyce; ambicją stał się brak ambicji. Obu formacjom dominującym na scenie politycznej zadedykował zdanie z Żeromskiego: „Waszą ideą jest stare hasło niedołęgów, którzy Polskę przełajdaczyli: «Jakoś to będzie!»”. Lewicą w ogóle się nie

zajmował, bo według niego pogrobowcom socjalistów, różnym eko i alter chodziło wyłącznie o aborcję, zieloną energię i małżeństwa dla gejów.

Polska wychynęła z niebytu w X wieku i wszystko wskazuje na to, że zniknie w XXI. Dramatem tego kraju jest to, że nikt nie wie, po co on jest. Ostatnią wielką ideą organizującą nasze społeczeństwo była „Solidarność”. Można ją nazwać spóźnionym porywem polskiego romantyzmu, duchową rewolucją inspirowaną marzeniem o wolności. Potem, już w czasach pokomunistycznych, kolejne, coraz bardziej zrytualizowane obchody okrągłych rocznic wydarzeń sierpniowych udowodniły, że ta idea definitywnie przeszła do historii. W końcu spełniła się, gdy wolność stała się wartością rzeczywistą. I tym samym przestała integrować i konstytuować społeczeństwo – bo za tym abstrakcyjnym hasłem nic więcej nie stało.

Z niejaką goryczą stwierdzał, że w następujących po 1989 roku latach Polacy stopniowo wyzbywali się wielkich i ambitnych celów – tak jakby po obaleniu komunizmu uznali się za zwolnionych z dążenia do czegokolwiek poza zapewnieniem sobie ciepłej wody w kranie i mięsnego wkładu na weekendowy grill (jak zresztą zalecali pragmatycy). Wskazywał na znamienne różnicę pomiędzy II a III RP – w dwudziestoleciu międzywojennym Polacy byli ludźmi przekonanymi o własnej wartości, dumnymi z osiągnięć, wierzącymi w przyszłość. Chcieli doganiać i przeganiać. I wierzyli, że im się uda. Nie bali się wyzwań i nie odczuwali strachu, dlatego gdy zbliżała się wojna, pragnęli walczyć, a nie uciekać. Lecz to właśnie II wojna światowa i jej następstwa odpowiadały za to, co Tarkowski nazywał „mentalnym złamaniem” polskiego społeczeństwa.

Okres wojny i powojnia stał się dla narodu czymś w rodzaju „maszynki do mięsa”. Podstawowej siekaniny dokonali Niemcy, zabijając (do spółki z Sowietami) prawie połowę polskiej inteligencji i wyniszczając Żydów. Stalin wraz ze swymi komunistycznymi pomagierami, łamiąc opór patriotów, likwidując ziemiaństwo, przesuwał masy ludzkie o setki kilometrów, wrzucił te pozostałe po hitlerowcach okrawki do swojej „maszyny dziejów” i zamienił w doskonale przemielony farsz, z którego miał nadzieję ulepić „nowych”, czyli „swoich” Polaków. I w znacznej mierze mu się to udało, bowiem obywatele II Rzeczypospolitej z roku 1939 nie mają właściwie nic wspólnego z obywatelami PRL-u z roku 1956. Ta

diametralna przemiana społeczna dokonała się w czasie krótszym niż jedno pokolenie, w ciągu piętnastu lat.

Zdaniem Tarkowskiego nigdy przedtem w dziejach Polski do podobnej przemiany nie doszło, był to proces w skutkach odpowiadający radykalnej rewolucji. To właśnie „zmielenie” narodu w młynach historii przyczyniło się do upadku wiary Polaków we własną celowość, z czym wiązała się utrata poczucia własnej wartości – bycie Polakiem straciło sens, bo do niczego nie prowadziło. Z odczuć politycznych została im tylko nienawiść do totalitarnej „maszynki”, która ich zmeła. To ona popychała mieszkańców PRL-u do kolejnych buntów i pomagała zachować rodzaj duchowej suwerenności – emocjonalnej, ale też bardzo płytkiej, bo nieopartej na wyznawanych i rzeczywistych wartościach.

Autor *Projektu „Jagiellonia 2.0”* nie dostrzegał w tym historycznym procesie wyłącznie narodowej katastrofy. Twierdził – choć brzmiało to paradoksalnie w kontekście wcześniejszych uwag – że położenie, w jakim Polacy znaleźli się w wyniku działania „maszynki”, niekoniecznie musi oznaczać same negatywy. Przeciwnie, jego zdaniem przed Polską stanęła niepowtarzalna szansa, której nie miała od co najmniej trzystu lat.

Szansa, aby wszystko zacząć od początku.

*

Otworzył oczy. Było jakby inaczej, schron nie drżał. Zdjął słuchawki i dopiero wtedy zrozumiał, że ucichły też odgłosy wiercenia. Coś się musiało stać z kretem: złamał się świder lub zatarły łożyska. Jeśli miał rację i maszyna rzeczywiście uległa awarii, to zyskał może dwie, może trzy godziny, co najmniej tyle potrwa wycofanie uszkodzonej i wprowadzenie nowej koparki.

Poczuł, że ścierpła mu dupa. Nie mógł sobie włączyć orzeźwiająco-rozluźniających wibracji, bo zasilanie awaryjne nie obejmowało fotela. Mógł co najwyżej wstać i się przejść, choć sterownia była nie większa od więziennej celi. Dwa i pół metra po prawej, dwa po lewej, z przodu nic, bo był tam pulpit z czterema stałymi ekranami i dwoma holo, z kupą fajnych joysticków i touchpadów, w tej chwili stanowiący martwą masę nadziewanego elektroniką plastiku. Z tyłu za to miał prawie trzy metry wolnego miejsca. Właściwie nie powinien narzekać, w sumie całkiem sporo jak na komorę grobową.

Wstał i omijając drzwi, za którymi znajdował się parometry korytarz

prowadzący do windy, podszedł do szafki z zapasami. Liofilizowanego żarcia starczyłoby na dwa tygodnie, podobnie wody. Gorzej z powietrzem – bunkier po zawaleniu szybu przeszedł na obieg zamknięty, ale M'Beki, rozpoczynając zmianę, nie sprawdził, w jakim stanie są pochłaniacze, bo na froncie zaczęło się właśnie robić gorąco i musiał pilnować przepływów energii. Jeśli filtry pochłaniaczy są zużyte, to pewnie niedługo zatruje się dwutlenkiem węgla. Może nawet szybciej, niż dowiercą się do niego Turcy.

Wziął z półki butelkę wody i popijając, przeszedł się parę kroków do drzwi kibla. Chemicznego, niewymagającego splukiwania. Dawno nie wymieniano wkładu, ale przelewające się gówno nie mogło go zabić. A napalm tak – przez sufit znowu przebiegło drzenie i usłyszał odległy pomruk. Zapewne próbowali uruchomić tarczę wiertniczą. Pomruk ścichł i przeszedł w przeciągły zgrzyt, który zanikł po kilku sekundach. Nie udało się. Kto powiedział, że będzie łatwo, panowie muslimy?

Zawrócił i podszedł do pulpitu. Przy głównej klawiaturze wciąż leżał vis. Dwutlenek, napalm, gówno... Może jednak najlepsza byłaby kulka? Ujął broń i na próbę wsunął lufę do ust. Poczul na języku oleisty smak metalu.

Ciekawe, co by na to powiedział Katelbach.

*

Drużyna leżała z pyskami w błocie, a sierżant przechadzał się tam i nazad, starannie unikając kałuży i pokazując im czubki wyglancowanych na błysk trepów. W ten sposób okazywał swoją bezbrzeżną pogardę dla powierzonych mu rekrutów. Zawsze wygłaszał przy tym pogadanki uświadamiające podwładnym, że są mniej warci od psiego łajna.

– Jesteście guanem, z którego kiedyś, może, jeśli bogowie będą przychylni, zrobimy żołnierzy Wojska Polskiego – oświecał ich, podkreślając sumiastego sarmackiego wąsa, który miał mu, zdaniem wielu, rekompensować nikczemny wzrost – góra sto sześćdziesiąt pięć centymetrów mimo wkładek do butów.

M'Beki w życiu nie spotkał kurdupła potrafiącego tak patrzeć z góry na znacznie wyższych od siebie. A dla Katelbacha była to pestka, zwłaszcza jeśli chodziło o niskie szarże. Można było mieć nawet dwa metry, a i tak sierżant bez trudu sprowadzał delikwenta na poziom gruntu. Albo, jak teraz, kałuży.

– Tak jest, panie Serafi... znaczy się sierżancie – wyskoczył drużynowy włazidupa Teung i zaraz pojął, że się wygłupił.

Buty Katelbacha zatrzymały się na wysokości jego hełmu.

– A pytał cię ktoś, zasrany żółtku, o zdanie?! – warknął podoficer. – Służba poza kolejnością.

Jak zdążyli się przekonać podczas szkolenia, sierżant nie znosił przede wszystkim dwóch rzeczy: kolorowych i swojego imienia. Bo istotnie Serafin Katelbach z anielskością nie miał nic wspólnego, co starał się im codziennie, przy każdej nadarzającej się okazji, udowodnić.

Człowiek ten był bowiem fanem, fanatykiem, miłośnikiem i wyznawcą Wojska Polskiego, z akcentem na oba człony tej nazwy. I ku swej niekłamanej rozpaczy dostał do przeszkolenia trzech Wietnamczyków, Chińczyka, dwóch Czeczenów, Ormianina, krymskiego Tatara, a na okrasę jeszcze M'Bekiego, polsko-gabońskiego mieszańca, którego zdawał się nienawidzić ze szczególną zajadłością. I tylko dwóch rdzennych Polaków – których też zresztą nie znosił, uważając za wyjątkowe dupy wołowe niegodne wielkich sarmackich przodków. To zresztą musieli sierżantowi przyznać: w swojej antypatii do ich drużyny nie czynił specjalnych wyjątków.

On nienawidził ich, a oni jego. A zwłaszcza gdy do nich przemawiał. Woleli już małpi gaj na poligonie. Spodziewali się, że zostaną poderwani z kałuży i sadysta każe im tam zasuwać, ale Kat wolał nadal znęcać się nad nimi przez uszy. Ruszył dostojnym krokiem wzdłuż szeregu leżących na ziemi kandydatów na obrońców Najjaśniejszej. Widać należał do szkoły wojskowych filozofów perypatetyków...

– Mówiłem tym na górze, że nie z każdego da się zrobić żołnierza. Ale mogę sobie gadać, oni i tak wiedzą lepiej. Cholera, kiedyś to byli poborowi... Gdzie się podziały nasze morowe chłopaki?

M'Beki pomyślał wtedy mściwie, że „chłopaki”, za którymi tak tęsknił sierżant, wolały smażyć frytki w Londynie niż wysłuchiwać jego wrzasków. Jakoś wcale im się nie dziwił. I gdy Kierownik polecił zwiększyć stan armii do stu pięćdziesięciu tysięcy, pojawił się problem z ochotnikami. Pobór ruszył, kiedy obiecano imigrantom obywatelstwo w zamian za pięcioletni kontrakt, dokładnie jak w Legii Cudzoziemskiej. Aczkolwiek Aleksandra to akurat nie dotyczyło, bo choć czarny, z ojca Gabończyka, to jednak z matki Polki, z domu Kwiatkowskiej i obywatelstwo posiadał. On liczył na wdzięczność RP w postaci bezpłatnych studiów. Mógł tego nawet doczekać, o ile przeżyje jakoś Katelbacha, co wydawało mu się teraz mniej prawdopodobne niż wyjście cało ze starcia z wszystkimi mniemanymi i rzeczywistymi wrogami Ojczyzny.

Sierżant zamilkł i jego świecące wzorcowym wojskowym glancem buty oddaliły się poza zasięg wzroku leżącej na glebie drużyny. Błoga cisza nie

trwała jednak długo.

– A wy co sobie, do kurwy nędzy, myślicie? Że leżycie na plaży? I czekacie na drinki i chętne panienki? Wstawać, brać klamoty i zapierdalać na małpi gaj! Już ja wam popłażuję... nie znacie mnie, ale mnie jeszcze poznacie!

M'Beki wypluł z ust piasek i zerwał się, łapiąc za swojego beryla. A niech cię chuj strzeli, pierdolony antyserafinie! – pomyślał, patrząc na podpartego pod boki Katelbacha, który z niekłamaną satysfakcją spoglądał na ubłocone mundury swoich podwładnych. Potem nie miał już czasu myśleć, bo wraz z innymi biegł, poganiany wrzaskami ich prześladowcy, na tor przeszkód. Pierwszą „plażową rozrywką” było rozjeżdżone przez czołgi bajoro. „Przez błoto do chwały i orderów” – jak zwykł mawiać sierżant.

*

Bardziej od Katelbacha M'Beki nienawidził chyba tylko własnego ojca, tego „pierdolonego czarnucha”, który zamiast siedzieć grzecznie w Gabonie i sadzić maniok i orzeszki, przyjechał do Europy. I żeby go chociaż zawiało do jakiegoś normalnego kraju, Holandii albo Danii, nie, on musiał do Polski, bo mu się ubzdurało, że akurat tutaj, w nadwiślańskich chaszczach, robi interesy życia. Wielkich dzieł biznesowych nie dokonał, za to zrobił Aleksandra.

Teo M'Beki teoretycznie zjawił się w kraju nad Wisłą z wizą studencką w celu pobierania nauk na temat budowy dróg i mostów, których w Gabonie ponoć wciąż brakowało. Nie zaliczył nawet semestru na krakowskiej politechnice, za to wziął się w Cieszynie do handlu transgranicznego, sprowadzając via Budapeszt i Bratysława tanie ciuchy z Bałkanów. Nie gardził też innym asortymentem, zwłaszcza przemycanym alkoholem i fajkami. To jeszcze Aleksander by mu wybaczył, bo cóż jest złego w tłuczeniu kasy – najgorszą winą jego afrykańskiego ojca było spotkanie na swojej drodze Elżbiety Kwiatkowskiej (powszechnie znanej jako „głupia Elka”, kasjerki w dyskoncie w jednej z podcieszzyńskich pipidówek) i skłonienie tej rzeczywiście niezbyt rozgarniętej, ale za to dość ładnej blondynki, aby rozłożyła przed nim nogi. Efektem serii niezobowiązujących – zwłaszcza z punktu widzenia Teo – stosunków seksualnych okazał się Aleksander. Gdy tylko przyszły ojciec dowiedział się od swojej polskiej narzeczonej, jak sprawy stoją, po solennych obietnicach rychłego ożenku i miłości aż po grób ulotnił się niepostrzeżenie i wręcz zdumiewająco po angielsku, przynajmniej jak na Gabończyka. Elżbieta dowiedziała się potem,

że przeniósł się ze swoimi interesami w okolice Białegostoku. Gdy próbowała go tam odnaleźć, by wiarołomcę zmusić do ożenku, a przynajmniej alimentów, zdobył jakimś cudem wizę białoruską i przepadł jak kamień w wodę w satrapii Łukaszenki. Wszelkie zapytania obywatelki Kwiatkowskiej kierowane w jego sprawie do ambasady białoruskiej kwitowano niezmiennie: „Nam takoj Teo M’Beki nie znakomyj”.

Niemniej jednak po porodzie podała go jako ojca Aleksandra, z myślą, że gdyby się kiedyś na terenie Unii Europejskiej pokazał, to wyciśnie z niego należne alimenty. Uzyskała zresztą wyrok skazujący w tej sprawie (obyło się nawet bez badań genetycznych, sąd na widok czarnego niemowlaka uwierzył matce na słowo), co zdaje się skutecznie odstraszyło Teo od zawitania w granice Europy. Zapewne wrócił do Gabonu – o ile udało mu się nawiać z łukaszenkowskiego „raju”. Elżbieta próbowała szukać jego krewnych przez ambasadę tego afrykańskiego państewka, ale żadni ludzie o nazwisku M’Beki nie chcieli się przyznać do byłego studenta.

Aleksander, haniebnie porzucony przez ojca tuż po poczęciu, był wychowywany przez matkę i dziadków. W dzieciństwie przeżył wszystkie możliwe upokorzenia. W przedszkolu, szkole i na podwórku wyzywano go od „bananów”, „czarnuchów”, „asfaltów”, „małp”, „smolarzy”, „kominiarzy”, „saczy”. Na słowo „Murzyn” się nie obrażał – de facto był Mulatem – pomny na poetę Tuwima i jego bajeczkę o Bambo, choć gdy to jego nazywano „Bambo”, wściekał się jak cholera. Małomiasteczkowe środowisko, w którym dorastał, dopiero z trudem doszłusowywało do europejskiej wielorasowej multikulturowości. Z czasem miejscowi przywykli do jego czarnej gęby i przestali się czepiać. Szkolnych kolegów – jako że uczył się doskonale i na wszystkich testach bił punktowe rekordy – skutecznie przekupił, dając odpisywać zadania domowe i podpowiadając na lekcjach. Wtedy to zamiast „czarnuchem”, został „Beką”. Niektórzy, ci bardziej rozgarnięci, wręcz podziwiali jego inteligencję. Sam się nawet zastanawiał, jakim cudem po tak głupiej matce ma tak wysokie IQ. Pewnie dzięki mieszance ras, bo to zawsze daje ciekawe rezultaty, jak mu potem tłumaczył znajomy antropolog, wskazując na karierę pewnego amerykańskiego prezydenta.

O ojcu starał się nie myśleć. Bo gdy już o nim pomyślał, to ręka mu się rwała do jakiegoś drağa. Przeklęty czarny kutas, tak go załatwił! Wsadził tej głupiej Elce, spuścił się, zrobił syna i spierdolił, zostawiając go w tym durnym rasistowskim kraju. Aleksander w chwilach przygnębienia myślał, że w gruncie rzeczy wolałby zapierdzielać przy orzeszkach w Gabonie niż wciąż znosić te niechętnie spojrzenia. Tym bardziej nienawistne, im bardziej ludzie

czuli się przymuszeni przez polityczną poprawność do tolerancji.

Za to matka kochała go na zabój do tego stopnia, że już nigdy się z nikim nie związała, aby tylko nie komplikować „mojemu Olciowi” życia. Dziadkowie mniej za nim przepadali, nie ukrywali, że woleliby córczyną progeniturę ze ślubnego i białą, ale z czasem przywykli i nawet zaczęli swego wnuka lubić. W każdym razie wielokrotnie potem, jak Aleksander już podrósł, kazali – na rodzinnych spędach – odwalić się rozmaitym wujkom, ciciom i kuzynom, pytającym z udawaną troską, z jakim to kominiarzem Ela ma to czarniutkie diablątko. Zwłaszcza dziadek Ferdynand okazywał się skuteczny, polecając czepialskim, aby spływali z Wisłą. „Czarny czy żółty, mój wnuk. Spierdzielać!” – warczał, poirytowany ich odzywkami.

Mimo że Gabonu na oczy nie widział, a w bantu znał tylko nazwisko ojca, Aleksander nie czuł się w pełni Polakiem, nawet gdy odbierał po maturze świadectwo z wyróżnieniem, no bo wiadomo, choć z matki Kwiatkowskiej, to jednak czarnuch. Właściwie sam nie wiedział, kim się czuł, choć na pewno nie Gabończykiem, raczej takim kolorowym „nie wiadomo kim i czym”. Z zazdrością patrzył na kolegów, którzy „byli z Piasta” i nie truli sobie dupy kwestiami tożsamościowymi. On przeciwnie, musiał się jakoś opowiedzieć, utwierdzić, zgłosić akces. I to chyba dlatego zdecydował się odpowiedzieć na wezwanie Kierownika (jeśli chodzi o koszty studiów, dziadkowie chcieli zastawić dom, ale się nie zgodził) i wstąpić do wojska. Bo kto może być bardziej Polakiem niż polski żołnierz, Obrońca Ojczyzny?

Na miejscu od sierżanta Katelbacha dowiedział się, że jest kupą psiego łajna.

*

Tarkowski zwracał uwagę, że Polaków – których narodowa siedziba znajduje się w takim, a nie innym miejscu Europy – nie stać na „nicnierobienie” czy postawę typu „jakoś to będzie”, ich ulubioną zresztą. „Jakoś” oznacza w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach „źle”, a jeśli czasem jest „dobrze”, to tylko przez przypadek. O czym wielokrotnie zdołali się przekonać. Pisał w rozdziale *Królik na autostradzie*:

Spójrzcie na mapę. Na północy Europy macie obszar, który bywa określany jako „droga wojskowa nr 1”. To pas nizin ciągnących się praktycznie przez cały kontynent, od Pirenejów po Ural, wzdłuż wybrzeży Morza Północnego i Bałtyku, od południa ograniczony pasmem Karpat. Wystarczy nawet

pobieżna wiedza o historii, aby sobie uświadomić, że jest to najczęściej wykorzystywana militarnie droga na świecie. („Droga wojskowa nr 2” biegnie przez Bałkany i przebiega wzdłuż osi północ-południe; znacznie rzadziej czynna, zwłaszcza od upadku imperium osmańskiego). Polska ma geopolitycznego pecha, bo znajduje się w centrum tej wojskowej „autostrady wschód-zachód” – i gdy ktoś chce wykonać ruch ze wschodu na zachód lub odwrotnie, depcze po niej jak po wycieracze.

To fatalne usytuowanie na mapie już trzykrotnie doprowadziło do katastrofy państwa polskiego – pierwszy raz u schyłku średniowiecza, gdy monarchia piastowska wręcz zanikła na skutek podziałów dzielnicowych i niemieckiego parcia na wschód. W rezultacie Polska została dotkliwie „ogryziona” od zachodu (ze Śląska, ziemi lubuskiej, Pomorza). Łokietkowi, który zabrał się do dzieła scalenia, dostał się tylko „gnat” w postaci Wielkopolski i Małopolski oraz ziem je łączących (w momencie śmierci tego króla w 1333 roku w granicach państwa polskiego znajdowało się zaledwie czterdzieści procent ziem sprzed 1138 roku. Zajmowało ono obszar nieco ponad stu tysięcy kilometrów kwadratowych). Do drugiej katastrofy doszło w wieku XVIII, tym razem klęska nastąpiła w wyniku starcia z Rosją, która w całym procesie rozbiorowym kończącym dzieje sarmackiej Rzeczypospolitej grała główną i inspirującą rolę. Tym razem Polska przegrała na wschodzie, jeszcze w połowie XVII wieku tracąc większą część Ukrainy w wyniku powstania Chmielnickiego. To „odgryzienie” najcenniejszego kawałka Kresów przesądziło o krachu projektu jagiellońskiego i upadku państwa półtora wieku później.

Trzeci raz nastąpił w 1939 roku, gdy II RP znalazła się między dwoma totalitaryzmami, które starły ją na proszek niczym kamienie młyńskie – w wyniku wojny i stalinizmu powstał PRL zaludniony przez współczesną, „zmieloną” formę Polaka.

Zdaniem Tarkowskiego to nad wyraz fatalne położenie geopolityczne skazuje Polaków na nieustanną aktywność – bo jeśli już ktoś znalazł się na autostradzie, to albo będzie się energicznie po niej przemieszczał, umykając pędzącym pojazdom, albo zostanie rozjechany. „Nie możemy, jak Czesi czy Szwajcarzy, bezpiecznie ukryci w górach, być poza historią”, stwierdzał. Nie w tym miejscu kontynentu. Chyba że Polacy wyrzekną się wszelkich ambicji, chęci bycia podmiotem i staną się na wieki kondominium wschodniej lub zachodniej potęgi, co rzecz jasna z czasem doprowadzi do sprowadzenia pojęcia „Polska” wyłącznie do nazwy geograficznej.

Autor *Projekt* nie przekreślał jednak całkiem szans Polski na odegranie na paneuropejskiej autostradzie roli kierowcy sterującego własnym pojazdem, wedle zasady „do czterech razy sztuka”. Jego zdaniem Polacy wcale nie muszą zostać po raz kolejny „króliczkami” skazanymi na rozgniecenie przez pędzący „tir dziejów”. Uważał, że sytuacja stworzona w połowie XX wieku – właściwie bez ich udziału – jako rezultat drugiej wojny światowej i decyzji jałtańskich, nie jest taka zła. I paradoksalnie ma swoje dość istotne plusy.

Przyjrzyjmy się jeszcze raz mapie. Zobaczymy kraj o regularnych granicach, na południu pewnie oparty o Karpaty, osadzony w dwóch połączonych ekosystemach rzek, Wisły i Odry, zasiedlony przez co prawda „zmielone”, ale też z tego powodu jednolite, bezklasowe społeczeństwo, z minimalnym procentem mniejszości narodowych. Choć nie mamy już ziem zabużańskich, to w zamian uzyskaliśmy wartościowe gospodarczo i po wysiedleniu Niemców zamieszkałe wyłącznie przez ludność polską ziemie zachodnie. Czy zatem Jałta tak do końca była operacją typu „zamienił stryjek siekierkę na kijek”? Czy to, co wówczas, z perspektywy roku 1945, wydawało się stratą lub wprost katastrofą, po kilkudziesięciu latach nie okazało się – paradoksalnie – zyskiem?

Tarkowski odważnie stwierdzał, że jego zdaniem Kresów i tak nie udałoby się w dłuższej perspektywie utrzymać. II RP, będąca państwem wielonarodowym, usiłowała być zarazem coraz bardziej narodowa i polska, co jeszcze przed wojną przyczyniło się do poważnych napięć w relacjach z mniejszościami, zwłaszcza z Ukraińcami i Żydami. Naprężenia i separatyzmy narodowe doprowadziłyby w końcu do tego, że kraj podzieliłby los Jugosławii, bo jak długo można było wytrzymać wojnę na obrzeżach (z Ukraińcami o Galicję Wschodnią, z Litwinami o Wilno, zapewne w końcu pojawiłyby się silne aspiracje białoruskie) oraz konflikt wewnętrzny z Żydami, który zapowiadały pogromy i „wojna o handel” z drugiej połowy lat trzydziestych. Żaden kraj na dłuższą metę nie zdołałby znieść bez szwanku tak silnych napięć i tendencji odśrodkowych – i nawet gdyby Polska utrzymała spójność terytorium, byłaby pogrążona w chaosie, w nieustannej zimno-gorącej wojnie domowej, a zatem słaba i bezwładna, podatna na ciosy i dekompozycję. Ktoś na wschodzie lub zachodzie w końcu by to wykorzystał, dochodząc do wniosku, że „króliczek” dojrzał do rozjechania.

Rezultat epoki 1939–1956, co zakrawa na prawdziwie koszmarny paradoks, bo w tym okresie zniszczono II RP, anulował to zagrożenie

rozerwania kraju przez konflikty narodowościowe i tendencje odśrodkowe. Żydów pochłonął Holocaust, Litwini, Białorusini i Ukraińcy zostali za Bugiem. Po raz pierwszy od XIV wieku Polacy zostali sami, w kraju o granicach zdumiewająco przypominających państwo Mieszka i Chrobrego. Stracili Kresy, ale zyskali pokój wewnętrzny i narodowościową stabilizację. I jednak pewną rekompensatę na zachodzie i północy – gdyby nie te nabytki, Polska nie byłaby wiele większa od Księstwa Warszawskiego, stałaby się kadłubkiem wciśniętym w dorzecze Wisły. To, że jednak jest większa, zawdzięcza... Stalinowi.

Dlaczego właściwie dyktator, który na dobrą sprawę nic nie musiał, oddawał Polakom prawie trzy czwarte obszaru państwa pruskiego? Tym posunięciem Stalin załatwiał kilka spraw w jednym pakiecie. Przede wszystkim uspokajał wrażliwe sumienia Zachodu – bo zagarniając tak duże obszary na wschodzie, zarazem dawał sporą rekompensatę, w ten sposób legitymizował swój zabór. Nie mniej ważni byli sami Polacy. Gdyby nie dał nic, zostawiając Polskę w granicach Księstwa Warszawskiego, stworzyłby na zachodnich krańcach swego imperium kraj co prawda mały i słaby, ale zamieszkały przez upokorzony i dyszący żądzą zemsty naród. Stalin wyciągnął wnioski z powstania warszawskiego. I pojął, że tych desperatów koniecznie należało zneutralizować.

Oddanie Polsce prawie całych wschodnich Niemiec było planem zaiste makiawelicznym. To oczywiste, że Stalinowi chodziło o wplątanie obu narodów w wieczny konflikt. Polacy, zamiast rozmyślać o zabranych ziemiach zabużańskich, mieli bać się niemieckich rewanżystów... oraz czcić Związek Sowiecki, jedyne gwaranta nowej zachodniej granicy. No i Stalin mógł im powiedzieć: „Tak, zagarnąłem Wilno i Lwów, ale dałem Wrocław i Szczecin. Narzekacie? To oddam Niemcom”. Małe i rzucone na kolana narody nie mają prawa grymasić.

O to właśnie chodziło Josifowi Wissarionowiczowi. „Dobroczyńca” chciał, aby Polska utkwiała w klinczu między Krajem Rad a Niemcami, mentalnie uwięziona w strachu przed obydwoma potęgami, na zawsze bezwładna i niegroźna. Ten układ „N+R”, zamykający PRL w geopolitycznej pułapce, był kluczem do sowieckiej (moskiewskiej) kontroli nad środkową Europą. Co prawda został zdezaktualizowany w 1989 roku, jednak, zwłaszcza w opinii Rosji, nie do końca. Zdaniem Kremla nadal jest możliwe strategiczne porozumienie między obydwoma potęgami, stąd nieustanne rosyjskie próby,

aby je ponownie ustanowić. I dopóki Polacy definitywnie nie odsuną tej groźby, nigdy nie wybiją się na prawdziwą podmiotowość. Co zatem winni zrobić? Jaki manewr zastosować?

Nie możemy równocześnie zmagać się z Niemcami i Rosją. Przerobiliśmy to we wrześniu 1939 roku. Musimy odrzucić na bok wszelkie uprzedzenia i w myśl powiedzenia „jeśli nie możesz pokonać jakiegoś diabła, to się z nim zaprzyjaźnij” jednego z przeciwników tym sposobem wyeliminować. Dlatego zdrowy rozsądek nakazuje wybrać jedną z opcji: Moskal albo Niemiec.

Po czym szczegółowo, w rozdziale *Może być diabeł, byle nasz*, analizuje oba warianty. I dochodzi do wniosku, że związek z Rosją, którą Putin przekształcił w neocarską satrapię, nie jest możliwy z przyczyn historycznych, cywilizacyjnych, kulturowych, gospodarczych i moralnych – czyli zasadniczych. Moskwa nie ma dla Polaków żadnej oferty oprócz powrotu do mniej lub bardziej zamaskowanego statusu „priwislńskiego kraju”. Z bardzo prostego powodu. Moskale – poza podbojem i kolonizacją – nie uznają innych stosunków z sąsiadami, oczywiście tymi nie dość silnymi, aby im się oprzeć. I nie istnieje tu pole do żadnych negocjacji. Rosja jest jak bęben – jakkolwiek uderzać, zawsze wydaje ten sam głuchy i złowrogi odgłos.

Pozostają Niemcy. Z nimi, zdaniem Tarkowskiego, Polacy mają o wiele większe pole manewru. Po prostu jest to naród w znacznej części „zresocjalizowany” po hańbiącej epoce nazizmu, to nawrócony grzesznik, który uznał swoją winę i obiecał poprawę. Z języka siły przestawił się na język dialogu (choć z siły nie zrezygnował, rzecz jasna). W związku z czym na niemieckim fortepianie – a dokładniej na wyrzutach sumienia potomków nazistów – można zagrać różne melodie. We wzajemnych relacjach istnieje pole do rozmowy i uzgodnień. Ze zresocjalizowanymi, europejskimi Niemcami można negocjować i na drodze układów i pertraktacji uzyskać konkretne ustępstwa, a także liczyć na dotrzymanie zawartych traktatów. Rosja zna tylko język dyktatu.

W następnym rozdziale zatytułowanym *Trzy zasady* Tarkowski sformułował doktrynę polityczną, która rozbija „klincz N+R” i zarazem daje Polsce pole manewru, choć w jednym tylko kierunku: wschodnim. Doktryna opierała się na generalnym geopolitycznym założeniu, złożonym z trzech lakonicznych tez. Należy oto działać:

1. w oparciu o Niemcy;

2. w przymierzu ze Stanami;

3. przeciw Rosji.

Rozwijając tę myśl, stwierdzał, że Niemcy to baza przemysłowo-militarna, do której zasobów Polacy muszą zdobyć dostęp, i zarazem kraj gwarantujący bezpieczne plecy (od zachodu), USA to strategiczny sojusznik dostarczający broni, technologii, politycznego wsparcia i zapewniający parasol ochronny (nuklearny), a Rosja... staje się celem, głównym przeciwnikiem, którego należy obezwładnić i odepchnąć możliwie daleko na wschód.

„Narodową ideą” XXI-wiecznej Polski powinien być bowiem Wielki Powrót. „Powinniśmy wrócić tam, skąd nas wygnano” – napisał Tarkowski.

*

Upiorną ciszę w bunkrze przerwało odległe buczenie. Przez chwilę M’Beki sądził, że Turcy zdołali uruchomić kreta, ale ten dźwięk brzmiał inaczej, nie tak zgrzytliwie. Poza tym momentami zanikał i zdawał się cichnąć. Po paru minutach nasłuchiwania pojął, że muslimy wycofują uszkodzoną maszynę. Wprowadzenie nowej do już wydrążonego szybu zajmie im dwie, może trzy godziny, na tyle to obliczał. Przekłete tortury nadziei, pomyślał, wsłuchany w zamierający odgłos silnika. Mogło im zostać ze dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów do przebicia. W pewnym momencie odgłosy ucichły całkiem i przez sufit bunkra przenikał tylko rumor osypującej się w wybitym szybie skały. Nic mu właściwie ta awaria nie dawała, tyle że będzie dłużej zdychał.

Jeśli była wciąż szansa na odwrócenie losów tej wojny, to jedynie ze strony jankesów. O ile jakimś cudem zdołają się pozbierać po laniu, jakie im sprawił Sojusz Wschodni. Podczas dyżuru M’Beki włączył sobie newsy na bocznym ekranie i podglądał, co się dzieje, oczywiście tylko do momentu, gdy padło zasilanie. A dobrze się nie działo, i to od tygodnia, kiedy skumani z Turkami Japończycy zajęli Hawaje i teraz przygotowywali się do inwazji na Kalifornię, koncentrując na wyspach flotę i lotnictwo. Wschodnie Wybrzeże zostało zbombardowane pociskami hipersonicznymi, szlag trafił większość baz wojskowych. Amerykańska riposta okazała się zaskakująco anemiczna, pewnie dlatego, że US Army straciła już w pierwszej fazie wojny większość zasobów, zaatakowano także jednostki stacjonujące poza granicami kraju. Gdy M’Beki zobaczył płonący jak pochodnia superlotniskowiec „Clinton”, chlubę US Navy, zrozumiał, że Amerykanie dali się zaskoczyć.

– Podobnie jak my – powiedział do martwych ekranów.

Wyszehrad uwierzył w pokojowe zapewnienia Stambułu i spokojnie szykował się na kolejną rundę rozmów poświęconych odprężeniu na Bałkanach, nawet cofnął z granic część wojsk w dowód dobrej woli. Podstępne muslimy uderzyły cztery dni przed planowaną konferencją, kiedy nikt się tego nie spodziewał. Majstersztyk blitzkriegu.

Jego wzrok znowu spoczął na leżącym na pulpicie pistolecie. Zaczął się gapić w sufit, aby nie odczuwać tej przekłętej pokusy. Tylko lufa do ust i pociągnąć... nawet nie usłyszy huk.

Łudził się oczywiście, licząc na sojuszników zza oceanu. Jankesi nie przyjdą Wyszehradowi na pomoc, bo sami znaleźli się w niezłych opałach. W samym lotnictwie po sześciu dniach wojny ich straty wynosiły sześćdziesiąt trzy procent, potem spadły, bo zdążyli resztę przebazować, ale do tej pory w ogóle już mogli nie mieć zdolnych do lotu maszyn. W każdym razie w newsach, jak zauważył, przestały się pojawiać doniesienia o aktywności amerykańskich samolotów i dronów. Ustał też ostrzał pociskami hipersonicznymi. To oznaczało, że Turkom w marszu na północ nikt nie przeszkadzał, jeśli nie liczyć pozostałości po polskiej i ukraińskiej armii.

M'Beki wiedział, że w realiach tego świata zaskoczenie oznaczało wygraną. Sami przecież tak walczyli, z sukcesami... do tej pory.

Trzeba było odpuścić obronę Budapesztu i zachować całość sił na później, maksymalnie odwołując generalną konfrontację... to się samo nasuwało. Z drugiej strony rzucenie Węgrów na pożarcie muslimom oznaczało faktyczny rozpad Wyszehradu, czyli koniec wszystkiego. Dlatego zdecydowano o stoczeniu bitwy na naddunajskich równinach, choć było jasne, że – w obliczu znacznej przewagi nieprzyjaciela w powietrzu – będzie to walka o honor. A tyle Sidorski przekonywał, żeby już więcej o honor nie walczyć. Kierownik jednak nie żył od dwóch lat, a jego następcy okazali się bardziej tradycyjni. Albo bardziej polscy. I honorowo, i jak najbardziej w zgodzie z tradycją dostaliśmy w dupę – pomyślał z goryczą. M'Beki otrzymał już wtedy przydział do nadzoru energetycznego, ale nim zjechał do bunkra, widział, jak wszyscy, bo Turcy z upodobaniem wrzucali filmiki do netu, setki płonących pandurów i conceptów rozwalanych przez tureckie drony. Bo jak to się mogło skończyć bez wystarczającej osłony powietrznej, skoro dopuszczono, aby nieprzyjacielskie hipersoniki załatwiły w pierwszej salwie lotniska i bazy predatorów? Masakrą, i tyle. Co z tego, że honorową. W jednej bitwie stracono czterdzieści pięć procent zasobów i kiedy Turcy przekroczyli Karpaty, a Niemcy Odrę, nie było właściwie czym bronić terytorium Polski. A wdzięczność Węgrów za nieudaną kampanię polegała na

błyskawicznym zawarciu separatystycznego pokoju z agresorem. Z drugiej strony, co Madziarzy mieli zrobić? Cały z takim trudem układany przez Sidorskiego środkowoeuropejski układ sypał się jak domek z kart pod ciosami tureckiej ofensywy. Zdaniem Aleksandra wyglądało to gorzej niż we wrześniu 1939 roku. Wtedy Polacy mieli na zachodzie sojuszników, w których siłę wierzyli. Obecny sprzymierzeniec dogorywał za oceanem obezwładniony podstępny atakiem.

No i teraz znowu walczyli o honor... To znaczy byli skończeni.
Panie Tarkowski, nie to nam pan obiecywał.

*

W rozdziale *Na zawsze carstwo* autor *Projekt* pisał, że każda Rosja – biała, czerwona czy niebieska – za wszelką cenę będzie dążyła do odtworzenia imperium. Wystarczy rzut oka do pierwszego z brzegu podręcznika historii, aby się przekonać, że Moskwa od czasów Iwana Groźnego konsekwentnie zmierzała do budowy mocarstwa bez względu na koszty ludzkie i materialne. Żadna smuta nie zdołała tego procesu na dłużej zatrzymać – gdy Rosjanie choć trochę otrząsną się po kolejnym upadku, natychmiast przystępują do budowy nowego carstwa pod przywództwem kolejnego Iwana, Piotra czy Josifa. Sprawiają wrażenie, jakby byli do tego po prostu zaprogramowani.

Dlatego po roku 2000, gdy prezydenturę objął Putin, zaczęli po prostu robić to co zawsze – imperium. Nie zważając na fatalny stan gospodarki, przeżartą korupcją biurokracją, setki upadłych monomiast, przestarzałą infrastrukturę i archaiczny park maszynowy (w wielu fabrykach stały jeszcze obrabiarki wywiezione z Niemiec w 1945 roku), uzyskane ze sprzedaży surowców środki inwestowali przede wszystkim w zbrojenia – próbowali kupić francuskie okręty desantowe, budowali myśliwiec i czołg najnowszej generacji, inwestowali w superbombowiec i nowy kosmodrom. W ciągu kilku lat zdołali zmodernizować armię, ale odbyło się to kosztem ruiny kraju i obniżenia poziomu życia (co potem stało się widoczne podczas kryzysu ukraińskiego). Podobnie już zresztą niejednokrotnie bywało. Tak zarządził Putin, nowy car, trafnie odczytując pragnienia rodaków, gotowych głodować i jeść trawę, byleby w imperium.

Odbudowa mocarstwowej pozycji rozpoczęła się od ogryzania Gruzji (z jej zbuntowanych regionów: Abchazji i Osetii). Kolejnym krokiem było zainstalowanie w Tbilisi przyjaznego sobie rządu. Stale trwał nacisk na Ukrainę i Białoruś, „bratnie narody”, których niepodległe państwa są dla

Moskwy równie dziwnym wymysłem jak dla Polaków byłaby na przykład Republika Śląska czy Góralska. Rosjanie wykupywali po kawałku gospodarki „braci”, zamierzając ich całkowicie od siebie uzależnić. Potem miała przyjść kolej na kraje bałtyckie, wreszcie Polskę, najważniejszy kraj regionu i zarazem kęs najsmakowitszy (ryglowa pozycja na „drodze wojskowej nr 1”!). Ten schemat budowania rosyjskiego imperium pozostawał niezmienny od czasów Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego.

Tarkowski zakładał, że neoimperialna Rosja rzuci w końcu otwarte wyzwanie USA. Rezultat konfrontacji był dla niego oczywisty. Niezależnie od lokalnych taktycznych zwycięstw geostrategicznie Moskwa ostatecznie przegra. Powtórzy się sytuacja z lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia i agresywne rosyjskie imperium się załamie, tym razem ostatecznie.

Putin, obecny wszechwładca, nie wypracował żadnej koncepcji na przyszłość, nie wie, jak wydobyć swój kraj z cywilizacyjnej zapaści i skierować go ku nowoczesności. Ten były oficer KGB zna wyłącznie jedną metodę rządów – zamordyzm. Kolejne fale terroru skutecznie wzmacniają jego osobistą władzę i państwowy autorytaryzm o coraz bardziej neostalinowskim zabarwieniu. To dobra metoda na zniszczenie opozycji i rozdzielanie przywilejów totumfackim, ale nieskuteczna, jeśli chodzi o ukrócenie korupcji i rozwój nowoczesnej gospodarki. De facto Rosja niczego nie produkuje prócz broni, to jej jedyny towar eksportowy (oraz oczywiście surowce). W momencie, gdy szukający oszczędności i ekologicznych źródeł energii Zachód przestanie kupować ropę i gaz, zaczną się jej kłopoty. Bardzo poważne kłopoty.

Tarkowski pisał te słowa jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie. Jego zdaniem Putin poprowadzi Rosję drogą ku imperium i zarazem ku kolejnej konfrontacji z USA, która skończy się przegraną Moskwy i jej ostatecznym upadkiem. Władca Kremla uważa, że przeciwnik jest słaby i zdoła go ograć w geostrategicznym meczu. Myli się. Stany Zjednoczone, kraj racjonalistów i pragmatyków, mają zdumiewającą zdolność do regeneracji i odzyskiwania sił. Historia dostarcza tu pouczających przykładów: po przegranej wojnie wietnamskiej, u schyłku prezydentury Cartera, Ameryka wydawała się krwawiącym, dogorywającym mamutem, w którego każdy może wbić swoją dzidę (na przykład Iran opanowany przez islamistów Chomeiniego). Po Carterze nastał jednak Reagan, który udowodnił, że pogłoski o śmierci Wuja Sama są grubo przesadzone.

Rosjanie, nawet jeśli mieli świadomość, że mocno ryzykują, postanowili podjąć grę. I rozstawili swoje figury na szachownicy. Tarkowski proroczo stwierdzał to, o czym przekonała się wkrótce cała Europa – że Moskale przyjmą tradycyjne kierunki ekspansji i ruszą na południe oraz na zachód. W końcu nic innego przez ostatnie czterysta lat nie robili.

*

Chłodna skóra Krystyny smakowała jak cytrynowy sorbet. Powiódł językiem po zagłębieniu obojczyka, potem łakomie podążył ku piersi, wspiał się na kształtne cukrowe wzgórze, aż dotarł do nabrzmiącej brodawki, słodkiej niczym dojrzała truskawka... Dziewczyna westchnęła przeciągle, a on poczuł, że za chwilę oszaleje z pożądania...

Gwałtownie otworzył oczy, bo schronem wstrząsnął potężny wybuch. Z sufitu, prosto na jego głowę, sypnęła się strużka pyłu. Na wargach i języku poczuł drobiny betonu. Co te muslimy wyprawiają, chcą go wysadzić? Tak na odległość? A może wybuchami zamierzają poszerzyć szyb?

Musiał zasnąć. Wsłuchiwanie się w ciszę i gapienie na zgaszone ekrany wykończyło go, czuł się kompletnie wypruty, zmęczony jak po maratonie. Najchętniej by jeszcze pospał i pośnił dalej to, co zaczął. To musiały być Seszele, dostał wreszcie zaległy urlop i postanowili z Krystyną pojechać tam na tydzień. Cudowne dni z cudowną dziewczyną, czas spędzali głównie w oceanie i w łóżku, jak w softpornosie dla romantyków. Cholerne muslimy, musiały go obudzić akurat wtedy, kiedy miało się zacząć najlepsze. Nie dość, że chcą go zabić, to jeszcze nie dają pospać.

Krystynę poznał przed dwoma laty. M'Beki zażywał nadal sławy „zdobywcy Krymu”, nie do końca słusznie, bo dowódcą misji był przecież major Zarzycki. Ale media zafiksowały się na ciemnoskórym Olu, podkreślając, jakie to błyskotliwe kariery mogli w Polsce zrobić imigranci (ignorowały przy tym jego prawdziwe pochodzenie), a na dodatek odznaczyć się na polu chwały. Po prostu pasował im do propagandowej tezy. Bynajmniej mu to nie przeszkadzało, dzięki nagłej popularności cieszył się wielkim powodzeniem u lasek. Każda patriotycznie nastawiona panienska (a innych właściwie już nie było) chciała zostać przerżnięta przez bohatera lub chociaż przez niego podmacana. Z czego on skwapliwie korzystał... do czasu spotkania Krystyny.

Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Była chyba najjaśniejszą naturalną blondynką w całej Warszawie, o mlecznobiałej karnacji i ostrych,

wręcz nordyckich rysach twarzy, wysoka i szczupła. Taka na sto pięć procent Aryjka, jak germańskie heroiny z nazistowskich filmów. Aleksander, gdy ją zobaczył, zrozumiał, że spotkał kobietę swojego życia. Wprost oszalał na jej punkcie.

M'Beki miał bowiem plan. Całe życie pragnął odciąć się od przekłętego gabońskiego dziedzictwa ojca, które ciążyło na nim jak klątwa rodowa i zarazem oddziaływało go od „prawdziwej” Polski. A on nade wszystko pragnął zostać tym „prawdziwym” i „piastowskim”... Lecz im mocniej tego pożądał, tym bardziej rozumiał, że tak się nigdy nie stanie. Co prawda wielu po krymskim sukcesie klepało go protekcjonalnie po ramieniu, mówiąc, że pokazał jaja niczym szwoleżerowie pod Somosierrą, ale on, patrząc na ich nieszczerze uśmiechnięte gęby, wiedział, co naprawdę myślą. Że czarnuchowi nieźle się ufuksiło. Cokolwiek by zrobił, jakich wyczynów dokonał, nigdy nie uznają go za swego. Co najwyżej za mieszane polsko-gabońskie „nie wiadomo co”, które ma czasem fart.

Im dłużej Aleksander o tym rozmyślał, tym bardziej nabierał przekonania, że istniał tylko jeden sposób, aby „wejść w Polskę” i już w niej zostać. Pragnął znaleźć dziewczynę białą jak mleko, w której mógłby rozpuścić swoje czekoladowe gabońskie geny. W swoim potomstwie – które, taką przynajmniej żywił nadzieję, będzie wyglądało co najwyżej na obdarzone skłonnością do mocnej opalenizny – raz na zawsze oddali się od przekłętego dziedzictwa. I tym progenitarnym sposobem w swoich dzieciach upodmiotowi się jako Polak... Dlatego gdy spojrzął w bładoniebieskie i arcysłowiańskie oczy Krystyny, zrozumiał, że to właśnie ich właścicielka jest jego zbawieniem.

Nie chciała z nim iść do łóżka po pierwszym spotkaniu – zobaczył ją na dyplomatycznym raucie w szwedzkiej ambasadzie – a sława wojennego bohatera i mundur obsypany baretkami odznaczeń nie zrobiły na niej specjalnego wrażenia. To go tylko podkreśliło, zresztą, jak typowy facet, tak naprawdę ucieszył się, że bogdanka nie jest puszczalską „patriotką”. I nazajutrz zjawił się u niej w pracy – była dziennikarką w agencji informacyjnej – z bukietem czerwonych róż i zaproszeniem na kolację. Kwiaty przyjęła, a na kolację dała się zaprosić dopiero po tygodniu. M'Beki szalał ze szczęścia.

Po tych Seszelach planowali ślub, zarezerwowali nawet termin w USC... od dzisiaj za dwa tygodnie. Odruchowo podniósł rękę, chcąc spojrzeć na jej zdjęcie, i dopiero gdy gapił się na pusty przegub, uświadomił sobie, że smartwatcha musiał przed objęciem dyżuru oddać do depozytu, podobnie jak

inne komunikatory; pozwolono mu tylko na prosty odtwarzacz do muzy. Względy bezpieczeństwa, jak tłumaczył odprowadzający go do windy sierżant. A wydrukowanego nie zabrał... Wezwali go w trybie alarmowym, nie było czasu na spakowanie czegokolwiek.

Odchylił fotel i przymknął oczy. Usiłował przywołać z pamięci twarz Krystyny, tę z Seszeli, szczęśliwą, rozpromienioną... Myślał, że będą mieli co najmniej czwórkę dzieci, chłopców i dziewczynki, tak po parze małych opalonych Polaków... poczętych przez czekoladowego ojca bohatera i białą jak mleko arcysłowiańską matkę.

Poczuł pod powiekami łzy. Pragnął zasnąć i śnić... o dzieciach i Krystynie. Chociaż tyle, nim go zabiją.

*

W rozdziale *Punkt wyjścia* Tarkowski konstatował, że obecna sytuacja kraju przypomina położenie Polski za czasów Władysława Łokietka – wówczas państwo podniosło się z upadku po okresie rozbitcia dzielnicowego, przewyciężając wewnętrzną słabość. Po Łokietku nastąpił Kazimierz zwany Wielkim – jak mawiano w czasie PRL: „jeden polski przywódca, który zostawił kraj w stanie lepszym, niż zastał”. Dokończył konsolidować państwo, umocnił je politycznie i gospodarczo. To on zbudował podstawę do późniejszej ekspansji na Wschód; zaczęła się zresztą za jego życia podbojem Rusi Halickiej. Bez silnej, „murowanej” Kazimierzowskiej Polski nie byłoby możliwe późniejsze imperium Jagiellonów.

Polska doby obecnej swym obszarem prawie dokładnie pokrywa się z państwem pierwszych Piastów i tak samo jest częścią Zachodu. Mamy zwarte terytorium, jednorodne narodowo społeczeństwo, państwo jest scentralizowane i nienarażone na secesję czy irredentę mniejszości. Zakotwiczenie w Unii Europejskiej zapewnia nam bezpieczeństwo. Niemcy, pogodzone z wynikiem II wojny światowej, przestały być naszym historycznym wrogiem. Jedyne niestabilny i nieprzewidywalny obszar, z jakim graniczymy, znajduje się na Wschodzie. To poważne zagrożenie, choć i zarazem szansa na odegranie własnej partii na europejskiej politycznej szachownicy. Dlatego jak najszybciej musimy podążyć drogą wskazaną przez Kazimierza Wielkiego, czyli przede wszystkim wyjść z „syndromu pijaka” – społecznego i politycznego klinczu polegającego na tym, że nasz marsz ku przyszłości przypomina pijacką płasawicę, w której

lewa noga podstawia się prawej i na odwrót. Każdy tego rodzaju krok kończy się upadkiem. Co prawda po powstaniu na nogi jesteśmy o te ćwierć kroku bliżej celu, ale o ileż ten marsz byłby efektywniejszy, gdybyśmy szli normalnym, trzeźwym krokiem.

„W nowoczesnym świecie o sile państw przesądza ich kondycja gospodarcza” – tym stwierdzeniem Tarkowski specjalnie Ameryki nie odkrywał. Jego zdaniem Polska będzie w stanie przeciwstawić się rosyjskiemu parciu na zachód jedynie w wypadku, gdy przejdzie do końca „etap Kazimierzowski”: dokończy reformy gospodarcze, usunie bariery w rozwoju, przełamie kryzys demograficzny, zapewni sobie bezpieczne źródła surowców i energii, stworzy mechanizmy tworzenia i wdrażania innowacji – czyli wyrwie się z pułapki średniego rozwoju, w której utkwiała po początkowych sukcesach transformacji.

Notabene Tarkowski nie wierzył, że znajdzie się siła polityczna zdolna do przeprowadzenia trudnych, niepopularnych – bo wiele wymagających od społeczeństwa – reform, dzięki którym można by przełamać cywilizacyjny impas. Zdeprawowane, populistyczne elity, nawet gdyby chciały, nie potrafią zdobyć się na pójście pod prąd, zbyt są uzależnione od wyborczego cyrku i apanaży czerpanych ze sprawowania władzy. Nie zrobią nic, aby przeciwstawić się nadchodzącemu kryzysowi. Przeciwnie: ich niezborne działania nastawione na zaspokojenie żądań wpływowych grup interesu tylko przyspieszą katastrofę.

Tarkowski przewidywał bowiem, że na początku lat dwudziestych dojdzie w Polsce do poważnego załamania gospodarczego, gdy wyczerpią się środki czerpane z UE. Władze odpowiedzą na kryzys i związane z nim żądania ekonomiczne dodrukiem pieniędzy, co wywoła hiperinflację i ostatecznie rozchwieje rynek. Zacznie się ucieczka kapitału, masowe bezrobocie, gospodarczy pożar rząd będzie usiłował zasypać kolejnymi dodrukami pieniędzy. Załame się produkcja i półki w marketach nieprzyjemnie zaświecą pustkami – sytuacja zacznie przypominać schyłek komunizmu. Kolejne rządy nie będą widziały innego wyjścia poza etatyzacją gospodarki i... reglamentacją.

Co dalej? Pisarz twierdził, że ratunkiem przed staczaniem się kraju w przepaść będzie... dyktatura. Rozkład i chaos dotkną przede wszystkim struktur cywilnych państwa, te siłowe będą się opierały najdłużej. I to one podejmą próbę ustabilizowania sytuacji, stawiając na jednego człowieka.

Nie wiem, kim on będzie. Choć wiem, że musi być to ktoś w rodzaju „nowego Piłsudskiego”, czyli człowiek, który stanie ponad narodem, by – dla jego dobra – zrobić to, co konieczne. Bo z „pułapki średniego rozwoju” można się wyrwać, jednak pod warunkiem, że się jest gotowym zapłacić niezbędną i bolesną cenę. Stare elity okażą się niezdolne do tak radykalnego manewru. „Nowy Piłsudski”, opierający się wyłącznie na policyjno-wojskowej sile, postpolityczny, bo niezależny od jakiejkolwiek partii czy grupy nacisku i wolny od jakichkolwiek opcji ideologicznych, odpowiadający jedynie przed własnym sumieniem, zrobi to, co uzna za słuszne i konieczne. Wbrew woli narodu, ale w jego interesie.

Związane z tymi wypadkami zaburzenia i chaos nie powinny trwać długo: rok, góra dwa. Potem kraj odzyska stabilność i dzięki reformom „oświeconego” dyktatora wkroczy na ścieżkę szybkiego rozwoju, ale będzie się musiał zmierzyć z rosnącą presją neoimperialnej Rosji. Dlatego Tarkowski wielokrotnie podkreśla, że należy nieustannie modernizować i powiększać armię, wysyłać ją na zagraniczne misje, ponieważ tylko wojsko, które walczy, jest coś warte. I za kilka lat może być naprawdę potrzebne, ponieważ nie ma żadnej gwarancji, że Francuzi będą chcieli umierać za Warszawę (w 1939 roku nie chcieli umierać za Gdańsk). W nadchodzącej konfrontacji tak naprawdę Polacy mogą liczyć jedynie na Amerykanów, którzy w imię równowagi sił będą się starali powstrzymać odrodzenie rosyjskiego imperium. Lecz jak trzeźwo zauważał, pragmatycy zza oceanu najchętniej wspierają tych, którzy wcześniej sami sobie zdołali pomóc. Dlatego konieczne jest też zebranie wokół Polski grupy przyjaciół – czyli tych krajów, które nie chcą zostać kolejnym daniem w menu rosyjskiego niedźwiedzia.

Nawet ze wsparciem USA niespełna czterdziestomilionowa Polska nie zdoła sama skutecznie się przeciwstawić stu czterdziestomilionowej Rosji (a jeśli wchłonie Ukrainę i Białoruś, to blisko dwustumilionowej). Dlatego tak ważne jest budowanie sojuszy. Czy rzeczywiście, w obliczu szarzy moskiewskiego kolosa, nie uda się skrzyknąć w jedną grupę byłych satelitów ZSRR, Bałtów, Czechów, Węgrów, Słowaków, Bułgarów i Rumunów, czyli krajów, które dobrze poznały smak sowieckiego knuta? Strach to skuteczne lepszycze wszelkich związków i można sobie bez trudu wyobrazić antyrosyjski sojusz państw Międzymorza, projektowany zresztą już przed II wojną światową. Te kraje razem mają przeszło sto milionów ludności i niebagatelny potencjał gospodarczy. Jeśli udałoby się skutecznie

skoordynować działania, to taki „sojusz środkowoeuropejski” ma, z amerykańską pomocą, szansę skutecznie przeciwstawić się marszowi Rosjan na zachód i południe. Te szanse radykalnie by wzrosły, gdyby udało się ocalić Ukrainę i włączyć ją w struktury tego potencjalnego środkowoeuropejskiego bloku militarnego i politycznego.

Tarkowski stawia tezę, że kolejnego wyścigu zbrojeń, w którym bezpośrednim przeciwnikiem neocaratu będą wspierane przez USA kraje Międzymorza, Rosja nie przetrzyma – chyba że zapanuje w niej reżim równie bezwzględny jak stalinowski, czego nie można do końca wykluczyć. Ta klęska może doprowadzić do poważnych wstrząsów społecznych i konfliktów narodowościowych zagrażających jej integralności. Wielu analityków rosyjskich i zachodnich od dawna prorokowało rozpad terytorialny Rosji, jej podział na mniejsze satrapie. Może dojść do sytuacji podobnej do tej z okresu po rewolucji październikowej, kiedy rozleciała się na odrębne obszary kontrolowane przez bolszewików oraz rozmaitych atamanów, bat’ków i białogwardyjskich warlordów. Przyda się wtedy nowoczesna i mobilna polska armia, która – oczywiście na skutek „rozpadu państwa rosyjskiego” – zostanie zmuszona wkroczyć, by „wziąć pod opiekę” ludność terenów wschodnich. Byłby to taki 17 września à rebours.

Pokutuje u nas przekonanie, że w świecie słowiańskim są tylko dwa narody, które mogą sobie patrzeć w oczy, traktując się jako równorzędni partnerzy i zarazem konkurenci: Polacy i Rosjanie. Zdaniem tych drugich dowodzi to niepoprawnej megalomanii „bratanków” znad Wisły. Moskwa ostentacyjnie patrzy ponad Warszawą w stronę stolic Zachodu, traktując Polskę jako niewielki kraj bez znaczenia. Być może za kilkanaście lat zrozumie, że popełniła błąd. Rosjanie powinni bardziej zwracać uwagę na historię, także własną – przecież ich święto narodowe obchodzone w listopadzie przypomina o (dwukrotnym) zdobyciu Kremla przez „polskich interwentów”. Potem udało się to tylko Napoleonowi.

Najważniejszym w tym kontekście, zdaniem Tarkowskiego, pytaniem jest, czy współcześni Polacy są zdolni do powtórzenia wyczynu przodków – czy chcą i potrafią wrócić do „dawnego domu”, by zbudować „Jagiellonię 2.0”? Czy uświadamiają sobie, że jedynie realizacja tego projektu będzie równoznaczna ze złożeniem do grobu rosyjskiego imperium?

*

Stał wraz z grupą oficerów w pobliżu ustawionego na plaży kontenera naczelnego dowództwa zgrupowania – a właściwie kilkukomorowej budowli z pokrytego warstwami optomaskownicy aluminium, z własną klimatyzacją, nie wiadomo dlaczego nazywanej „namiotem”. M’Beki jeszcze nigdy nie widział w jednym miejscu tylu wyszehradzkich wysokich szarż. Przed chwilą wszedł do środka węgierski generał Kovács, bohater spod Połtawy, w towarzystwie nie mniej wsławionego Litwina, pułkownika Maskoliunasa. Oficerowie miny mieli zafrasowane, czemu się nie dziwił – sytuacja się skomplikowała, bo Korolenko w ostatniej chwili dostał posiłki z kontynentu. Rosjanie, nie zważając na trudne położenie swoich wojsk na Kaukazie, podśleli mu dwie brygady zmechanizowane i kilka baterii przeciwlotniczych. Jeśli dowódca wojsk broniących Krymu myślał przedtem o kapitulacji i przyjęciu ultimatum Wyszehradu, z pewnością teraz zmienił zdanie. Planowana przez Szefów Połączonych Sztabów „wycieczka do Symferopola” mogła się zmienić w długotrwałą i krwawą kampanię. W jatkę, pomyślał. A jeszcze parę godzin temu umawiał się z kumplami na wódkę w najlepszej knajpie Sewastopola, jego batalion miał zająć tam bazę morską. Teraz – sądząc po nerwowości dowództwa – ofensywa na Krym przestała być wakacyjnym wypadem. Zamiast, jak się spodziewali, formalnego przejęcia spornego terytorium czekała ich konfrontacja ze wzmożonym, zdeterminowanym i moralnie podbudowanym przeciwnikiem.

Aleksander spojrział ze współczuciem na Mustafę Czubarowa, z którym siedział w akademii w jednej ławce na zajęciach z taktyki. Młody Tatar opuścił ojczyznę, gdy był małym dzieckiem. Musiał uciec wraz z bliskimi przed prześladowaniami, ponieważ jego ojciec działał w zakazanym Medżlisie. Cała rodzina związała, bo groziły jej wczasy na Syberii. Rosjanie nawet specjalnie nie ukrywali, że marzą o wysłaniu krymskich Tatarów dokładnie tam, gdzie w 1944 roku wysiedlił ich Stalin. Mustafa liczył, że najpóźniej wieczorem postawi stopę na ojczystej ziemi. Musiał czuć się bardzo rozczarowany. M’Beki widział, jak nerwowo zaciska usta, zerkając niespokojnie na wejście do kontenera sztabowego, gdzie wciąż naradzała się generalicja.

Usłyszeli podniesione głosy, w otwartych na oścież drzwiach „namiotu” spierano się o coś, mieszały się kwestie polskie i ukraińskie. Po chwili na zewnątrz wyszła grupa czterech ukraińskich oficerów, na czele z wysokim, chudym jak szczapa generałem Kirowosem, dowódcą okręgu odeskiego.

Ukrainiec nie wyglądał na zadowolonego, przystanął i wyciągnął papierosa, którego zapalił mu usłużny adiutant. Zaciągnął się i popatrzył na morze, na widoczną na horyzoncie wąską ciemną kreskę. Krym wydawał się na wyciągnięcie ręki.

Kirowos obejrzał się na wejście do „namiotu”, jakby oczekiwał, że zostanie tam na powrót wezwany, ale nikt się nie pokazał. Wzruszył ramionami i mamrocząc coś pod nosem o naiwnych Lachach, udał się wraz ze świtą w stronę wyjścia z plaży – wyżej, w niewysokim zagajniku, kryła się jego kolumna transportowa. Widocznie uznał dalszą dyskusję z wyszehradzkimi kolegami za bezcelową i postanowił wrócić do swoich wojsk.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i M’Beki zaczął się zastanawiać, po co ich właściwie wezwano, kiedy z kontenera wyszedł Zarakowski w towarzystwie majora Zarzyckiego. Generał – zażywny brunet w zbyt luźnym mundurze mającym maskować jego okazałą tuszę – rażnym krokiem ruszył w kierunku szeregu czekających na rozkazy poruczników. Gdy stanął przed nimi, przybrał marsową minę. Aleksander uśmiechnął się mimowolnie pod nosem: Zarakowski był znany z upodobania do teatralnych gestów. Z drugiej strony uchodził za doskonałego, zdecydowanego i obdarzonego świetną intuicją dowódcę.

– Panowie! – zaczął. – Podjęliśmy decyzję o wysłaniu do generała Korolenki parlamentariuszy. Co prawda nasi ukraińscy sojusznicy wątpią w sens takiego kroku, ale zostali przegłosowani. Uważamy, że osobiste spotkanie z generałem może zmienić jego nastawienie do kapitulacji. Głównym negocjatorem będzie major Zarzycki, ale potrzebny jest też drugi oficer...

– Panie generale, zgłaszam się na ochotnika! – wypalił stojący obok M’Bekiego Mustafa i wystąpił krok przed szereg.

Zarakowski skrzywił się, bo nie lubił, gdy mu przerywano, poza tym takie wyskakiwanie bez zezwolenia nijak się miało do dyscypliny wojskowej. Ale nie opieprzył Czubarowa, jak to zwykle czynił, gdy ktoś naruszał zasady regulaminu, tylko pokręcił głową.

– Nie tym razem, poruczniku – powiedział. – Obecność Tatara mogłaby przez Rosjan zostać opacznie zrozumiana... Trochę żałuję, bo w tej misji mogą uczestniczyć tylko ochotnicy. Sztab Korolenki nie potwierdził, że przyjmie parlamentariuszy. Nie odpowiadają na nasze komunikaty.

Zapadło krępujące milczenie. Wiedzieli, co to oznacza – że najprawdopodobniej wysłannicy nigdy nie dotrą na miejsce.

– Popłyniecie pod białą flagą, zwykłą motorówką. Potrzebuję oficera, który

zna się na łodziach i nawigacji. Bo będzie was tylko dwóch... nie chcę wysłać żołnierzy na tę misję...

Zapomniał dodać: samobójczą, pomyślał M'Beki. Jakby mógł, to cofnąłby się o krok. Albo dwa.

Zarakowski patrzył na szereg stojących nieruchomo poruczników i na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Oczekiwał więcej entuzjazmu dla perspektywy oddania życia na polu chwały, w końcu oni, młodzi oficerowie, „lwy akademii”, stanowili elitę tej armii. Wtedy odezwał się major Zarzycki:

– Chorąży Katelbach mówił mi, że porucznik M'Beki zaliczył kurs sternika. Podobno świetnie sobie radzi na wodzie.

Wszyscy, na czele z generałem, spojrzeli na Aleksandra. Gdyby mógł, zakopałby się ze trzy metry w ziemię, byleby tylko nie widzieć tych wlepionych w niego oczu. Przeklęty Serafinie, jeszcze ci się odplacę. Jeśli będę miał okazję...

– Tak jest! – potwierdził, z trudem pokonując skurcz szczęki.

– No to załatwione. – Generał aż pokraśniał z zadowolenia. – Wyruszacie za kwadrans.

M'Beki wręcz słyszał, jak reszta kolegów odetchnęła z ulgą. Przeklinając w duchu Katelbacha, powlókł się do punktu sanitarnego, bo tak mu polecił Zarzycki. Tam pobieżnie obejrzał go medyk, potem poprosił o przegub i zrobił mu zastrzyk iniektorem. „Na Krymie jest dyfteryt” – wyjaśnił. Na koniec kazał mu otworzyć usta i przykleił coś na podniebieniu, jakby torebkę czy kapsułkę. „Rozgnieciesz to językiem – poinstruował go. – Kiedy ci każą, nie wcześniej. To antytoksyna”. Aleksander o nic nie pytał. Skoro udawał się na terytorium wroga, to musiał być gotów na wszystko, także na otrucie. Później jeszcze tylko zdał ekwipunek zbrojmistrzowi, musiał oddać nawet bagnet, i zasadniczo był przygotowany do misji: goły, niewesoły, ale za to zaszczepiony i odtruty.

Potem razem z Zarzyckim i Zarakowskim poszli na molo – część kwatery głównej wojsk Wyszehradu rozłożyła się w ośrodku sportów wodnych malowniczo wkomponowanym w wybrzeże, gdzie wskazano im cywilną motorówkę sporych rozmiarów, zdolną do dalekomorskich podróży. Sprawdzający łódź ukraiński marynarz zapewnił, że jest zatankowana do pełna, paliwa starczy „nawet do Kercza”, choć zamierzali dopłynąć tylko do Eupatorii. O ile wcześniej żołnierze Korolenki ich nie rozwałą.

M'Beki wskoczył do łodzi, zrzucił cumę i na próbę odpalił silnik. Uruchomił się od razu, pracował równo. Podpłynął na koniec mola, gdzie Zarakowski udzielał majorowi ostatnich instrukcji. Potem pożegnalny salut,

wrzucenie biegu, ostry skręt i byli na morzu. Po paru minutach minęli dwa ukraińskie kutry patrolowe, następnie bułgarski niszczyciel i znaleźli się na pełnym morzu poza strefą działania wojsk Wyszehradu. Do krymskiego wybrzeża mieli mniej niż dziewięćdziesiąt mil. Aleksander na polecenie Zarzyckiego nie rozwijał maksymalnej prędkości. Dowódca ich samobójczej misji nie chciał, aby zostali wzięci za jednostkę bojową lub, co gorsza, dywersantów. Aby nie było wątpliwości, kim są, zaraz po wypłynięciu zamocował na rufie wielką białą flagę.

Major okazał się kiepskim kompanem – gdy wypłynęli na pełne morze, klapnął na tylne siedzenie, wyciągnął gogle i coś z przejęciem na nich przeglądał. M'Beki domniemywał, że mógł wkuwać przemowę do Korolenki, mającą skruszyć determinację Rosjanina, albo po prostu puścił sobie film, pewnie z gołymi laskami. W każdym razie całkowicie zdał nawigację i kierowanie motorówką na Aleksandra. Ten, choć chętnie by sobie pogadał, z musu skupił się na wypatrywaniu przez lornetkę potencjalnych zagrożeń. Tak jakby coś to mogło dać, nawet gdyby cokolwiek wypatrzył.

Drona zresztą nie zauważył – pojawił się pod koniec drugiej godziny podróży i wskazał mu go Zarzycki, który z pewnością dostawał na gogle dane z satelity. Wstał z siedzenia, klepnął go w ramię i pokazał palcem na południowy wschód. Dron unosił się wysoko i z tej odległości trudno było stwierdzić, czy to maszyna bojowa. W każdym razie nie strzelał do nich, nie widzieli smugi odpalanej rakiety. Potem major klepnął go po raz drugi i machnął przed siebie. M'Beki i bez lornetki widział, że od południowego wschodu płynie ku nim rosyjski patrolowiec, zapewne w celu przechwycenia obcej łodzi. Jego towarzysz mruknął coś pod nosem, pewnie do tego, z którym się komunikował przez gogle, i z powrotem klapnął na tylną kanapę. Aleksander pomyślał z podziwem, że facet ma jaja. W przeciwieństwie do niego, pocącego się coraz mocniej na widok rosnącego w oczach okrętu.

Zostali przejęci po niespełna półgodzinie. Nie strzelano do nich, choć M'Beki żegnał się z życiem, patrząc na ustawionych wzdłuż burty rosyjskiej jednostki uzbrojonych i zamaskowanych żołnierzy piechoty morskiej. Co czuł Zarzycki, nie dało się poznać, skutecznie ukrył swoje emocje za goglami. Od razu mu je zresztą zabrano, jak i wszystkie rzeczy, łącznie z paskami i butami, zaraz po przedostaniu się na pokład patrolowca. Tam natychmiast ich skuto, zarzucono na głowy czarne worki i sprowadzono do wnętrza okrętu – nikt z nimi nie zamienił ani słowa, polecenia wydawano im gestami, na pytania nie odpowiadano. M'Beki trafił do ciasnego i dusznego

pomieszczenia mierzącego najwyżej dwa metry na półtora. Po odgłosie pracy silnika poznał, że płyną z pełną prędkością.

Siedzący w absolutnej ciemności Aleksander – co prawda już bez kaptura, ale nic mu to nie dawało, skoro w bezokiennej dziupli nie zapalono światła – stracił poczucie czasu, mogło równie dobrze upłynąć godzin trzy jak sześć.

Wreszcie silnik zaczął cichnąć, okręt musiał zwalniać. Po najwyżej kilkunastu minutach przybił do nabrzeża. Drzwi kanciapy otworzyły się i do środka zajrzał zamaskowany żołnierz – rzucił Aleksandrowi czarny worek i gestem nakazał mu włożyć go na głowę. Gdy wykonał polecenie, został wyciągnięty na korytarz, ujęty pod łokcie przez dwóch ludzi i zaprowadzony na pokład. Potem zszedł trapem na nabrzeże i wszedł do – jak się domyślał – furgonetki, bo musiał przycupnąć na wąskiej ławeczce, opierając się plecami o metalową ścianę kabiny. Jechali przez dłuższy czas krętymi ulicami wznoszącymi się i opadającymi. Może to Sewastopol? – pomyślał. Według danych wywiadu mieściło się tu dowództwo sił Korolenki. Prawdopodobnie sam władca Krymu też tu przebywał.

Furgonetka się zatrzymała, otwarto drzwi i M'Beki wysiadł, wciąż wiedziony jak ślepiec przez ludzi z eskorty. Nadal nikt nic do niego nie mówił, prawdopodobnie żołnierze dostali rozkaz, aby się nie odzywać. Przeszedł kilkadziesiąt kroków, potem przepchnięto go przez coś, z pewnością bramkę skanera, po czym wszedł wraz z paroma osobami do ciasnego pomieszczenia, które ruszyło: winda, zjeżdżali w dół wolno, ale za to długo, parę minut. Zatrzymała się wreszcie, po opuszczeniu kabiny szedł chłodnym korytarzem, ale stosunkowo krótko. W końcu gdzieś go wprowadzono, rozkuto i wreszcie zdjęto kaptur.

Przez dłuższą chwilę nic nie widział, oślepiiony nieprzyjemnym, ostrym ledowym światłem. Gdy odzyskał wzrok, spostrzegł, że znajduje się w komorze podziemnego schronu – pewnie pochodzącego jeszcze z czasów radzieckich, o czym świadczył stary beton na ścianach kładziony jeszcze metodą szalunkową. Wraz z nim w pomieszczeniu przebywało trzech rosyjskich oficerów – jeden starszy, z dystynkcjami generała, o okrągłej, ogorzalej twarzy przyozdobionej krótko strzyżonym wąsikiem – widział tę twarz wielokrotnie, władca Krymu z lubością występował w mediach, podobnie jak jego idol, Putin. Towarzyszyło mu dwóch niższych rangą oficerów, major i pułkownik, oraz podoficer siedzący przy niewielkim pulpicie z terminalem, pewnie koordynował łączność.

Korolenko rezydował za wielkim biurkiem obstawionym czterema ekranami, na czole miał gogle. M'Beki zrozumiał, że ani chybi został

dostarczony do podziemnego centrum dowodzenia wojsk Krymu. Za sobą usłyszał chrząknięcie. Odwrócił głowę i zobaczył Zarzyckiego, który stał tuż przy wejściu, ze swobodnie założonymi na piersi rękoma. Puścił oko do Aleksandra, po czym skupił się na generale. Ten zaś udawał, że w ogóle nie dostrzega jeńców. Popatrywał na ekrany, stukał w klawiaturę i mamrotał do nitki wiszącego u ust mikrofonu. Jego oficerowie stali za nim, z pistoletami wyjętymi z kabur i skierowanymi w stronę przybyszy. Wreszcie generał zdjął gogle i zaczął się przyglądać swoim „gościom”.



– A to co, zaciągacie już czarnych? Zabrakło wystarczająco bojowych Polaczków? – odezwał się niskim, tubalnym głosem, z charakterystyczną chrypką świadcząca o skłonności do mocnych trunków.

M’Beki znał rosyjski (dwa lata lektoratu na akademii) i chciał odpowiedzieć, ale uprzedził go Zarzycki.

– Za sześć minut upływa termin ultimatum i znajdzie się pan formalnie w stanie wojny z Sojuszem Wyszehradzkim – powiedział czystą ruszczyzną i postąpił krok do przodu. Znalazł się tuż obok Aleksandra. – Uwolnij antytoksynę – szepnął. – Teraz.

M’Beki wymacał językiem nad dziąsłem obły kształt i naciskając z całej siły, rozgniół kapsułkę. Kubki smakowe odnotowały odrobinę płynu, cierpkiego, jakby żelazistego.

– Pięć i pół minuty. – To było głośno do generała. – Oczekuję natychmiastowej kapitulacji.

Korolenko poczerwieniał i spojrzał z irytacją na swoich oficerów.

– Widzicie ich, jak zbeczelnieli? Polskie pany, psia ich mać, na bosaka tu stoi, a gieroja udaje! I jeszcze na dowcipy im się zebrało, psiajuchom jednym!

Polacy popatrzyli na swoje bose, nieziemsko brudne stopy i uśmiechnęli się równocześnie.

– I patrzcie, jak im do śmiechu! – Korolenko odchylił się w fotelu i wlepił w nich pełen złości wzrok. – A ja rozstrzelać każę jako dywersantów. Na żadnych parlamentariuszy się nie zgadzałem, wy szpiony.

– Nie zdąży pan – powiedział Zarzycki. – Proponuję zaktualizować dane. Proszę zwłaszcza zwrócić uwagę na okolicę Kachowki, dokładniej dwadzieścia kilometrów na zachód od centrum miasta. Już widać. Specjalnie zdjęto maskowanie, żeby mógł je pan zobaczyć.

Generał patrzył na niego podejrzliwie, a potem stuknął w klawiaturę i zaczął wpatrywać się w jeden z ekranów. Po chwili krzaczaste brwi uniosły mu się ze zdziwienia.

– A to co za czort? Misza – skinął na podpułkownika – widziałeś coś takiego?

Oficer spojrzał na ekran i raptownie zbladł.

– To muszą być... – zaczął drżącym głosem, ale wtedy wtrącił się Zarzycki.

– Ektoarmaty, działa elektromagnetyczne, cztery sztuki, jak sami możecie policzyć, z pełnymi kondensatorami. Punktowa salwa zawali ten schron, obliczaliśmy to. Macie trzy minuty na kapitulację.

Korolenko zerknął jeszcze raz na ekran, pokręcił w niemym podziwie głową, po czym uśmiechnął się chytrze.

– No, panowie Polacy, to było dobre. Tylko skąd twoi wiedzą, gdzie ja teraz jestem? Schronów u nas dużo.

Tym razem uśmiechnął się major. I wskazał na podoficera, który gapił się w zdumieniu na swój ekran, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Już wiedzą. Niech pan go zapyta.

Łącznościowiec nadal wpatrywał się jakby z niedowierzaniem w panel, po czym złapał się za głowę i zawołał:

– Generale, namierzyli nas! Stąd idzie emisja!

– Z tego bunkra? – zapytał podpułkownik nazwany Miszą. – To niemożliwe! Kto nadaje?

– My – odpowiedział mu Zarzycki.

Ot tak po prostu.

– Bzdura! Przeszukano was i przeskanowano. Nic nie macie – zachnął się Rosjanin.

M’Beki też patrzył zdumiony na majora.

– Jak to my? – zapytał. – Nawet mi nie dali żadnego nadajnika, nie mieli co zabierać... – Umilkł, bo przypomniał sobie dziwnego sanitariusza, iniekcję i antytoksynę... – To było to?

Zarzycki nieznacznie skinął głową i mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Taka sztuczka z nano... Generale – zwrócił się do Korolenki. – Ma pan niespełna minutę. Potem zaczyna się bombardowanie. Nigdy pan nie wyjdzie stąd na powierzchnię. A Krym i tak padnie.

Mięsistą twarz Rosjanina pokryły krople potu. Było widać, że bije się z myślami.

– Trzydzieści sekund – przypomniał major. – Jaka decyzja? Idzie pan na żywo, w sztabie widzą i słyszą to co ja. Jedno pana słowo i bombardowanie zostanie wstrzymane. Piętnaście sekund.

Generał wyglądał tak, jakby dopiero co wyskoczył spod prysznic, pot go wręcz oblewał, mamrotał coś pod nosem, zapewne przekleństwa pod adresem wrednych i podstępnych Lachów. Jeszcze raz zerknął na ekran.

– Czort z wami, przeklęte Polaczki, podddajemy sieee... – wystękał. – Nie strzelajcie.

Zapadła cisza. M’Beki zamknął oczy i czekał. Wcale nie był pewien, czy armaty nie wystrzeliły. Lecz mijały kolejne sekundy i nic się nie działo. Pocisk z ektodziała pokonuje sto pięćdziesiąt kilometrów w ciągu minuty, tyle wiedział. Czas mijał, ale wciąż panowała cisza. Usiłował przełknąć ślinę, nie mógł i uświadomił sobie, że ze strachu język wysechł mu na wiór. A potem zrozumiał, że pociski już nie spadną.

– Dobra decyzja, panie generale – rozległ się chłodny, doskonale wyprany z emocji głos Zarzyckiego. – Proponuję przystąpić do omawiania warunków szczegółowych, posiadam odpowiednie pełnomocnictwa... A tak na początek, to czy nie moglibyśmy odzyskać naszych butów i pasów?

Aleksander wciąż nie otwierał oczu. Powoli docierało do niego, że właśnie został bohaterem.

Zdobył Krym.

No, może z niewielką pomocą Zarzyckiego.

...*panie poruczniku, pan otworzy oczy, bo nic nie widzimy...*

*

W rozdziale *Kontrimperium* Tarkowski pisał, że rosyjski imperializm był, jest i będzie oparty na nagiej, brutalnej sile. Tylko w ten sposób Rosja potrafi zmusić ościenne narody do uległości. Innego sposobu nie zna i znać nie chce – narzucany przez nią wzorzec cywilizacyjny to kombinacja bizantyjskiego absolutyzmu skrzyżowanego z azjatycką satrapią, oparta na gargantuicznej kleptokracji. Dzieje tego kraju to w istocie setki lat trwania ustroju autorytarnego – od carskiego samodzierżawia po stalinowski totalitaryzm. Od czasów Piotra I Rosja przeżywała tylko dwa krótkie okresy względnej wolności – w roku 1917 po rewolucji lutowej i w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku podczas prezydentury Jelcyna. Epoka Putina, z wszechwładzą tajnej policji, samowolą organów władzy, bajecznymi fortunami oligarchów, monstrualną korupcją i zapijającym się narodem przypomina schyłkowy carat. Nie jest to model życia, który ktokolwiek o zdrowych zmysłach chciałby przejmować.

Polska, aby przeciwstawić się neocaratowi Putina, powinna przede wszystkim postawić na „miękką siłę”. Należy wypracować alternatywny względem moskiewskiego model cywilizacyjny, oparty na prostym założeniu: musi być całkowitym zaprzeczeniem tego, czym jest, była i będzie Rosja. Kluczem do sukcesu w rozgrywce o przyszłość jest pozyskanie dla projektu „Jagiellonia 2.0” ludzi zamieszkałych na wschód od Bugu. W tym także Rosjan.

Szansy Polski w oczach narodów wschodnich należy upatrywać w zaproponowaniu tym nacjom zupełnie odmiennej koncepcji ułożenia sobie życia – w postaci rozwiniętego gospodarczo, sprawnego, silnego i demokratycznego państwa, zdolnego do rzeczywistego, a nie

pozorowanego rozwiązywania problemów, w którym obywatel byłby podmiotem, a nie muzykiem zdanym całkowicie na kaprysy czynowników. W tym alternatywnym modelu człowiek, zamiast walczyć z wrogą mu władzą lub się przed nią korzyć, mógłby bez przeszkód realizować swoje życiowe cele i ambicje. Co prawda sami jeszcze do końca nie zbudowaliśmy tak wzorcowego społeczeństwa, ale poczyniliśmy naprawdę spore postępy. Teraz trzeba tylko dokonać ostatecznej przemiany z kraju postkomunistycznego w kraj innowacji, nie tylko na polu technologii, lecz także idei.

Zdaniem pisarza Polacy w żadnym wypadku nie powinni naśladować sarmackich przodków i iść na wschód z „ogniem i mieczem” – myśl taka może się tlić w niektórych narodowo sformatowanych głowach spragnionych odwetu za „wygnanie”. „Nie popełniamy starych błędów!” – apelował. Brak umiaru i skłonności do kompromisu sarmackiej szlachty doprowadził w XVII wieku do upadku Rzeczypospolitej rozdartej wojnami kozackimi i dobitej szwedzkim potopem; w drugiej połowie tego stulecia była już tylko cieniem dawnej potęgi. W dużym stopniu na własne życzenie.

Tym razem należy działać inaczej i ludziom mieszkającym na wschód od Bugu zamiast koszmaru pacyfikacji powinno się zaoferować gałązkę oliwną, czyli pakiet modernizacyjny w postaci projektu „Jagiellonia 2.0” – nowoczesne rozwiązania cywilizacyjne, demokratyczne wzorce polityczne, prawa człowieka, sprawiedliwe sądy, wolności obywatelskie i ekonomiczne, które umożliwią tym udręczonym przez wzorzec moskiewski narodom rozwój społeczny i gospodarczy. „Trzeba im pomóc wyrwać się z postsowieckiego modelu rosyjskiego!” – wzywał Tarkowski. Polska już od pewnego czasu była na wschodzie postrzegana jako kraj, któremu się udało. Dlatego należy systematycznie wzmacniać ten pozytywny obraz – przykładowym działaniem okazała się polska reakcja na ukraińską pomarańczową rewolucję. Tym razem „interwenci” pognali na Kijów nie z szablami, lecz z długopisami i kalkulatorami, aby pokazać, jak należy uczciwie liczyć głosy wyborców.

W koncepcji Tarkowskiego Polska powinna odegrać na wschodzie rolę „zbrojnego anioła” – połączyć rzeczywistą siłę, gospodarczą i militarną (bez której najważniejsze argumenty brzmią słabo) z autentyczną empatią dla pokrzywdzonych przez wyroki historii oraz pomocą potrzebującym: przed mieczem powinny postępować miłosierdzie i altruizm. Tak jakby Polacy mówili: „Nie zamierzamy wam niczego narzucać, tylko proponujemy. Służymy wam i pomagamy, nie dlatego, że musimy, lecz dlatego, że chcemy”.

Tarkowski kilkakrotnie z naciskiem podkreślił, że skierowany na wschód polski przekaz powinien brzmieć nie „poddajcie się nam” (bo to odwieczna melodia Moskwy), lecz „przyłączcie się do nas” – jak niegdyś, gdy powstawał pierwszy projekt jagielloński. Należy zaproponować braciom zza Buga, niegdyś partycypującym w Wielkiej Rzeczypospolitej, nie podbój w stylu sowieckim czy putinowskim, ale rzeczywiste partnerstwo, oczywiście o cechach pewnego paternalizmu, którego zapewne nie da się uniknąć. Lecz jeśli Białorusini, Ukraińcy i inni (także Rosjanie) dostrzegą w związku z Polską szansę na własny rozwój, na ruch ku przyszłości, przyłączą się. Zwłaszcza jeśli alternatywą będzie połknięcie przez moskiewską brutalną satrapię – lub trwanie w niej bez nadziei na cokolwiek.

Do Rosji w jej całej historii „dobrowolnie” przyłączył się jeden kraj. Gruziński król Herakliusz II, zagrożony przez Turków i Persów, oddał swe państwo pod opiekę carycy Katarzyny Wielkiej. Naprawdę trudno z dzisiejszej perspektywy powiedzieć, czy był to wybór mniejszego zła.

*

Ta cisza wprost go dobijała. Czuł się jak skazaniec, który nie zna godziny swojej egzekucji, choć wie, że koniec nastąpi dzisiaj, zapewne przed kolacją... W celi śmierci mógłbym przynajmniej poprosić o kawior i szampana, pomyślał z goryczą. Z sufitu znowu sypnęło pyłem, bunkier drżał, choć tym razem M’Beki nie usłyszał hurgotu pracującego wiertła... Wsłuchał się uważniej i pojął, że drgania przebiegały przez cały górotwór, towarzyszył im głuchy pomruk. Musiały być to odgłosy ciężkiego bombardowania, gdzieś tam na górze wciąż trwała bitwa. Ich ostatnia bitwa. O Warszawę.

Miał nadzieję, że Krystyna ewakuowała się do Królewca, tak jak jej radził, żałując, że nie może kazać. Stamtąd mogła liczyć na transport do Szwecji. Muslimy Bałtyku raczej nie przekroczą, na pewno nie w najbliższym czasie. Wykończenie Polski będzie tych zasrańców sporo kosztowało, potem będą musieli trochę odsapnąć i się przegrupować. Tyle mogliśmy zrobić, pomyślał. Drogo sprzedać swoją skórę. Reszta Europy – wyłączwszy Ukraińców – oddawała ją za darmo.

M’Beki uśmiechnął się bezwiednie. Europejczycy myśleli, że jeśli odpowiednio wcześnie ugną karki przed Stambułem, zyskają łaskawość nowego hegemonu. Wielu uczyniło to wręcz z satysfakcją, bo dość już mieli

Polaków, ich awanturnictwa i utopijnych projektów. Uległość, zwana też rozsądkiem, miała im zapewnić ocalenie. Wybrali życie, nawet jeśli będzie to pełzanie na kolanach i bicie pięć razy dziennie czołem w stronę Mekki. W końcu mają wprawę, wcześniej też woleli być czerwoni niż martwi. Nas na kolana trzeba zawsze rzucić. Taka historyczna sztywność stawów.

Oczywiście i na nich, i na zabałtyckich nordyków przyjdzie kolej, jeśli nie teraz, to w ciągu paru następnych lat. Dlaczego Turcy mieliby się zatrzymywać, skoro nie *musieli* się zatrzymywać?

W końcu też pragnęli mieć swoje imperium.

*

„Jagiellonia 2.0”, projekt polskiego kontrimperium, w istocie był nowoczesnym rozwinięciem starej romantycznej idei mesjanistycznej. Tarkowski przyznawał się do tego bez ogródek. Tym razem jednak ten XXI-wieczny neomesjanizm został oparty nie na poetyckich mrzonkach, lecz geopolitycznej kalkulacji, choć niepozbawionej pewnej dozy idealizmu.

Nie chodzi o to, aby odbić utracone Kresy, to niemożliwe, każde tego rodzaju przedsięwzięcie byłoby szaleństwem i zbrodnią. Celem nie jest podbój wschodnich narodów, lecz ich wyzwolenie z historycznego fatalizmu, w którym tkwią od stuleci. Jeśli uwolnienie duszy i ciała od opresyjnej kultury mongolsko-moskiewsko-sowieckiej uznamy za pierwszy krok ku doczesnemu zbawieniu, to tak, w tym sensie chodzi tu o mesjanizm.

Lecz co zrobić z Rosją? I Rosjanami? Najprostszą receptę – wyróżnić i zagłodzić, a reszki przegonić za Ural – próbował zastosować Hitler. Nawet jeśli pominiemy etyczny aspekt tego „ostatecznego rozwiązania” kwestii rosyjskiej, jedynym efektem, jaki osiągnął Führer, okazała się desperacka walka przyciśniętych do muru ludzi: zmuszeni do wyboru między śmiercią w męczarniach a życiem w sowieckim „raju” (ale jednak życiem) żołnierze Armii Czerwonej bili się jak szaleńcy. Postawieni w obliczu zagłady wybrali desperacką walkę o przetrwanie. Czy Niemcy nie zdawali sobie z tego sprawy? Niektórzy zapewne tak, lecz Hitler był mentalnym więźniem ideologii, którą stworzył. Zabrakło mu koniecznej elastyczności, zbyt go zaślepiła nienawiść do Słowian i „żydowskiego bolszewizmu”. Dlatego jego

oferta dla narodów Wschodu składała się z masowej śmierci i najpodlejszego niewolnictwa. Tym samym przesądził o przegranej III Rzeszy. Przepieranie ludzi do ściany nigdy się bowiem dobrze nie kończy, jak słusznie zauważał Tarkowski. „Nienawiść to siła wypalająca i pusta – konstatował. – Dlatego my nie powinniśmy nienawidzić, lecz współczuć”.

Tarkowski postulował, by nie traktować Rosjan jako wrogów, tylko... pacjentów. Ludzi, którzy tak samo – a nawet bardziej – jak inne narody Wschodu są poszkodowani przez cywilizacyjny „wzorzec moskiewsko-bizantyjski”: mentalnie, kulturowo i materialnie. I podobnie jak one zasługują na pomoc. Jeśli zechcą, będą mogli skorzystać z dobrodziejstw projektu „Jagiellonia 2.0”. Bo jego istotą jest otwartość na uczestnictwo dla wszystkich chętnych. Oczywiście tych, którzy akceptują jego założenia.

Doskonale zdaję sobie sprawę, jak trudno będzie skierować do Rosji, po tym, co uczyniła i jeszcze uczyni, przekaz pozytywny, nieoparty na nienawiści i żądzy odwetu. Lecz nie ma alternatywy dla „polityki miłości”, bo tylko dzięki niej Rosjanie mają szansę pokonać swoje upiorne imperium. Ponieważ aby i dla nich ostatecznie odeszło, muszą je zwalczyć sami – w sobie.

W tonie lekko kpiącym Tarkowski stwierdzał, że Rosjan, zaczadzonych putinizmem i pogrążonych w marzeniach o neocarstwie, wielkim imperium, przed którym będzie drżała reszta świata, należy traktować jak niebezpiecznych dla otoczenia pacjentów zakładu psychiatrycznego. Leczenie musi być przymusowe, ale w sposób oczywisty nakierowane na dobro pacjenta. Tak oczywisty, aby to w końcu do niego dotarło.

*

Desantowali się z caracala pięćset metrów na wschód od stanowisk Rosjan, osłonięci od strony skrajnych transzei przez niewielki zagajnik. Nawet niespecjalnie byli podczas nadlatywania ostrzeliwani, bo przeciwnik spodziewał się ataku od strony rzeki i na tym kierunku rozbudował stanowiska. Na skraju bronionego obszaru zostawił dwie czujki z ewidentnymi żółtodziobami, bo zlikwidowali je bez konieczności użycia karabinów, wystarczył Teung z kuszą. Potem wpadli do rowu łącznikowego i pobiegli w kierunku okopów, gdzie rozmieścił się ochotniczy batalion sił

Naddniestrza – w rzeczywistości w większości złożony z najemników z Donbasu i Rostowa. Musieli się pośpieszyć, za piętnaście minut przez Dniestr ruszali Mołdawianie. Do tego czasu drużyna M'Bekiego oraz reszta desantowanych pododdziałów kompanii miała uderzyć od tyłu i związać ochotników walką, odciągając rebeliantów od rejonu przeprawy.

Biegli gęsiego, nisko pochyleni. Po kilkudziesięciu metrach wpadli do głębokiej na dwa metry transzei. Kapral Krajewski, dowodzący drużyną, dał znak, że mają stanąć. Trafili na rozwidlenie. Dowódca na naręcznym mapniku sprawdzał konfigurację terenu i układ okopów. Rosjanie przez ostatnie pół roku, spodziewając się ataku, ryli w nadrzecznej skarpie niczym krety, zmieniając swój brzeg w istny ziemny labirynt. Krajewski dał znak, że mają biec w lewo. Po następnych trzydziestu metrach natknęli się na kolejne rozwidlenie, znowu skręcili w lewo. M'Becki rozglądał się podejrzliwie, bo wciąż nie nawiązali kontaktu z wrogiem. Co mogło oznaczać, że przeciwnik ściągnął wszystkie rezerwy tuż nad brzeg. Naddniestrzańscy zdawali sobie sprawę, że jeśli pozwolą Mołdawianom na sforsowanie rzeki, ich pozycja padnie i droga do Tyraspoła stanie otworem. Aleksander nie wiedział jednak, dlaczego tak odślonili tyły, przecież po odrzuceniu ultimatum Wyszehradu rebelianccy dowódcy mogli się spodziewać interwencji. Chyba że uwierzyli własnej propagandzie ukazującej Sojusz jako papierowego tygrysa zdolnego jedynie do pogroźek i teatralnych gestów pod gusta zblazowanej europejskiej publiki.

No to się zdziwią, jak im wjedziemy w żopy, pomyślał, przypadając do ziemi, bo kapral Krajewski zatrzymał się i podniósł rękę, sygnalizując, że coś się dzieje. Rzeczywiście, tuż nad ich głowami poszła smugowa seria, ochotnicy najwyraźniej się wreszcie ocknęli i próbowali wymacać atakujących. Dowódca dał znak Rostowskiemu, który targał granatnik 50 mm, pewnie chodziło o zdjęcie obsady elkaemu, i zrobił krok do przodu...

To musiała być zdalnie odpalana mina, bo ostatnim, co zobaczył M'Becki, był widok Krajewskiego wyskakującego w chmurze piachu do góry, jakby wdepnął w katapultę... Ćwierć sekundy później poczuł, że coś z potworną siłą łupnęło w jego hełm, i stracił przytomność.

Leżał bez świadomości przeszło godzinę – upływ czasu poznał po zegarku, spadku po Ferdynandzie, starej nakręcanej omedze. Reszta jego sprzętu nie działała, odłamki rozwalily baterie i cała wymyślna elektronika tytana nadawała się najwyżej do dziergania łowickich serwet. Garnek mógł oddać wyłącznie na złom, został prawie na pół przecięty kawałkiem żelastwa, na szczęście wewnętrzna warstwa wytrzymała i jego czerep ocalał. Obmacał

obolałą głowę i stwierdziwszy, że jest z grubsza nienaruszona, tylko poobijana i napuchnięta, zaczął szukać giwery. Ale w zwałach piachu zalegających rozpirzoną przez wybuch transzeję nic nie dałoby się znaleźć, nawet armaty. Rozejrzał się uważnie. Wszystko wskazywało na to, że kiedy M'Beki przebywał w objęciach Morfeusza, nad brzegiem Dniestru przetoczyła się wojna. Przez okopy musiała przewalić się nawała artyleryjska, widział leje i wyrwy w ścianach. Nie zauważył nikogo z drużyny, najprawdopodobniej oberwał tylko on, no i Krajewski... Biedny skurwiel, był przekonany, że przespacerują się przez to parszywe Naddniestrze i za parę dni wpadną do Kiszyniowa na wino i panienki. No to nie wpadną.

Wstał i ostrożnie wysunął głowę z okopu. Nic specjalnego nie zobaczył – poza parudziesięcioma metrami zrytego pociskami gruntu. Od południowego wschodu zagrzecgotał głucho wkm, odpowiedziała mu karabinowa palba. To mogło oznaczać, że Mołdawianie przełamali obronę na brzegu i walka przeniosła się w głąb lądu. Po prostu kiedy leżał nieprzytomny w transzei, wojna przeskoczyła górą, zostawiając go za sobą. Co oznaczało, że nie miał tu już nic do roboty. Zastanawiał się właśnie, czy iść w kierunku rzeki, gdzie z pewnością znalazłby na przeprawie mołdawskich żołnierzy, czy też może raczej szukać strefy ewakuacji, co mogło być trudne bez GPS-u, który nie działał jak reszta elektronicznego szmelcu, kiedy usłyszał ten jęk. I rosyjskie przekleństwo.

Tamten musiał być za zakrętem transzei, która odbijała w prawo parę metrów za miejscem, gdzie wysadziło kaprała. M'Beki jeszcze raz rozpaczliwie rozejrzał się za karabinem, ale prócz zwałów piachu nic nie zobaczył, w końcu wyciągnął bagnet. Zupełnie nieźle nim rzucał i jeśli ten za zakrętem, jak przypuszczał, był ranny, to może ma szansę... Zaczął się na czworakach skradać w kierunku załomu, trzymając nóż w zębach. Minął dół, który został po dowódcy, i ostrożnie zbliżył się do załomu.

Rosjanin leżał ze trzy metry za zakrętem, w niedużej wnęce, i obejmował rękami brzuch. Porządnie oberwał, dłonie i cały dół munduru miał we krwi. Wyglądał na może trzydzieści lat. Patrzył na Aleksandra i zrobił minę, jakby chciał splunąć w jego kierunku, ale zabrakło mu śliny.

– Cziewo źdiosz, Niegr? – zapytał. – Rież, ludojed!

M'Bekiemu zrobiło się głupio. Wstał, wyjął bagnet spomiędzy zębów i schował go do pochwy. Wyciągnął z bocznej kieszeni pakiet opatrunkowy, ale gdy uważniej spojrzął na brzuch „Iwana”, zdał sobie sprawę, że to bez sensu. Facetowi naprawdę porządnie rozorało brzuch i jedynie szybkie odstawienie do szpitala dawało mu jakąś szansę. Mimo to rozerwał pakiet

i wyjął opatrunek. Wyciągnął gazoplaster w stronę rannego.

– Bierz – powiedział po polsku. – On jest nasączony takim czymś... Nie będziesz tak krwawił i nie będzie tak bolało.

Tamten patrzył na niego ze zdumieniem, ale chyba zrozumiał, bo wziął opatrunek i przyłożył do szramy na brzuchu. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Nic dziwnego, gazo-plaster zapewniał miejscowe znieczulenie.

– Paljak czioznyj? – zdziwił się.

Wszyscy się dziwili, zwłaszcza na wschodzie, Aleksander przywykł.

– A czarnych Ruskich nie ma? – zapytał.

Cholera, przydałaby się jakaś łączność. Mógłby ściągnąć sanitariuszy.

– Niespecjalna – odparł. – Nikawo nie widieł.

– Masz może łączność? Telefon?

Pokręcił głową. Gaza opatrunku zabarwiła się na różowo. Nie zostało mu dużo czasu. M'Beki wspiął się na szczyt okopu i ponownie rozejrzał. Nikogo nie zauważył, teren wyglądał na kompletnie opuszczony. Usłyszał delikatny bzyk – od wschodu nadleciał dron, dość nisko, kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Po charakterystycznym rozmieszczeniu śmigieł poznał, że musi to być polski zwiadowczy pterox. Dron nadleciał nad rozryte bombardowaniem transzeje, zatoczył koło nad Aleksandrem, który przyglądał mu się z zadartą głową, i odleciał na północny wschód, tam, skąd wciąż dobiegała kanonada. Widocznie operator uznał, że tutaj nic się nie dzieje. M'Beki miał nadzieję, że rozpoznał jego mundur. Wyżej, na wysokości dwóch kilometrów, kręciły się uzbrojone w rakiety manty. Gdyby został uznany za wrogiego żołnierza, dron odpaliłby pocisk i M'Beki mógłby przestać kłopotać się o cokolwiek, jak to nieboszczyk. Rozejrzał się jeszcze raz, ale nadal nikt się nie pokazywał, niebo też pozostawało czyste. Wskoczył do okopu.

Ruski wyglądał bardzo niedobrze, tracił coraz więcej krwi. Aleksander pojął, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, facet wykrwawi się na śmierć. Musiał go jakoś dostarczyć na brzeg, tam z pewnością Mołdawianie ulokowali punkt sanitarny.

– Słuchaj, Iwan, ubiorę cię w moją zbroję i ścisnę pasem, bo inaczej flaki z ciebie wypłyną. Wezmę cię na plecy i pójdziemy nad rzekę, tam będzie lekarz, wracz. Rozumiesz, co mówię?

Skinał głową. Usta mu mocno posiniały.

– Poniał. Mienia zawut Kola.

– Olek.

Złapał za sprzączki tytana, odpiął je i zdjął egzozbroję, łamiąc tym samym wszystkie regulaminy pola walki. Oderwał Rosjaninowi ręce od opatrunku,

odciągnął od ściany i nałożył mu pancerz, spiął w kroku i dodatkowo obwiązał pasem. Teraz przynajmniej była szansa, że pacjent pozostanie w jednym kawałku. Kilka metrów dalej pocisk artyleryjski trafił w ścianę okopu i zupełnie ją rozwalił, w wyniku czego powstało osypisko. Dzięki temu zdołał wytargać Kola na górę, ciągnąc za kołnierz tylnego półpancerza. Odsapnął i ze stęknieniem zarzucił go sobie na plecy. Ranny jęknął, ale nic na to nie mógł poradzić. Widocznie znieczulający plaster przestawał działać.

Chwiejnym krokiem ruszył w stronę rzeki. Kola okazał się niezgorszym chłopem, sporo ważył, leżąc w okopie, wyglądał na znacznie mniejszego. Szło się ciężko, M'Beki brnął przez teren zryty bombardowaniem – kiedy był nieprzytomny, musiało tu się rozpętać piekło. Z trudem omijał leje po wybuchach, kluczył między zrujnowanymi transejami, szukając najdogodniejszego przejścia. Ale najgorsze były trupy... dużo trupów. Żołnierze Naddniestrza nie zostali wyposażeni w egzobroje, mieli jedynie zwykłe kamizelki kuloodporne, i artyleria zebrała wśród nich krwawe żniwo. Od początku nie mieli zresztą żadnych szans, ale rządzący samozwańczą republiką gangsterzy odrzucili propozycję kapitulacji. M'Beki nawet ich rozumiał, skoro tyle zebrało się im za uszami... Musieliby rozliczyć się ze swoich postępów przed przysłanymi przez Wyszehrad sędziami... A tego bali się jak diabeł święconej wody.

Kola coś mówił, ale ledwo go słyszał przez własne sapanie. Nieźle się już umordował, a brzegu wciąż nie widział.

– U mienja w Tyraspole ženszczyna, Tanja, u nas doczka. Szto s nimi budiet? Mołdawcy nie odpuściat... a s nami piździec.

Przystanął i przez dłuższą chwilę łapał oddech.

– Podarują – powiedział. – Już my tego dopilnujemy.

Rosjanin milczał i M'Beki się przestraszył, że to już... A właśnie zobaczył trzciniowe chaszczce i poczuł na twarzy świeży, mokry powiew, odganiający wszechobecny smród spalonego kordytu... Do rzeki zostało naprawdę niedużo. Wytrzymaj, chłopie, pomyślał, pochylając się i poprawiając go sobie na plecach.

– My... eto kto?

Że też mu się teraz zebrało na polityczne dyskusje. Trafił na grudę ziemi, która zapadła się pod stopą. Zachwiał się i o mało nie upadł. Dłuższą chwilę odzyskiwał równowagę.

– My, czyli Wyszehrad – odparł w końcu.

Właściwie to lepiej, żeby Kola gadał, bo śpiączka oznaczała dla niego śmierć.

– A szto eto Wyszegrad?

M’Beki chrząknął, czując, że spocił się jak mysz i zaschło mu w gardle. Nie miał ani sił, ani ochoty na wygłaszanie komunałów. Ale musiał.

– Najkrócej? Wyszegrad to prawo. Prawo do prawa – do uczciwości, godności, szacunku, wolności, odpowiedzialności, solidarności... to prawo do bycia człowiekiem, nie mierzwą, nie niewolnikiem. Rozumiesz?

Przystanął, bo już ze zmęczenia ugiwały się pod nim kolana. Leżący na jego plecach Kola poruszył się nieznacznie.

– Da, ja niepłochu polskij panimaju... Smatrieł mnogo filmow w sputnikie... To zdies tut budiet kak w Kaliningradie?

Odetchnął kilka razy i znowu ruszył. Chaszcze przerzedzały się, teren opadał w dół. Minął rozrośnięty krzak i zobaczył szeroko rozlany Dniestr. Na tym odcinku rzeki kręciło się przy brzegu kilka amfibii, inne poszły za atakującym wojskiem w głąb łądu, co poznał po śladach gąsienic widocznych na piaszczystej plaży.

– A jakże, będzie jak w Królewcu – zapewnił. – Rzeka, zaraz kogoś znajdziemy.

Rosjanin milczał i M’Beki pojął, że musi się pośpieszyć. W dole po prawej zobaczył grupę żołnierzy, mołdawskich i polskich, kręcących się dookoła zakopanej na plaży amfibii – pewnie pojazd był zepsuty. Nie miał sił do nich krzyżeć, po prostu zaczął biec truchtem w ich stronę, mając nadzieję, że jednak zdąży... Jeśli na miejscu jest sanitariusz z plazmą, to Kola wciąż miał szansę.

Pierwszy zauważył go Teung i powstrzymał Mołdawianina, który już mierzył do Aleksandra z karabinu; obok stali Rostocki i Agriha, najwyraźniej zaskoczeni jego widokiem. Chińczyk podbiegł ku Aleksandrowi i kiedy zauważył, że targa kogoś na plecach, powiedział coś do mikrofonu. Zza amfibii wypadł sanitariusz i pognął ku nim na złamanie karku. A on nie miał już siły dalej truchtać i opadł na kolana, czekając, aż nadbiegną.

Teung był już przy nim, pomógł mu zdjąć Rosjanina z pleców i położyć na ziemi. Zaraz potem zjawił się sanitariusz, Polak, ale M’Beki go nie znał, musiał być z innej kompanii. Pochylił się nad rannym i zaczął rozpinać egzozbroję.

– To jeden z naszych? – zapytał Teung, podając mu manierkę.

– Nie – zaprzeczył. – Nazywa się Kola.

Pił długo. Nawet nie wiedział, że był tak bardzo spragniony.

– Postawiliśmy już na tobie krzyżyk, Beka. Jak walnęła ta mina, na której wyleciał Krajewski, to myśleliśmy, że też po tobie. Wyglądało, jakby twój

garnek przebiło na wylot. Sorki, stary, ale musieliśmy się zwijać, bo zaczęło się bombardowanie.

M'Beki skinął głową na znak, że rozumie, i oddał mu pustą manierkę. Sanitariusz odwrócił się w ich stronę i ciężko westchnął.

– Nie dało się nic zrobić, wykrwawił się.

Wstał i zaczął zbierać swój ekwipunek. Aleksander pochylił się nad zmarłym i popatrzył na jego białą jak śnieg twarz.

– Przykro mi – powiedział. – Nie chodziło mi o to, żeby Tania została wdową.

Teung skrzywił się i zerknął na ciało, okrywane folią przez sanitariusza.

– Nie przesadzasz aby z tym humanitaryzmem?

M'Beki wyprostował się i poczuł, że potwornie chce mu się spać. Najchętniej walnąłby się po prostu na ziemię i zasnął. Ale musiał odpowiedzieć. Wskazał za siebie, na zryty pociskami brzeg Dniestru i zasnuty dymami horyzont.

– Jeśli nie dla ludzi takich jak Kola, Tania, ich dziecko, to po co to wszystko?

Odwrócił się i nie czekając na odpowiedź, poszedł w stronę reszty chłopaków z drużyny.

*

Ostatni rozdział książki Tarkowskiego został zatytułowany *Dawid albo sen o potędze*. Autor stwierdzał w nim bez ogródek, że Polacy są narodem pełnym kompleksów, o zaniżonej samoocenie, programowo niewierzącym w możliwości swoje i swojego państwa. W jego ocenie to wynik opisywanego wcześniej „zmielenia”. Polacy, przepuszczeni przez wojenną i powojenną „maszynkę do mięsa”, poniżeni przez zwycięzców, do tej pory nie odzyskali utraconego podczas historycznej katastrofy poczucia własnej wartości i godności. Stąd bierze się natrętne przekonanie o nieudacznikach, ludziach skazanych na nieustanne niepowodzenia, do czegokolwiek by się wzięli. Pechowcach naznaczonych przez historiozoficzne fatum.

Przejawiało się na różnych poziomach, autor wskazywał na przykład, że w internecie zawsze roi się od wpisów negatywnie komentujących artykuły dobrze oceniające gospodarcze perspektywy Polski. Przeważają opinie w rodzaju: „to propaganda rządu”, „autorzy urwali się z choinki”, „chłopaki śnią na jawie”. Bo przecież „w tym kraju” nic się nie może udać, Polacy z definicji są skazani na przegraną. Sukces można odnieść w Ameryce albo

w Wielkiej Brytanii, a tutaj najwyżej zrobić sprytny przekręt.

We własnych oczach uchodzimy za największych na świecie nieudaczników, naród naznaczony romantycznym stygmatem klęski, specjalistów od pięknego przegrywania. Dla nas największym cudem jest to, że w ogóle jeszcze istniejemy. Ta mitologia klęski stała się zmorą pętającą polskie umysły. Strach przed porażką paraliżuje w nas wszelkie działanie. Dlatego wolimy nie robić nic i beczynnie czekać na kolejny wyrok historii.

W podobny sposób liczni i głośni wieszczkowie wiecznej klęski odnosili się do perspektyw kolejnego starcia z Rosją. Tarkowski skwitował ten rodzaj myślenia krótko: „Kto oczekuje klęski, niechybnie jej doświadczy”. Istotnie, nie ma po co iść na wojnę, jeśli się ją wcześniej przegrało we własnej głowie. Pisarz odrzuca ten rodzaj myślenia, stwierdzając, że każdego można pokonać, to tylko kwestia odpowiednich metod i środków. Przy tym wcale nie lekceważył siły wschodniego imperium – przecież Rosja dowiodła niejednokrotnie swojej potęgi i odporności na ciosy. Nie należy jednak utożsamiać kapitulancja z ostrożnością. Bo, powtarzał po raz kolejny, putinowski neocarat można pokonać, choć nie w bezpośrednim starciu. Polska, nawet wsparta sojuszem przyjaciół, nie dysponuje porównywalnymi możliwościami. Ale nie mogąc być drugim Goliatem, może zostać Dawidem...

Stojący naprzeciw Goliata Dawid nie czuje lęku. Patrzy mu śmiało w oczy, lekki i zwinny, utrzymuje czujny dystans, w każdym momencie gotów do uniku. Docenia brutalną moc przeciwnika, dlatego nie dąży do natychmiastowej konfrontacji. Krąży wokół wroga, obserwuje, starając się przewidzieć jego ciosy. Czeka na odpowiedni moment, wypatrując słabego punktu. Wie, że Goliat, choć zakuty w zbroję, ma miejsca, w które można go ugodzić. I gdy takie odkryje, uderza – nagle, szybko, mocno i dotkliwie. Ale nie śmiertelnie. Polski Dawid bowiem nie pragnie śmierci rosyjskiego Goliata, lecz... zbawienia; nie chce zabijać, jedynie uzdrowić jego okrutną, barbarzyńską duszę. Jednak by móc leczyć, musi pacjentowi najpierw upuścić krwi.

Autor *Projektu „Jagiellonia 2.0”* szansy Polski upatrywał właśnie w taktyce Dawida. Należy unikać bezpośredniego zwania, możliwie długo chowając się

za cudze tarcze – co zresztą przewidywały „trzy zasady” – aż do chwili, gdy miotający się w niszczycielskim szale przeciwnik osłabnie i nieostroźnie się odsłoni. I wtedy uderzyć w punkt najwrażliwszy. A potem, rzuciwszy Goliata-Rosję na kolana, zaproponować udział w nowym – lepszym – świecie. Kontrakt zamiast kapitulacji.

Wszystkim potencjalnym krytykom zawartych w swojej książce poglądów – „będą głosić, że to Everest pobożnych życzeń, które nigdy się nie ziszcza” – Tarkowski odpowiadał, że przecież nie sposób przewidzieć przyszłości, bo zbyt często wymyka się ona wyobraźni. Komu w roku 1900 przychodziło do głowy, że za dwadzieścia lat Europa będzie leczyć rany po wojnie światowej, w której straci życie kilka milionów ludzi, rozpadną się wielkie stare imperia i pojawią się nowe państwa? Komu w Polsce w roku 1989, gdy konał PRL, inflacja sięgała trzydziestu procent miesięcznie, a w sklepach do obejrzenia były głównie ekspedientki, przychodziło do głowy, że po dwudziestu latach praktycznie każdego pracującego Polaka będzie stać na przyzwoity samochód i komputer z dostępem do światowej sieci informatycznej? Osobnik wygadujący takie rzeczy niechybnie zostałby uznany za wariata lub fantastę pracującego nad powieścią science fiction. A to się stało: z „chorego człowieka Europy” Polska stała się normalnym krajem z dobrze działającą gospodarką i – mimo wszelkich niedociągnięć – funkcjonującą demokracją liberalną. Ta wizja z punktu widzenia roku 1989 wydawała się rojeniem, bo przecież z definicji Polakom – bezwartościowemu farszowi wyplutemu w połowie XX wieku z „maszynki dziejów” – nic się nie udaje i udać nie może.

Z dzisiejszej perspektywy wizja „polskiego kontrimperium” wydaje się czysto myślową spekulacją, mrzonką, snem o potędze, kolejną romantyczną brednią. Ale może lepiej potraktować ją jako jeden z prawdopodobnych scenariuszy? Dlaczego nie mielibyśmy obstawić akurat tej wersji przyszłości? Dlaczego nie mielibyśmy jej pomóc? Zwłaszcza że nie posiadamy żadnego dowodu na to, że wypadki NIE potoczą się w przewidywanym przeze mnie kierunku.

Przywoływał autorów broszury *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?*, którzy przed dwustu laty, gdy zapadła już noc zaborów, wzywali rodaków do czynu, pisząc: „Nie czekajcie na żadne okoliczności, nie oglądajcie się ani na wojnę, ani na pokój. Macie siły wielkie, użyjcie ich przeciw nieprzyjaciołom, a zwyciężycie”. Tarkowski na pytanie, co Polacy powinni zrobić teraz,

w obliczu odradzającego się na wschodzie wrogiego im imperium, odpowiadał zwięźle: „Zbudujcie własne! Bo żeby wygrać, trzeba zasiąść do gry”.

Czy mieli coś ciekawszego do roboty?

*

Poczuł pragnienie i sięgnął po wodę. Upił duży łyk, czujnie nadstawiając ucha, ale Turcy jakoś nie hałasowali. Widać stracili zainteresowanie węzłem – ale dlaczego? Przecięli linię w innym miejscu? Albo mieli coś ważniejszego na głowie? Albo do roboty?

Tak jak jeszcze niedawno my, panie Tarkowski – pomyślał. Zrobiliśmy to cholerne imperium czy kontrimperium, mimo że nikt w nie nie wierzył, oczywiście poza samym autorem *Projektu „Jagiellonia 2.0”*, no i Sidorskim. Nawet kiedy drugie wydanie, masowe, po cichu sfinansowane przez rząd, odbiło się znacznie większym echem – bo tym razem nie odebrano książki jako fantazji prowincjonalnego nauczyciela bawiącego się w futurologię, lecz oficjalne stanowisko nowych władz. Cenzury nie wprowadzono, co liczni pisarze uznali za słabość i uległość reżimu, więc każdy publikował, co chciał. Poużywali więc sobie, zarówno ci z lewa, jak i z prawa, pewnie z zemsty za ostentacyjną pogardę, jaką Sidorski przejawiał względem dotychczasowej klasy politycznej. W publikatorach zaroilo się od tytułów w rodzaju *Uwaga: Zbawca z Tworek!* albo *Nowy mesjanizm, czyli obłąd w stanie czystym* lub *Skomplikowany sposób na zbiorowe samobójstwo*. Starający się sprawiać wrażenie bardziej merytorycznych podkreślali, że nie było jeszcze w dziejach Polski podobnie awanturniczego projektu geopolitycznego. No i rzecz jasna bardziej bezsensownego. Z wszystkich komentarzy ziała ostentacyjna niewiara w jakiegokolwiek założenie przyjęte przez Tarkowskiego.

M’Beki pomyślał, że chciałby widzieć miny tych pismaków, gdy w ciągu następnych kilku lat wizja „domorosłego politologa” i „fantasty” zaczęła się spełniać punkt po punkcie z zastanawiającą – choć tylko dla ludzi myślących racjonalnie – konsekwencją.

– Tylko finał nam się nie udał – powiedział głośno i odruchowo spojrzął na sufit, bo wydawało mu się, że wyczuwa jakieś drgania.

Ale nie, na pewno mu się wydawało albo coś przez moment buszowało w rurach, na przykład szczury.

Zerknął na zegarek. Od momentu, gdy go wykryli i odciął się od świata, minęły prawie cztery godziny. Właściwie powinien być już martwy. To

oczekiwanie na nieuniknione wykańczało go psychicznie, czuł, że za chwilę kompletnie się rozklei. Znowu spojrzął na leżącego na pulpicie visa i ogarnęła go nagła ochota, aby rzecz... przyśpieszyć. Ale myśl ta wydała mu się naraz tchórzliwa i kapitulanka. Zacisnął zęby. Nie, panowie muslimy, nic wam nie będziemy ułatwiać.

Wstał i z ulgą wyprostował zeszywniałe plecy. Zabrał broń z pulpitu, podszedł do szafki aprowizacyjnej, położył na półce pistolet, a wziął rację C, czyli czekoladę wymieszaną z jakimiś ponoć wysoce odżywczymi włóknami skutecznie psującymi smak jego ulubionej słodyczy. Gryzł ją i szarpał, bo włókna tak łatwo nie poddawały się zębom, i przeklinając wojskowych dietetyków, zaczął wykonywać przysiady. Po siedzeniu w fotelu i wgapieniu się w zgasłe ekrany odczuwał potrzebę ruchu. Zrobił jeszcze ze trzysta pompek i tym sposobem przywita wroga w pełni sprawny i gotów do boju.

Przy setnym przysiadzie przyszło mu do głowy, że mimo wszystko chętnie by jeszcze przed śmiercią zajrzał do *Projektu „Jagiellonia 2.0”*. W końcu najbardziej lubimy swoje marzenia. Niezależnie od aktualnych okoliczności.

*

Przepowiadany przez Tarkowskiego kryzys wybuchł z pełną siłą na początku lat dwudziestych. Fala ruchów populistycznych, które przetaczały się z południa na północ, nie ominęła też Polski. Jak zwykle koszty kolejnego załamania gospodarczego ponieśli najbiedniejsi, ale tym razem nie wytrzymali. Bunt doprowadzonego do ostateczności prekariatu wyniósł do władzy skrajnie socjalną Partię Przyjaciół Ludu, ugrupowanie sukcesyjne po PiS-ie i innych ruchach populistycznych w rodzaju kukizowców, która sprzymierzywszy się z religijno-nacjonalistyczną prawicą, utworzyła w Sejmie koalicję mającą większość konstytucyjną. Pierwszą decyzją nowej władzy okazała się zmiana zapisu w ustawie zasadniczej określającej procentową wysokość długu publicznego – zniesiono do tej pory obowiązujące progi, uprzednio już podwyższone przez PiS, nie ustanawiając nowych. Dawało to rządowi prawo do dowolnego zadłużania budżetu – czego potrzebował, aby wypełnić obietnice przedwyborcze dotyczące sfery emerytalno-socjalnej. Zaczęto od wycofywania resztek reform, z takim trudem wdrażanych po 1989 roku (dlatego w mediach nazywano ten układ polityczny „koalicją cofaczy”), przede wszystkim obniżono wiek emerytalny, dosypano kasy do socjału, usztywniono rynek pracy, praktycznie likwidując „śmieciówki”. Za tym poszła fala wzrostu uposażeń – zarówno w firmach, zmuszonych do tego

dwukrotną podwyżką tak zwanej płacy podstawowej, jak i w sferze publicznej. Najbardziej wpływowe grupy zawodowe zostały obficie obdzielone konkretnymi finansowymi przywilejami. Politycy PPL szczycili się w mediach, że są pierwszą w historii Polski partią, która naprawdę dotrzymała przedwyborczych obietnic, co nie udało się nawet PiS-owi.

M'Beki, wtedy nastolatek, pamiętał, że na początku wcale nie było tak źle. Znaczna część społeczeństwa rzeczywiście poczuła przypływ gotówki w kieszeniach. Rząd się zadłużał i sypał kasą, banki wyczuły koniunkturę i rozkręciły akcję kredytową, zwłaszcza że na rynku pojawiło się sporo wolnego pieniądza. Przeciętny Polak – jak za czasów saskich – pił, jadł i swoim zwyczajem o nic się nie troskał.

W pierwszym okresie ta polityka finansowa polegająca na wciskaniu forsy komu popadnie sprawdzała się, wręcz podkreślała koniunkturę. Początki złego okazały się naprawdę miłe – niemniej jednak za progiem czekał żałosny koniec, dokładnie jak w bajce Krasickiego. Gdy ustał dopływ kapitału z Unii Europejskiej, skończyli się też pożyczkodawcy. W budżecie pojawiła się dziura, której nie dało się zasypać inaczej niż dodrukiem pieniądza. Rząd długo się nie zastanawiał i nakazał uruchomić maszyny drukarskie w mennicy państwowej – ludzie dostali obiecaną kasę, ale gdy zjawili się w sklepach, ze zdumieniem dostrzegli wędrujące w górę ceny. Inflacja wystrzeliła błyskawicznie, w ciągu półroczka osiągając kilkadziesiąt procent. To rzecz jasna wywołało kolejną falę podwyżek płac, co tylko podkreśliło inflację – na dodatek koncerny zaczęły się z Polski wynosić, czując, co się święci. Zlikwidowanie śmieciówek nie zbiegło się bowiem z podniesieniem innowacyjności i wydajności. Korporacje płaciły coraz więcej za tę samą „pracę prostą” – a mogły ją znaleźć znacznie taniej choćby na Bałkanach. W efekcie zatrudnieni tracili etaty i nie mieli w zamian nawet śmieciówek. Na koniec 2022 roku bezrobocie przekroczyło trzydzieści procent, a wśród młodych pięćdziesiąt pięć, a lokalnie, w tak zwanych czarnych strefach, sięgało powyżej sześćdziesięciu. Dzięki prasie drukarskiej w mennicy płacono im oczywiście zasiłki, nominalnie nawet wysokie, ale były one coraz mniej warte z powodu szalejącej hiperinflacji. W końcu września tegoż 2022 roku bochenek chleba kosztował siedemset złotych, a litr mleka czterysta.

Starsi ludzie pamiętający to, co działo się w latach osiemdziesiątych XX wieku, zaczęli sarkać, że dzięki PPL-owi znowu trafili do Polski Ludowej – zwłaszcza że zaczęły się braki w zaopatrzeniu: słaba waluta praktycznie uniemożliwiła import, a produkcja krajowa zamierała duszona kosztami i drakońskim fiskalizmem państwa rozpaczliwie usiłującego zapełnić

dziurawy budżet. W kręgach PPL pojawiły się nawet pomysły, aby znacjonalizować podstawowe gałęzie gospodarki, bo inaczej groził im całkowity upadek. Zapowiedź odebrania własności wyprowadziła na ulicę już zbankrutowanych i resztki jeszcze jakoś dychających biznesmenów, którzy protestowali pod sztandarami z historycznym hasłem „Precz z komuną!” (choć sam reżim określał się jako „katolicki i narodowy”, co złośliwcy uprościli do „narodowokatolicki”, z oczywistą aluzją do ideologii pewnego kaprała z wąsikami). Aktywiści PPL-u natychmiast zorganizowali kontrdemonstrację ogłupionych prekariuszy, którzy zgromadzeni pod nie mniej historycznym hasłem „Wyklęty powstań ludu ziemi”, stoczyli z „burżuazyjnymi krwiopijcami” w centrum Warszawy trzydniową bitwę na kostkę brukową i płyty chodnikowe. Szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę – przy bierności policji, której funkcjonariusze nie zamierzali nadstawiać karku za kawałki papieru nie wiadomo dlaczego wciąż nazywane pieniądzem – aż górę wzięli prekariusze, jako bardziej klasowo zdeterminowani. Po tych wydarzeniach centrum stolicy wyglądało jak po pierwszym tygodniu powstania warszawskiego. Podobne w skali i przyczynach zamieszki przetoczyły się przez cały kraj, dzięki czemu Polska w światowych mediach znowu (po okresie przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku) cieszyła się zaszczytnym mianem „chorego człowieka Europy”.

Sytuacja gospodarcza i społeczna pogarszała się z dnia na dzień, zdumiewająco przypominając końcówkę komunizmu, łącznie z kolejkami po wszystko. Dodatkowo komplikował ją rozkład obozu władzy, który podzielił się na kilka zaciekłe zwalczających się frakcji. Każda miała inny pomysł, jak ratować się przed nadciągającą katastrofą – ponieważ przeciwko Przyjaciołom Ludu i ich sojusznikom obracali się nawet beneficjenci kontrreform, gdyż kieszenie emerytów i prekariuszy zappełniał papier nawet przez optymistów nienazywany już pieniądzem, a obiecany dobrze płatny etat zmienił się w strukturalne bezrobocie. Rząd zrozumiał, że jeśli natychmiast nie znajdzie prawdziwych pieniędzy – czyli waluty, bo złotówka stała się takim śmieciem jak u schyłku PRL-u – to zostanie zmieciony przez słuszny gniew wygłodzonego, rozżalonego i zupełnie nieprzyjaznego ludu.

Wtedy z mównicy sejmowej padła słynna kwestia posła PPL Andrzeja Lepniaka.

– Jak nie masz kasy, to coś sprzedaj – oznajmił. – Wtedy będziesz miał.

Polityk, rozwijając swoją myśl, uznał, że w tak dramatycznej sytuacji państwo musi sprzedać nieco swoich aktywów – oczywiście takich, które da

się zbyć. Mogło mu chodzić wyłącznie o jedno i koledzy z ław poselskich nawet się nie zdziwili, kiedy zaproponował, aby sprzedać część nowego uzbrojenia armii; miał na myśli przede wszystkim lotnictwo (postulował sprzedaż połowy helikopterów i trzydziestu F-16), marynarkę (wszystkie nowe okręty), a także wojska lądowe (wyprzedaż połowy nowego sprzętu, to jest czołgów i transporterów), z czym wiązałyby się odpowiednia redukcja personelu wojskowego, co też dałoby duże oszczędności. Zyski z operacji oceniał na dwadzieścia miliardów dolarów, co pozwoliłoby na doraźne ustabilizowanie złotówki i interwencyjne zakupy za granicą brakujących dóbr konsumpcyjnych. Na nieśmiałe pytanie posła opozycji (było ich wciąż kilkunastu), czy aby w ten sposób nie oddajemy Polski we władanie wciąż agresywnej Rosji, odparł, że nawet jeśli, to nic strasznego się nie stanie, w końcu to stan dla nas zwyczajny, skoro zdecydowaną większość ostatnich trzystu lat przeżyliśmy jako protektorat, kolonia lub zabór wschodniego mocarstwa. Następnych sto lat powinno być jak bułka z masłem.

Na tym dyskusja została zamknięta. W ciągu nocy uchwalono stosowną ustawę, senat nie wniósł poprawek, a rano podpisał ją prezydent RP Leszek Starecki, oczywiście członek PPL. Partyjni liderzy już zacierali z uciechy ręce, przekonani, że przynajmniej na jakiś czas ocalał stołki.

Lecz wtedy na scenę wkroczył żołnierz.

*

Nie wiadomo dokładnie, kiedy uknuto spisek, który zakończył się zamachem stanu. Główni bohaterowie dramatu zachowywali na ten temat wstrzemięzliwe milczenie. Niemniej jednak do mediów coś tam przeciekło od „dobrze poinformowanych osób”. Z tych fragmentarycznych doniesień, domniemywań i plotek z tak zwanym ziarnem prawdy wyłaniał się pewien dość prawdopodobny obraz wydarzeń.

Z pewnością dowódca WP, generał Roman Sławik, znał się z Władysławem Sidorskim od wielu lat, razem uczęszczali do tego samego renomowanego warszawskiego liceum i już wtedy się przyjaźnili. Potem ich drogi się rozeszły, Sławik wstąpił do szkoły wojskowej, Sidorski wyjechał za granicę, studiował, pracował jako dziennikarz, angażował się w „Solidarność” i konspirę. Po przełomie 89 roku wrócił na stałe do kraju i aktywnie zajmował się polityką, parokrotnie został ważnym ministrem. Wtedy też odnowił znajomość ze starym kumplem z budy. Panowie często spotykali się w domu polityka, willi z ogrodem w okolicy Mińska Mazowieckiego, gdzie

przy kominku i ze szklaneczką whisky w dłoni dyskutowali o różnych sprawach – gdyż generał Sławik nie był zwykłym wojskowym zupakiem, lecz człowiekiem o szerokich horyzontach wykraczających poza dziedzinę militarne. Krótko mówiąc, dużo dyskutowali o bieżącej polityce i sytuacji Polski. Zgadzała się co do wielu zagadnień i podobnie oceniali pogarszające się położenie kraju – co w dalszym biegu wypadków okazało się czynnikiem decydującym.

Generał kontynuował znajomość, nawet gdy Sidorski znalazł się na politycznym aucie i stał się persona non grata na wpływowych warszawskich salonach. Był jednym z niewielu, którzy u niego bywali, choć mu to odradzano, sugerując trzymanie się bardziej aktualnych trendów i gwiazd wschodzących, a nie zachodzących. Sławik puszczał to mimo uszu, ponieważ, podobnie jak odstawiony na bocznicy przyjaciel, miał coś w Polsce niesłychanie rzadkiego – zasady. Dziwnym trafem nie przeszkodziło mu to zrobić kariery w armii i pod koniec 2021 roku został Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego.

W miarę jak sytuacja w kraju się pogarszała, jego spotkania z Sidorskim stawały się coraz częstsze, co wzbudziło nawet zaniepokojenie zwierzchnika generała, ministra obrony. Zwłaszcza że nie było wiadomo, o czym obaj panowie z takim zapałem dyskutują – podsłuch, kilkakrotnie zakładany w domu emerytowanego polityka, był natychmiast wykrywany, ponoć z pomocą speców z wywiadu wojskowego. Już po zamachu media spekulowały, że właśnie w czasie tych rozmów uknuto zręby spisku.

Decydujące dla późniejszych wypadków okazało się spotkanie 21 listopada 2022 roku, dzień po uchwaleniu ustawy o wyprzedaży sprzętu wojskowego. Sławik na spotkanie z politykiem stawiał się w towarzystwie kolegów – dowódców różnych rodzajów sił zbrojnych, którzy przybyli wraz z zastępcami. Willi strzegli żołnierze i agenci wywiadu. Narada zakończyła się około czwartej rano. Przed domem rozlokowało się ruchome centrum dowodzenia, skąd punkt o piątej popłynęły rozkazy do jednostek wojskowych, od północy pozostających w stanie gotowości. Potem Sidorski wraz z generałem Sławikiem udali się do Warszawy, do gmachu MON opanowanego już przez komandosów z jednostek specjalnych. Czekali tam na nich dowódcy policji, straży granicznej i innych służb siłowych, wezwani przez Sławika. Przybysze zwięźle wyjaśnili im swoje intencje, a zebrani po krótkim namyśle zgłosili akces do sprawy. W tym czasie na ulice Warszawy wkrczały pierwsze zmechanizowane kolumny.

Wedle krążących potem plotek junta – nazywająca się dość znajomo

Wojskową Radą Ocalenia Narodowego – oficjalnie ukonstytuowała się między siódmą a ósmą rano, gdy rząd i Sejm jeszcze odsypiały ustawodawcze ekscesy z poprzedniej nocy. W tym czasie wojsko obstawiło gmach parlamentu, pałac prezydencki, URM, dworce, lotniska, centrale telefoniczne i tym podobne miejsca, które zawsze się obstawia podczas zamachu stanu. Policja nie interweniowała, zgodnie z poleceniem przełożonych. Przed drzwiami mieszkań prezydenta, premiera, ministrów, posłów, liderów partyjnych pojawili się żołnierze w towarzystwie agentów wywiadu, informując uprzejmie lokatorów, że są zatrzymani w areszcie domowym. Hotel sejmowy zamienił się w „internat” – znalazło się w nim nawet kilku pensjonariuszy pamiętających ośrodki odosobnienia z czasów stanu wojennego. Ponieważ jedzenie nadal dostarczała sejmowa restauracja, nie narzekali, zwłaszcza że Sidorski łaskawie zezwolił na butelkę wina do obiadu zamienną na trzy piwa.

Do dziesiątej rano Warszawa – oraz główne miasta kraju – znajdowała się w rękach junty czy też „nowej wrony”, jak obwieściły media, ponieważ... nie zablokowano łączności. Telewizje i internet hulały jak nigdy i aż huczało w nich od mniej lub bardziej wiarygodnych doniesień i wyssanych z palca plotek. Dziennikarze natychmiast oblegli gmach MON, ale nie przełamali szczelnego kordonu żołnierzy sił specjalnych, którzy na ich gorączkowe pytania odpowiadali z uprzejmym uśmiechem, że nie mają nic do powiedzenia. Po jedenastej wyszedł do nich Sławik i oznajmił, że za godzinę zostanie ogłoszone orędzie nowych władz.

W czasie tego przewrotu nikt nie zginął. Głównie dlatego, że właściwie nie stawiano oporu, zaskoczenie okazało się całkowite, urzędnicy i pracownicy służb publicznych bez sprzeciwu, a wręcz z pewną ulgą, bowiem mieli już dosyć nieudolnych zwierzchników, wykonywali polecenia wojskowych. Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał nadstawiać karku za PPL, która, według ostatnich sondaży, cieszyła się poparciem sześciu procent respondentów i było oczywiste, że Polacy mieli już tego rządu powyżej uszu. Ludzie z pewną obawą, ale też ciekawością czekali na to, co się wydarzy. Otuchą napełniało nienaganne zachowanie żołnierzy świadczących cywilom wszelką możliwą pomoc.

Punkt dwunasta w sali konferencyjnej Ministerstwa Obrony Narodowej zjawił się Sidorski. Towarzyszył mu Sławik wraz z wojskową i policyjną generalicją. Jego mowa – nazwana potem przez złośliwych intronizacyjną – przeszła do historii, bowiem nigdy w dziejach tak do Polaków nie przemawiano.

– Józef Piłsudski powiedział kiedyś, że Polacy to wielki naród, ale ludzie

kurwy – zaczął. – Zgadza się z nim i stwierdzam aktualność tej myśli. Tak jest, daliśmy się skurwić sutenerom nazywającym się politykami. Kto bowiem rządzi w Polsce? Rząd, Sejm, prezydent? Odpowiem: nikczemność. To ja ci tak zwani politycy wciągnęli na partyjne sztandary. Władzę w państwie objęli nikczemnicy, i to za waszą, rodacy, pełną zgodą. Za waszym przyzwoleniem Polska stała się postawem sukna, za który bez opamiętania ciągnęły partyjne koterie. Aż zostały z niej strzępy. Nie przeszkadzało wam to jednak, dopóki rządzący byli w stanie przekupić ciemny lud kiełbasą wyborczą. Ustanawiając rząd głupców, oszustów i jawnych zdrajców, udowodniliście swoją niedojrzałość. Słusznie pisał Norwid, że Polacy to pierwszy na planecie naród i ostatnie społeczeństwo. Stwierdzam, że mieszkańcy naszego kraju nie są zdolni do pełnienia funkcji suwerena władzy wykonawczej. Dlatego ja oraz zebrani tu obywatele – wskazał na szereg mężczyzn i kobiet w mundurach, którzy z kamiennymi twarzami stali za jego plecami – zdecydowaliśmy się tę suwerenność narodowi odebrać, w imię najwyższego dobra. Od ósmej rano pełnię władzy na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej objęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Inne organy władzy przestają istnieć jako podmioty prawne, konstytucja zostaje bezterminowo zawieszona. Generał Sławik przedstawi teraz pierwszy dekret Rady.

Wezwany wystąpił i przeczytał z kartki krótki tekst. Dekret składał się z trzech punktów, ujętych krótko w prostych żołnierskich słowach: w pierwszym WRON-a zawieszala konstytucję i powoływała urząd Naczelnika Państwa, który skupiał w sobie władzę ustawodawczą, wykonawczą i sędowniczą; w drugim – mianowała na to stanowisko Władysława Sidorskiego; w trzecim oznajmiała o swoim samorozwiązaniu.

Dziennikarze nie wierzyli własnym uszom, ale identyczny tekst pokazał się na ich tabletach, umieszczony na stronach Sejmu, prezydenta i rządu. Sławik ustąpił przy pulpicie miejsca Sidorskiemu.

– Uznaliśmy wspólnie, że takie posunięcie będzie najwłaściwsze, bo innego sposobu na uratowanie Polski przed Polakami nie znaleźliśmy – powiedział po prostu nowo mianowany Naczelnik Państwa. – Zgromadzeni tu obywatele i obywatelki przejęli władzę i postanowili oddać ją mnie. Od tej pory to ja jestem prezydentem, rządem, Sejmem i najwyższym trybunałem. Konstytucja zostaje bezterminowo zawieszona, bo stała się niczym woskowa tabliczka, na której każdy polityczny szalbierz wypisywał, co mu w danej chwili było wygodne. Będę rządził, wydając dekrety z mocą ustawy. Moim celem nie jest władza dla władzy, lecz uprzątnięcie tej stajni Augiasza, w jaką zamieniła się Polska. Gdy tego dokonam, odejdę.

W dalszej części przemowy obiecał rodakom całkowitą przebudowę kraju. Przede wszystkim likwidację polityki – jako systemu, który od dawna nie służy rozwiązywaniu problemów, wręcz przeciwnie, ich gmatwaniu, ponieważ stał się „PR-owskim biciem piany dla bicia piany, aby potem zalać nią głowy wyborców”.

– Po co wam ta banda kłamców, głupców i złodziei? – pytał retorycznie. – Zamiast tysięcy oszukańczych polityków wystarczy jeden, za to kompetentny i uczciwy. Nie kłamię i nie kradnę, nie mam pociotków, których muszę obdzielić posadami. Nie mam partii, której muszę służyć. Mam tylko was.

Przyrzekł, że rodacy zawsze będą od niego słyszeć prawdę i tylko prawdę, aż się „od niej porzygają”. Poza tym złożył szereg deklaracji, obiecując taką rekonstrukcję prawa, aby obywatel przestał być własnością biurokracji, reformę edukacyjną dostosowującą nauczanie do wymogów nowoczesności (wiedza i kreatywność, a nie rozwiązywanie durnych testów), odrodzenie przedsiębiorczości poprzez zniesienie barier dla biznesu, choć zarazem ochronę pracownika przed dzikim wyzyskiem. Pomysł wyprzedaży armijnego sprzętu nazwał obłędem, zapowiadając rozbudowę sił zbrojnych. Wezwał wszystkich Polaków do współdziałania, mówiąc: „Albo razem rzucimy się na ratunek ojczyźnie, albo wraz z nią utoniemy. A przecież drugiej Polski nie mamy”.

– Do wieczora zostanie powołany rząd techniczny – oświadczył. – Gdy przejmie kontrolę nad krajem, armia wróci do koszar. Chcę w tym miejscu podziękować żołnierzom za to, że w tej krytycznej chwili zdecydowali się wziąć odpowiedzialność za współrodaków. Złamali zasady, ale zostali do tego zmuszeni przez rządzących nami szaleńców. Całą odpowiedzialność za to, co się stało, biorę na siebie.

Na tym skończył i wyszedł, tradycyjnie nie odpowiadając na pytania dziennikarzy. Generał Sławik zapowiedział jedynie, że ogłoszenia składu rządu mianowanego przez Naczelnika należy się spodziewać o dziewiętnastej. Po czym też wyszedł razem z generalicją. Mediom pozostały tylko plotki i spekulacje.

Właściwie nikt się nie zastanawiał nad tym, dlaczego wojsko zrobiło to, co zrobiło. W gruncie rzeczy armia działała w samoobronie, ale też w obronie suwerenności kraju, gdyż „lex Lepniak” de facto ją likwidował. Publikatory rozgrzewała zupełnie inna kwestia – dlaczego generałowie oddali pełnię władzy cywilowi, i to właśnie Sidorskiemu? Dlaczego druga WRON-a okazała się jeszcze większą efemerydą niż pierwsza, utworzona przez Jaruzelskiego w 1981 roku? Co bystrzejsi zauważali, że właśnie dlatego, iż Sławik wcale nie

miął zamiaru iść w ślady tego komunisty i od początku planował przekazanie władzy cywilowi. Dlaczego jednak akurat Sidorskiemu? Bo się kumpłowali w ogólniaku?

Szybko się to wyjaśniło – otóż pan Władysław miał plan.

Dziennikarzy męczyło też, z jakiego powodu wojskowi nazwali się WRON-ą? Parę miesięcy po zamachu jeden z generałów biorących udział w spisku wygadał się, że takie było życzenie Sidorskiego, skądinąd w młodości gorliwego antykomunisty. „To miał być taki dowcip – wyjaśnił wojskowy. – Adresowany do starych kumpli z solidarnościowej konspiracy, którzy go potem wyautowali z polityki”.

Bo Sidorski uważał się za szalenie dowcipnego człowieka.

W tym punkcie akurat się mylił.

Ale w innych nie.

*

W Europie „zamach listopadowy” przyjęto z mieszanymi uczuciami: co prawda Polska rządzona przez PPL i tak nie uczestniczyła w większości unijnych agend, przestając spełniać podstawowe traktatowe kryteria, ale formalnie wciąż była członkiem UE (niepłacącym składki z powodu budżetowego krachu, za co została pozwana do wszystkich możliwych trybunałów) i obowiązywały ją europejskie standardy. Zamach okazał się bezkrwawy, ale z demokracją z pewnością nie miał nic wspólnego, w związku z czym krajowa i światowa opinia publiczna poczuły się zmuszone do wygłoszenia rytualnego potępienia członków jednodniowej junty w ogólności, a Sidorskiego w szczególności. Media od razu okrzyknęły go „superdyktatorem”, zastanawiając się, dlaczego w swej aroganckiej przemowie od razu nie mianował się Panem Bogiem. Przywódcy unijnych krajów zachowywali większą wstrzeźliwość, ponieważ – w przeciwieństwie do niedouczonej i emocjonalnych pismaków – dobrze wiedzieli, dlaczego Sidorski i wspierający go generałowie zrobili to, co zrobili.

On tymczasem nie zasypiał gruszek w popiele – tak jak obiecał, o dziewiętnastej przedstawił premiera rządu technicznego, profesora Tadeusza Korzybskiego, znanego ekonomistę o liberalnych poglądach (z którym – co wkrótce wyciekło – podobnie jak ze Sławikiem także naradzał się od kilku miesięcy). Ten obiecał w ciągu dwudziestu czterech godzin sformować gabinet, aby obsadzić wakujące stanowiska ministerialne. I tak

uczynił – a przedstawiona przez niego lista nowych szefów resortów spowodowała gremialne opadnięcie szcęg dziennikarskich: żadna z powołanych osób nie należała do partii politycznej, za to wszystkie skończyły renomowane zagraniczne studia i sprawdziły się w biznesie. Jak potem dowiedziały się media, tak ustalili między sobą premier i Naczelnik; uznali, że Polskę należy traktować jak przedsiębiorstwo w stanie faktycznego bankructwa i jedyne, co można zrobić, to wprowadzić kryzysowe zarządzanie menedżerskie. „Żadnych więcej skurwieli z politycznego nadania” – miał się wyrazić Sidorski. Skądinąd było to logiczne, bo nie stała za nim żadna partia polityczna, wszystkie, od prawa do lewa, potępiły go w czambuł, nazywając na przykład „diabłem gorszym od stu Piłsudskich” (łagodnie) lub „bestią na obcym żołądźce wynajętą do zniszczenia Polski” (nieco twardziej).

On zaś w odpowiedzi... nie zastosował żadnych represji wobec krytyków i oponentów. Tydzień po ustanowieniu gabinetu Korzybskiego zdjęto areszt z byłych członków PPL-owskiego rządu i parlamentu, a pensjonariuszy z sejmowego „internatu” grzecznie poproszono, żeby udali się do domów. Sidorski dekretem uznał ich mandaty za wygaszone, a gmach parlamentu polecił opieczetować i „sprzątać raz w miesiącu”. Uznał, że częściej nie warto, bo prędko się nie przyda. Byłemu – zdjętemu z funkcji tym samym dekretem – prezydentowi Stareckiemu zaproponowano milion dolarów odprawy w gotówce i bilet na Majorkę, z czego ten skwapliwie skorzystał.

Sidorski znalazł oryginalny i zarazem dość oczywisty patent na „uporządkowanie” sceny politycznej – nie zakazał działalności partii, po prostu odciął je od żłobu. Nie chodziło tylko o sejmowe apanaże, zwroty i dotacje, nowi ministrowie przystąpili do wielkiej czystki w przedsiębiorstwach państwowych i administracji, wyrzucając na zbity pysk wszystkich partyjnych pociotków, przyjaciół królika i dobrze widzianych koleżków. Ich miejsce zajmowali młodzi ludzie z wykształceniem menedżerskim, odpowiadający wyłącznie przed rządem i Naczelnikiem. Ten cios w nomenklaturę okazał się śmiertelny dla systemu partyjnego – partie wędły niczym róże na pustyni, odcięte od dotacji, stanowisk i życiodajnych soków płynących z publicznych spółek. Formacje polityczne upadały jedna po drugiej, tracąc działaczy, którym nie mogły się należycie odwdziaczyć za wierną służbę. W rezultacie, mimo że nowe władze nie zakazywały działalności partyjnej, nikt nie widział interesu w aktywności politycznej, skoro nie przynosiła żadnych profitów, nawet prostego rozkoszowania się choćby malutką władzą na publicznej posadce.

I o to właśnie Sidorskiemu chodziło – żeby ludzie przestali bić w głowach

polityczną pianę, a wzięli się do roboty. Ale przedtem należało ustabilizować gospodarkę. System finansowy państwa został zrujnowany przez wariatów z PPL-u i trzeba go było jak najszybciej odbudować. Najlepiej za pomocą dużego zastrzyku waluty, przeznaczonej jednak nie na rozdanie i przejedzenie, ale na wyhamowanie dewaluacji złotówki.

UE nie kwapiła się z pomocą, sama miała kłopoty, strefa euro po opuszczeniu jej przez Finlandię po raz kolejny przechodziła gwałtowne finansowe rozchwianie. Sidorski wiedział, że sponsora należy poszukać za Atlantykiem. Wiedział też, że choć niechętnie, to jednak będą z nim w Stanach rozmawiać. Dwa tygodnie po przejęciu władzy zgłosił chęć złożenia oficjalnej wizyty w USA. Amerykanie myśleli nad tym przez następny tydzień, po czym wyrazili zgodę. Bez entuzjazmu.

Brak zachwytu rządu amerykańskiego osobą Sidorskiego wyraził się choćby w tym, że przywitano go bez ceremoniału należnego głowie państwa – gospodarzom bardzo się nie podobało ostentacyjne lekceważenie przez gościa „świętych reguł demokracji”; wypytywany na Okęciu przez dziennikarzy tuż przed odlotem o termin i zasady nowych wyborów do Sejmu odparł, że na razie nie widzi potrzeby przeprowadzenia takiej operacji. Co w Stanach starannie odnotowano – z drugiej strony administracja prezydenta Jacksona nie mogła nie rozmawiać z przywódcą Polski z jednego oczywistego powodu – Rosji. Stary, ale jary Putin wciąż doprowadzał do frustracji kolejnych gospodarzy Białego Domu. Amerykanie doskonale znali Sidorskiego i cokolwiek sobie o nim myśleli, wiedzieli jedno – był niewątpliwie „ich” (czytaj: antyrosyjskim) sukinsynem. A to już stwarzało pole do rozmów i negocjacji.

Rozmowa z prezydentem Jacksonem trwała przeszło trzy godziny, jej szczegóły nie są znane. Podczas wieczornego wspólnego briefingu amerykański przywódca oświadczył, że USA pożyczają Polsce na dogodnych warunkach trzydzieści miliardów dolarów, a poza tym przekażą nieodpłatnie polskiej armii znaczną ilość nowoczesnego sprzętu. Ze swej strony Sidorski podkreślił, że wieczysty sojusz Rzeczypospolitej Polskiej ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej pozostaje niezachwiany, a gest wielkodusznego narodu amerykańskiego wzmacnia więź między dwiema miłującymi wolność wspólnotami. Przy słowie „wolność” prezydent Jackson nieco się skrzywił, ale Sidorski zachował kamienną twarz.

Amerykanie mieli zresztą problem z wolnością w Polsce. Bo nikt w niej, ku rozpaczy działaczy Amnesty International, w więzieniu za przekonania nie siedział – polityka, oficjalnie nazwana przez Naczelnika „stkiem bzdur”, po

prostu nie istniała w życiu publicznym, nikt jej nie nakazywał ani nie zakazywał, a tym bardziej za nią nie karał. Panowała całkowita wolność słowa, ludzie wygadywali i wypisywali, co chcieli, oczywiście przede wszystkim na temat nowych porządków. Rzecz jasna roilo się od tekstów i wpisów paszkwilanckich, oczerniających Sidorskiego i posadzających go o jak najgorsze intencje. W internecie lała się na niego rzeka hejtu na wszystkich portalach, od lewaków do prawaków. A on... nie zwracał na te ataki uwagi, ba, wręcz zabronił swoim współpracownikom wdawania się w polemikę z obszczekującą go sforą. „Niech się zaplują na śmierć, my robimy swoje, tylko to jest ważne” – polecił podobno. Ta taktyka kompletnego ignorowania trolli – inspirowanych i opłacanych głównie przez więdnące partie – na dłuższą metę przyniosła efekty. Ludzie z czasem przestali reagować na wylewane w mediach pomyje i portale, gdzie było tego szczególnie dużo, traciły na popularności, a poza tym, gdy któryś z ujadaczy z rozpędu nazywał Sidorskiego „zamordystą”, publika zabijała go śmiechem. Bo jakież z faceta zamordysta, skoro każdy swobodnie drze ryja ile sił w płucach i pary w palcach stukających w klawiaturę?

Sidorski rzecz jasna zdawał sobie sprawę, że życia społecznego nie sposób zamrozić – co zresztą byłoby i głupie, i do osiągnięcia tylko metodami totalitarnymi – ale można je inaczej, sensowniej ukierunkować. I zaproponował, aby Polacy przeszli na etap rozwoju, który nazwał „postpolitycznym” – i zamiast ekscytować się politycznymi „idejkami” wypichconymi w mózgownicach partyjnych speców od PR-u, zajęli się „problemami”, czyli tym, co dla nich, ich rodzin, przyjaciół, bliskich, wsi, osiedla czy miasta jest naprawdę ważne. Zachęcał do organizowania się w „platformy” – zwoływane ad hoc grupy obywateli chcących działać w celu załatwienia konkretnego problemu czy spraw ważnych dla danej społeczności, a także całego kraju. Obiecywał wszechstronną pomoc odnowionej administracji – także samorządowej, bo struktury sejmikowe zostały wygaszone podobnie jak parlament i zastąpione zarządami menedżerskimi (reszty samorządów zdecydowano się na razie nie ruszać, choć kilkunastu najbardziej skompromitowanych włodarzy miast zostało odwołanych dekretem i trafiło przed oblicze sądu; reszta zrozumiała wówczas, że dolce vita z czasów PPL-u się skończyło). „Skoro twierdziliście zawsze, że politycy nic dla was nie robili i chodziło im tylko o dostęp do żłobu, to proszę bardzo, polityków nie ma, działajcie sami” – oświadczył w telewizji Sidorski, prezentując założenia dekretu o „platformach inicjatyw obywatelskich”. Mówiąc o sobie, stwierdził, że w gruncie rzeczy on także nie

jest nikim innym niż delegowanym przez grupę współobywateli rodzajem Kierownika, do sterowania państwem oczywiście.

Ludzie początkowo uznali tę inicjatywę za żart, ale potem w kilku miejscowościach paru śmiazków odważyło się wystąpić z własnymi projektami rozwiązania „problemów” – byli zdumieni, z jaką kompetencją i sprawnością zostali potraktowani przez „menedżerów”. Okazało się, że odpartyjniona administracja działa znacznie lepiej od dawnej, upartyjnionej. Społeczeństwo powoli budziło się do działania, coraz więcej osób odpowiadało „sprawdzam” na różne zachęty i sugestie ze strony Sidorskiego. I ze zdumieniem stwierdzało, że sprawy zaczynają ruszać z miejsca, bo tam, gdzie przedtem znajdowała się zawsze szklana ściana, teraz jej po prostu nie było! Opowiadano sobie, że Kierownik osobiście wykreśla z ustaw najbardziej bzdurne przepisy, tworząc na podstawie swoich osławionych dekretów zupełnie nowy system prawny. Sporo wzorów importował wprost z Wielkiej Brytanii (gdzie studiował), mówiąc, że skoro jest to dobre dla Brytoli, to nie widzi powodu, aby nie było też dobre dla Polaków. W ciągu godziny wprowadzał zmiany, których Sejm nie potrafił przeprowadzić przez trzy lata! Do oceny projektu wystarczał mu własny zdrowy osąd i opinia profesjonalnych ekspertów. Co oczywiście nie oznaczało nieomyślności – zaliczył kilka wpadek, ale natychmiast wycofywał się z błędnych decyzji. „Nie jestem papieżem, choć w tej roli też bym się chyba sprawdził” – zażartował przy okazji dekretu odwołującego źle sformułowane przepisy. To zresztą stanowiło wielką zaletę jego rządów – jako najwyższa instancja mógł natychmiast dokonać dowolnej korekty bez potrzeby żmudnego ponownego procedowania całości przez te wszystkie powolne jak mastodonty sejmy i senaty.

Reformom struktur prawnych i administracyjnych towarzyszyły zmiany w gospodarce. Przełomem okazało się amerykańskie zaangażowanie w Polsce – międzynarodowi inwestorzy zrozumieli, że USA de facto uznają istnienie „reżimu” Sidorskiego. Złotówka przestała wreszcie spadać i zaczęła mozolnie piąć się w górę; rząd Korzybskiego wziął się do radykalnych działań antyinflacyjnych, dziwnie podobnych do dawnego planu Balcerowicza (ten reformator z pierwszych lat pokomunistycznych był dla działaczy PPL-u negatywnym bohaterem ekonomicznych bajek, którymi straszili ludzi). To oczywiście nie zadziało od razu i rok 2022 zamknął się pięcioprocentowym spadkiem PKB, ale dzięki amerykańskiej pożyczce domknięto budżet i można było zatrzymać drukarnię w mennicy. Przygotowano też denominację, którą przeprowadzono w połowie następnego roku, po zduszeniu inflacji. Początek

nowego roku przyniósł stopniową poprawę – zdołano przywrócić regularność wypłat pensji i emerytur, odradzał się rynek, wznowiono import i zniesiono kartki. Starsi ludzie przecierali niekiedy oczy ze zdumienia, bo czuli się znowu jak na przełomie 89 i 90 roku. Tak zwani poważni publicyści tłumaczyli, że populizm – podobnie jak kiedyś komunizm – jest tylko fazą przejściową między kolejnymi etapami kapitalizmu.

M'Beki, wtedy już nastolatek, pamiętał to doskonale. Polska wynurzała się z bagna powoli niczym hipopotam, ale systematycznie, prowadzona żelazną wolą i konsekwencją przywódcy. Koncerny, które się zwinęły za czasów PPL-u, zaczęły wracać, bezrobocie spadało, bo kraj ponownie stał się konkurencyjny i włączył się w międzynarodowy obieg gospodarczy. Ale Sidorski nie miał zamiaru pozwolić, aby Polska znowu stała się największą w Europie ojczyzną prekariatu. Z jego polecenia premier zorganizował rodzaj gospodarczego okrągłego stołu – gdzie pracodawcy, reprezentacje pracowników i rząd zawarli układ społeczny: każda ze stron zrezygnowała z nierealnych postulatów i przystała na współpracę opartą na zdroworozsądkowej zasadzie: my nie żądamy za dużo, wy dajecie, ile możecie. Rynek pracy został uelastyczniony, ale powrotu do ery śmieciówek już nie było, również etaty zostały zastąpione ujednoliconymi kontraktami. Ludzie zbyt dużo nie zarabiali, ale ustalono jasne reguły, jak uposażenia mają zostać powiązane z jakością i wydajnością pracy. Sidorski dał obu stronom jednoznacznie do zrozumienia, że oczekuje dotrzymania umowy. Co prawda kilku rozwydrzonych związkowców podpuszczonych przez partyjniaków próbowało wysadzić umowę (zwaną przez nich „nową okrągłostołową sprzedażą Polski”) serią dzikich strajków, ale Kierownik uznał je dekretem za nielegalne – a gdy związkowcy wciąż harcowali, z tego samego dekretu dostali po piątce za „wpierdalanie się między wódkę a zakąskę”, jak to obrazowo wyjaśnił w telewizji. Co prawda po roku ich ułaskawił, ale w lud poszła wieść, że cierpliwość Naczelnika ma swoje granice.

Następne lata – Aleksander uczęszczał wtedy do liceum – przeszły do historii jako „epoka przeformatowania” Polski. Sidorski systematycznie reformował kolejne obszary życia społecznego i gospodarczego. Stosował rozmaite recepty, przeważnie słuchając ekspertów, choć przede wszystkim zdawał się na własny osąd. Niektóre dziedziny wręcz zburzył i zbudował od nowa, na przykład praktycznie likwidując uniwersytety (uznał je za przeżytki średniowiecza) i stwarzając na nowo system szkół wyższych według wzorców amerykańskich, jego zdaniem najlepszych. Protestującej „zasłużonej” kadrze akademickiej wysłanej na zieloną trawkę oświadczył szyderczo, że mamy

dywizje doktorów, pułki profesorów i żadnych Nobli. I on zamierza to zmienić. „Mnie interesują wyniki, a nie wasz prestiż i dobre o sobie mniemanie” – powiedział delegacji nestorów polskiej nauki bulgocących ze wzburzenia jak nurkujące bobry. „Albo Polska stanie się innowacyjna, albo przestanie istnieć”.

Towarzyszyła temu poważna zmiana edukacyjna – Sidorski nakazał wprowadzenie do szkół lekcji wychowania patriotycznego, ale zarazem i ekonomii (bo „Polacy wreszcie muszą nauczyć się liczyć”), kładł nacisk na naukę kreatywności i rozwiązywania problemów. Doskonale wiedział, że w globalnej rzeczywistości młody człowiek musi umieć radzić sobie z nieustanną zmiennością świata, bo statyczny model kultury się skończył. I kto nie zaadaptuje się do nowych warunków, ten zginie.

Po trzech latach rządów Kierownika Polska stała się zupełnie innym krajem, z PKB rosnącym jak na drożdżach – ale też i pensjami pracowników. Sidorski skrupulatnie pilnował przestrzegania ustaleń paktu społecznego. Gdy jedna z wielkich sieci handlowych ostentacyjnie poważyła się na jego naruszenie, wysłał do prezesów i członków zarządu o szóstej rano policję – gdy mu dostarczono całą ekipę do gabinetu, obsobaczył biznesmenów przed kamerami jak sztubaków, co mogła sobie obejrzeć cała Polska. Pouczył ich przy tym ojcowsko, że „chciwość nie jest dobra, dobra jest przyzwoitość”. Był to komunikat skierowany do innych ludzi interesu i został przez nich właściwie zrozumiany. Więcej poważniejszych naruszeń paktu nie zanotowano.

W miarę jak obywatelom przybywało w kieszeniach i czuli się coraz pewniej i bezpieczniej, cichła początkowo niemilknąca fala krytyki i hejtu, kontestująca kolejne poczynania Naczelnika. Do Polaków stopniowo docierało, że ten facet naprawdę ma *plan*, i to niegłupi, bo przynoszący efekty. Co więcej, tworzyły się nawet spontaniczne grupy zwolenników Sidorskiego, co on przyjmował z sympatią, ale nie pozwalał na powoływanie jakichkolwiek formalnych struktur firmowanych jego nazwiskiem – doskonale wiedział, że na to właśnie liczą rozmaici partyjni pogrobowcy, którzy, tym razem ukryci pod „słusznym” płaszczkiem wyznawców nowych porządków, będą próbowali na powrót dorwać się do żłobu. A do tego nie zamierzał dopuścić. I gdy pod koniec pierwszego trzylecia jego rządów podniosła się hałaśliwa fala głosów żądających przywrócenia demokracji parlamentarnej, odpowiedział na to ogłoszeniem referendum.

Pytanie brzmiało: „Czy chcesz, aby Władysław Sidorski sprawował funkcję Naczelnika Państwa?”.

Po czym, przekazawszy odpowiednie pełnomocnictwa premierowi Korzybskiemu, opuścił Warszawę i zamknął się w swojej willi. Nie pokazywał się nikomu aż do zakończenia głosowania.

*

Aleksander musiał znowu przysnąć, bo wzdrygnął się gwałtownie, gdy nagły błysk poraził jego przymknięte powieki. Otworzył oczy, ale ekrany nadal były martwe, tylko gasnące kontrolki świadczyły o tym, że nie miał omamów sennych i rzeczywiście przynajmniej na moment pojawiło się zasilanie. Nadstawił ucha, ale nic szczególnego się nie działo, Turcy wciąż nie uruchamiali kreta. Wyglądało to co najmniej dziwnie... Czyżby mieli jakieś kłopoty?

Popatrzył jeszcze raz na czarne panele ekranów i naraz poczuł, że robi mu się duszno. Tak jakby siadała wentylacja. Zerwał się z fotela i dopadł ściany przy drzwiach, gdzie zamontowano autonomiczny licznik CO₂ – nie wskazywał podwyższonego poziomu, poza tym nadal słychać było monotony szum klimatyzacji. Dopóki działały akumulatory, nie powinien się udusić.

– Cholera, nerwy mi wysiadają – mruknął do siebie.

A przebywał tu dopiero czwartą godzinę. Dalej mogło być tylko gorzej. Pewnie o to im chodzi, pieprzonym muslimom, pomyślał. Żeby czekając na nich, po prostu sobie ześwirował, rozgotował się w środku jak ziemniak w mikrofali. Może nawet go nie zabiją, tylko wyciągną z tej dziury i pokażą światu: wstrząsany drgawkami bełkoczący strzęp, przedstawiciel niegdyś zwycięskiej armii... Lubili takie szołowizny, świetnie wiedzieli, że to osłabia morale przeciwnika.

Po raz kolejny pomyślał o visie. A potem o Krystynie. Gdyby miał zdjęcie ukochanej, to kto wie – może patrząc w jej przejryste jak modre fale Bałtyku oczy, zebrałby się na odwagę... Przypomniał sobie jej śnieżnobiałe ciało na plaży w Piławie, tak ładnie kontrastujące z żółciutkim sambijskim piaskiem... Zamykała powieki, gdy usiłował ją pocałować... A on chciał i całować, i patrzeć w niebo jej oczu...

Usiadł na podłodze i opierając się o zaklinowane drzwi, rozplakał się jak małe dziecko.

*

Za czasów rządów PPL-u stosunki polsko-rosyjskie znacznie się poprawiły – Polska słaba i pogrążona w chaosie była zawsze dla Kremla stanem pożądanym i miłym. Po przejęciu władzy przez Sidorskiego Moskwa przyjęła początkowo postawę wyczekującą, najprawdopodobniej starzejący się Putin uznał go za swego rodzaju „młodszego brata” wprowadzającego własny model demokracji sterowanej. Ten stan pewnego zawieszenia nie trwał długo i wkrótce wzajemne relacje pogorszyły się gwałtownie, po wykryciu przez ABW, że wygaszony poseł Lepniak był w istocie znakomicie opłacanym rosyjskim agentem, a jego słynna inicjatywa ustawodawcza sprytnym planem uknutym na Łubiance, mającym doprowadzić do faktycznego rozbicia Rzeczypospolitej. Zapobiegł temu „zamach listopadowy”, co w rezultacie popsuło neocarowi zamiar kolejnego – i tym razem definitywnego – dociśnięcia do ściany krajów bałtyckich.

Mimo to Putin zagrał *va banque*, licząc, że Sidorski, zajęty problemami wewnętrznymi, nie zdoła nic przedsięwziąć. Przeliczył się, bo Kierownik zareagował szybko i zdecydowanie. Na rosyjską próbę hybrydowego wejścia do łotewskiej Łatgalii odpowiedział wysłaniem na północ po zbudowanej właśnie *via Baltica* siedmiotysięcznego korpusu zmechanizowanego wyposażonego w niesprzedane rosomaki, wspieranego przez leopardy i osłanianego przez F-16. Rosjanie postanowili grać dalej i posunęli się w kierunku Rygi – łotewska armia skoncentrowała się wokół miasta, szykując się do desperackiej obrony, a jej dowódcy modlili się, aby Polacy zdążyli.

Putin usiłował przestraszyć Sidorskiego, oznajmiając, że marsz wojsk polskich to „ingerencja w wewnętrzne sprawy Rosji”, gdyż rosyjska Duma właśnie unieważniła niepodległość Łotwy. Na co otrzymał odpowiedź, że rosyjski najazd to wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej, której Kurlandia jest wciąż *lennem*, gdyż nikt jej z tej zależności nie zwalniał. Nim na Kremlu wymyślili jakąś dowcipną ripostę, czołówki kolumny zmechanizowanej weszły w kontakt bojowy z jednostkami rosyjskimi. Ośmieleni Łotysze rozpoczęli ofensywę od strony Rygi i siły inwazyjne znalazły się w kleszczach. Rosyjscy dowódcy wykonali jedyny rozsądny manewr polegający na oderwaniu się od nieprzyjaciela. Podpisano rozejm i w ciągu dwunastu godzin ostatni żołdaci wrócili do domu. Po obu stronach zginęło w sumie kilkudziesięciu ludzi.

Korpus ekspedycyjny do domu już nie wrócił, jego siły zostały rozmieszczone w strategicznych rejonach krajów bałtyckich (przystała na to nawet niechętna – ale też mocno wystraszona Litwa). Sidorski równocześnie z reformą kraju rekonstruował siły zbrojne, z błogosławieństwem

Amerykanów, do których dotarło, że Putin ostatecznie pozbiierał się po kryzysie ukraińsko-sankcyjnym poprzedniego dziesięciolecia i przystąpił do dalszej części gry w imperium. Jankesi kredytowali dostawy broni i przysyłali ją w ekspresowym tempie, co więcej, wyasygnowali poważną dotację bezpośrednio dla budżetu MON, dzięki czemu można było podnieść liczebność polskiej armii do stu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy oraz rozpocząć masowe ćwiczenia rezerwistów. W ministerstwie pracowano nad powołaniem stutysięcznego SOT-u (Sił Obrony Terytorialnej). W każdym powiecie miała powstać kompania lub pluton „terytorialnych” zorganizowanych lokalnie w bataliony, na poziomie województw w brygady, a kraju – w cztery korpusy.

Równocześnie rozkręcano – też kredytowaną przez Amerykanów – produkcję zbrojeniową. Sidorski kazał wyciągnąć pochowane w szufladach za czasów PPL-u plany nowej polskiej broni, osobiście zatwierdzał te, które należało wdrażać i rozwijać, na przykład projekt czołgu wsparcia PL 01 Concept. W rezultacie bezrobocie w okolicach zakładów zbrojeniowych spadło do zera. Nikt przeciwko intensywnym zbrojeniom (poza rzecz jasna agentami Moskwy) nie protestował, Polacy uświadomili sobie, że żarty się skończyły i gdyby perfidny plan Lepniaka się powiódł, mogliby zostać potraktowani jak Łotysze.

Nie wiadomo, czy już wtedy Sidorski myślał o wprowadzeniu w czyn założeń zawartych w książce Tarkowskiego. Jeśli nawet tak, to niczym się nie zdradził. Cały czas mówił o wzmacnianiu potencjału obronnego, nic o ofensywnym, choć na przykład wprowadzenie do służby nowych amerykańskich ciężkich czołgów M6 Abrams przeznaczonych do natarcia sugerowało coś odwrotnego. Podobnie myślał i Putin. Co prawda, tak jak inni Rosjanie, zwykł lekceważyć „Paliacziszków”, ale raporty wywiadu brzmiały jednoznacznie – polska armia rozwija się w zdumiewającym tempie, stopniowo zwiększając potencjał i tym samym zmieniając sytuację geostrategiczną. Poza tym Sidorski pokazał na Łotwie, że nie boi się walczyć. A to już wyglądało niedobrze, bo putinowski neocarat opierał swoją potęgę na sianiu strachu. Dlatego władca Kremla doszedł do wniosku, że Polaczków trzeba jak najszybciej wyeliminować, a przynajmniej udzielić im wystarczająco pouczającej lekcji.

Rosyjscy strategowie, analizując dane wywiadu, doszli do wniosku, że Polska, rozbudowując siły rezydujące w Pribałtyce, mocno osłabiła swoją flankę północno-wschodnią – Białostoczczyznę i Mazury. Dostrzegli w tym szansę – gdyby udało się opanować ten rejon, państwa bałtyckie zostałyby odcięte od

Rzeczypospolitej, jej wojska musiałyby się czym prędzej ewakuować, a wtedy znowu wkroczyliby Rosjanie i trzy dawne republiki radzieckie, a wcześniej carskie gubernie, powróciłyby do macierzy.

Plan był nawet niezły, tylko że Sidorski miał swój.

Zaczęli, zresztą jak zwykle, Rosjanie. W okolicach Barczewa i Olsztyna pojawili się tak zwani Wolni Mazurzy, rośli mężczyźni o smagłej cerze i skośnych oczach mówiący rzeczywiście całkiem poprawną gwarą mazurską, tyle że z silnym rosyjskim akcentem. Zajęli kilka posterunków policji, wystawili blokady na skrzyżowaniach, ogłaszając powstanie Niezależnej Ludowej Republiki Warmińsko-Mazurskiej. To była deklaracja numer jeden – w deklaracji numer dwa władze nowego państwa zwracały się o opiekę i pomoc do wielkiego narodu rosyjskiego. Doskonale wyszkolona grupa rozbroiła posterunki graniczne w Gołdapi, Węgorzewie i paru innych miejscach, otwierając tym samym drogę wojskom stacjonującym w obwodzie kaliningradzkim. Te zdarzenia zaszły w ciągu niespełna sześciu godzin i wydawało się, że polskie władze cywilne i wojskowe są całkowicie zaskoczone, bo w ogóle nie zareagowały. I zdjęte strachem, sparaliżowane i bezsilne mogą jedynie bezradnie obserwować uzbrojone w ciężki sprzęt kolumny rosyjskiej armii śpieszące z braterską pomocą „ludowej republice”.

Nic bardziej mylnego. Sidorski, uprzedzony przez wywiad, doskonale wiedział, co się święci. I bynajmniej się nie wystraszył, przeciwnie, postanowił działanie Putina wykorzystać do własnych celów. Zaskoczenie i początkowy bezwład były w rzeczywistości sprytną symulacją – polskiemu Dawidowi chodziło o wciągnięcie rosyjskiego Goliata w zasadzkę. Oczekano jeszcze kilka godzin, pozwalając zmechanizowanym kolumnom nieprzyjaciela przekroczyć granicę i wjechać dość głęboko na terytorium RP – a dokładniej w ciasne przesmyki między Wielkimi Jeziorami Mazurskimi, gdzie ciężki sprzęt praktycznie nie mógł manewrować. Gdy polscy dowódcy uznali, że niedźwiedź wlaź wystarczająco głęboko w naszykowane paści, zaczęli je zatrząskiwać.

Spokojnie pałacy sobie fajki striełcy na blokadzie pod Barczewem wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, bowiem w ciągu kilkunastu sekund zostali otoczeni przez uzbrojonych po zęby żołnierzy SOT-u. Nie mieli pojęcia, że byli bacznie obserwowani od momentu, gdy w Petersburgu załadowano ich na statek do Kaliningradu. Podobnie czujne oczy i kamery śledziły każdy ich krok w samym obwodzie, a od momentu przekroczenia granicy towarzyszyli im zwiadowcy SOT-u wspomagani przez fachmanów z sił specjalnych. Polacy cały czas byli gotowi do zdjęcia Wolnych Mazurów, czekali tylko na decyzję

dowództwa, lecz wierchuszka się nie spieszyła, bo to nie „zielone ludziki” stanowiły główny cel operacji.

Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wyrosli jak spod ziemi polscy żołnierze rozstawili wyrzutnie rakiet przeciwpancernych i zablokowali rosyjskie wojska na przesmykach. W tym czasie w pasie nadgranicznym wysadzono z helikopterów liczny desant, odcinając Rosjan od reszty sił skoncentrowanych w obwodzie. Pochowane w lasach armatohaubice oddały ostrzegawcze salwy, uświadamiając zablokowanym między jeziorami żołdatom, że ich życie może się liczyć na minuty, zwłaszcza że w powietrzu pojawiły się śmigłowce szturmowe i F-16. Rosyjskie zgrupowanie liczące prawie piętnaście tysięcy ludzi i pięć tysięcy sztuk sprzętu zostało błyskawicznie podzielone na kilka mniejszych, izolowanych kotłów, otoczonych przez dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy SOT-u i regularnej armii. Nieprzyjaciel mógł się poddać lub zginąć.

Sidorski pasjonował się literaturą historyczną, a ze szczególną lubością studiował dzieje wojny sowiecko-fińskiej. „Ludzie uwielbiają popełniać wciąż te same błędy” – powtarzał do znudzenia swoją ulubioną maksymę.

Dowódcy otoczonych grup dostali ultimatum – albo kapitulacja, albo bombardowanie. Zwlekali z odpowiedzią, licząc na odsiecz ze strony wciąż znacznych sił stacjonujących w obwodzie. Rzeczywiście rosyjskie jednostki pozostające nad granicą próbowały przebić się do będących w opresji kolegów, ale opór regularnej armii polskiej wzmocnionej doskonale bijącym się SOT-em udaremnił te nadzieje. Mimo że Rosjanie użyli w zmasowanym natarciu ciężkich czołgów, nie przeszli, powstrzymani huraganową zaporą ogniową.

Wieczorem w światowych mediach zaroilo się od obrazów długich kolumn rosyjskich jeńców i roześmianych polskich żołnierzy, siedzących okrakiem na zdobycznych sławetnych Armatach 14. Wtedy też po raz pierwszy pokazano służące już w linii concepty zmodyfikowane w stosunku do pierwotnych założeń modele 02 – członkowie ich załóg wyrazili publicznie pewne rozczarowanie tak szybką kapitulacją przeciwnika, bo mieli ochotę zmierzyć się z rosyjskim supertankiem.

I wtedy gruchnął news, że Putin dostał udaru i leży jak kłoda pod respiratorem. Sidorski skwitował tę wiadomość krótko: „Tegom chciał”, i nakazał przystąpić do realizacji drugiej części swojego planu.

Następnego dnia w Kaliningradzie grupa „ochotników” zbrojnie zajęła budynek rady obwodowej i proklamowała utworzenie „Wolnego Miasta Königsberg”. Inne „grupy inicjatywne” zajęły strategiczne punkty w mieście

i porcie. Spanikowany gubernator Kołodkin próbował się dodzwonić do Kremla po instrukcje, ale mu odpowiedziano, że gospodarz chory i ma działać „stosownie do sytuacji”. Zmobilizował więc policyjne odwody i rzucił je do przeciwnatarcia, zarazem wzywając na pomoc wojsko... które w większości wciąż znajdowało się nad granicą z Polską. Gdy wywiad doniósł o zaobserwowaniu ruchu oddziałów w kierunku stolicy obwodu, Sidorski – jako zwierzchnik sił zbrojnych – wydał rozkaz przekroczenia granicy. W mieście Kanta jako pierwsi zjawili się komandosi z Formozy. Przyłączyli się do oddziałów polskiej marynarki, która walczyła o przetrwanie. W mieście Kanta jako pierwsi zjawili się komandosi z Formozy. Przyłączyli się do oddziałów polskiej marynarki, która walczyła o przetrwanie. Na redzie pokazała się eskadra marynarki z podarowaną przez Amerykanów korwetą „Kościuszko” na czele. Okręt miał siłę ognia równą brygadzie artylerii.

Sytuacja powoli zaczęła się wyjaśniać – rosomaki, abramsy i concepty z oddziałów czołowych zaczęły się strzelać z Rosjanami w okolicy Bagrationowska i Dołgorukowa, ale szybko doszło do przełamania, przeciwnik bił się bez przekonania, morale żołdatów po niedawnej klęsce na Mazurach znajdowało się w opłakanym stanie. Po oddaniu pierwszej serii zwykle pierzchali, często porzucając broń. W niespełna pięć godzin po przekroczeniu granicy pierwsze polskie wozy pojawiły się na przedmieściach Kaliningradu, gdzie... powitali ich roześmiani rosyjscy policjanci, entuzjastycznie machający biało-czerwonymi flagami. Nikt więcej nie stawiał oporu.

Jakim cudem poszło tak łatwo? Sidorski, wypytywany przez dziennikarzy, udzielał wymijających odpowiedzi. Nieco więcej wynikało z krążących po Warszawie plotek. Podobno ludzie Kierownika od dłuższego czasu w ścisłej tajemnicy negocjowali nowy status obszaru Kaliningradu z miejscowymi przedstawicielami biznesu i inteligencji. W Polsce doskonale zdawano sobie sprawę, że sytuacja gospodarcza i społeczna izolowanej enklawy staje się coraz bardziej rozpacзлиwa – dla Moskwy była tylko bazą wojskową służącą do wypadów przeciwko Rzeczypospolitej i krajom bałtyckim. Nie inwestowano w nią z definicji i w rezultacie poziom dewastacji miejscowej infrastruktury osiągnął rozmiary katastrofalne – w czasie natarcia najwięcej rosomaków zostało uszkodzonych nie od ostrzału, lecz z powodu koszmarnych wielometrowych dziur w asfalcie, w których rozwały się zawieszki. I nie były to bynajmniej umyślnie wykonane pułapki. Obwód umierał, i to dosłownie, ludzie bowiem wyjeżdżali stąd wręcz masowo, liczba mieszkańców stopniała do niespełna sześciuset tysięcy. Miejscowe elity od dłuższego czasu zdawały sobie sprawę, że dalsze trwanie przy Moskwie

oznacza katastrofę społeczną i gospodarczą.

Nadzieja na jakąkolwiek przyszłość mogła przyjść tylko z Polski.

Podobno – jak głosiły te warszawskie plotki – odbyło się to tak: ludzie Sidorskiego przedstawili kaliningradczykom z „delegacji obywatelskiej” bardzo hojną ofertę: statut autonomiczny dla nowego województwa obejmujący prawa językowe, kulturowe i edukacyjne, specjalne ulgi podatkowe, prawo do stałej reprezentacji w odnowionym Sejmie (choć wybranej na zasadach obowiązujących w reszcie kraju), inwestycje w infrastrukturę, specjalne preferencyjne kredyty na rozwój biznesu. Sprawy zagraniczne i obronne, a także system sądowy przechodziły całkowicie w kompetencje władz Rzeczypospolitej. Sidorski postawił ze swojej strony jeszcze jeden warunek – nazwy miejscowe miały zostać zesowietyzowane, bo on nie życzy sobie widzieć na mapie nazwiska jednego z morderców katyńskich. Tym sposobem miasto Kalinina stało się polskim Królewcem, a Bałtisk na powrót Piławą.

Kaliningradczycy przystali na te warunki i zawarto układ. Potem „delegacja obywatelska” udała się na spotkanie z władzami obwodu. Jej członkowie mieli ze sobą kilka walizek, które dostali od Polaków. Znajdowały się w nich milionowe sumy w dolarach.

Do ostatecznego upadku Kaliningradu doszło w gabinecie gubernatora Lwa Kołodkina. Oprócz niego znajdowali się tam również dowódca okręgu wojskowego, generał Wasyl Strogoff, oraz szef policji, Iwan Myszkin. Podobno właściwie niewiele rozmawiano, Siergiej Naryszkin, szef „delegacji obywatelskiej”, po prostu wręczył każdemu z nich po płaskiej walizeczce. Panowie zajrzeli do środka, pokiwali głowami na znak zgody i pożegnawszy się kordialnie, opuścili gabinet. Wprowadził się do niego Naryszkin, mianowany przez Sidorskiego pierwszym wojewodą nowego województwa królewieckiego.

Wieczorem, kiedy czołówki wojsk dotarły na północy do litewskiej granicy, kończąc zajmowanie obwodu, Sidorski wygłosił przemówienie do narodu. Przypomniął w nim o wielowiekowych roszczeniach polskich do CAŁOŚCI Prus Wschodnich, poczynając od Konrada Mazowieckiego, przez wojnę trzynastoletnią, hołd pruski, na postulatach rządu emigracyjnego z okresu II wojny światowej kończąc.

– To nigdy nie była ziemia rosyjska! – powiedział, bijąc pięścią w pulpit. – Ta ziemia mogła być albo niemiecka, albo polska! Niemiecką nigdy więcej nie będzie! A więc będzie polska! – Potem zwrócił się do mieszkańców nowego województwa, zapewniając, że ich prawa narodowe i wolności

obywatelskie nie zostaną naruszone, lecz wręcz będą rozszerzone. – Was jako pierwszych zapraszam do mojego projektu – powiedział nieco tajemniczo.

Po czym w kilku zdaniach naszkicował zasady, na jakich będzie się opierać statut autonomiczny wcielonego terytorium.

Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że właśnie został zainicjowany Projekt „Jagiellonia 2.0”.

*

Putin odzyskał przytomność po dwóch tygodniach i dowiedział się, że obwód kaliningradzki właśnie przeszedł do historii. Przejęcie przez Polskę enklawy zostało przez światowe media okrzyknięte „gambitem Sidorskiego”. Ten zresztą działał szybko i z żelazną konsekwencją, w stylu bynajmniej nie szachowym.

W byłym obwodzie zorganizowano błyskawiczne referendum na temat przyłączenia terytorium do Rzeczypospolitej; odbyło się w tempie „krymskim”, choć z pełnym poszanowaniem reguł demokracji, zaproszono bowiem międzynarodowych obserwatorów, którzy zjawili się w wielkiej liczbie i takimi chmarami obsadzili komisje wyborcze, że niemal dwukrotnie przewyższali liczbę ich członków. Rzecz jasna oczekiwano fałszerstw wyborczych na masową skalę, lecz poza niewielkimi uchybieniami żadnych nie odnotowano. Nowa administracja – złożona z przysłanych z Polski urzędników – ostentacyjnie dbała o wolność i transparentność elekcji. Nie wzbraniano nikomu agitacji, z czego skwapliwie skorzystały grupy promoskiewskie, choć dyskretnie wspierano aktywistów propolskich. Nie okazało się to specjalnie potrzebne – Sidorski dobrze wiedział, co się dzieje w obwodzie i że jego wymęczeniu biedą, kleptokracją i brutalnym czynownictwem mieszkańcy nie widzieli już żadnej przyszłości w związku z Rosją. Potwierdziły to wyniki: osiemdziesiąt siedem procent głosów za przyłączeniem, jedenaście przeciw, dwa procent głosów nieważnych. Nikt tego rezultatu nie kwestionował poza garstką promoskiewskich „obserwatorów” (w rzeczywistości agentów KGB).

Takiego patriotycznego wzmożenia, jakie nastąpiło w ciągu następnych tygodni, Polska nigdy w swoich dziejach nie doświadczała. Ulicami miast ciągnęły rozentuzjarmowane tłumy, krzycząc na przemian „Nasz Królewiec!” i „Sidorski!”. Do armii i SOT-u zgłaszały się tysiące młodych ludzi płci obojga spragnionych zaszczytnej służby dla ojczyzny – pojawienie się człowieka w mundurze w miejscu publicznym natychmiast wywoływało wybuch

radości, każdego, nawet sztabowego pisarczyka, fetowano jak bohatera wojennego.

Szczyt tego narodowego święta nastąpił podczas uroczystego posiedzenia odnowionych Sejmu i Senatu. Sidorski siedział w fotelu dawniej zarezerwowanym dla prezydenta, obserwując z kamienną miną, jak delegacja ludności ziemi królewieckiej składała adres do najwyższych władz Rzeczypospolitej z prośbą o inkorporację i nadanie statusu autonomii. Stosowną ustawę uchwalono przez aklamację nazajutrz, a podpisał ją przed kamerami Naczelnik Państwa. Potem wygłosił krótką mowę, witając w imieniu Polaków nowych współobywateli. Z tej okazji Warszawa bawiła się szampańsko przez trzy dni, co nieprzychylnie Kierownikowi media nazwały „fetą z okazji nowego hołdu pruskiego”.

Europa przyglądała się temu „teatrowi historii”, jak pisali publicyści, w zdumieniu, pogrążona w szoku – nie była przyzwyczajona do tak rzutkiego i zdecydowanego działania, a już dźganie w tyłek rosyjskiego niedźwiedzia, a nawet gorzej, wyrywanie mu kawałka mięsa, nie mieściło jej się w głowie. Co prawda liczni na Zachodzie moskalofile podnieśli raban, krzycząc gromko o suwerenności narodów i nienaruszalności granic, na co Polacy odpowiadali: „Gdzie byliście, gdy Putin zajmował Krym?”. Poza tym rząd zorganizował kontrofensywę propagandową, do której przyłączyły się na ochotnika setki tysięcy ludzi, przypominając historię Prus i podnosząc wielowiekowe związki Rzeczypospolitej z tymi ziemiami. „Rosja nigdy, nawet za czasów carskich, nie rościła pretensji do tego regionu”, podkreślano w oficjalnym stanowisku rządu. „Północną część Prus zagarnął Stalin na mocy swojej arbitralnej decyzji, zajmując terytorium, które w wyniku II wojny światowej miało przypaść Polsce. Teraz po prostu odbieramy swoje”. Lecz pyskówki na portalach nie miały najmniejszego znaczenia. Tak naprawdę ważne było to, co działo się za murami Kremla.

A tam Putin powoli wracał do zdrowia po udarze. I przygotowywał kontratak imperium.

*

M'Beki, świeżo upieczony żołnierz, już po szkoleniu i przysiędze, zalegał ze swoją drużyną w tranzejach pośpiesznie wykopanych w wydmach sambijskiej plaży. Zeszłej nocy jego oddział został w trybie alarmowym przerzucony w rejon Królewca. Kompania rozlokowała się wzdłuż brzegu, kopiąc na gwałt rowy i budując umocnienia – stanowili pierwszą rubież

obrony przeciwdesantowej, mając z tyłu zgrupowaną artylerię i ustawione do kontruderzenia concepty i rosomaki. Wiedzieli tylko tyle, że zostali ekspresowo przetransportowani z bazy pod Poznaniem w reakcji na doniesienia o wypłynięciu z Petersburga floty inwazyjnej. Rosjanie wysłali dwadzieścia trzy okręty, w tym trzy wielkie statki desantowe przewożące w sumie prawie dziesięć tysięcy żołnierzy doskonale wyszkolonej i wyposażonej piechoty morskiej. Dość, by wgrzyźć się w półwysep i zagrozić samemu Królewcowi. O powadze sytuacji świadczyło zaangażowanie do obrony zagrożonych desantem plaż ich nieostrzelanej i dopiero co przeszkolonej kompanii. Dowództwo nie miało za bardzo wyjścia, najwartościowsze jednostki skierowano do państw bałtyckich i nad granicę z Białorusią. Ostatnie rezerwy – w tym takich jak oni zielonych skierowanych prosto z centrów szkolenia – rozlokowano w nowym województwie. M’Beki i koledzy mieli go bronić razem z mazurskimi oddziałami SOT-u, paroma batalionami wojska oraz lokalnymi oddziałami samoobrony, które Sidorski polecił sformować z rosyjskich ochotników. Podobno zaciągnęło się pięć tysięcy ludzi, ale M’Beki żadnych do tej pory nie widział. Pewnie im nie do końca ufano i na wszelki wypadek trzymano w odwodzie.

Uklepał na przedpiersiu okopu ostatnie porcje wilgotnego piachu i uznał, że stanowisko ogniowe przygotował jak należy. Ustawił jeszcze swój modułowy rkm na nóżkach zwany przez starych żołnierzy „turbokałachem” i starannie sprawdził pole ostrzału. Zajął świetne stanowisko i mógł bez trudu wsadzić kulkę każdemu, kto próbowałby się zbliżyć od strony morza do plaży.

Spojrzał na stanowisko po lewej, gdzie siedziała szeregowka Rolska przyklejona do celownika spike’a. Ta amerykańska rakietka rozwalala każdą amfibię czy pływające czołgi, jakimi dysponowały rosyjskie desantowce. Mimo to dziewczyna się denerwowała, Aleksander widział, jak co chwila przeciera okular celownika, tak jakby tamci już szykowali się do lądowania. A przecież flota inwazyjna dopiero mijala Gotlandię i mogła być tu najszybciej za siedem, osiem godzin.

Zerknął na zegarek. Do objęcia warty zostało mu pół godziny. Pomyślał, że pójdzie do sztabu kompanii i wycygni od pisarczyków po kubku kawy dla siebie i Rolskiej. Pozostawał w doskonałej komitywie ze starszym szeregowym Bocheńskim, łącznościowcem, z którym zaprzyjaźnił się na unitarce. Klepnął nerwuskę od wyrzutni uspokajająco w ramię i powiedział, że wróci za parę minut z kawą, a na razie niech ona ma oko na wszystko. Specjalnie tym gestem Rolskiej nie odstresował, ale dziewczyna kiwnęła mu

w odpowiedzi, że jest OK. M'Beki niezbyt jej wierzył, jednak bardzo chciał się napić kawy.

Poszedł łącznikową transzeją w głąb lądu. Ziemiańka dowództwa kompanii (właściwie to polowy żelbetowy schron zamaskowany ziemią i piaskiem) mieściła się za wielką wydumą która dobrze ją osłaniała od strony morza. W środku zastał kilkanaście osób – przede wszystkim porucznika Boreckiego, który naradzał się nad mapą z dowódcami plutonów. Oficerowie nie mieli zbyt wesołych min. Doskonale wiedzieli, kim dowodzą i jaka jest sytuacja. Sztab brygady wiele ryzykował, obsadzając ten newralgiczny odcinek zielonym, nieostrzelanym wojskiem. Co prawda w drugiej linii, razem ze wsparciem pancernym, stacjonowały oddziały SOT-u, które brały udział w bitwie mazurskiej, ale i je trudno było uznać za pierwszy sort żołnierski, który mógłby się zmierzyć z doświadczoną rosyjską piechotą morską. Dlatego Borecki tak zajadle dyskutował z podwładnymi, usiłując jak najlepiej zaplanować obronę. I pewnie w cichości ducha żywiąc nadzieję, że główne uderzenie pójdzie na sąsiadów.

Jednak większość ludzi zebranych w sztabie nie zwracała na nich uwagi, patrzyła na główny ekran łączności transmitujący przekaz z satelity. M'Beki początkowo nie poznał, co pokazują zrzuty z kamer, jakieś nieduże obiekty na wielkiej szaro-niebieskiej płaszczyźnie, dopiero po chwili pojął, że to rosyjska flota, rozrzucona na morzu. Filmowane z góry okręty przypominały małe, ale zdumiewająco dokładnie wykonane modele. Wtedy dotarło do niego, że trwa bitwa – o czym świadczyły błyski wystrzałów z malutkich armatek i smugi odpalanych rakiet. Walka toczyła się też w powietrzu, co poznał po wstęgach kondensacyjnych przecinających obraz. Aleksander zastanawiał się, czy oprócz F-16 przeciwko rosyjskiej flocie rzucono też nowe predatory. Jeśli tak, to nie mogły specjalnie wpłynąć na sytuację, ponieważ Amerykanie zdołali podesłać tylko jedną eskadrę, dwanaście maszyn. Mogły najwyżej dezorganizować ruchy przeciwnika, jego okręty dysponowały silną obroną przeciwlotniczą. Aleksander widział na bocznych okienkach na zbliżeniach, jak pluły w niebo zenitówkami do niewidocznych samolotów.

– Nasi są poza obrazem – wyjaśnił mu stojący obok sierżant sztabowy Czarnecki. – „Kościuszko” oberwał jak cholera... Przegrywamy. Walczy jeszcze „Pułaski” i patrolowce, ale...

Nie musiał kończyć. Rosjanie przebijali się przez polską flotę, której Sidorski nie zdążył należycie rozbudować. Większość zamówionych jednostek tkwiła jeszcze na stoczniovych pochylniach. Gdyby do tej bitwy doszło za rok...

– Wiecie, co powiedzieli Amerykanie? – odezwał się jeden ze stojących bliżej ekranu żołnierzy. – Że dopóki Rosjanie nie użyją atomówki, to oni nie będą się wtrącać, traktując sprawę jako spór dżentelmenów. Co oznacza, że te kasztany musimy sami wyciągnąć z ognia. Tyle na temat artykułu piątego traktatu waszyngtońskiego.

– Pięknie, nakryją nas czapkami – rzucił inny. M’Beki rozpoznał Orskiledzego, rosnącego byłego masażystę z Erewania, zwanego „Ormiaszką”. – Nie wyleziemy żywi z tej plaży.

– Nie siać mi tu defetyzmu! – To powiedział Borecki, który przerwał naradę z dowódcami plutonów i stanął za gromadą żołnierzy skupionych przed ekranem. – Zapomnieliście o „maluchach”? Na pewno czają się w pobliżu Gotlandii na głębokich wodach i czekają na dogodny moment.

Mówił o trzech kompaktowych okrętach podwodnych noszących historyczne miana „Orzeł”, „Wilk” i „Sęp”, zbudowanych ekspresowo w Niemczech i zwodowanych w zeszłym roku. Wszystkie były wyposażone w tomahawki, ostatni argument polskiej floty w tej bitwie. Borecki miał rację – „maluchy” z pewnością przebywały gdzieś w rejonie zmagań, z czego zdawali sobie sprawę też Rosjanie; świadczyły o tym zygzaki i gwałtowne uniki ich jednostek. M’Beki zwrócił uwagę na trzy duże okręty zgrupowane w środku nieprzyjacielskiej formacji i ochraniane przez mniejsze statki. Domyślił się, że to desantowce klasy Mistral plus, które Putin kazał zbudować przed paroma laty. To o nie tak naprawdę toczyła się teraz gra – gdyby podwodniakom udało się te jednostki zatopić, nigdy by nie... Drgnął, nie wierząc w to, co widział na ekranie. Desantowiec płynący w centrum formacji... rozbłysnął i pochłonięta go ciemna, bulwiasta chmura, prześwitująca krwistą czerwienią eksplozji... Potem o mało nie odpadły mu uszy, bo zgromadzeni w schronie żołnierze wrzasnęli ile sił w płucach. Po czym zaczęli rzucać się sobie na szyje i klepać po plecach. Sam Aleksander znalazł się niespodziewanie w potężnych objęciach „Ormiaszki”.

– Dorwali ich, cholerne skurczysyny! – wrzeszczał Orskiledze. – Kurwa, dlaczego nie służę u podwodniaków!

– Spokojnie, zostały jeszcze dwa – powiedział porucznik. – Robi się tam naprawdę gorąco.

Rzeczywiście, okręciki na ekranie wyraźnie przyśpieszyły, na powierzchni morza pojawiły się bąble – Rosjanie rzucili bomby i odpalili antytorpedy. Ewidentnie na oślep i w panice, bo ten tomahawk, który załatwił desantowiec, na dobrą sprawę mógł być odpalony spod Bornholmu lub Helu. Rosjanie też to musieli po chwili wykryć, bo nad ich krążownikiem

rakietowym – ani chybi musiał to być „Pancernik Potiomkin”, chluba floty bałtyckiej – pokazało się kilka smug. Strzelał rakietami dalekiego zasięgu, na pewno do namierzonego celu. Ale w tym momencie drugi desantowiec pogrążył się w krwistoczerwonej chmurze i M’Beki o mało nie ogłuchł, bo w ziemiance zapanował prawdziwy szal, ludzie wrzeszczeli jak opętani, skakali i rzucali się sobie w objęcia. Bocheński z „Ormiaszką” tańczyli pod ekranem pseudoindiański taniec zwycięstwa. Ale Aleksander niczemu się nie dziwił i sam miał ochotę puścić się w dzikie płasy. Ludzie wyrwani spod gilotyny mieli prawo zachowywać się jak stado orangutanów na bananowcu. Bo z jednym desantowcem inwazja straciła sens, Rosjanie nie mieliby dość sił na przebicie się w głąb lądu, a pewnie i utworzenie przyczółka. A to oznaczało, że dzisiaj i on, i jego kumple z kompanii nie umrą.

Zobaczył, jak do roześmianego Boreckiego podchodzi Czarnecki i coś mu krzyczy do ucha. Twarz porucznika natychmiast spoważniała. Podniósł do góry rękę, stanowczo nakazując spokój. Żołnierze ścichli gwałtownie, patrząc na jego bladą i ściągniętą twarz. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Tak, my żyjemy – powiedział wreszcie. – Ale oni nie mieli tyle szczęścia. Rosjanie namierzili i dorwali „Wilka” i „Orła” zaraz po tym, jak chłopaki odpalili tomahawki...

W schronie zapadła głucha cisza. Zebrani w ziemiance żołnierze wiedzieli, że tamci poświęcili się za nich. Załogi „maluchów” doskonale zdawały sobie sprawę, jak ważne jest wyeliminowanie okrętów desantowych. M’Beki, tak jak inni, nie czekając na komendę, wyprężył się i przyłożył palce do okapu hełmu. Patrzył na ekran, na którym rosyjskie jednostki wykonywały ostry zwrot na północ, i myślał o tym, że, jak w sentencji Churchilla, znowu nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu...

*

Putin postanowił rozprawić się z Polakami, stosując ulubione jeszcze przez sowieckich marszałków uderzenie kleszczowe. Chciał zamknąć w kotle wojska ześrodkowane w krajach bałtyckich, a rozbudowane przez Sidorskiego do trzech korpusów liczących w sumie pięćdziesiąt tysięcy ludzi, i to najlepiej wyszkolonych i wyposażonych. Rozprawiając się z tym zgrupowaniem, zamierzał przetrącić kark polskiej armii, opanować Pribaltikę, odzyskać enklawę kaliningradzką i zająć północno-wschodnią Polskę, być może nawet z Warszawą. Potem mógł rozmawiać o pokoju, na Kremlu ułożono już jego warunki – oderwanie od terytorium RP Warmii i Mazur, złączenie ich

z obwodem kaliningradzkim, rozbrojenie resztek polskiej armii, złożenie z urzędu Sidorskiego i ustanowienie „specjalnych stosunków” z Federacją Rosyjską, czyli ponowne przyjęcie statusu wasala. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zmodyfikowany plan Lepniaka. Kierownik grał o naprawdę wysoką stawkę.

W szczegółach strategicznych wyglądało to mniej więcej tak: zaplanowano dwa uderzenia – olbrzymi desant z północy, którego wojska miały wylądować na plażach Sambii, przeciąć była enklawę i dotrzeć przez Suwalszczyznę do Białorusi, odcinając od Polski kraje bałtyckie, nastęny rzut ruszyłby w kierunku Kłajpejdy i Połagi; drugim ramieniem kleszczy, południowym, były wojska uderzające na północny zachód od strony Białorusi. W ten sposób bałtyckie zgrupowanie WP zostałyby wzięte w dwa ognie i zniszczone. I być może ten scenariusz w dużym stopniu by się ziścił, gdyby nie ofiara załóg „maluchów” i wyeliminowanie z floty inwazyjnej większości desantowców.

Likwidacja zagrożenia z północy spowodowała, że frontalne natarcie na Pribałtykę stało się dla Rosjan nad wyraz ryzykowne – siły tam stacjonujące, wraz z armiami miejscowymi, wynosiły ponad sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy mogli liczyć na wsparcie z Polski nieodciętej przecież przez desant. Na dodatek do gry weszło siedemdziesiąt osiem myśliwców F-16 kupionych okazjnie przez Sidorskiego na „greckiej wyprzedaży” wraz z kontraktami pilotów. Razem z nowymi dronami, przeznaczonymi do walki powietrznej predatorami C2 CHEETACH (gepard) dostarczonymi przez Amerykanów uszczelniały parasol powietrzny nad rozciągniętym od Tallina do Suwałk zgrupowaniem, czyniąc go praktycznie nieprzenikliwym dla lotnictwa nieprzyjaciela. W efekcie rosyjscy generałowie zatrzymali rozpędzone dywizje pancerne tuż przed łotewską i litewską granicą, bo bali się oskrzydłającego uderzenia od strony Bugu, gdzie Polacy skoncentrowali silne zgrupowanie ofensywne wsparte przez bataliony Abramsów. Tym razem to Rosjanie mogli zostać wzięci w kleszcze. Wojska zbliżyły się do siebie na tyle, że załogi conceptów i armat mogły się pooglądać przez kamery. Żaden strzał jednak nie padł.

Neocar Władimir I o mało nie dostał drugiego udaru, kiedy sobie uświadomił, że tę rozgrywkę z Sidorskim sromotnie przegrał. Na dodatek jego pozycja na Kremlu osłabła – mimo że propaganda robiła wszystko, co możliwe, aby przekonać Rosjan o kolejnym „zwycięstwie”, wprawdzie w ostatniej chwili zepsutym nieco przez „tych amerykańskich najemników niegodnych miana Słowian”, najgłupszy nawet muzyk wiedział, że batiuszka tym razem przetrząnął, i to z kretesem.

Putin próbował ratować reputację i rozkazał swoim generałom stacjonującym na Białorusi dokonać formalnej aneksji tego kraju, co zresztą przeczuwał rządzący krajem w imieniu stetryczalego i coraz mniej kontaktującego z rzeczywistością Łukaszenki jego syn Mikołajka, desperacko próbujący nie dopuścić do wejścia wojsk dobrego wujaszka Władimira na swoje terytorium. Przeczucia i doniesienia wywiadu o planach Kremla nie myliły „małego regenta”, jak bywał nazywany. Rosjanie aresztowali go i wraz z ojcem i całą rodziną wywieźli do Soczi. Na takie tam „bezterminowe wakacje” w zamkniętym kurorcie. Dzięki temu neocar mógł odprawić w Moskwie patriotyczną fetę i po raz kolejny przybrać ulubioną przez siebie pozę „sobiratiela ziemi Russkoj”. Efekt osiągnął przeciwny do zamierzonego, bo nawet najbardziej otumanieni propagandą poddani zaczęli sobie zadawać pytanie, co im te biedne i wszak zawsze bratnie Białorusy winne, że ich trzeba okupować.

Dla Białorusi zaś zaczęły się najczarniejsze dni od czasów stalinowskich. Rosyjscy generałowie bowiem dokonali swoistej „prywatyzacji” zagarniętego terytorium w stylu noworosyjskim i podzielili je między siebie, przekształcając okupowane obwody w rodzaj udzielnych księstw, na poły niezależnych od Moskwy, w których rządzili, jak chcieli, przy pomocy także „sprywatyzowanych” oddziałów armii rosyjskiej, zajmując się kryptoniewolniczą eksploatacją miejscowej ludności. Niektórzy pozwalali sobie na naprawdę dużo, zwierzchnictwo neocaratu traktując czysto formalnie. Dowódca dywizji okupującej Grodzieńszczyznę, niejaki Stepan Tarasienko, po pewnym czasie ogłosił się wręcz nowym bat'ką, twierdząc, że ma do tego prawo, gdyż choć ojciec był ze Lwowa, to po matce Białorusince jest jednakowoż tutejszy i scheda po Łukaszence należy mu się jak psu micha. Inni warlordowie go zignorowali, karnie odcinając od dostaw z Rosji, póki nie zmiękł i nie odszczekał swoich wszechbiałoruskich pretensji. A i tak potem nadal kazał się nazywać bat'ką.

Putin na tę jawną samowolkę przymykał oczy, bo musiał, taką po prostu płacił cenę za lojalność „nowych wielkich książąt”, jak ich nazywano. Starzejący się satrapa bardzo potrzebował sojuszników, bo wewnątrz Kremla coraz częściej mówiło się o tym, że Władimir Władimirowicz chyba już powinien wybrać się na emeryturę...

A udręczeni i łupieni bez umiaru przez „braci Moskali” Białorusini tęsknili za starym draniem Łukaszenką i po cichu modlili się za zdrowie Sidorskiego i pomyślność Polaków.

Bo wiedzieli, że jeśli miało nadejść dla nich ocalenie, to tylko z Polski.

*

Przez trzy przedreferendalne tygodnie Sidorski nie pokazywał się publicznie ani nie wypowiadał. Nie prowadził żadnej kampanii, co więcej, swoim zwolennikom takowej zabronił. Komentatorzy nie rozumieli tej dziwnej taktyki wyborczej, niedwuznacznie sugerując, że Kierownik sfiksował na dobre. Zupełnie otwarcie głosili to działacze wciąż działających, choć z braku kasy bardzo już kanapowych partii, którzy zwietrzywszy okazję do powrotu do starych dobrych czasów, zaktywizowali się natychmiast po ogłoszeniu decyzji o referendum. Wyroili się z różnych zakamarków jak hieny złaknione padliny – wściekle agitowali za zdymisjonowaniem przez naród Sidorskiego, tego wstrętnego wroga demokracji oraz „cara i boga”. Podkreślali, jakież to korzyści przyjdą Polsce z przywrócenia systemu partyjnego. Przywódcy odrodzonych na fali nadziei (na powrót do żłobu) ugrupowań zapewniali w mediach, że poprowadzą kraj ku świetlanej przyszłości, bez żenady bijąc polityczną pianę, czyli powtarzając stare i nowe kłamstwa.

Wielu ludzi potem mówiło, że te trzy tygodnie bez Kierownika to był najgorszy okres w ich życiu, bo już odwykli od tej niagary partyjnego kłamstwa, która znowu buchała z publikatorów. Nagle zaczęli doceniać surową szczerość „Władziokratora”, jak go nazywały nieprzychylnie media. Paradoksalnie okazało się, że najlepszą bronią i argumentem, jakiego mógł użyć Sidorski, było... milczenie. Nawet partyjni propagandyści poczuli się w pewnym momencie wyraźnie skonfundowani, gdyż ich gorliwe ujadanie nie znalazło żadnego odzewu. No bo głupio tak czekać sobie a muzom.

Sidorski zabronił tylko jednego – organizowania sondaży przedwyborczych. Oczywiście partie omijały ten zakaz, ale ich badania dawały wyniki co najmniej dwuznaczne, co gorsza, zauważono, że ci sami respondenci wypowiadają się raz tak, raz owak. Wynik referendum – transparentnego, pilnowanego przez obserwatorów międzynarodowych i partyjnych „mężów zaufania” – okazał się zaskoczeniem dla wszystkich.

Siedemdziesiąt trzy procent uprawnionych do głosowania opowiedziało się za dalszym pozostawianiem Sidorskiego na stanowisku, czternaście było przeciw, trzynaście procent wyborców wrzuciło kartki, nie skreślając żadnej opcji. Frekwencja wyniosła sześćdziesiąt osiem procent.

Już złączące z kanap partie były w szoku – nie tego oczekiwały. Ale też nie zauważyły, że w ciągu ostatnich lat Polska się zmieniła, i to dość istotnie. Kierownik nauczył Polaków czegoś bardzo ważnego, a słabo obecnego w dotychczasowych dziejach narodu: myślenia i ważenia racji. A trzeźwo

kalkulujący człowiek potrafi dokonać wyboru między dobrym a złym. Dlatego, mimo huraganowej kampanii na nie, wyborcy postawili na tego, który ich zdaniem prowadził kraj we właściwym kierunku.

Po prostu dokonali logicznego wyboru.

Ponieważ ostatecznie uwierzyli, że Sidorski ma PLAN. Taki, na który warto postawić.

A on rzeczywiście go miał. Nazajutrz po ogłoszeniu wyników referendum zapowiedział następne – w sprawie przywrócenia w Polsce systemu parlamentarnego.

Przybici przegraną partyjniacy natychmiast podnieśli głowy, a niektórzy z nadzieją wyrażali pogląd, że Kierownik jednakowoż naprawdę zwariował, przywracając im ot tak, niczym nieprzymuszony, zabrane przed paru laty żłoby. Jednak miny im mocno zrzędyły, kiedy poznali szczegóły propozycji.

Projekt nowej ordynacji wyborczej wprowadzał w Polsce okręgi jednomandatowe. To jeszcze działaczy specjalnie nie przeraziło – o wiele gorszy okazał się kolejny zapis postulujący wprowadzenie cenzusu egzaminacyjnego – posłem mogła zostać osoba pełnoletnia, niekarana, z maturą, która – i w tym był pies pogrzebany – musiała zdać specjalny egzamin kwalifikacyjny, jeśli chciała posiadać bierne prawo wyborcze. Test sprawdzał poziom wiedzy między innymi ze znajomości struktury państwa, zasad konstruowania budżetu, stosunków międzynarodowych, podstaw prawa, administracji, ekonomii i tym podobne. Podobne egzaminy mieli zdawać kandydaci na senatorów, z tym że od nich wymagano już stopnia magistra. Do partyjnych bonzów dotarło, że skończyła się era list, na których umieszczali wiernych, ale miernych totumfackich czy znajomych królika. Większość politycznych weteranów nie była w stanie nawet na próbę podejść do tego testu. Znali już Sidorskiego i wiedzieli, że nie mogą liczyć na łatwe pytania. A media nazwały zaproponowaną przez niego formułę wyborczą „menedżerską merytokracją”.

Wymyślony przez Kierownika system był dość skomplikowany, przewidywał cały mechanizm egzaminacyjny funkcjonujący jako składowa procesu wyborczego – egzamin nie dawał dożywotnich uprawnień i należało go ponownie zdawać przed kolejną elekcją. Podobną strukturę kwalifikacyjną – bo jak wyjaśniał Sidorski z prostotą właściwą absolwentowi Oksfordu, „społeczności lokalne też zasługują na kumatych radnych” – wprowadzono do wyborów samorządowych, na przykład na prezydenta miasta mógł kandydować człowiek z magisterium i oczywiście zaliczonym testem.

To jednak była tylko część reformy – równie istotnym, a może nawet

istotniejszym posunięciem okazała się propozycja ograniczająca powszechność czynnego prawa wyborczego. Aby obywatel mógł uczestniczyć w akcie wyborczym, musiał przedtem zdobyć „licencję elektorską” – czyli zdać egzamin sprawdzający jego poziom wiedzy o państwie, oczywiście znacznie uproszczony w stosunku do tego, jaki zaliczali kandydaci do ciał przedstawicielskich. W istocie zaproponowane rozwiązanie wprowadzało intelektualny cenzus wyborczy.

– Jeśli wyborca nie potrafi odróżnić odpowiedzialnego polityka od małpy z brzytwą, to znaczy, że nie dorósł do wybierania – tłumaczył pomysłodawca w mediach, czyniąc aluzje do epoki PPL-u. – Wpływanie na losy państwa to zbyt poważna sprawa, aby powierzać ją ludziom niekompetentnym albo i wręcz idiotom. Zresztą i tak w ostatnich wyborach przed przewrotem uczestniczyło trzydzieści jeden procent uprawnionych, reszta siedziała na działkach i żłopała piwo. I niech siedzą tam dalej. Głosować będą ci spośród nas, którym się będzie chciało na tyle, że zdobędą licencję.

Sondaże wskazywały, że, przynajmniej na początku, uzyskaniem „licencji elektorskiej” zainteresowanych będzie około sześciu milionów Polaków. „A po co więcej?” – stwierdził Kierownik z właściwą sobie dozą wyrafinowanego cynizmu.

Kiedy do środowisk partyjnych dotarło, jak je Sidorski znowu wyrolował, ich propagandziści dostali szału. „To na pichcieniu tych piramidalnych bredni spędził trzy tygodnie w tym swoim Sulejówku?” – grzmieli w mediach partyjni janczarzy, usiłując gorączkowo przekonywać, że ten pomysł to nic innego jak chamskie dzielenie Polaków – na mądrych i głupich. Ze świętym oburzeniem w oczach przekonywali, że poprzednie zasady nie łamały, tak jak obecnie proponowane, świętego prawa do równości, które się ludziom należy jak psu micha – choćby po to, aby niektórzy mogli być „równiejsi”. Ale tego rzecz jasna głośno nie mówiono.

Projekt nowej ordynacji do Sejmu i Senatu tudzież samorządów przeszedł w referendum: osiemdziesiąt cztery procent wyborców było „za”, dwanaście „przeciw”, reszta to głosy nieważne. Frekwencja wyniosła pięćdziesiąt dziewięć procent. Zapewne wielu wyborców cieszyło się w skrytości ducha, że po raz ostatni fatygują się do urn i po proponowanej przez Sidorskiego reformie już więcej nie będą musieli zawracać sobie tym głowy. A publicyści zastanawiali się, dlaczego w takim razie ludzie w ogóle poszli głosować...

To proste. Przecież nikt nie lubi się przyznawać, że jest głupi. Nawet jeśli jest.

*

Podniósł się z podłogi i poszedł do kibla umyć twarz. Spłakał się jak stara baba. On, którego tak podziwiano za wojenne bohaterstwo, że nawet chciano, aby został posłem. Tak, to mu się nie śniło – syn przemytnika gaci z Gabonu reprezentantem Najjaśniejszej...

Było to na dyplomatycznym raucie w ambasadzie amerykańskiej, dwa tygodnie przed kryzysem tureckim. Brylował na nim razem z Krystyną, już oficjalną narzeczoną. Wyglądała olśniewająco i zrobiła wielkie wrażenie na czeskim attaché wojskowym, pułkowniku Żirkowskim, który gapił się na nią, zapewne nieświadom, że sprytna dziennikarka wyciąga od niego komentarz na temat ostatnich poczynań Wyszehradu. Aleksander patrzył na nią rozczulony i już widział z brzuszkiem pełnym jego prawie białych i prawie arcysłowiańskich dzieci, kiedy podszedł do niego pułkownik Mroczek ze Sztabu Generalnego. Spora szycha, więc odruchowo wyprężył się na baczność. Ale tamtemu nie chodziło o odbieranie honorów.

– Zapraszam do baru, kapitanie – powiedział, ujmując go kordialnie pod ramię i ciągnąc w stronę foyer, gdzie dystrybuowano drinki. – Mają tu podobno świetnego bourbona...

Usiedli ze szklaneczkami przy jednym z bocznych stolików. Aleksander cały czas wyciągał szyję, usiłując dojrzeć, kto znowu emabluje jego kobietę, i początkowo nie zrozumiał, co mówił do niego pułkownik.

– ...no właśnie pomyśleliśmy sobie, że byłby pan świetnym kandydatem, młody, inteligentny, bohater wojenny...

– I czarny – rzucił.

Pułkownik roześmiał się, szczerze ubawiony jego obiekcjami.

– Sam pan przecież wie, że prawie dwadzieścia procent żołnierzy w armii to imigranci lub potomkowie imigrantów. Czytał pan *Projekt „Jagiellonia 2.0”* i wie, że polskość została tam zredefiniowana i oparta na wspólnocie kultury i wartości, a nie kryteriach etnicznych czy rasowych. Wielkość Sidorskiego polegała między innymi na tym, że ustanowił nową Polskę jako wspólnotę przyciągającą, a nie odpychającą... Prawo do bycia Polakiem zdobyte na polu bitwy nie ulega dyskusji, zresztą pana to nawet nie dotyczy...

No tak, był przecież z Matki Polki, z domu Kwiatkowskiej. Pociągnął łyk bourbona, wciąż szukając wzrokiem tej swojej przyszłej Żony Polki. W końcu ją wypatrzył, teraz smaliło do niej cholewki dwóch przystojniaków wyglądających na jankesów, pewnie z CIA. Zauważyła jego spojrzenie i posłała mu promienny uśmiech. No nie, taka kobieta zasługuje na męża

parlamentarzystę, pomyślał i nadstawił ucha.

– Za pół roku egzaminy, ale przecież tak inteligentny człowiek zda je śpiewająco. Ma pan bardzo duże szanse na wybór... zwłaszcza z taką panią przy boku – dodał, bo Krystyna porzuciła jankesów i szła ku nim, cudownie uwodzicielska w sukni koloru krwistej róży.

– O czym rozmawiacie? – zapytała, siadając przy stoliku.

– O pani urodzie oczywiście – odparł szarmancko Mroczek i się podniósł. – Proszę wybaczyć, obowiązki. I niech się pan zastanowi.

– Nad czym? – zapytała Krystyna, gdy już się oddalił.

M'Beki zerknął ukosem na widniejące na jego mundurze baretki. Właściwie to zasłużył na ten fotel w Sejmie.

– Chciałabyś zostać panią posłową? – zapytał, patrząc w jej zdumione oczy koloru morza, a dokładniej Adriatyku...

Woda w umywalce miała żelazisty, nieprzyjemny smak, pewnie zbiornik musiał już rdzewieć, a nikt go nie wymieniał, bo i po co. M'Beki poczuł straszliwy żal. Nie chodziło nawet o zaszczyt decydowania o losach Polski, Wyszehradu czy Europy. Mroczek powiedział mu coś znacznie ważniejszego.

Uznali go za swego. Wreszcie.

*

Nad projektem nowego ułożenia stosunków we wschodniej części Europy Sidorski pracował od dłuższego czasu wraz z grupą starannie dobranych ekspertów skompletowanych ze ścisłej elity rządowej – krytycy Kierownika twierdzili, że nienawidząc „partyj”, sam takową – partię władzy – stworzył, awansując tłumy młodych profesjonalistów odpłacających mu się bezwzględną lojalnością. Stworzony przez niego system rządzenia państwem nazywano w mediach „neosanacją”, co się nawet Sidorskiemu podobało – jak twierdzili złośliwi, zapewne dlatego, że sam uważał się za „neoPiłsudskiego”.

Jedno jest pewne – główne założenia Układu Wyszehradzkiego zwanego potocznie Wyszehradem II (tym pierwszym miała być proklamacja z 1991 roku) powstały w Warszawie na długo przed pamiętnym zjazdem w tym pięknym węgierskim mieście. Były one dyskretnie konsultowane kanałami dyplomatycznymi z władzami krajów zainteresowanych udziałem w nowym traktacie. Sidorski punkt po punkcie dopinał negocjacje, ale nie śpieszył się z ogłoszeniem projektu. Czekał na odpowiedni moment, gdyż kilku potencjalnych uczestników planowanego sojuszu – głównie Węgrzy i Bułgarzy, ale też i Czesi – wciąż się wahało. Należało poczekać na

sprzyjające okoliczności.

Wiosną 2027 roku strefą euro targnął kolejny armagedon finansowy, najpoważniejszy z dotychczasowych – rozleciały się budżety krajów południa Europy: Włoch, Hiszpanii i Portugalii (Grecy już od dziesięciu lat biedowali na drachmie), ale tym razem Niemcy, sami mający poważne problemy, odmówili pomocy. W efekcie trzy upokorzone i rozgoryczone kraje opuściły nie tylko unię walutową, ale w ogóle UE. Niemcy w porozumieniu z Francuzami uznali, że aby ratować resztę Unii, należy wprowadzić ścisły federalizm zakładający mocne ograniczenie suwerenności krajów członkowskich. W praktyce oznaczało to, że Brukselą stanie się Berlin z małym dodatkiem Paryża. Lecz tego rodzaju rozwiązanie nie wszystkim odpowiadało, zwłaszcza we wschodniej części Unii. Sidorski odrzucił ten projekt w przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu odnowionego Sejmu I kadencji. „Co dobre dla Niemiec, nie musi być dobre dla innych – stwierdził. – Jeśli nasze zastrzeżenia nie zostaną uwzględnione, rozpoczniemy procedurę wyjścia z Unii Europejskiej” – ostrzegł, doskonale wiedząc, że tak się nie stanie. Posłowie przyjęli jego stanowisko przez aklamację.

Na dodatek zmieniała się sytuacja w Rosji – neocar Putin, coraz bardziej stetryczały i zniedołężniały, został odsunięty od władzy. Jego następcą Iwan Iwanowicz Mieńszikow gwałtownie potrzebował sukcesu, który uwiarygodniłby jego rząd oraz na powrót zintegrował odziedziczone po poprzedniku, będące na skraju rozpadu imperium (na Kaukazie wybuchło kolejne powstanie islamskie). I podobnie jak jego poprzednik zwrócił złaknione cudzej ziemi oczy na Ukrainę – co prawda na początku lat dwudziestych Rosjanom udało się przebić na Krym i zagarnąć spory kęs Chersonesu (co Europa po początkowych oporach zaakceptowała w nadziei, że to wyczerpuje rosyjskie pretensje terytorialne), ale Mieńszikow uznał, że są mu potrzebne nowe nabytki. I spektakularne zwycięstwo, bo wciąż pamiętano upokorzenie, jakiego Moskwa doznała, tracąc Królewiec.

Rosjanie dość szybko wyparli islamistów w wysokie góry i zaczęli koncentrować gros swych sił na granicy z Ukrainą. W Kijowie wybuchła prawdziwa panika, bo tym razem nie chodziło o odcięcie kolejnego kawałka terytorium, lecz o natarcie szerokim frontem, zaatakowałyby bowiem także wojska stacjonujące na Białorusi. Władze ukraińskie zaczęły naciskać na Sidorskiego, aby jak najszybciej zawrzeć projektowany układ. Liczyły, że Kreml nie napadnie na kraj objęty zbiorowym systemem bezpieczeństwa, bo tym także miał być Wyszehrad.

Sidorski uznał, że nadszedł właściwy moment. Zwołany przez niego

w węgierskim mieście zjazd przywódców Europy Środkowej i Wschodniej został przez światowe media nazwany „konferencją przestraszonych”. Choć tak naprawdę porządnie wystraszeni byli jedynie Ukraińcy i Mołdawianie, bezpośrednio zagrożeni przez agresywne poczynania Mieńszikowa, inni – zwłaszcza Czesi i Węgrzy sarkający na dominujących i nadto ich zdaniem aktywnych Polaków – woleli mówić o „soft imperializmie” Warszawy. Z powodu ich obstrukcji (mimo że Bałtowie, Słowacy, Rumuni i Bułgarzy popierali ideę nowego paktu) spotkanie omal nie zakończyło się fiaskiem, o co zresztą usilnie starali się liczni w tych krajach moskiewscy agenci wpływu. Ostatecznie sceptyków przekonało płomienne i zarazem bardzo merytoryczne wystąpienie polskiego przywódcy, który przyrzekł, że ustalone w Wyszehradzie zasady będą obowiązywały wszystkich, a jego kraj nie zamierza wykorzystywać pozycji hegemonu. Równie istotny (a pewnie istotniejszy) okazał się przekaz, który przyszedł zza Atlantyku – że z powodu coraz bardziej niestabilnej sytuacji w Azji Amerykanie dyslokują z Europy ostatnie jednostki. Waszyngton udzielił wątpięcym dobrotliwej rady, aby zawrzeć układ. Postawieni w obliczu wyboru w trójkącie Berlin–Warszawa–Moskwa Czesi i Węgrzy, zgrzytając zębami, postawili na sojusz z Polską. Doskonale wiedzieli, że po decyzji jankesów między nimi a wojskami Mieńszikowa znajdowała się tylko polska armia. Dokładnie jak w roku dwudziestym XX wieku.

Druga deklaracja wyszehradzka oznaczała – także formalnie, bo każdy z krajów członkowskich nowego paktu złożył stosowny wniosek w Brukseli – wyjście z UE tych państw środkowoeuropejskich, które do niej wstąpiły w 2004 i 2007 roku. W zamian strony podpisanego układu tworzyły wspólny alternatywny rynek wewnętrzny, z własną jednostką rozliczeniową, tak zwanym talarzem wyszehradzkim, sztywno związanym ze złotówką, co oczywiście promowało polską gospodarkę. Czesi mocno na to sarkali, bo z koroną działało się to co niegdyś z lirem, za byle piwko z knedliczkami należało uiścić pół miliona. W odpowiedzi usłyszeli, że owszem, można od tego odstąpić pod warunkiem proporcjonalnego podjęcia przez innych członków paktu ciężaru planowanych zbrojeń. Na to rzecz jasna Pepiczki specjalnej ochoty nie mieli i talar wszedł do obiegu. Przyjęto też wspólnotową flagę, dziewięciopolową szachownicę, na którą kraje członkowskie „delegowały” po jednym kolorze ze swych barw narodowych (na przykład Polacy czerwony, Bułgarzy zielony, Litwini pomarańczowy, Ukraińcy żółty, Słowacy niebieski i tak dalej), co komentatorzy w Moskwie przyjęli ze złośliwą satysfakcją, pisząc o nowej organizacji jako

o „gejszehradsie” lub „tęczowej koalicji”.

Deklaracja, prócz części gospodarczej i obronnej, zawierała też niezwykle istotną część polityczną stawiającą przed nowym sojuszem ambitne zadania. Zawarte w niej hasła – określone jako kanon zasad – były ewidentnie wycelowane w postputinowski neocarat, mówiąc o prawie każdego człowieka do wolności, godności, sprawiedliwych rządów i uczciwego państwa. Kraje wyszehradzkie zobowiązywały się do przestrzegania praw kardynalnych i transparentności życia publicznego – powołano nawet wspólnotowe instytucje mające strzec zapisów traktatowych na wzór starej UE. W mowie zamykającej zjazd, już po podpisaniu układu, Sidorski mówił o misji, jaką nowy sojusz winien pełnić w Europie. „Naszym podstawowym standardem jest przyzwoitość w życiu jednostek, państw i narodów – powiedział. – I o nią będziemy walczyć z każdym, kto szerzy kłamstwo, opresję i zniewolenie. To będzie wojna przyzwoitości z nikczemnością”.

Mieńszikow dokładnie wiedział, do kogo piją. Po zapoznaniu się z wynikami szczytu doszedł do wniosku, że nie może pozwolić na umocnienie się paktu, który powstał po to, by zablokować ekspansję jego imperium. Postanowił zaatakować najsłabszego członka nowego sojuszu i pokonując go w błyskawicznej wojnie, udowodnić pozostałym wschodnim Europejczykom, że tym całym Wyszehradem mogą sobie co najwyżej zelówki podbijać.

Równy dwa tygodnie po uchwaleniu i podpisaniu drugiej deklaracji uderzył na Ukrainę.

*

Najpaskudniej zachowali się Czesi. Wykorzystali to, że parlament w Pradze nie zdążył ratyfikować układu, i odmówili jakiegokolwiek wsparcia. Na dodatek rosyjscy agenci zorganizowali szereg demonstracji, na których zjawyły się tłumy protestujące przeciwko „polskim awanturom na wschodzie” – bo rzecz jasna Mieńszikow przedstawiał swoją agresję jako „bratnią pomoc” świadczoną zagrożonemu przez „białopolaków” prawosławnemu narodowi. Czesi w to wierzyli, a raczej sprytnie udawali, że wierzą, jawnie obstawiając, że tym razem Sidorskiemu powinie się noga.

Ten nie oglądał się na czeskich malkontentów, tylko ekspresowo wysłał na Ukrainę stutysięczną armię, także inni członkowie Wyszehradu nie zwlekali z pomocą: Rumuni zabezpieczyli Odesę, a Węgrzy, pozbywszy się resztek złudzeń co do Rosji, ekspediowali dwie brygady pancerne wyposażone w przejęte od Polaków leopardy. M’Beki nie uczestniczył w tej kampanii,

wciąż stacjonował w Królewcu, gdzie obawiano się dywersji ze strony floty bałtyckiej wzmocnionej desantowcami przysłanymi z Dalekiego Wschodu. Lecz tym razem powtórki z rozrywki nie było, Rosjanie grzecznie siedzieli w Petersburgu i czekali na rozstrzygnięcie na Ukrainie. W efekcie Aleksander całą wojnę przebumelował w sztabie, oglądając z innymi równie beczynnymi żołnierzami to, co potem przeszło do historii jako ostatnie klasyczne starcie pancerne. Wreszcie Concepty 02 PL mogły się zmierzyć z Armatami 16A. Stepy pod Połtawą, tak jak trzysta lat wcześniej, gdy naprzeciwko siebie stanęły armie Piotra Wielkiego i Karola XII, znowu spopielił ogień i zrosiła krew.

Światowe media relacjonowały przebieg zmagania, montując obrazy transmitowane bezpośrednio z satelitów obserwacyjnych i przechwycone z czołgowych kamer oraz monitoringu dronów unoszących się nad polem bitwy. Aleksander wraz z kolegami z zapartym tchem oglądał ujęte z góry gromady szarozielonych metalowych żuczków, namierzających się laserowymi dalmierzami i plujących do siebie rakietami – nad stepem unosiła się siatka przecinających się smug zostawianych przez pociski, wciąż nowych i nowych, bo walka przypominała pojedynek T-34 i tygrysów pod Prochorówką w Łuku Kurskim podczas drugiej wojny światowej. Czołgi strzelały do siebie na wprost z odległości kilkuset metrów, bo takie panowało zagęszczenie broni pancerniej na niezbyt wielkim obszarze, coraz więcej trafionych pojazdów płonęło, smugi po rakietach i pociskach mieszały się ze smolistym dymem i w końcu cokolwiek dało się zobaczyć tylko na transmisjach z dronów wyposażonych w skanery radarowe. W miarę trwania starcia coraz bardziej kojarzyło się z piekielnym baletem – grupy czołgów próbowały się nawzajem wymanewrować, zejść z boku i oskrzydlić, kolumny przesuwwały się w tę i we w tę, pozornie chaotycznie, ale M'BeKi wiedział, że chodziło o zmylenie przeciwnika. Bitwa równolegle toczyła się na wirtualnych planszach i zaangażowała najlepszych taktyków obu stron.

Wysoko nad czołgami toczyła się walka o panowanie w powietrzu, głównie z użyciem dronów. Myśliwskie gepardy starły się z rosyjskimi sokołami. Tu także walka okazała się dość wyrównana i nawet jeśli jedna ze stron zyskiwała przewagę, to tylko na moment. Wyszehradzcy dowódcy – w obliczu liczebnej przewagi maszyn wroga – dążyli w powietrzu do remisu, bo w ich planie strategicznym wynik bitwy miał się rozstrzygnąć na ziemi. To im się udało: siły lotnicze zablokowały się nawzajem w klasycznym kłinczu i w efekcie drony nie atakowały czołgów. Pancerniacy w ogóle nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje nad ich głowami. Czasem tylko widzieli

obły kształt, który ciągnąc za sobą smugę dymu, rozbijał się gdzieś daleko w stepie.

Rosjanie zgromadzili naprawdę duże siły i mieli o jedną trzecią czołgów więcej. Przewaga ilościowa była niwelowana ze strony polskiej jakością sprzętu – concepty, lżejsze i bardziej zwrotne od armat, manewrowały z większą zręcznością, miały lepszy pancerz reaktywny, co bardzo się przydawało, ponieważ armaty dysponowały działem o większym kalibrze – 128 mm. Concepty dysponowały też pociskami opartymi na nowatorskiej technologii tak zwanego palnika laserowego, sprezentowanymi przez Amerykanów. Rosyjskie czołgi okazały się też znacznie gorzej wykonane i sporo zepsuło się już w początkowej fazie walki.

Niemniej jednak zwycięstwo Polaków wcale nie wydawało się przesądzone i wiele trafionych conceptów płonęło w stepie niczym upiorne pochodnie. W pewnym momencie, w trzeciej godzinie bitwy, Rosjanie byli blisko przełamania frontu. Sytuację uratowało wprowadzenie do bitwy węgierskiej brygady wyposażonej co prawda w przestarzałe leopardy, ale której udało się wyjść na skrzydło ugrupowania przeciwnika i zmusić go do cofnięcia się dosłownie na moment przed rozrąbaniem polskiego ugrupowania na pół. To umożliwiło przegrupowanie conceptów i odtworzenie linii. Rosjanie jednak podciągnęli rezerwy i wznowili napór.

Losy bitwy rozstrzygnęli Ukraińcy. Rosyjscy generałowie – być może ze względu na historyczne sentymenty – chcieli wygrać bitwę za wszelką cenę, dlatego ściągnęli z całego rozciągniętego aż do Zaporozża frontu wszelkie możliwe rezerwy. I popełnili błąd, wywiad wojsk sprzymierzonych dostrzegł bowiem poważne osłabienie sił przeciwnika w rejonie Karliwki. Uderzenie w to miejsce dawało szansę na wyjście na tyły nieprzyjacielskiego zgrupowania walczącego pod Połtawą. Do natarcia ruszył ukraiński korpus pancerny wyposażony w przestarzałe PT-91, ale za to liczne i obsadzone przez bardzo zdeterminowane załogi. Ukraińscy żołnierze wiedzieli, że to bitwa ostatecznej szansy, i bili się z zaciętością, która Rosjan wyraźnie zaskoczyła. Nacierający stracili co prawda połowę czołgów, ale przeszli, otwierając wyrwę dla odwodowych sił polskich i węgierskich, które uderzyły na tyły przeciwnika. W tym momencie kontynuowanie starcia pod Połtawą straciło sens i M'Beki (oraz widzowie na całym świecie) zobaczyli stada armat uciekających przed ścigającymi je conceptami. Odwrót, początkowo jeszcze zorganizowany, szybko zamienił się w paniczną ucieczkę rosyjskich wojsk, które opuściły okupowane terytoria i schroniły się za linią graniczną.

To zwycięstwo umocniło sojusz, choć kosztowało wiele krwi: Polacy

stracili prawie dwieście conceptów, zginęło i zostało rannych blisko dwa tysiące żołnierzy, nie tylko z załóg czołgowych, ale także z mobilnych przeciwpancernych rubieży zaporowych, również Węgrzy i Ukraińcy ponieśli duże straty. Niemniej jednak dla międzynarodowych obserwatorów było jasne, że strategicznym zwycięzcą jest Wyszehrad: nie dopuszczono do rozbicia przymierza i ocalono niepodległość Ukrainy. A widzowie na całym świecie zobaczyli uciekających w panice rosyjskich żołnierzy – lub rzucających broń i oddających się do niewoli. Był to potężny cios, nie tylko militarny, lecz także wizerunkowy, który zachwiał neocaratem Mieńszikowa i okazał się znacznie bardziej dotkliwy prestiżowo niż utrata Królewca. Komentatorzy śledzący rozwój sytuacji nie mieli wątpliwości, że Rosję czeka okres niestabilności i chaosu. Kremlowskie buldogi szykowały się do walki o władzę, bo kariera kolejnego dożywotniego prezydenta najwyraźniej nie miała potrwać zbyt długo.

Kiedy stało się jasne, że druga bitwa pod Połtawą dobiegła końca, M'Beki, który akurat miał wolne od służby, poszedł z kolegami do kantyny, gdzie z okazji zwycięstwa rozdysponowywano znakomite miejscowe piwo, dar mieszkańców Królewca. Właśnie smakował drugi kufel, myśląc z sympatią o trzecim, kiedy do namiotu wszedł porucznik Borecki. Skinął na Aleksandra, wywołując go na zewnątrz.

– Przyszły nowe rozkazy, nasza kompania zostanie rozformowana – powiedział mu. – Na mój nos góra szykuje coś grubszego... Przydział dla ciebie już przyszedł, jutro rano jedziesz do Warszawy. Dostaniesz się do zupełnie nowej eksperymentalnej jednostki wdrażającej Tytana 2... Potraktuj to jako wyróżnienie.

Poklepał go przyjacielsko po plecach i oddalił się w kierunku namiotu, gdzie mieściło się kasyno. Wieść żołnierska niosła, że wdzięczni za mężną obronę tuziemcy ofiarowali szarżom beczkę whisky marynowanej przez piętnaście lat w walijskim błocie.

M'Beki wrócił do namiotu i klapnął na ławie obok Orszkiledzego. Ormianin podsunął mu pod nos kufel.

– Coś taki smutny? Przecież wygraliśmy!

Nie odpowiadał, cały czas myśląc o tym, co mu powiedział porucznik.

– No co, czerpnij sobie. To jasne królewskie jest naprawdę niezłe.

Aleksander sapnął z irytacją, sięgnął po kufel i wychylił go duszkiem. Kiedy skończył, beknął donośnie i otarł usta. „Ormiaszka” popatrzył na niego z uznaniem.

– Wot, diejstwitielnyj gieroj!

Aleksander odetchnął głęboko i pokręcił przecząco głową.

– Nie, kolego, bohatera to oni, kurwa, chcą ze mnie dopiero zrobić! Jest jeszcze jakieś piwo?

*

Miał tego wszystkiego dosyć. Egzoszkielec Tytana 2 był jeszcze gorzej dopasowany niż Tytan 1, w krok wszyto jakąś listwę, która teraz się obluzowała, i M'Beki z każdym ruchem nabierał przekonania, że lada moment obetnie mu jaja. Nafaszerowany elektroniką hełm ważył prawie cztery kilogramy, tak jakby miał go nosić jakiś golem, a nie normalny człowiek. Na dodatek był ewidentnie za duży, co rusz opadał i okularowa przyłbica boleśnie gniotła go w nasadę nosa. Kevlarowe płyty pancerza chrzęściły nieprzyjemnie i nie wydawały się tak elastyczne, jak zapewniał producent. Ale przynajmniej zatrzymywały większość pocisków, co Aleksander sprawdził z kolegami jeszcze w koszarach.

Tamci strzelali, na szczęście niecelnie, bo za wysoko. Kule gwizdały mu nad głową lub waliły w fasadę kamienicy, pod której murem się przyczaił. Rykoszety i odłamki tynku bębniły mu po hełmie i pancerzu, w nosie drapał go kurz i bał się, że zaraz się rozkicha.

Jego drużyna prowadziła natarcie wzdłuż ulicy Orzeszkowej łączącej się na tym odcinku – jak go informowała wyświetlona na displayu przyłbicy mapa – z wielkim placem imienia wodza rewolucji październikowej, co zaznaczał stosowny pomnik w stylu starosowieckim. Reszta drużyny wsiąkała w duży park po lewej, o mocno przetrzebionym drzewostanie, usiłując obejść tarasującą ulicę barykadę, ale przeciwnik to przewidział i rozmieścił na skrzyżowaniach ogrodowych alejek gniazda karabinów maszynowych. Żołnierze zalegli pod ogniem i trwała tam teraz niezła pukanina.

Kapral Aleksander M'Beki spojrział przez dalmierz karabinu na barykadę. Strielcy Tarasienki nie popisali się, po prostu wytaszczyli z okolicznych domów co popadło: tapczany, komody, szafy, krzesła, i wszystko to zwalili na bruk parę metrów za skrzyżowaniem, tuż za mostkiem, byle jak, bez ładu i składu. Z drugiej strony nie mieli zbyt dużo czasu na finezyjne konstrukcje, wojna zaczęła się w końcu dopiero przed niespełną godziną, kiedy kompania M'Bekiego przekroczyła granicę. Z meblowego chaosu sterczało kilka luf, w tym jedna kaemu 12.7, ale chciał dokładnie wiedzieć, ilu ich tam jest i czym dysponują. Przełączył display hełmu na obraz z jednego z unoszących się nad Grodnem pteroxów – zrobił zbliżenie na barykadę, ale nic nie

zobaczył, bo strielcy, doskonale świadomi, że są obserwowani przez drony, przykryli się od góry wielkimi płachtami folii metalowej zupełnie nieprzenikliwymi dla kamer i skanerów.

Sapnął z irytacją i wezwał swojego dwójkowego, starszego szeregowca Władysława Nguyêñ Giápa (zwanego Gapą może dlatego, że urodził się na warszawskim Bródnie), którego modułowy karabin był wyposażony w granatnik. Żołnierz przyczał się na placu, bezpiecznie ukryty za cokołem wysokiego pomnika przedstawiającego wodza światowego proletariatu w surducie z ręką założoną na piersi, jakby z cierpliwością godną filozofa oczekiwał na kolejny obrót dziejów.

– Gapa, rusz dupę zza tego cokołu – syknął M’Beki. – Widzisz ich? Może dasz radę przywalić w te meble z granatnika i będzie po sprawie?

Zanim Wietnamiec zdążył mu odpowiedzieć, włączył się ich nadwizor, sierżant Katelbach, i zagulgotał:

– Ani mi się ważcie! Sto metrów za barykadą jest dom Orzeszkowej. Mamy go w wykazie obiektów szczególnie chronionych, choć to sowiecka podróbka. Granat to za dużo, możecie uszkodzić elewację.

Aleksander z trudem powstrzymał się, aby nie zgrzytnąć zębami. Cholerny Serafin, a tak liczył, że po unitarce więcej bydlaka na oczy nie zobaczy. Ale z jego pechem oczywiście musiał znowu trafić na Katelbacha. O mało go szlag nie trafił, gdy przyuważył skurwiela na pierwszej zbiórce oddziału stojącego obok dowódcy.

– To my tu przyjechaliśmy na wojnę czy na zwiedzanie? – warknął.

Kat jednak miał jak zwykle gdzieś, co Aleksander sądzi o takich rozkazach. Cholerny zupak, bardzo chciał zostać trepem z gwiazdkami. To znaczy oficerem.

– Nie filozofujcie, kapralu – rzucił. – Mamy zdobyć to miasto, a nie obrócić je w perzynę. A ty, Gapa, nie strzelaj, dopóki się nie przemieścisz. Ci na barykadzie pewnie mają pepanca, jakby przywalili, to mogliby rozpieprzyć ten pomnik. A generał Zarakowski ma na niego jakieś widoki.

A ty, sztabowa gnido, jesteś od tego, aby spełniać jego zachcianki, pomyślał ze złością M’Beki. Sierżant był znany z tego, że włąził dowództwu w dupę bez mydła.

– Ten Lenin jest jakiś dziwny – powiedział Gapa, przesyłając im zarazem obraz z kamery hełmu. – Wąsaty, a powinien mieć brodę.

– Bo to nie Lenin, ale Łukaszenka – zaśmiał się Katelbach. – Nie słyszeliście o tym? Na całej Białorusi kazał powymieniać Leninom głowy na swoją. Zupełnie jak jakiś rzymski cesarz. Po sztabie chodzą plotki, że generał chce

go sobie postawić na działce, żeby miał do kogo przepijać przy grillu.

W słuchawkach chrupnęło i usłyszeli głos kapitana Bińczyka. Jak zwykle mało przyjemny.

– To wojsko czy klub dyskusyjny? – rzucił cierpko. – Opóźniacie natarcie, inne drużyny opanowały już swoje rejony. Ruszcie do przodu. Kapralu M'Beki, posyłam wsparcie. Macie dwie i pół minuty opóźnienia.

Na obrazie z tylnej kamery zobaczył „mrówkojada”, czyli Bojowy Wóz Zwiadowczo-Artyleryjski wyposażony w moździerz 102 mm oraz, co w tej sytuacji było bardziej przydatne, działko 20 mm. Walcowaty automat, rzeczywiście z wysuniętą i opuszczoną teraz rurą moździerza przypominający mrówkojada, z chrzęstem gąsienic potoczył się do przodu, minął stanowisko M'Bekiego i stanął. Otworzył boczną klapę i wypuścił rój mikrodronek niewiele większych od trzmieli. Wzniosły się z bzykiem nad ulicę i popłynęły chmarą w kierunku barykady. Ale strielcy byli na to przygotowani – ledwo drony zaczęły się rozpraszać i przekazywać pierwsze obrazy, od strony barykady padło kilka strzałów z dubeltówki i większość z nich opadła na ziemię. Świetnie w walce z takim elektronicznym drobiazgiem sprawdzały się śrutowe naboje na drobne ptactwo. Pozostałe „trzmiele” rozproszyły się, aby uniknąć zestrzelenia. A oni ciągle nie wiedzieli, ilu ludzi Tarasienki siedzi na tej barykadzie i czym dysponują, poza dubeltówkami oczywiście.

Operator „mrówkojada” uznał najwidoczniej, że dosyć tego dobrego, bo wpakował w barykadę długą serię z działka, wzbijając chmurę drzazg i kurzu z przestrzeliwanych kanap. Wóz ruszył do przodu, M'Beki poderwał się i pobiegł za nim, pochylony, wykorzystując pojazd jako osłonę. O pancierz zabębniły kule, widocznie jacyś strielcy przeżyli kanonadę z działka. M'Beki miał na podglądzie obraz z krążącego nad ulicą pteroxa, ale niewiele mu z tego przyszło, bo tamci odpalili świece dymne, i widział tylko jakieś postacie miotające się w burych kłębach. Automat wciąż strzelał i parł do przodu, operator poinformował go, że zamierza staranować resztki barykady. Gapa odkleił się wreszcie od cokołu i rozpoczął ostrzał ze skrzydła, niepotrzebnie, bo strielcy najwyraźniej mieli już dosyć i dawali nogę.

To musiała być co najmniej dwudziestokilogramowa mina przeciwczołgowa. „Mrówkojad” przedzierał się przez resztki barykady, kiedy zatrzęsała się ziemia i dwutonowy pojazd wystrzelił w górę w słupie dymu i ognia. Aleksander znajdował się wtedy w odległości jakichś piętnastu metrów – porównywał właśnie widoczny po prawej biały parterowy budynek z fotą, którą przysłał mu Kat, wciąż zatroskany o domek Orzeszkowej. Fala uderzeniowa rzuciła go w tył, uderzył plecami w latarnię, kevlarowe płyty

pancerza trzasnęły ostro jak łamane szkło. Odbił się od żelaznego słupa i poleciał przed siebie, gubiąc karabin. Wpadł przez jakieś drzwi, z całej siły walnął hełmem o niską futrynę, chrupnęła zgniatana kamera, a on opadł na kolana i runął przed siebie, na twarz, w czarną studnię pełną migotliwych iskier...

– ...duszeńka, eto nawierniaka amierikaniec – powiedział jakiś niski i zachrypnięty głos. – Ani tam w armii Niegrow imiejut. Nu i ładna, mozet byt’ w Amieriku wkljuczat nas.

M’Beki czuł na twarzy coś mokrego, a w ustach coś ostrego. Znał ten smak, kojarzył mu się ze starą baczówką na Hali Gąsienicowej, gdzie za licealnych czasów pił z miejscowymi bimber pod oscypki. Ten też był niezły. Przełknął i powoli otworzył oczy.

Póleżał, oparty o wypchany czymś miękkim wór, w obskurnym korytarzu. Pochylał się nad nim nieogolony kędzierzawy osobnik w kraciastej koszuli. W dłoni trzymał butelkę z mętnym płynem. To z niej polewał twarz Aleksandra. Za mężczyzną stała blondynka z wyraźną nadwagą i zaglądała mu przez ramię. Kiedy zobaczyła, że żołnierz się ocknął, zakryła usta ręką i zniknęła.

Tubylec chrząknął i powiedział przeprasającym tonem:

– Wada zakonczyłaś, truby suchyje, tri dnia, kak sakratili. Tolka samagona dastatoczna. A wy atkuda? Iz Nju Jorka, Waszingtona? Da nu, karocze, Arizona?

Podciągnął się i mimowolnie jęknął, bo po sponiewieranym przez latarnię kręgosłupie przebiegł prąd ognistego bólu. Oparł się wygodniej o worek i znieruchomiał. W ciemieniu napierdziałało go tak, jakby łeb miał mu się rozlecieć na ćwiartki. Pomacał się ostrożnie po czaszce i wyczuł na jej czubku potężnego guza. Nieźle musiał przydzwonić w tę framugę. Zobaczył, że obok worka leży jego hełm – a raczej to, co z niego zostało. Kamerę zmiotło na amen, podobnie jak noktowizor, zewnętrzne zapasowe ogniwo, antenę i parę innych ustrojstw, które konstruktorzy zamontowali na tym garnku. Szyba przyłbicy pękła i ekran szlag trafił. Nie świeciła się żadna kontrolka. Co miało tę dobrą stronę, że wodzowie nie wiedzieli, gdzie jest kapral M’Beki. Zwłaszcza że walki wcale nie wygasły, do korytarza nadal dobiegał nieregularny grzechot wystrzałów. Błyskawiczna ofensywa generała Zarakowskiego wciąż trwała, tyle że front wyraźnie przesunął się... gdzieś tam. Z drugiej strony bez tego nafaszerowanego elektroniką garnka czuł się bezradny jak niemowlę.

Zerknął ostrożnie na boki – leżał w wąskim korytarzu naprzeciwko

przedsionka klatki schodowej w jakiejś bardzo wiekowej kamienicy, o czym świadczył tynk zżarty przez pleśń. Na prawo widział resztki drzwi wiszące na zawiasach, to pewnie przez nie wleciał tu z ulicy. Po lewej korytarz wychodził na podwórko zarośnięte bujną trawą. Grzebała w niej w poszukiwaniu jedzenia różowa świnka niespecjalnie przejęta wystrzałami.

Kędzierzawy kucnął obok niego i zaproponował lufę z gwinta. Aleksander pomyślał, że chętnie przypomni sobie studenckie czasy, poza tym potrzebował znieczulenia. Pociągnął zdrowo, domowa wódka przyjemnie paliła w gardle, a i łupanie w ciemieniu jakby się zmniejszyło.

– Tak, atkuda wy? – Tamten nie dawał za wygraną. – Razwie iz Tiechasa?

– Z Warszawy – odparł M’Beki.

Facet wyglądał na rozczarowanego.

Aleksander pociągnął jeszcze raz z butelki i ból prawie ustał.

– S Polszy? Niegr?

– A bo co? Matka była z domu Kwiatkowska, jak chcesz wiedzieć – powiedział, pokazując na ramieniu biało-czerwoną naszywkę, rzeczywiście słabo rozpoznawalną, bo mocno zabrudzoną.

Mężczyzna patrzył przed siebie i kręcił w zadumie głową.

– To znaczy się co – odezwał się po polsku. – To teraz będzie tu znowu Polska? Tak jak przed tamtą wojną?

M’Beki ponownie obmacał sobie czaszkę. Odniósł wrażenie, że guz na ciemieniu jest jeszcze większy. Musiał się obluzować moduł kompa, mówił zbrojmistrzowi, że jego garnek jest trefny i żeby dał mu nowy, ale stary kutas go nie lubił, jak zresztą wszystkich kolorowych, i nie wymienił. Teraz będzie musiał, jak mu przyniesie ten szmelc.

– Nie sędę – odpowiedział. – Raczej Białoruś.

Kędzierzawy sięgnął po butelkę, którą M’Beki postawił u swoich stóp, i pociągnął słuszny łyk. Nie wyglądał na specjalnie uradowanego.



– Białoruś to my już mieli, każdy bat’ko ją obiecywał, i stary Łukaszka, i jego syn, Mikołajka, i Tarasienko...

W tym momencie ktoś pchnął resztki drzwi prowadzących na ulicę i do korytarza wleciał brzęczący „trzmieł”, a po chwili pojawił się Gapa. Gdy kamery pokazały leżącego kaprala, Wietnamiec powiedział coś do mikrofonu, a potem znieruchomiał, pilnie nasłuchując napływających komunikatów. To pewnie dowódcy cieszyli się z odnalezienia zguby. Kędzierzawy przyglądał mu się ze zdumieniem.

– To i Kitajców macie w tej Polsce? – zawołał.

Gapa zignorował go i podszedł do leżącego wciąż na worku M’Bekiego.

– Kontuzjowany, przysłać wsparcie medyczne – rzucił do mikrofonu.

Tym razem chyba nie było komentarza. Dobrze, wodzowie się odczepili i udali na inne pola chwały.

– Prawie po wojence, bronią się jeszcze tylko w rejonie dworca, to już długo nie potrwa, Grodno nasze – powiedział do niezbyt ciekawego rozwoju sytuacji kaprała, po czym odwrócił się do tubylca i wyjaśnił: – Nie jestem żadnym Chińczykiem, tylko Polakiem. Z Warszawy – podkreślił.

– No pewnie, Polak zaiste arcyprawdziwy – warknął M’Beki, którego znowu zaczęło łupać w głowie. – Ojciec z Danang, a matka z Sajgonu. Słowianie jak się patrzy...

Tubylec patrzył to na jednego, to na drugiego, i po jego minie było widać, że nic a nic nie rozumie.

– Pewnie ty, Polaku z Gabonu, znasz się na tym naj... – zaczął Gapa, ale przerwał, bo w korytarzu zamiast sanitariuszy pojawił się sierżant Katelbach.

Miał podniesioną przyłbicę, a jego marsowe i prawie już oficerskie oblicze zwiastowało kłopoty.

– Beka, ty mnie jeszcze nie znasz, ale mnie poznasz... Wiesz, co zostało z domu Orzeszkowej po tej minie? Elewacja podziurawiona odłamkami jak rzeszoto. Kto, do cholery, kazał ci się tam pchać bez saperów!?

M’Beki zamknął oczy i udał, że zemdłał. Kiedy sanitariusze wynosili go na ulicę, słyszał jeszcze, jak Gapa tłumaczy sierżantowi, że domku wieszczki oczywiście szkoda, ale przecież się go wyremontuje...

*

Sidorski wykorzystał drobny z pozoru incydent graniczny w okolicach Grodna do zaprowadzenia porządku na Białorusi, całkowicie zawłaszczonej przez watażków pokroju Tarasienki, nad którymi Moskwa od pewnego czasu utraciła kontrolę. Oficjalnym pretekstem wkroczenia był „całkowity rozkład i upadek państwa” oraz chęć „wzięcia pod opiekę miejscowej ludności, jej życia i mienia” – zupełnie świadomie prawie dosłownie cytował w orędziu tłumaczącym powody interwencji frazy z noty rządu sowieckiego motywującej wkroczenie Armii Czerwonej do Polski 17 września 1939 roku. W oświadczeniu podkreślono, że ani Rzeczpospolita, ani Wyszehrad nigdy nie uznały aneksji Białorusi przez Rosję, w związku z czym status i przyszłość tego kraju uważają za kwestię otwartą.

Oddziały Zarakowskiego po opanowaniu zachodnich obwodów parły w kierunku Mińska, pokonując ten dystans w tempie szybszym niż swego czasu hitlerowcy. Drogę torowały mu grupy dywersyjne (które Polacy szkolili od dawna) i jednostki sił specjalnych desantowane przed nacierającymi wojskami.

Miasto stołeczne zostało opanowane przez prowyszehradzkich powstańców (w moskiewskich mediach: „sługusy polsko-amerykańskiego imperializmu”) w sześćdziesięciu procentach. Szczególnie ważne było zdobycie lotniska z pomocą polskich komandosów, których znaczne oddziały zdołały przeniknąć do Mińska. Dzięki temu – jeszcze przed przybyciem żołnierzy Zarakowskiego – udało się stworzyć most powietrzny i przetransportować herculesami dwa bataliony conceptów, które natychmiast ruszyły w kierunku Witebska i Orszy.

Moskwa rzecz jasna nie przyglądała się biernie rozwojowi wypadków, bo przecież teoretycznie – choć nie de facto – chodziło o jej terytorium, tak przynajmniej uważała, blokując w Radzie Bezpieczeństwa rezolucje potępiające aneksję w końcu członka ONZ. Ogłoszono alarm i stacjonujący w Smoleńsku rosyjski korpus pancerny ruszył w stronę byłej białoruskiej granicy. Na Kremlu uświadomiono sobie, że lada moment Polacy staną u wrót Matuszki Rosji i sytuacja wróci do tej z XVII wieku. Uderzono w wielkie patriotyczne dzwony, krzyżąc o „nowych interwentach” i „krwiożerczych Białopolakach”.

Do spotkania obu armii doszło kilkanaście kilometrów na wschód od Witebska, po białoruskiej stronie granicy, którą armaty przekroczyły niespełna dobę po rozpoczęciu operacji „Powrót” (bo taki kryptonim nadał Sidorski akcji wyzwolenia Białorusi). Oba zgrupowania – z jednej strony masa czołgów wspieranych przez działa samobieżne i armatohaubice, z drugiej – cienka linia conceptów wspomaganych przez kilka jednostek desantowych i helikoptery bojowe. Rosjanie mieli sześciokrotną przewagę w sprzęcie pancernym (siły Zarakowskiego miały do przebycia jeszcze prawie sto sześćdziesiąt kilometrów), za to Polacy mocne wsparcie z powietrza, bo wyszehradzkie lotnictwo przejęło całkowitą kontrolę nad białoruskim niebem, wygrywając starcie z rosyjskimi myśliwcami, zarówno samolotami, jak i dronami. Tutaj jakość sprzętu i poziom wyszkolenia załóg okazały się ważniejsze od ilości. Dlatego zapewne Rosjanie się zawahali, zatrzymali czołgi bez próby przełamania frontu i wezwali posiłki. Liczyli na jednostki, które mogły przybyć z Wiaźmy.

Co prawda nigdy tego oficjalnie nie potwierdzono, ale dowódcy polski

i rosyjski nawiązali kontakt na jednym z zastrzeżonych kanałów. Można powiedzieć, że się już znali, bo obaj walczyli pod Połtawą. Ich rozmowa podobno wyglądała mniej więcej tak:

– Cześć, Iwan. Nie uważasz, że powinieneś wrócić do domu?

Rosjanin zgrzytnął zębami.

– A to mi się Paliacziszka jeden znalazł! To wy wracajcie! Inaczej żywa noga stąd nie ujdzie.

Polak roześmiał się serdecznie.

– Tak jak pod Połtawą? Dobrze ci radzę, zaktualizuj dane i przemyśl to. Może i nas przełamiesz, ale jakim kosztem? I co dalej?

Rosjanin oczywiście aktualizował dane na bieżąco. I wiedział, że do conceptów dołączyło wsparcie helikopterowe, blacksharki wyposażone w doskonałe rakiety przeciwpancerne. Poza tym niebo nad wschodnią Białorusią zrobiło się wręcz czarne od wyszehradzkich samolotów i dronów, bo prócz eskadr polskich pojawiły się ukraińskie, węgierskie i czeskie. Nawet gdyby rozerwał cienką linię kilkudziesięciu polskich conceptów, czekało go kontruderzenie z powietrza, a były jeszcze wojska Zarakowskiego, które pręły ku granicy bez przeszkód, bo ostatnie oddziały „wielkich książąt” poszły w rozsypkę. Zamiast jednej stoczyćby zatem trzy bitwy. Szaleńczo przechyliła wiadomość od dowódcy sił stacjonujących w Wiaźmie, że przybędzie ze wsparciem najwcześniej za dwanaście godzin. Co najmniej o osiem za późno.

Rosyjski dowódca wydał podległym oddziałom rozkaz powrotu za linię graniczną, po czym połączył się ze swoim polskim odpowiednikiem.

– No cóż, panie Polak... tym razem twoje na wierzchu, ale, tak myślę, jeszcze się spotkamy.

Człowiek po drugiej stronie sapnął z satysfakcją.

– Hmm, chętnie wpadnę do Smoleńska na wódkę... Wiesz, że on kiedyś należał do Rzeczypospolitej?

Na tym rozmowa się urwała, a rosyjskie czołgi zaczęły opuszczać pozycje. Za nimi ruszyły concepty ubezpieczone przez lotnictwo i helikoptery. Po osiągnięciu linii granicznej stanęły, czekając na żołnierzy Zarakowskiego. Operacja „Powrót” dobiegła końca.

Rosyjskie media w reakcji na wieści z frontu wpadły w histerię, krzycząc o „Polakach odbudowujących Wielką Rzeczpospolitą” lub o brutalnym i bezprawnym „zaborze bratniej Białorusi”. Komentatorzy zastanawiali się, czy to rzeczywiście koniec działań zbrojnych, przypominając, że w XV wieku granica wspólnego państwa polsko-litewskiego przebiegała sto kilometrów na zachód od Moskwy. Spanikowani Rosjanie, przekonani, że Sidorski lada

moment nakaze generalną ofensywę na wschód, rzucili się do sklepów po żywność. Powszechnie obawiano się koszmaru gorszego niż wielka wojna ojczyźniana.

Niepotrzebnie. Sidorski niczego podobnego nie planował, zadowolilo go przejęcie kontroli nad terytorium Białorusi. Nie miał jednak zamiaru wcielać tego kraju do Polski ani odtwarzać jakiejś mitycznej Wielkiej Rzeczypospolitej. Byłoby to sprzeczne zarówno z jego przekonaniem, jak i normami prawnymi Wyszehradu.

Restytucja Republiki Białoruskiej nastąpiła pół roku później. Na największym placu Mińska przyozdobionym biało-czerwono-białymi flagami, ze stojącym w równych szeregach pierwszym batalionem Narodowej Armii Białoruskiej, w obecności przywódców państw stron Traktatu Wyszehradzkiego, polski gubernator wojskowy uroczyście przekazał władzę tymczasowemu prezydentowi Sokratowi Janowiczowi, notabene absolwentowi Uniwersytetu Warszawskiego. Sidorski wygłosił do zgromadzonych – a tak naprawdę do wszystkich Białorusinów – porywające przemówienie, częściowo po białorusku. Obiecał wsparcie dla głębokich reform przeprowadzonych w duchu zasad wyszehradzkich, skończenie raz na zawsze z „mongolsko-moskiewską cywilizacją nikczemności, przemocy i pogardy”. Obiecał pomoc Polski i całego Wyszehradu w stworzeniu państwa prawa, wolności i poszanowania jednostki. „Jesteście ludźmi, a nie muzykami – przekonywał. – I zasługujecie na ludzkie traktowanie. Dość już wycierpieście. Macie prawo do życia w wolności i godności. Pomożemy wam”. Słuchający go Białorusini zrozumieli, że tak nie mówi mityczny Białopolak, którym byli straszni przez Rosjan – zwracał się do nich człowiek pełen empatii i współczucia. Nie chciał brać, lecz dawać. Gdyby Tarkowski mógł w grobie zaklaskać, z pewnością by to uczynił. Tego przecież chciał, „zbrojnego anioła”, który zmieni historię.

Sidorski nie rzucał słów na wiatr. Osobiście pilnował reform i wprowadzania wyszehradzkich standardów, co więcej, pomógł zorganizować nowe kadry administracyjne, które zastąpiły biurokrację jeszcze łukaszenkowskiego chowu. Przede wszystkim zachęcał do powrotu licznych białoruskich emigrantów – tych mieszkających w Polsce i w innych krajach, tłumacząc, że to właśnie oni, nieskażeni „mentalnością sowieckoruską”, jak się wyraził, powinni zbudować nową Białoruś. Odwoływał się do ich uczuć patriotycznych, ale też powołał specjalny fundusz, z którego wypłacał „stypendia” chętnym do powrotu. Musiał to zrobić, aby zaagitować do przyjazdu do kraju o zrujnowanej ekonomii i ze w znacznym stopniu

zdeprawowanym społeczeństwem. Białoruś – po epoce Łukaszenków i „wielkich książąt” – wymagała wręcz stworzenia od podstaw, jako państwo i społeczeństwo.

Gdy skończył porządkować sprawy białoruskie, pomógł Ukrainie odzyskać Krym i Chersones – dzięki czemu M’Beki został przez przypadek bohaterem. Ta klęska przypieczętowała los Mieńszikowa i doprowadziła do nowej i tym razem naprawdę głębokiej smuty. Rosja się rozpadła, na jej gruzach powstało kilka niezależnych organizmów państwowych. Jeden z nich, Wolne Państwo Rosyjskie ze stolicą w Petersburgu, zwrócił się do Wyszehradu z prośbą o przyjęcie w poczet członków... Putin znajdował się w stanie całkowitej demencji, dlatego została mu oszczędzona wiadomość, że rozpoczęta przez niego wielka gra o restytucję imperium carów dobiegła końca.

I wtedy, gdy już się wydawało, że wreszcie zapanuje tak wyczekiwany pokój, z południa Europy dobiegły pomruki nowego mocarstwa. Turcja, która zdominowała większość Bliskiego Wschodu, znalazła się u szczytu potęgi, zamarzyła o odtworzeniu imperium osmańskiego i zamierzała ruszyć w głąb Bałkanów.

Ale na drodze stał Wyszehrad.

*

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Rzeczpospolita, sterowana żelazną ręką Kierownika, przeżywała okres spektakularnej prosperity. Głównie za amerykańskie pieniądze – USA, coraz bardziej zaniepokojone aktywnością krajów azjatyckich, którym przewodziła Japonia, praktycznie wycofały się z Europy. Nie do końca jednak, bowiem rolę regionalnego żandarma powierzyły Polsce, co Sidorski skwapliwie wykorzystał, wciąż domagając się kasy na zbrojenia. Jankesi płacili i dostarczali technologii, uważając, że skórka warta jest wyprawki – zmuszeni do rozbudowy potencjału na Pacyfiku nie mogli trzymać swoich wojsk w Europie, a zarazem potrzebny był im tu spokój. Ustanowiony w Wyszehradzie porządek gwarantował, że nie będą musieli na Stary Kontynent przysyłać marines.

Sidorski postępował bardzo roztropnie, używając kapitału zza oceanu przede wszystkim do rozwoju własnego przemysłu i badań. Amerykanie dawali pieniądze, ale Polacy zbroili się sami, rozkręcając krajową produkcję i wprowadzając innowacje. Koniunktura w zbrojeniach pozytywnie wpływała na gospodarkę cywilną, sporo wynalazków wojskowych znalazło także inne, niemilitarne zastosowanie. Inkubatory innowacji, zwane popularnie

edisonami, powstawały jak grzyby po deszczu, korzystając ze wsparcia państwa i wytwarzając coraz ciekawszą i konkurencyjną w stosunku do światowych osiągnięć ofertę. Po raz pierwszy od czasów renesansu do Polski ruszyły tłumy naukowców z zagranicy, aby się czegoś dowiedzieć o nowych materiałach czy technologiach. Towarzyszyło temu otwarcie Polski na imigrację, także z egzotycznych krajów; pojawiło się też nowe zjawisko – co prawda starzy emigranci, którzy osiedlili się na Zachodzie tuż po otwarciu granic, do ojczystego kraju nie chcieli wracać, za to chętnie powracały ich dzieci i wnuki, zniechęcone stagnacją panującą w starej UE. Jak tłumaczyli ci „reemigranci”, przyjeżdżali, bo w „Polsce dzieje się historia”. Ale działał się również biznes. Wdrożone na początku rządów Sidorskiego reformy edukacyjne dały wreszcie rezultaty i bezrobocie spadło do trzech procent, czyli pracowali wszyscy, którzy chcieli.

M'Beki w tym okresie przebywał w Warszawie, studiował w Akademii Sztabu Generalnego przekształconej później w wyszehradzką Główną Szkołę Wojskową. Prosperity była widoczna gołym okiem, w centrum miasta praktycznie każdy wolny plac zabudowano wieżowcami, co więcej, rozbierano stare wysokościowce, aby postawić nowe, większe i wyższe. Dzielnice śródmiejskie zaczynały przypominać Manhattan – apogeum budowlane nastąpiło w roku 2028, kiedy Sidorski pozwolił na rozebranie Pałacu Kultury i Nauki. Aleksander świetnie pamiętał, jaka przy tej okazji wybuchła międzynarodowa awantura, bo Kierownik, z właściwym sobie poczuciem humoru, nakazał oddać „dar” narodu radzieckiego jego sukcesorowi, czyli narodowi rosyjskiemu. Materiały z rozbiórki wysłano do Gdyni i załadowano na dwa masowce, które wypłynęły w stronę Sankt Petersburga. Równocześnie zapytano oficjalnie Kreml (rządził jeszcze Mieńszikow), gdzie życzy sobie, aby wyładować rozłożony na czynniki pierwsze stalinowski drapacz chmur. Ponieważ odpowiedzią było wzgardliwe milczenie, masowce rozładowano na morzu, w Zatoce Fińskiej, na granicy rosyjskich wód terytorialnych. „Dar narodu radzieckiego” spoczął w odmętach, obok resztek gazociągu północnego, którym od kilku lat nie płynął już gaz.

Na miejscu rozebranego obiektu wybudowano dwie prawie dwustumetrowe bliźniacze wieże, dość znacznie odchylone od pionu – i gdy się patrzyło na nie od zachodu lub wschodu, tworzyły wyraźną literę „V” połączoną świetlistym łukiem triumfalnym. Zarówno w Moskwie, jak i w Berlinie aluzję zrozumiano. Rzecz jasna w mediach obu krajów wyzłośliwiano się do woli, pisząc o „amerykańskich kompleksach Polaków”.

Drugim wielkim osiągnięciem Sidorskiego było przełamanie kryzysu demograficznego i zapoczątkowanie – już w połowie lat dwudziestych – spektakularnego baby boomu. Od początku rządów przykładął wielką wagę do polityki prorodzinnej, uważając przy tym, że do puli muszą się dołożyć przedsiębiorcy. Wprowadził wiele zachęt mających pomóc w zatrudnianiu młodych matek, dorzucał z budżetu do zakładowych żłobków. Wszedł też w tony patriotyczne, stwierdzając publicznie, że miarą wiary Polaków w Polskę powinna być liczba posiadanych dzieci, bo „potomstwa nie chcą mieć ci, którzy w nią nie wierzą”. Początkowo te starania nie dawały specjalnych rezultatów, zwłaszcza przedsiębiorcy okazali się oporni i nie palili się do inwestowania w przyszłość narodu. Kiedy Sidorski dowiedział się o pewnym biznesmenie, który zwolnił trzy ciężarne kobiety za to, że ośmieliły się zajść, po prostu się wściekł. Na jego bezpośredni rozkaz policja wywlokła nieszczęśnika bladym świtem z domu i w piżamie dostarczyła do Belwederu, gdzie Kierownik przy transmitujących zdarzenie kamerach udzielił mężczyźnie lekcji patriotyzmu, pytając go bez ogródek: „Dlaczego nasza święta ziemia wciąż toleruje taką szmatę jak ty?”. Biedak wybuchnął płaczem, padł na kolana i podejmując Sidorskiego pod nogi, obiecał solenną poprawę. „Idź i nie grzesz więcej – usłyszał od Naczelnika, który dodał, patrząc surowo prosto w kamerę: – I wy także”.

Co prawda moralisci sarkali na taki sposób reedukacji, ale przekaz został błyskawicznie zrozumiany i na stronach działających w Polsce firm pojawiły się przechwałki na temat tego, ile to zatrudnia się u nich ciężarnych i młodych matek, jaki fantastyczny mają socjal, opatrzone fotkami luksusowo wyposażonych przyzakładowych żłobków. Kierownik wreszcie był zadowolony.

Tym bardziej że dzietność zaczęła wreszcie rosnąć, na co wpływ miała poprawiająca się stale sytuacja gospodarcza. Ze stanu zupełnej katastrofy – 0,9 w 2021 roku – wzrosła do 1,4 w 2025, systematycznie się poprawiając aż do szczytowego 3,2 w 2031. Pojawiło się zupełnie nowe zjawisko, swoista moda na Polskę wśród młodych kobiet z Europy, zarówno Wschodniej, jak i Zachodniej. Odrodzona przez Sidorskiego Rzeczpospolita zaczęła uchodzić za modelowy kraj do życia, a Polacy – za ludzi sukcesu, którzy handlują, pracują, walczą i rządzą połową kontynentu. A może wkrótce całym? Cudzoziemki wręcz polowały na tubylców i z wielką ochotą zachodziły z nimi w ciążę, szczycąc się tytułem Matki Polki. Widmo biologicznej degradacji narodu, niczym miecz Damoklesa wiszące na Polakami od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, wydawało się oddalać.

Ciekawe rzeczy zaczęły się dziać w kulturze. Rzecz jasna po pierwszych sukcesach militarnych pojawiła się cała seria filmów i powieści sławiących wojsko i trud żołnierski, ale w większości nie były to dzieła zbyt udane, nadto propagandowe. Środowiska lewackie próbowały lansować ostentacyjny pacyfizm, lecz nie miał on specjalnego wzięcia, pewnie dlatego, że twórczość antywojenna najlepiej sprzedaje się wśród przegranych. Na kształt kultury w istotny sposób wpłynęła książka Tarkowskiego – teraz autora czytanego i powszechnie fetowanego, zwłaszcza przez całkiem niedawnych krytyków i natrząsaczy. Wyśmiewany jeszcze parę lat temu neomesjanizm stał się poważnym, wręcz dominującym nurtem w literaturze i sztuce, a wielu poważnych myślicieli pisało sążniste dzieła poświęcone Projektowi „Jagiellonia 2.0”, niektórzy przeszli przy tym z pozycji fatalistycznych na tryumfalistyczne. Powszechnie się zastanawiano, czym się skończy ta wielka przygoda Polaków z historią. Niejako w kontrze do utworów zachwyconych nową polską mocarstwowością powstał całkiem silny nurt tak zwanych pierdolników, których główną myślą było głębokie przekonanie, że „przecież to lada chwila musi pierdolnąć”.

„Panowanie” Sidorskiego, jak pisały media, które nazywały go „królem elekcyjnym”, stanowiące pasmo sukcesów – acz niekiedy osiągniętych dzięki ryzykownym przedsięwzięciom – dobiegło kresu 5 maja 2035 roku. Naczelnik Państwa zmarł niespodziewanie (bo na nic się nie uskarżał) nad ranem we własnym łóżku na zator tętnicy płucnej. Przyjechała go pożegnać cała Europa, szefowie rządów i państw stali na trybunie honorowej ustawionej pod Victorią (bo tak nazywano podwójny wieżowiec postawiony na miejscu zdemontowanego Pałacu Kultury i Nauki), oddając hołd wielkiemu człowiekowi. M’Beki był tam oczywiście, podobnie jak setki tysięcy ludzi żegnających Naczelnika w jego ostatniej drodze do Świątyni Opatrzności Bożej.

Aleksander już wtedy zauważył, że stojący obok siebie turecki prezydent Halit Ergenç i niemiecki kanclerz Eckhard Riecke pozostają ze sobą w wielkiej konfidencji. To nie dziwiło, panowie mogli sobie nawet pogadać po turecku, matka Rieckiego pochodziła bowiem z Izmiru, choć on sam twierdził, że nie jest muzułmaninem. Obaj mężowie stanu nie wyglądali na szczególnie zmartwionych śmiercią przywódcy Wyszehradu.

Początkowo wydawało się, że to nagłe odejście Kierownika niczego nie zmieni. Sejm i Senat zaakceptowały jego wyrażone w testamencie życzenie, aby następcą na stanowisku Naczelnika Państwa został wieloletni premier Tadeusz Korzybski. Ten w wygłoszonym exposé zadeklarował utrzymanie się

linii wielkiego poprzednika. Pozornie kres epoki Sidorskiego nie zwiastował żadnych nadzwyczajnych wydarzeń. Panował pokój, życie toczyło się swoim torem, Wspólnota Wyszehradzka wydawała się kwitnąć, niezagrożona już przez podzieloną i pogrążoną w smucie Rosję, wskaźniki gospodarcze były kolejne rekordy. Niektórzy ludzie odczuwali jednak dziwny, niewytłumaczalny niepokój. Tak jakby przeczuwali, że Polska, pozbawiona politycznego geniuszu i żelaznej woli zmarłego, prędzej czy później wpłące się w poważne kłopoty.

Przeczenie ich nie myliło.

*

Sterczał na pokładzie chorwackiego niszczyciela stojącego na redzie w Pireusie i z niepokojem patrzył na widoczne na horyzoncie tureckie okręty. Co chwila podnosił do oczu lornetkę, a dalmierz nieodmiennie go informował, że okręty zbliżają się systematycznie – dwa średnich rozmiarów desantowce, cztery korwety i helikopterowiec plus sześć mniejszych jednostek wsparcia. Akurat tyle, żeby bez specjalnych kłopotów zająć Pireus.

Stojący obok niego przy relingu porucznik Branko Vukelić też z niepokojem patrzył na morze. Między portem a inwazyjną flotą znajdowały się tylko dwa chorwackie okręty – niszczyciel, na którym przebywali, i mniejszy patrolowiec. Turcy z pewnością pokładali się ze śmiechu, widząc tę ich „flotę”. Trzeba przyznać, że działali z rozmysłem i chytrze, bo kto mógł przewidzieć, że z grupy manewrowej ćwiczącej w rejonie Cypru w ciągu godziny sformują inwazyjną armadę? Jeszcze przed tygodniem Stambuł zapewniał przywódców Wyszehradu, że nie ma żadnych wrogich zamiarów wobec Grecji. Taaa, typowe tureckie gadanie, pomyślał M’Beki. Te tutaj okręciki to pewnie ich zdaniem wycieczkowce...

Chorwat trzymał w rękach tablet, na którym miał podgląd z radarów i okrętowych dronów krążących kilkaset metrów nad nimi.

– Zmieniają szyk... – powiedział. – Podpłyną jeszcze kilkanaście mil i zaczną ostrzał z korwet... No i są już AT-15...

Aleksander znowu podniósł lornetkę do oczu. Rzeczywiście, nad horyzontem pojawiło się kilkanaście – szesnaście, jak mu podliczył dalmierz – obłych punkcików. Najnowsze drony myśliwsko-bombardujące, owoc turecko-japońskiej koprodukcji. To one uderzą pierwsze i zmiotą chorwackie okręciki pierwszą salwą, korwety nawet nie będą się musiały fatygować... Kiedy o tym ponuro dumał, z lewej strony w pole widzenia wtargnęło osiem

punktów i zaczęło wyprawiać z atekami dziwaczny podniebny taniec.

– Są i wasze predatory C2, gepardy... ale mało... – dodał Vukelić.

– Bo te przyleciały pewnie z bazy w Papie, tam stacjonuje tylko jedna eskadra – odparł M'Beki i odetchnął z ulgą.

Wyszehrad przeszedł do kontrnatarcia. Już rano z baz na południu Albanii wyruszyły kolumny pancerne, ale dotarcie do Grecji zajmie im co najmniej dobę, nawet jeśli będą pędzić, ile fabryka dała pary w motorach. Bardziej należało liczyć na pokojowy kontyngent stacjonujący w Macedonii. Miał on na wyposażeniu magnusy, armatohaubice nowej generacji, kalibru 162 mm, o zasięgu do sześćdziesięciu kilometrów... One mogły nawiązać równorzędną walkę nawet z korwetami. Aleksander się zastanawiał, po kiego takie działa w siłach pokojowych, ale widocznie Szefowie Połączonych Sztabów Wyszehradu nie ufali tureckim deklaracjom. Prawdę mówiąc, nikt im nie ufał.

– O, i dwudziestkidwójki też są! – zawołał radośnie porucznik, pokazując widoczne gołym okiem dwie pary F-22, które nadleciały od zachodu, pewnie z bazy w Dubrowniku.

Samoloty lecące na niskim pułapie wykręciły nad portem w kierunku południowo-wschodnim i pomknęły w stronę tureckiej armady. Nad nią ciągle trwał owadzi taniec dronów – licznik lornetki odnotował stratę jednego predatora i trzech ateków. M'Beki uznał, że to całkiem znośne proporcje. Od razu też poczuł się lepiej, gdyż wiedział, że dopóki nie rozstrzygnie się pojedynki dronów, turecka flota dalej się nie posunie. Czyli jeszcze trochę pożyje, ponieważ nie zanosilo się na to, by wycofano ich okręt na bezpieczniejszą pozycję. No tak, Wyszehrad się nie cofa, pomyślał, czując, jak na grzbiecie cierpnie mu skóra. Takie teksty dobrze brzmiały w propagandowych hasłach, a na linii oznaczały, że żołnierz wali w gacie ze strachu. Bo znowu mu kazali zostać bohaterem.

Za nimi, od strony portu, coś stęknęło – głośno, metalicznie i zarazem głucho – raz, drugi i trzeci. Aleksander odetchnął z ulgą, tępe grzmoty brzmiały w jego uszach niczym najpiękniejsza muzyka. Przybył kontyngent z Macedonii razem z magnusami. Podniósł lornetkę do oczu. Tureckie okręty wystrzeliły pociski przechwytyjące i wysoko nad nimi pojawiły się białe obłoczki. Armatohaubice odpaliły kolejną salwę i tym razem obok jednej z korwet pojawił się grzybiasty gejzer wody. A potem jeszcze jeden, bo obsługi magnusów wstrzeliwały się coraz lepiej. Od strony Pireusu pojawiła się kolejna czwórka F-22, pewnie węgierskich, i turecka wycieczka do Attyki zaczęła wyglądać coraz ciekawiej.

Vukelić patrzył na swój tablet z uśmiechem.

– Wycofują się! – rzucił. – Korwety zmieniają kurs na południowy. Ciekawe, jak to wytłumaczą? Pewnie awarią GPS-u, który kazał im płynąć na niewłaściwy obszar manewrów.

Ale M'Bekiego tureckie wykręty nie interesowały. Obserwował przez lornetkę, jak ateki, które nagle przerwały śmiercionośny taniec z predatorami, odlatywały na południe, poprzedzając flotę. Z trudem docierało do niego, że tym razem wojny nie będzie.

A raczej: jeszcze nie tym razem.

*

Marsz Wyszehradu na południe zaczął się jeszcze za życia Sidorskiego.

Pod koniec lat dwudziestych do sojuszu przyłączyła się Chorwacja, która coraz gorzej radziła sobie w tym, co pozostało z UE. Niemcy, zniechęceni do krajów południa, przekształcali wspólnotę w rodzaj „ligi północnej” (kraje skandynawskie utworzyły równoległe Związek Nordycki). W 2032 roku zawarto nowy traktat europejski – do tej mocno okrojonej Unii należały tylko Niemcy, Francja, kraje Beneluksu, Irlandia i Austria – ta zresztą, przerażona postępami Turków na Bałkanach, po dwóch latach zdecydowała się na Wyszehrad. Dobrze tam pamiętano, kto przyszedł na odsiecz Wiedniowi.

W połowie lat dwudziestych Turcja stała się dominującą potęgą w rejonie Bliskiego Wschodu. W istocie odtworzyła stan posiadania imperium osmańskiego, wykorzystując upadek krajów arabskich niszczone przez kolejne rewolty i kontrrewolty, efemeryczne kalifaty i emiraty plemienne. To ona w walnie przyczyniła się do rozbicia Państwa Islamskiego i kilku następujących po nim tworów sukcesyjnych odwołujących się do równie radykalnych nurtów w islamie. Zawarła ugodę z Kurdami – dostali własne państwo, choć bez terytoriów tureckich – oraz dogadała się z częścią elit sunnickich. Jej przywódcy prowadzili cyniczną, ale też dającą konkretne efekty politykę typu divide et impera. Terrorysty tracili grunt pod nogami, stając się obiektem publicznej nagonki, a niekiedy wręcz polowania, gdyż udało się przekonać Arabów, że to ekstremiści są przyczyną wszystkich nieszczęść.

Jaką taką stabilizację w regionie uzyskano dzięki zainstalowaniu w upadłych krajach protureckich reżimów – wspieranych przez Stambuł i całkowicie od niego zależnych. Ludność arabska po początkowym oporze, szybko złamanym przez wyszkolone przez Turków formacje policyjne,

zaakceptowała ten stan rzeczy. Tym bardziej że nowy hegemon nie zamierzał opierać swoich wpływów wyłącznie na nagiej sile – równolegle zaproponował program pozytywny: odbudowywano infrastrukturę, inwestowano w miejscowy przemysł i handel, zagwarantowano minimum swobód rynkowych oraz politycznych, choć tylko na szczeblu samorządowym, wprowadzono nowoczesny system prawny. Ten program zwany szumnie Islamskim Odrodzeniem wprowadzono szczególnie intensywnie podczas rządów Halita Ergenç’a, zwanego sułtanem Sulejmanem Jeszcze Wspanialszym (bo kazał się mianować w drodze referendum dożywotnim prezydentem z wręcz sułtańskimi prerogatywami), i był wyraźnie wzorowany na pewnych rozwiązaniach stosowanych przez Wyszehrad (choć bez akcentowania tak ważnych dla środkowych Europejczyków praw człowieka). Turecki przywódca zresztą wielokrotnie wypowiadał się pozytywnie o Sidorskim i jego dokonaniach. Po kilku latach okazało się, że ta oświecona despotia w warunkach Bliskiego Wschodu sprawdza się nadzwyczajnie – region wyraźnie „ostygł”, zaznając nieznaną od wielu dziesięcioleci prosperity, i to nieopartej już wyłącznie na ropie naftowej odgrywającej coraz mniejszą rolę w światowej energetyce. Arabowie z entuzjazmem zajęli się produkcją i handlem, dochodząc wreszcie do zdroworozsądkowego wniosku, że o wiele lepiej jest się bogacić niż wyrzynać.

Lecz postępująca stabilizacja w strefie na południu od tureckich granic spowodowała, że Stambuł w końcu zwrócił uwagę na drugi historyczny kierunek swojej ekspansji – Bałkany. Prawdziwa panika w krajach bałkańskich wybuchła w połowie 2032 roku, kiedy na szczycie NATO wybuchła awantura na temat parytetu sił zbrojnych Wyszehradu i Turcji. Do żadnych uzgodnień nie doszło i w rezultacie Turcja postanowiła opuścić Sojusz Północnoatlantycki. Podobnie uczyniły kraje nowej Unii, za poduszczeniem Niemiec.

Jeśli chodzi o zachodniego sąsiada Polski, to Sidorski starał się stosować zalecenie Tarkowskiego i utrzymywać z nim jak najlepsze stosunki. Potrzebował Niemiec, ich możliwości gospodarczych i innowacyjnych, które sprytnie wykorzystywał do budowy własnego potencjału obronnego. W Berlinie jego pojednawcze gesty odbierano bardzo pozytywnie, zwłaszcza po jawnie ksenofobicznych rządach PPL-u tradycyjnie straszącego Polaków „Krzyżakami”. Nie chciano mieć za Odrą sąsiada zdestabilizowanego i wrogiego, dlatego zresztą Niemcy, choć potępiły „zamach listopadowy” i zawieszenie demokracji przez Sidorskiego, w praktyce nie wyszły poza gołosłowne deklaracje. Gdy Kierownik dogadał się z Amerykanami, także

z nieskrywaną ulgą unormowali stosunki z Rzeczpospolitą. A po wygranych przez Kierownika referendum cofnęli wszelkie zastrzeżenia (bo „zdecydowała demokracja”), zwłaszcza że otwierały się nowe pola do inwestycji i kooperacji. Nawet po ustanowieniu Wyszehradu nadal trwała ścisła współpraca, gdyż państwa nowego bloku, choć wystąpiły z UE, zachowały znaczną część wspólnotowych uregulowań i praktycznie nadal stanowiły wraz z Europą Zachodnią jeden system gospodarczy. Na czym obu stronom zależało do tego stopnia, że nowe wewnątrzspółnotowe regulacje negocjowano już dwustronnie, w relacji UE – Wyszehrad. Żeby było szybciej i bez niepotrzebnych komplikacji.

Ta sielanka z czasem jednak zaczęła się psuć. Po prostu Polska Sidorskiego wyrosła ponad niemieckie oczekiwania. W Berlinie widziano ją jako strefę buforową oddzielającą Niemcy od Rosji, stabilną i w miarę dostatnią, ale na pewno nie jako samodzielne mocarstwo prowadzące na Wschodzie własną grę. Początkowo w skrytości ducha liczono, że się Kierownikowi podczas kolejnej „polskiej awantury” powinie noga i sytuacja wróci do normy. Niestety nie wracała, a Polacy – wbrew logice i duchowi dziejów – szli od sukcesu do sukcesu, anektując nawet dawne pruskie ziemie. Ale czarę goryczy przelał zjazd w Wyszehradzie i nowy układ polityczny na Wschodzie, do którego nie zaproszono Niemiec. Ta gorzka pigułka została w Berlinie przełknięta z kamienną twarzą, lecz po cichu zaczęto się tam rozglądać za alternatywą w stosunku do „bloku polskiego”, jak pisały zachodnie media o ugrupowaniu stworzonym przez Sidorskiego. Początkowo stawiano tradycyjnie na Rosję, lecz ta po upadku dyktatury Mieńszikowa wpadła w kolejną i bardzo głęboką smutę. Nic nie zapowiadało, że się szybko pozbiera, bo władcy na Kremlu zmieniali się jak w kalejdoskopie, a poszczególne, zwłaszcza peryferyjne regiony zaczynały funkcjonować jako samodzielne satrapie. Widmo ostatecznego rozpadu państwa wisiało w powietrzu.

Kiedy niemiecki rząd zrozumiał, że Rosja nie jest zdolna do gry przeciwko Polsce, zaczął z sympatią spoglądać w stronę Turcji, w czym nie było nic dziwnego, skoro jedna trzecia ministrów wyznawała islam (złośliwcy z tego powodu nazywali nawet Republikę Federalną „sprzymierzonym emiratem”). W Europie zresztą spodziewano się rychłej konfrontacji bliskowschodniego mocarstwa z Wyszehradem. Napięcie w regionie rosło systematycznie od końca lat dwudziestych, pierwsza o pomoc środkowoeuropejskiego sojuszu zwróciła się Chorwacja. Przyjęto ją w poczet członków chętnie, ponieważ miała sprawną marynarkę i port w Rijece o strategicznym znaczeniu. Poza

tym w Warszawie i w innych wyszehradzkich stolicach zdawano sobie sprawę, że Turcy, po uporządkowaniu spraw na południu, ruszą na północ. Szczególnie zagrożona była Grecja.

Ten kraj, dziedzic starożytnej cywilizacji, znajdował się w stanie największego w swoich dziejach upadku. Rządzony na przemian przez populistów i narodowych konserwatystów, pogrążony w nieustannym społecznym konflikcie, ze zrujnowaną, nigdy nieodbudowaną po kryzysie 2008 roku gospodarką, praktycznie bezbronny – wojskowy sprzęt został sprzedany, aby starczyło na zasiłki socjalne – wydawał się Turkom łupem równie łatwym jak w XV wieku resztki Bizancjum. Grecy zresztą mieli tego świadomość, co rzecz jasna nie przeszkadzało im w odprawianiu chocholego tańca prowadzącego wprost ku zagładzie. Otrzeźwieli dopiero wtedy, gdy wojska tureckie, teoretycznie „przez przypadek”, podczas ćwiczeń morskich zajęły kilka małych i odległych od kontynentu wysp. I co gorsza, wcale nie zamierzały ich opuszczać. W Stambule media zaczęły przebąkiwać o „odwiecznym dziedzictwie imperium osmańskiego” i „ziemiach zabranych”... W Atenach zrozumiano, że zabawa się skończyła, i poproszono o pomoc USA. Amerykanie, zaangażowani wówczas w rejonie Pacyfiku, nie zamierzali się wtrącać i odesłali greckich petentów do Wyszehradu.

Sidorski i inni środkowoeuropejscy przywódcy nie chcieli Turków na Bałkanach, zdając sobie sprawę, że region ten stanowi miękkie podbrzusze wschodniej części kontynentu, drogę wojskową wiodącą na północ, którą należy czym prędzej zaryglować. Dlatego nie zostawili Greków na pastwę losu, choć postawili im twarde, drakońskie wręcz warunki, uznając, że kraj ten nie jest w stanie sam się rządzić. Przede wszystkim zażądali, aby przyjęli komisaryczny zarząd wyznaczony przez Wyszehrad. Oczywiście dumni potomkowie Peryklesa odmówili, odstawiając historyczny teatr pod tytułem „Wszyscy winni, tylko nie my”, ale nie zrobił on żadnego wrażenia na rozmówcach.

Delegacja grecka wyjechała z Wyszehradu z niczym, ale po kilku godzinach wróciła, gdy dotarły do niej informacje o tureckiej flocie płynącej w stronę Pireusu. W ciągu kwadransa wysłannicy rządu w Atenach podpisali uzgodnienia wcześniej rzekomo nie do przyjęcia. Nikt nie miał wątpliwości dlaczego. Postawieni między dwoma rodzajami okupacji wybrali tę bardziej cywilizowaną.

M’Beki, delegowany jako obserwator, widział na własne oczy, jak mieszkańcy Attyki ze łzami radości witali kolumny wojsk Sojuszu. Sami wywieszali w oknach wyszehradzką szachownicę, zdając sobie sprawę, że to

jedyne ocalenie przed półksiężycem. W zbiorowej świadomości miejscowej ludności wciąż tkwiła pamięć o wielowiekowym tureckim zaborze. Kiedy patrzył, jak cieszą się niczym dzieci, które w ostatniej chwili wybawiono od złej Baby-Jagi, myślał o tureckich okrętach, które dopiero co obserwował, groźnie czających się na horyzoncie. Tym razem jeszcze udało się je przepędzić.

Ale w przeciwieństwie do rozradowanych i świętujących Greków wiedział, że wróca. Wkrótce.

*

Siedział w fotelu i gapił się na ciemne ekrany pogrążony w stanie pół snu, pół jawy, obojętny i pogodzony z losem. Przez głowę przelatywało mu mnóstwo obrazów. Podobno, tak kiedyś słyszał, przed śmiercią człowiek oglądał jak na przyspieszonym filmie całe swoje życie. Ale on nie miał na to ochoty.

Przymknął powieki, starając się myśleć wyłącznie o Krystynie. O jej mleczej skórze, niebieskich oczach i olśniewającym uśmiechu... Lecz nieposłuszna pamięć płątała mu figle i zamiast jej cudownej twarzy widział wykrzywione gęby szkolnych kolegów nabijających się z czarnucha, roztkliwioną twarz matki i pełną zmieszania minę dziadka. Przed oczyma przewinęła mu się pierwsza randka z dziewczyną, która umówiła się z nim tylko dlatego, że widziała na pornosach, iż „czarni mają duże”... Cholera, a jeśli Krystynie chodziło o to samo? Pod tym względem wydawała się z niego nad wyraz zadowolona... Potem nauka w liceum, gdzie wreszcie przestano zwracać na niego uwagę, może dlatego, że tylko w jego klasie było jeszcze dwóch Wietnamców, Czeczen i arabski chrześcijanin. Obrazki z maturalnych zmagania szybko wyparły wyglancowane buty Katelbacha, a w uszach zabrzmiał jego przepojony rasizmem nienawistny głos... Poczł w ustach smak poligonowego błota, nad uchem gwizdnął pocisk... Później twarze, obrazy i zdarzenia zaczęły się mieszać i przelatywać mu przez głowę z szybkością filmu puszczonego z maksymalnym przyspieszeniem... Zdziwiona twarz Teunga, płonący concept na przedmieściach Grodna, nieruchoma jak maska twarz Zarzyckiego, spocone oblicze rosyjskiego generała, lazuruwa toń Morza Egejskiego, roześmiane młode Greczynki... Zmartwiła z przerażenia Krystyna, gdy dostał nagłe wezwanie... Skupił się, usiłując powstrzymać galopadę migotliwych ujęć... Nie taką chciał ją zabrać na tamtą stronę, lecz taką jak wtedy, na Seszelach, gdy patrzyła na niego rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwa i zakochana...

U góry rozległ się przeciągły zgrzyt. M'Beki otworzył gwałtownie oczy. No tak, koniec seansu, teraz będzie finał i rozwiązanie akcji. Ściany schronu zadrżały, z sufitu posypała się cienka strużka pyłu, potem druga, trzecia i kolejne, bo zgrzyt nie cichł, stopniowo przechodząc w głuchy metaliczny łoskot wdzierający się w głębię czaszki. Byli już blisko, bardzo blisko. Krztusząc się i prychnając wiercącym w nosie pyłem, Aleksander patrzył na sufit, z którego sypał się już prawdziwy deszcz betonowych drobin, zastanawiając się ze zdumiewającym go samego spokojem, czy zostanie za chwilę wysadzony, czy spalony.

Podniósł się z fotela, wyciągnął leżącą pod pulpitem oficerską rogatywkę, otrzepał ją z kurzu, włożył i zapiął regulaminowo pod brodą. Wreszcie był gotów.

No dalej, muslimy, zaczynajcie!

Raptem warkot ucichł i zapadła głucha cisza. Aż bolało w uszach.

– Beka, jesteś tam? – rozległ się dudniący głos... dziwnie znajomy.

Umarłem, pomyślał Aleksander. Jestem w piekle i Belzebub, żeby mnie dręczyć, przybrał postać Katelbacha. To początek mojej męki. Ale za jakie grzechy akurat ten pierdolony Serafin?!

U góry zgrzytnęło przeciągle i ściany znowu zadrżały.

– Kapitanie M'Beki, niech się pan odezwie. – Tym razem głos Katelbacha... obecnie majora Katelbacha... brzmiał znacznie bardziej oficjalnie. – Żyje pan? Przejęliśmy kontrolę nad tureckimi kretami i wiemy, że się nie dowierciły do bunkra.

Gapił się na sufit i wreszcie zdał sobie sprawę, że tamten mówił do niego przez skalny mikrofon, więc dlatego głos dochodził jakby zewsząd – dźwięk był przenoszony przez otaczający schron górotwór. A to oznaczało, że na powierzchni nie ma już Turków. No bo skoro był tam Katelbach...



– Jestem... – wychrypiał. – Kapitan M'Beki melduje się na stanowisku dozoru węzła A-17.

– Tak lepiej – zahuczał głos jego niegdysiejszego prześladowcy. – Jesteś ranny? Masz powietrze?

Odetchnął głęboko. Co się, do cholery, dzieje? Skąd diabli nadali Katelbacha? Przecież miał być już koniec – i z nim tutaj, i z tamtymi na górze! I gdzie się podziały muslimy?

– Nic mi nie jest – odpowiedział. – Co się dzieje? Nic nie rozumiem, bo

przecież...

Tamten sapnął z satysfakcją, co M'Beki odebrał jak ogłuszające parsknięcie wieloryba.

– Wygraliśmy! – zagrział. – Beka, dopierdoliliśmy im! Załatwiliśmy turbaniarzy na amen!

Nic a nic z tego nie rozumiał. Ostatnie komunikaty, jakie odebrał, wskazywały na bliskie przełamanie frontu przez Turków. Rezerwy się wyczerpały, więc jakim cudem?

– Panie majorze, przecież to niemożliwe! – powiedział, czując zupełny mętlik w głowie.

Z drugiej strony, jeśli ostatecznie przerznięliśmy, to w takim razie skąd ten gadający przez skały Katelbach? A może to jakaś prowokacja muslimów? Tylko po co Turcy odstawialiby taki cyrk?

– Możliwe, Beka, możliwe. Dojebaliśmy im! – Nieanielski, napuszony głos Serafina brzmiał jak fanfary zwycięstwa. – Jankesi, rozumiesz? Skurczysyny zainstalowały na Księżycu tajną bazę z wyrzutniami poza zasięgiem nieprzyjaciela, zawsze wiedziałem, że to lepsze cwaniaki. Kiedy się zaczęło, odpalili stamtąd rakiety. I kiedy te cholerne Saraceny myślały, że to już koniec i nas mają, to one na nich spadły jak deszcz meteorów. Skuteczność od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent, rozwalili im składy hipersoników... A potem kowboje wystrzelili jeszcze salwę hiperpocisków z wyrzutni ukrytych pod lodami koło Alaski, zatapiając flotę Japońców... Od lat się na to szykowali... Tokio już poprosiło o pokój, podobnie Berlin...

Do Aleksandra powoli, bardzo powoli docierało to, co mówił Katelbach. Amerykanie jednak najwyraźniej mieli schowanego w rękawie asa i właśnie rzucili go na stół. Z dalszych słów majora wynikało, że jankesi wysadzili na północy Polski wielki desant wojsk, które jeszcze przed atakiem turecko-japońskim zgromadzili na Islandii poukrywane w różnych pieczarach. Zostały natychmiast zbombardowane, ale przetrzymały atak. Teraz marines razem z polską piechotą, wsparci przez najnowsze amerykańskie drony i ektodziała, rozwijają kontratak w kierunku południowym z linii Warszawa–Poznań (z którego Niemcy wycofali się na wieść, że kawaleria wchodzi do akcji), gromiąc Turków ile wlezie, ocalałe concepty 03 i 04 gnały ile wlezie ku Karpatom, pędząc przed sobą pierzchające kolumny wroga... Ten odwrót zamieniał się w pogrom, w sztabie oczekiwano, że Sambuł w ciągu godziny poprosi o pokój.

Słuchający tryskającego emfazą majora M'Beki pojął, że ten „drugi cud na Wisłą”, bo tak z pewnością będą o tej bitwie trąbiły media, był możliwy tylko

dzięki Amerykanom. Uratowali nam dupy, pomyślał. Wiedzieli o knowaniach muslimów z żółtkami i zawczasu się przygotowali. My teoretycznie też wiedzieliśmy i co? Uwierzyliśmy w rozmowy pokojowe i przerznięliśmy na Węgrzech... Sidorski się pewnie w grobie przewraca, bo nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił.

Katelbach dalej radośnie gulgotał o wiekopomnym zwycięstwie, a w mikrofonie coś musiało się rozstroić, bo grzmiał coraz bardziej ogłuszająco, Aleksandrowi wydawało się, że schron wpadł w pogłos, każdy drucik, kruszyna betonu czy płatek plastiku rezonował zwycięskim byłym sierżantem. Ale on miał to gdzieś, chciał wiedzieć, co z Krystyną!

– Co z moją kobietą... Co z nią? – zapytał.

– Z tą blondyną? Spokojnie, Mroczek ją ewakuował... Teraz, Beka, to my im wszystkim pokażemy! Polska będzie od morza do morza, jej chwała nigdy nie przeminie, a oni wszyscy mogą nam naskoczyć, rozumiesz? Synu, jesteśmy wieceelcyyyy...

Odetchnął z ulgą na wieść, że z Krystyną jest OK, ale zaraz zrobiło mu się niedobrze – w równej mierze od ogłuszającego huku co tego ultrapatriotycznego bełkotu. Ze zdumieniem zauważył, że coś się dzieje z pulpitem, martwe od wielu godzin kontrolki błysnęły raz i drugi, by wreszcie zapalić się na dobre, przez ekrany przemknęła błyskawica i panele raptem pojaśniały, wypełniając się... triumfującą, wąsatą i arcysarmacką gębą Katelbacha. Majora rozpiecał entuzjazm, śmiał się na całe gardło, wykrzykując, co oni teraz zrobią z Turkami i tymi zdrajcami na Bałkanach, jego głos pyszałka, zupaka i nacjonalisty wwiercał się w mózg Aleksandra, rąbał go na kawałki, nabijał do armaty i wystrzeliwał w ogłuszającym salucie ku czci Wielkiej Przenajświętszej Rzeczypospolitej, raz na zawsze zwycięskiej...

Uniósł dłonie i z całych sił wcisnął kciuki do uszu.

Ale to nie pomogło.

Pierdolony Serafin był jak zwykle górą.

...

Kurwa, nazwał mnie synem?

Wrocław, 2012–2015

Polska 2.2. Burza planetarna

Myślisz, że jesteś uprzywilejowana w tym świecie, znając jego tajemnice, przenikając wzrokiem poprzez pozory, poprzez fałszywy obraz kryjący tę resztę, niedostępną świadomości ogółu. Twoja wiedza nie wyczerpuje jednak całości tajemnicy.

Janusz A. Zajdel, *Paradyzja*

Wiolot zwolnił tak gwałtownie, że aż go rzuciło do przodu i boleśnie walnął nosem o zagłówek fotela w przednim rzędzie. Musiało zająć coś nieoczekiwanego, ponieważ na ekranie nad wejściem do kabiny pilotów nie pojawiły się komunikaty nakazujące zapiąć pasy – może dlatego, że w dwunastoosobowej maszynie był jedynym pasażerem. Chilijczycy się nie wysilili, wpakowali go do starego modelu, wiolot nie był wyposażony nawet w autostewarda, wodę i kanapki musiał zabrać ze sobą. Właściwie nie powinien się dziwić – zlewali go, jak to Polaka. Dla takich nonvipów nie warto się starać. Jego sponsorzy oszczędzali na wszystkim i kupiono mu bilet najtańszej linii.

Zerknął przez okno i zobaczył na skrzydle ustawiające się pionowo silniki, maszyna przechodziła w tryb lądowania. Czyżby dotarli już do stacji przesiadkowej? Przykleił się do pleksiglasowej szybki i spojrzał w dół. W dole, na buroszarym, wzburzonym oceanie pokreślonym białymi grzywami fal, zobaczył ciemny kwadracik. Nie wyglądało to dobrze, ostro nim bujało. Zastanawiał się, czy w takich warunkach lądowanie jest w ogóle możliwe. Pilotom zdawało się to nie przeszkadzać, wiolot zniżał się stopniowo, celując w rozchybotaną platformę. Ta ogromniała w oczach, ale to nie polepszało mu nastroju, bo coraz wyraźniej widział, z jaką gwałtownością uderzają w nią fale, parometrowe grzywacze wdzierały się na pokład, chwilami przykrywając go całkowicie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że musiało wiać naprawdę potężnie. Wzdrygnął się mimowolnie i odruchowo obciągnął na sobie kurtkę, zapinając się pod szyją. W tym momencie wiolot przestał się zniżać, zawisając na wysokości kilkunastu metrów nad powierzchnią morza. Pilot maszyny usiłował zharmonizować jej ruchy z pływającą platformą. Początkowo szło mu niesporo i Lewandowski zaczął się obawiać, że zrezygnuje z lądowania i jednak będą musieli wracać. Tylko jak to wytłumaczy „dyrektorowi”? Na szczęście wiatr niespodziewanie się uspokoił i kwadrat w dole przestał opętańczo miotać się na boki, kolebiąc w znacznie łagodniejszym, przewidywalnym rytmie.

Drzwi kabiny pilotów otworzyły się i wszedł mechanik pokładowy, niski, smagły Chilijczyk. Kiwnął na Lewandowskiego, nakazując mu gestem, aby wziął ze sobą plecak. Podszedł do drzwi i wyciągnął ze schowka pod progiem szelki służące do opuszczania pasażera na wyciągarce. Dziennikarz zrozumiał, że pilot nie zdecydował się na lądowanie na zbyt niestabilnym pokładzie. Podróż w dół na linie nie uśmiechała mu się za bardzo, ale nie miał wyjścia. Posłusznie zaczął zakładać uprząż, starannie zapinając klamry. Gdy maszyna znalazła się tuż nad platformą, mechanik otworzył drzwi i bezceremonialnie popchnął go w owalny otwór.

Nim dał się wyrzucić w wietrzny i lodowaty przestwór, odruchowo spojrzął na zegarek – lecąc z Hongkongu do Santiago, minął linię zmiany daty. Od paru godzin był już wtorek, 14 kwietnia 2037 roku.

*

Mechanik za bardzo poluzował linkę wyciągarki i Lewandowski walnął o metalowy pokład ciężko niczym wór mąki. Kiedy się pozbierał, zobaczył obok siebie młodego mężczyznę w ciemnoszarym kombinezonie, który dopadł go, objął w pasie i pomógł mu odpiąć klamry i uwolnić się od uprzęży. Linka śmignęła do góry i przez chwilę obaj obserwowali, jak wirolot się wznosi, aby osiągnąć odpowiedni pułap do przestawienia napędu na lot w poziomie. Nie mieli jednak zbyt dużo czasu na podziwianie maszyny, bo znowu mocniej powiało i przez krawędź platformy chlusnęła woda.

– Lewandowski! – krzyknął do mężczyzny.

Ten skinął głową.

– Tak, wiem! – odkrzyknął. – Czekam na pana od godziny. Już myślałem, że nic z tego nie będzie.

Złapał za jego plecak, który zarzucił na ramię, a drugą ręką wskazał na niską budkę widniejącą w rogu platformy. Lewandowski już czuł mdłości, a zrobienie bodaj paru kroków po rozhuśtanym pokładzie wydało mu się fizyczną niemożliwością. Facet ze stacji pokazał mu płaskie metalowe klamry wmontowane w metalowe płyty. Łapiąc się ich, dało się od biedy przejść na kolanach do drzwiczek budki. W środku znajdowało się coś w rodzaju sterowni, automatycznej, bo nikt jej nie dozorował. Ważniejsza okazała się kłapa w podłodze, którą jego przewodnik natychmiast otworzył, po czym bezzwłocznie zaczął schodzić po drabince przymocowanej do ścianki wiodącej prosto w dół studzienki.

– Pan idzie za mną! – krzyknął z głębi. – Nie ma na co czekać, sztorm się wzmacnia. Jak będzie za bardzo bujało, możemy mieć problemy z odcumowaniem.

Perspektywa dalszego siedzenia na tej przypominającej blaszany korek platformie natychmiast zmotywowała Lewandowskiego do działania. Złapał za pierwszy szczebel i zaczął się opuszczać w ślad za mężczyzną.

Rura, którą schodzili, okazała się dość długa, mogła mieć nawet piętnaście metrów. Kończyła się okrągłą śluzą, z której wchodziło się bezpośrednio do kabiny batyskafu. Niewielkiego, mogącego pomieścić łącznie z pilotem góra pięć osób. I dość starego, co było widoczne po prostym i spartańskim

wyposażeniu, wyblakłej farbie na ściankach i archaicznej elektronice: pojazd zbudowano pewnie na samym początku działania stacji. Dziennikarz usiadł na wąskiej ławeczce pod ścianą, obok której zauważył złożony swój plecak. Mężczyzna wsunął się z powrotem w śluzę i sprawdził, czy kłapa wjazdu jest szczelnie domknięta, po czym przeszedł do przeszklonej kopuły z przodu batyskafu, gdzie znajdował się fotel pilota. Lewandowski odnotował manualne przyrządy sterownicze i tylko jeden średniej wielkości display, najwidoczniej domontowany później w ramach modernizacji... Znowu podróżował gratem, ale czego mógł się spodziewać, że wyślą po niego limuzynę? I tak z trudem pojmował, jakim cudem zgodzili się na jego wizytę.

– Na górze półtora kilometra to tyle co nic – powiedział pilot, zakładając na uszy naprawdę staroświecko wyglądające słuchawki – ale tutaj to kawał drogi do przebycia, musimy uważać na podwodne prądy, które spychają batyskaf z kursu, są bardzo zmienne. Zajmie nam to godzinę z okładem, jeśli nie więcej... A tak w ogóle to mam na imię Paweł.

– Tadeusz – odparł krótko Lewandowski.

Zamruczały silniki i batyskaf drgnął. Z lekkim zgrzytem oderwali się od platformy i zaczęli opadać na dno oceanu. Spojrzał przez iluminator na wodny przestwór, ale niewiele zobaczył poza zbełtaną wodą i paroma drobnymi rybkami – blade z powodu zachmurzenia dzieńne światło wkrótce zanikło i zapadły egipskie ciemności rozświetlane jedynie reflektorami aparatu. Pomyślał, że wykorzysta tę godzinę, aby doczytać materiały na temat stacji. To osobliwe zlecenie go zaskoczyło. Co prawda dostarczono mu gotowe opracowania, ale nie zdążył się z nimi zapoznać. Ściągnęli go ze szpitala, od łóżka córki, gdzie od doby nie zmrużył oka, bo tym razem siadły obie nerki i jej życie wisiało na włosku, i w samolocie do Hongkongu musiał odespać swoje, inaczej padłby na nos. Coś tam podczytał w drodze do Santiago, ale wciąż wiedział zbyt mało. Nie chciał wyjść przed mieszkańcami stacji na idiotę, kolejnego indolentnego reportera wytrenowanego jak pies Pawłowa do łowienia głupawych newsów lub produkowania ideologicznego bełkotu. Nie on, który potrafił jeszcze pracować jak rzetelny dziennikarz.

Wyjął z plecaka batonik, wbił w niego zęby i sięgnął po tubę tabletu. Wyciągnął z niego kilkanaście centymetrów e-papieru i stworzył pierwszy tekst. Uznał, że najlepiej wrócić do początków i przejrzeć materiał jeszcze raz. Wsłuchany w jednostajne buczenie silników zaczął czytać.

Historia Polski 2 zaczynała się jeszcze w zeszłym stuleciu. Dokładniej w dniu podpisania w 1982 roku przez Międzynarodową Organizację Dna Morskiego ONZ (International Seabed Authority) konwencji o prawie oceanicznym (United Nations Convention on the Law of the Sea) regulującej między innymi sprawę badania i eksploatacji zasobów mineralnych znajdujących się na dnie morskim. Przede wszystkim chodziło o tak zwane konkrecje manganowe – twory w kształcie nieforemnych białych zalegające na dnie oceanu, o wadze od kilku gramów do kilkuset kilogramów, zawierające wiele cennych minerałów (między innymi mangan, żelazo, nikiel, kobalt, miedź, a także pierwiastki ziem rzadkich). Powstawały podobnie jak perły wokół jąder organicznych, na przykład kawałków muszli i kości, lub nieorganicznych, na przykład okruchów skał. Tego rodzaju zarodki, przesuwać się po podłożu, obrastały dennym iłem zawierającym wzmiankowane minerały. Już wtedy przewidywano rychłe wyczerpanie się lądowych złóż kopalin, nic więc dziwnego, że wiele państw wyraziło zainteresowanie podjęciem badań nad rozpoznaniem tych zasobów i opracowaniem metod ich wydobywania. Na dnie oceanów w różnych punktach globu wyznaczono sześć pól, na których w szczególnej obfitości zalegały konkrecje, i poszczególne kraje mogły się ubiegać o koncesje na badania i przyszłą eksplorację tych obszarów.

Zainteresowanie perspektywicznymi podwodnymi zasobami wyraziły także kraje istniejącego jeszcze wówczas bloku komunistycznego. Kilka z nich (Polska, Czechosłowacja, Związek Radziecki, Słowacja, Bułgaria i Kuba) utworzyło w roku 1987 konsorcjum Interoceanmetal Joint Organization z siedzibą w Szczecinie; założycielom chodziło głównie o podzielenie się wysokimi kosztami badań podmorskich. Konsorcjum otrzymało działkę na Pacyfiku, na polu Clarion-Clipperton (zaczynającym się około tysiąca mil na zachód od wybrzeży Meksyku i sięgającym Hawajów), liczącą siedemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Organizacja została zobowiązana do przeprowadzania regularnych wypraw badawczych w przydzielony obszar oraz do opracowania technologii wydobywania konkrecji manganowych z dna oceanu. W praktyce oznaczało to wysyłanie co kilka lat na Pacyfik statku z zespołem naukowców, wyposażonym w automatyczne bezzałogowe batyskafy. Do początku XXI wieku w wyniku prac badawczych ustalono, że cztery kilometry pod powierzchnią wody znajdują się metale (mangan, nikiel i kobalt) warte od dwudziestu do czterdziestu miliardów dolarów, choć potencjalną wartość wszystkich zasobów działki wyceniano nawet na sto trzydzieści miliardów. Gigantyczna fortuna, do której jednak bardzo trudno było się dostać, nadal bowiem nie opracowano technologii wydobywania

minerałów z tak wielkich głębin. Co prawda w Polsce powołano na kilku technicznych uczelniach kierunki pod obiecującą nazwą górnictwo morskie, ale – z braku środków – w działaniach praktycznych ograniczono się jedynie do serii eksperymentów na jeziorach mazurskich. Na poważniejsze prace nad na przykład automatycznymi kombajnami, które mogłyby zbierać konkretne z dna i potem ekspediować urobek na powierzchnię, Interoceanmetal nie miał pieniędzy. Zresztą od 2008 roku, gdy wybuchł światowy kryzys gospodarczy, poszczególne kraje wykazywały coraz mniejsze zaangażowanie w kosztowne i przynoszące problematyczne zyski (bo nie dość, że niepewne, to jeszcze przesunięte w odległą przyszłość) badania. W 2019 roku członkostwo w konsorcjum zawiesiła Kuba, uznając, że woli eksploatować dno oceaniczne na Atlantyku, znacznie bliżej swoich brzegów.

Wtedy Interoceanmetalem zainteresował się Adam Tarkowski.

Dlaczego miliarder, właściciel holdingu inwestującego w rozlicznych branżach, postanowił nabyć udziały Kuby (co prawda za skromną sumę trzech milionów dolarów) w zupełnie nieperspektywnym konsorcjum zajmującym się zalegającymi na dnie Pacyfiku minerałami, czyli właściwie jakby znajdującymi się na Księżycu, tego żaden z giełdowych analityków nie potrafił dociec. Do tej pory firmy Tarkowskiego nie interesowały się kopalinami, zajmowały się głównie biotechnologią, budową dróg, energetyką, produktami high-tech, odzieżówką i transportem lądowym. Nic związanego z morzem czy wydobywaniem surowców. Ostatecznie uznano, że chodzi o czystą fanaberię biznesowego magnata, który postanowił wydać trochę kasy na beznadziejny sponsoring lub liczył na zysk wizerunkowy jako patriotyczny przedsiębiorca dzielnie wspomagający polski podbój mórz i oceanów i tym samym wpisujący się w narodowy i katolicki nurt dominujący w krajowej polityce.

Adam Tarkowski był synem PRL-owskiego dyplomaty, który po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 roku przez Jaruzelskiego stanu wojennego wybrał wolność, opuścił ambasadę i jako uchodźca polityczny osiedlił się w zachodnich Niemczech. Od razu, podobnie jak wielu Polaków znajdujących się na kapitalistycznej obczyźnie, poczuł smykałkę do interesów. Zabrał się do budownictwa i jego skromna początkowo firma odniosła spory sukces, bo domy stawiał sprawnie, solidnie i tanio, głównie dzięki zatrudnianiu na czarno rodaków. Tarkowski senior dość szybko doszedł do sporych pieniędzy i gdy w 1989 roku rozleciał się komunizm, dał synowi – który chciał wracać do ojczyzny – prawie milion marek na rozkręcenie biznesu. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku była to w Polsce spora suma. Adam zaczął od

sieci salonów samochodowych, ale wkrótce przerzucił się na sprzęt elektroniczny i oprogramowanie, bo dekomunizujący się kraj należało szybko skomputeryzować. A ponieważ miał dużą łatwość w nawiązywaniu kontaktów, poznał kilku ludzi mających znajomości w sferach rządowych. To oczywiście zaowocowało kontraktami na wyposażenie w komputerową infrastrukturę urzędów i instytucji administracyjnych. Dzięki tym zleceniom zarobił pierwsze naprawdę duże pieniądze.

Potem inwestował w wielu branżach, budował autostrady, farmy wiatrowe, kupował i sprzedawał przedsiębiorstwa handlowe i produkcyjne, a jego holding systematycznie rósł, podobnie jak osobisty majątek. Nie uszczuplił go specjalnie nawet wielki kryzys lat 2008–2018 i kiedy nabywał udziały w Interoceanmetal, obliczano go na sześć miliardów dolarów, co dawało mu pierwsze miejsce na liście najbogatszych Polaków.

Zdjęcia i nagrania, które Lewandowski miał dołączone do materiałów, przedstawiały niskiego, korpulentnego bruneta o długich włosach ujętych w posthipisowski kucyk, zwykle nieefektownie ubranego, najczęściej w dzinsowe wdzianka i flanelowe koszule – widocznie Tarkowski uważał, że nie szata zdoła człowieka. Wyglądał do bólu przeciętnie, bardziej na właściciela gospodarstwa sadowniczego pod Grójcem niż dolarowego miliardera. Nie wyglądał też na osobnika, który ni stąd, ni zowąd zainwestował sto pięćdziesiąt milionów dolarów w Deep Ocean Technology, gdańską firmę budującą podwodne hotele. Choć wielu zaczęło stukać się w głowę dopiero wtedy, gdy przejął kontrolę nad jej zarządem i zmienił priorytety przedsiębiorstwa – zamiast płytkowodnych apartamentów dla ośrodków turystycznych cieszących się sporą popularnością zwłaszcza w krajach arabskich, miano się zająć budowaniem obiektów zdolnych funkcjonować kilka kilometrów pod powierzchnią morza. Tylko kto miałby mieszkać tak głęboko?

Indagowany o tę kwestię Tarkowski udzielał wymijających odpowiedzi, tłumacząc ogólnikowo, że ludzkość prędzej czy później będzie musiała zejść pod wodę, bo możliwości rozwoju na lądach się skończyły – po tych wypowiedziach spodziewano się, że notowania akcji firm wchodzących w skład jego holdingu polecą na łeb na szyję. Tak się jednak nie stało, gdyż całkiem spora grupa inwestorów doszła do wniosku, że łebski miliarder znany z dobrego biznesowego nosa ma na oku nowy interes związany z poszukiwaniem ropy u wybrzeży Ameryki Łacińskiej. Takie zresztą krążyły plotki, zapewne specjalnie puszczone w obieg. Te plany wiązano z jego zaangażowaniem w Interoceanmetal, bo owe roponośne pola miały się

znajdować na przyznanej konsorcjum działce.

Pogłoski potwierdzał dalszy bieg wypadków, ponieważ udziały Tarkowskiego w organizacji systematycznie rosły. Pół roku po Kubańczykach wykupił pakiet Bułgarów, którzy postanowili skoncentrować się na Morzu Czarnym, choć tym razem musiał dać więcej, pięć milionów dolarów. Potem przyszła pora na Rosjan, którzy kosztowali osiem milionów (z czego cztery na łapówki dla kremlowskich dygnitarzy). W 2020 roku prócz Polaków pozostali jedynie Czesi i Słowacy – ci ostatni, kiedy się dowiedzieli, ile ich będzie kosztowała kolejna eksploracyjna wyprawa Interoceanmetalu na pole Clarion-Clipperton (jakieś dziesięć milionów zielonych, udział był przymusowy, bo miliarder zmienił statut korporacji), wymiękli i zbyli swoje udziały na rzecz polskiego biznesmena za symbolicznego dolara. Podobnie po namyśle zrobili Czesi, dochodząc do wniosku, że przesadzają z tą oceaniczną ekspansją, zwłaszcza jak na kraj bez dostępu do morza.

W efekcie w 2021 roku Tarkowski i Rzeczpospolita Polska mieli po odpowiednio 83,33 i 16,66 procent udziałów w Interoceanmetalu i naturalną kolejną rzeczą konsorcjum stało się przedsięwzięciem państwowo-prywatnym. Miliarder rychło zyskał nad nim całkowitą kontrolę, ponieważ rząd, któremu od paru lat budżet dopinał się jedynie dzięki pożyczkom z UE, praktycznie przestał inwestować w podwodne przedsięwzięcie. On zaś przeciwnie, zadeklarował gotowość wyłożenia miliardów dolarów i w zamian zyskał prawo do obsadzenia rady nadzorczej swoimi ludźmi. Władze Polski już wtedy były zdominowane przez populistów z Partii Przyjaciół Ludu, które to ugrupowanie wygrało wybory w 2019 roku, korzystając z fatalnych nastrojów społecznych wywołanych załamaniem gospodarki dotkniętej tak zwaną trzecią falą wielkiego kryzysu i szermując nośnym hasłem „sprawiedliwego jutra” oraz „narodowego i katolickiego” odrodzenia, zdobyło bezwzględną większość sejmową. Rząd odstąpił Tarkowskiemu mityczne pacyficzne konkrety z nieskrywaną ulgą, bo miał na głowie większe kłopoty niż konieczność eksploracji dna oceanu.

A Tarkowski działał ze zdumiewającą energią i konsekwencją, stopniowo przekierowując działalność swojego holdingu wyłącznie na wspieranie Interoceanmetalu. Innymi słowy, każdego wolnego dolara topił w badaniach i pracach projektowych. Bomba wybuchła, kiedy się okazało, że konsorcjum zupełnie poważnie planuje zbudowanie na dnie Pacyfiku bazy badawczo-produkcyjnej przeznaczonej dla setek, a może i tysiący osób! Nikt już nie miał wątpliwości na temat stanu zdrowia psychicznego miliardera – inwestorzy galopem rzucili się do wyprzedaży akcji jego holdingu. Tarkowski

odpowiedział publiczną prezentacją podwodnego, w pełni zautomatyzowanego kombajnu przeznaczonego do zbierania konkrecji oraz zaprojektowanej do funkcjonowania pod wodą linii hutniczej przerabiającej pozyskane minerały na produkty finalne. Na powierzchnię miały trafić gotowe do sprzedaży sztabki. Koszt przedsięwzięcia szacowano na przeszło miliard dolarów, ale w ciągu roku projekt mógł – przy uwzględnieniu rosnących cen metali, zwłaszcza ziem rzadkich – przynieść półtora miliarda zysku, a po kolejnym drugim tyle. Inwestorzy zrozumieli, że mają do czynienia nie z wariatem, lecz lepszym cwaniakiem, i nowe emisje akcji firm już prawie pewnego bankruta rozeszły się jak ciepłe bułeczki. Do Interoceanmetalu popłynęła prawdziwa rzeka pieniędzy.

Projekt budowy na dnie Pacyfiku wielkiej stacji nazwano – na życzenie Tarkowskiego – Polska 2. Trudno powiedzieć, czy był to wyraz jego patriotyzmu, czy też – ale to wyszło znacznie później – miliarder od początku miał plan wykraczający poza cele naukowe i eksploracyjne. Dość powiedzieć, że pierwszy moduł mieszkalno-laboratoryjny stacji (o nazwie, a jakże, Warszawa), wyprodukowany przez Deep Ocean Technology, przeznaczony dla pierwszych szesnastu „akwanautów”, zatopiono na polskiej części pola Clarion-Clipperton we wrześniu 2023 roku. Cały kompleks, bo planowano w początkowym tylko etapie projektu zainstalowanie dwudziestu czterech większych i mniejszych habitatów, postanowiono usytuować na płaskowyżu w pobliżu tak zwanej Osobliwości Pawłowskiego, pasma niewielkich wulkanów nazwanych tak od nazwiska geologa, który je odkrył i pierwszy zbadał. Ten rejon istotnie wyglądał nietypowo – na głębokości około tysiąca pięciuset metrów z popękanego dna oceanu przez szczeliny w skorupie ziemskiej wylewała się, prócz lawy, rozgrzana do trzystu stopni Celsjusza woda o wyjątkowym składzie, gdyż stężenie minerałów w tej cieczy okazało się kilkaset razy większe niż w najlepszych lądowych źródłach. Dzięki temu w pobliżu tego rzeczywiście osobliwego tworu geologicznego powstawały konkrecje z rudami metali, które pokryły dno wielkiej doliny rozciągającej się między pasmem wulkanicznym a płaskowyżem z budowaną stacją – była jakby dzieżą zbierającą ten mineralny miodek. Na tym właśnie obszarze postanowiono założyć pierwszą kopalnię, złożę bowiem okazało się fenomenalnie bogate, zawartość samej miedzi w rudzie wynosiła około ośmiu procent, kilkakrotnie więcej niż w złożach lądowych. A zawierało także inne metale: wolfram, molibden, złoto, platynę, żelazo, pierwiastki rzadkie, była tam połowa tablicy Mendelejewa. Przy tym, o ile zdecydowaną większość polskiej działki stanowiły obszary położone od trzech i pół do czterech

kilometrów pod powierzchnią wody, Osobliwość Pawłowskiego znajdowała się na czymś w rodzaju wysokiego i rozległego garbu wystającego z dna oceanicznego. To zmniejszało problemy techniczne, nie musiano bowiem borykać się z ciśnieniem czterystu kilogramów na centymetr kwadratowy, tylko dwukrotnie mniejszym. Rzecz jasna, dzięki temu było łatwiej zaprojektować podwodne instalacje, bo nie trzeba było ich dostosowywać do ekstremalnych naprężeń.

Płynącą z wulkanicznych zboczy lawę zamierzano wykorzystać także do zasilania stacji – po prostu powstałyby tam elektrownia z darmowymi i nigdy niegasnącymi piecami. To w perspektywie bardzo obniżało koszty inwestycji i czyniło stację i kopalnię (a także podwodną hutę zajmującą się przerobem kongrecji) praktycznie samowystarczalną, bo przecież tlen można było uzyskać w drodze elektrolizy z wody morskiej, a jego nadmiar spalać w ogniowach paliwowych razem z wodorem, drugim jej produktem, zyskując dodatkową energię i czystą wodę jako produkt uboczny. Nie wykluczano także uruchomienia pomocniczego reaktora jądrowego na wypadek, gdyby coś – na przykład na skutek ruchów tektonicznych – stało się z wulkanami.

Lewandowski oglądał pochodzące z tego początkowego okresu plany Polski 2 i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że projektanci od początku zamierzali stworzyć nie tyle stację naukowo-produkcyjną, ile podwodne miasto, na co wskazywała imponująca skala przedsięwzięcia. Na wybranym przez nich płaskowyżu – dokładniej na jego najrówniejszej części, trójkącie o nieregularnych bokach o powierzchni przekraczającej w sumie dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych – mogło się zmieścić kilkaset dużych obiektów. Do tej chwili zbudowano ponad trzysta habitatów o różnym przeznaczeniu i mieszkało w nich i pracowało siedemnaście tysięcy ludzi. Do licha, to naprawdę miasto, pomyślał, oglądając fotografie licznych małych i dużych kopuł wykonanych ze specjalnego superwytrzymałego plastometalu produkowanego na miejscu. Materiał musiał wytrzymać ciśnienie stu pięćdziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy, i to z minimum stuprocentowym zapasem. Opracowali go naukowcy z DOP i nigdy nie udostępnili patentu, mógł być używany tylko w Polsce 2.

Pierwszy kombajn ruszył na złożę rok po instalacji pierwszego habitatu – w samą porę, bo inwestorzy, sfrustrowani przeciągającymi się pracami, zaczęli się wyzbywać akcji holdingu Tarkowskiego. Szybko jednak nabrali optymizmu, gdy na powierzchnię zaczęły trafiać pierwsze wytopione w elektrycznych piecach podwodnej huty sztaby cennych metali. Produkcja systematycznie rosła, podobnie jak postępowiała rozbudowa Polski 2. Do

pierwszego modułu szybko dołączył Poznań, Kraków i Gdańsk oraz laboratorium biofizyczne Wrocław. Na łąd – „na górę”, jak zaczęli mawiać mieszkańcy stacji – trafiały znaczące ilości minerałów, zwłaszcza metale ziem rzadkich okazały się wyjątkowo opłacalne, ponieważ złoża w Chinach się wyczerpywały i były coraz droższe w eksploatacji.

Wtedy to populistyczny rząd przypomniał sobie o Interoceanmetal – w kręgach PPL-u zdano sobie sprawę, że oddano Tarkowskiemu kontrolę nad kurą znoszącą złote jajka. Władze bardzo potrzebowały zastrzyku gotówki, ponieważ sytuacja w kraju od początku lat dwudziestych systematycznie się pogarszała, budżet znajdował się w stanie strukturalnego deficytu, nie mogąc się dopiąć przez rozdęte przez „proludowych” i „narodowokatolickich” polityków wydatki socjalne, PKB spadał lub w najlepszym razie stał w miejscu, co właściwie nie powinno dziwić, skoro najcenniejsi, inteligentni i kreatywni pracownicy uciekali za granicę, nie mogąc znieść rosnącego fiskalizmu państwa i ideologicznego bełkotu o „lepszym jutrze” i „społecznej sprawiedliwości”, którym władze tłumaczyły rosnące wyrzeczenia i coraz powszechniejszą nędzę. Lewandowski, który to obserwował i jak inni doświadczał na własnej skórze, nie mógł zrozumieć, jak nawet bardzo niskie zarobki można opodatkować siedemdziesięcioprocentową stawką. Z drugiej strony skądś trzeba było wziąć pieniądze na emerytury i zasiłki, skoro system ubezpieczeń społecznych rozsypał się ostatecznie i większość świadczeń zaczęto wypłacać wprost z państwowej, pustoszejącej kasy. W efekcie tego kurczenia się rynku pracy w 2027 roku jeden zatrudniony utrzymywał 2,4 statystycznego emeryta. To rzecz jasna wyganiało za granicę każdego, kto miał tam czego szukać, i w rezultacie jeszcze bardziej pogłębiało zapaść gospodarczą. Niezależni ekonomiści pisali alarmistyczne raporty, w których stwierdzali, że katastrofa demograficzna i ekonomiczna powodują sprzężenie zwrotne, to jest nawzajem się napędzają, a Polska wpada w „spirale śmierci”, z której już się nie wyrwie. Zdaniem działaczy PPL-u sytuacja nie przedstawiała się aż tak dramatycznie, a kłopoty są jedynie przejściowe. Rzeczywistość skrzeczała jednak nadal mimo systematycznego zwalania winy na „zdrajców i obcych”. Trzeba było wyciągnąć rękę po jałmużnę do znienawidzonych biurokratów z Brukseli, ale hojność Unii też miała swoje granice, kolejnych pożyczek odmówiono, więc w kręgach rządowych pomyślano o dodatkowym źródle waluty bijącym sobie spokojnie na dnie Pacyfiku.

Dochody z podmorskiej kopalni mogłyby znacząco wspomóc budżet, więc rząd PPL-u podjął działania w celu przejęcia konsorcjum – w ścisłej tajemnicy

przygotowano ustawę o upaństwowieniu bez odszkodowania udziałów prywatnych w Interoceanmetal. Rzecz jednak działa się w Polsce i oczywiście sekret wnet wyciekł. Najpierw o wszystkim dowiedział się Tarkowski, potem tablofoidy, które rozdmuchały aferę, wietrząc w tej konfiskacie zapowiedź generalnej rozprawy z biznesem, na co się od pewnego czasu, w imię „sprawiedliwego jutra” i dziurawego budżetu, zanosilo. Okazało się jednak, że miliarder miał plan na taką ewentualność. W ciągu jednej nocy szczecińska siedziba konsorcjum została ewakuowana, zapakowana w kontenery, załadowana na statek i wysłana do... Mikronezji. Tam bowiem – konkretnie na wyspę Chuuk – Tarkowski przeniósł swoje interesy. Myślał o tym od dawna, miejscowe obywatelstwo wyrobił sobie bowiem już trzy lata wcześniej. Zarząd Interoceanmetal wylądował w klimatyzowanym baraku na przedmieściach stołecznego Weno, ale i tak było oczywiste, że najważniejsze decyzje podejmuje główny udziałowiec, który zresztą przebywał przeważnie w stacji, osobiście pilnując jej rozbudowy.

Tym sposobem projekt Polska 2 stał się inicjatywą całkowicie prywatną, z czym rząd RP się rzecz jasna nie pogodził, regularnie występując do mikronezyjskich władz z żądaniem oddania kontroli nad konsorcjum i równie regularnie spotykając się ze stanowczą odmową, gdyż „Sfederowane Stany Mikronezji nie ingerują w przedsięwzięcia prowadzone przez ich obywateli, jeśli nie łamią stanowego prawa”. Aby dodatkowo utrudnić starania Warszawy, Tarkowski przekształcił Interoceanmetal w spółkę o nazwie Polska 2, do której stopniowo przenosił inne składowe swojego majątku. Dla obserwatorów stawało się jasne, że zamierza cały swój holding utopić na dnie oceanu. Ale nie wywołało to specjalnego zaniepokojenia inwestorów, bo po pierwsze, zyski zaczynały przewyższać nakłady, a po drugie, inne państwa i koncerny, ewidentnie zainspirowane sukcesem polskiego biznesmena, budowały na Clarion-Clippertonie swoje instalacje wydobywcze.

Te wydarzenia zbiegły się z tak zwanym puczem Sidorskiego, wojskowym przewrotem inspirowanym i kierowanym przez Władysława Sidorskiego, odsuniętego na boczny tor polityka, który zaniepokojony poczynaniami populistów (w powszechnej opinii Przyjaciela Ludu stali się więźniami własnej narodokatolickiej ideologii i całkowicie stracili kontakt z rzeczywistością) porozumiał się z grupą wysokich oficerów WP. Zawiązany przez nich spisek zmierzał do obalenia destrukcyjnych rządów PPL-u wzbudzających w Polakach coraz większe niezadowolenie i ustanowienia w ich miejsce oświeczonej dyktatury. Bezpośrednim impulsem stały się plany

przyciśniętych deficytem władz dotyczące sprzedaży za granicę znacznej części sprzętu wojskowego, by tym prostym sposobem zasilić dziurawy budżet i choć na krótki okres ustabilizować staczającą się ku katastrofie gospodarke.

Do puczu ostatecznie nie doszło. Nie dopuścili do tego kontrolowane przez rząd służby specjalne – jeden z zaangażowanych w sprawę generałów okazał się agentem bezpieczeństwa i uczestnicy sprzysiężenia zostali aresztowani podczas narady w willi polityka. Trafili do więzienia, a potem przed sąd – z wyjątkiem Sidorskiego, któremu udało się zbiec podczas przewożenia na przesłuchanie do prokuratury. W Warszawie szeptano sobie, że ktoś mu w tym pomógł. W każdym razie po ucieczce zapadł się pod ziemię – nie objawił się na emigracji, choć wydawał się naturalnym liderem ugrupowań sprzeciwiających się narodowokatolickiemu reżimowi, co dało asumpt do kolejnych spekulacji, tym razem o maczaniu palców w całej sprawie przez Tarkowskiego. Czyżby miliarder postanowił sprowadzić niedosłego dyktatora do Polski 2? Nic pewnego na ten temat nie wiadano, bo wiadomości ze stacji zostały objęte blokadą informacyjną. Lewandowski parę lat później przez przypadek dowiedział się od jednego ze znajomych pracowników MSZ, że stacja stała się całkowicie nieprzenikliwa dla wywiadu. Każdy wysłany „na dół” agent, który przeszedł sito selekcji, bo nie każdego przybysza akceptowano, przeciwnie, z biegiem czasu odsiew kandydatów do życia na dnie oceanu stawał się coraz bardziej drobiazgowy – milkł po wysłaniu pierwszego meldunku, a często w ogóle się nie odzywał. A po kilku miesiącach przychodziła od niego wiadomość, że ma się dobrze i nie wraca, a cały PPL i jego „sprawiedliwe jutro” tudzież „narodowe i katolickie” wartości ma w dupie. Rząd podejrzewał, że ludzie Tarkowskiego opanowali do perfekcji techniki wykrywania i przewerbowywania szpiegów. Brak informacji stał się wyjątkowo dotkliwy, nie zdołano nawet ustalić ostatecznego składu zarządu fundacji. Między podwodnym kawałkiem Polski a nawodną ojczyzną wyrosła ściana, nieprzenikliwa jak wodoszczelna gródź.

Doniesień nie brakowało za to w mediach zagranicznych, choć Lewandowski odnosił wrażenie, że były starannie filtrowane, tak jakby Tarkowski nie chciał, by wiadano za wiele. W kolejnych latach stacja była systematycznie rozbudowywana, bo wszystkie zyski, poza dywidendą dla akcjonariuszy, konsekwentnie inwestowano w rozwój. Już w 2029 roku mieszkało w niej na stałe ponad dwa tysiące osób, nie tylko naukowców, lecz także wszelkiej maści dysydentów, którym obmierzły PPL-owskie rządy „gerontów” (średnia wieku premiera i ministrów wynosiła około

siedemdziesięciu lat), coraz bardziej opresyjne w miarę pogarszania się sytuacji społecznej i gospodarczej. Dóbr konsumpcyjnych brakowało, za to rosły szeregi „wrogów narodu”. Dla wielu ten klimat stał się zbyt duszny. Przenosiny do oceanicznej osady traktowano jako alternatywę dla klasycznej emigracji. Tarkowski patrzył na tę migrację przychylnie, choć rzecz jasna musiała być limitowana możliwościami przestrzennymi, ale stawiał przybyszom dwa warunki – każdy, kto chciał zostać mieszkańcem „podwodnej Polski”, musiał się nauczyć profesji przydatnej na miejscu oraz zrzec się polskiego obywatelstwa (w zamian dostawał od władz mikronezyjskich status tolerowanego bezpaństwowca). Tym sposobem stacja, jej mieszkańcy i zarządzany przez nią obszar dna Pacyfiku de facto stały się odrębną jednostką gospodarczą i administracyjną o cechach parapaństwa.

Zdaniem Lewandowskiego sprawa wydawała się oczywista. Polska 2 od początku lat trzydziestych rzeczywiście stała się podwodnym miastem-państwem, dysydencką alternatywą dla Polski 1. Tak przynajmniej uważali ci, którzy go tu przysłali.

*

Od przeglądanych materiałów oderwał go Paweł.

– Za dziesięć minut przybijamy – powiedział. – Może chce pan zobaczyć, jak to z góry wygląda? Zapraszam do kokpitu.

Pewnie, że chciał. Zwinął tablet, schował go do plecaka, skąd wyciągnął kamerę i założył ją na głowę – chwytak statywu mógł obejmować także ramię lub nadgarstek, ale uznał, że ujęcie z góry będzie najlepsze, zwłaszcza że w kokpicie musiał stanąć za fotelem pilota. Paweł pokazywał palcem w dół, jednak wciąż nic nie widział, batyskaf otaczała granatowa czerń – na tę głębokość, a byli już tysiąc trzysta metrów pod powierzchnią, nie docierał nawet ślad słonecznej poświaty; zdawał się w niej panować martwy bezruch, czasem tylko w reflektorach pojazdu pojawiało się blade morskie żyjątko, które, wystraszone objawieniem się metalowego potwora, natychmiast znikało.

Batyskafem zatrzesło, widocznie znowu trafili na podwodny prąd, i Lewandowski poczuł, że gwałtownie lecą w dół. Paweł szybko wyrównał i po chwili pod sobą zobaczyli światła.

Tuż pod pojazdem, nieco z prawej, rozciągał się trójkątny obszar oznaczony nielicznymi bladoniebieskimi punktami przebijającymi się przez gęstą czerń, nie było ich więcej niż kilkadziesiąt. Dziennikarz domyślił się, że

to właściwy teren stacji. Coś mu tu nie pasowało. Powinna liczyć przeszło trzysta budowli, kopuł mieszkalnych, modułów badawczych i produkcyjnych. Paweł uprzedził jego pytanie.

– Kopuły nie są przezrocyste, bo i tak nie widać stąd nieba – wyjaśnił. – A iluminatorów jest mało, bo są ryzykowne, osłabiają konstrukcję. Okna budujemy tam, gdzie jest to niezbędne lub stosunkowo bezpieczne, zresztą nic nie można przez nie zobaczyć, tu panuje wieczna ciemność. Właściwie żyjemy trochę jak krety, ale na tej głębokości to nieuniknione.

Na prawo od płaskowyzu, na którym usytuowano stację (a właściwie już podwodne miasto), rozciągał się obszar, na którym dało się zauważyć kilkanaście podłużnych plam światła, jakby rzucanego na dno przez poziome reflektory. Niektóre były nieruchome, część się powoli przemieszczała. Tadeusz wiedział, że to najpewniej reflektory kombajnów zbierających konkret.

– To odkrywka numer jeden, nazywamy ją Doliną Jozafata, bo na początku szło jak po grudzie i twórcy stacji myśleli, że projekt zostanie w niej pogrzebany aż do dnia Sądu Ostatecznego... – Paweł zaśmiał się. – Ale w końcu dali radę i kopalnia ruszyła. To pierwotny teren eksploatacji, właściwie już wybrany, za rok będziemy musieli zaprzestać wydobywania... Jak pan widzi, kombajny pracują pełną parą.

Informacji o wyeksploatowaniu kopalni w materiałach dostarczonych przez „dyrektora” nie wyczytał. Oczywiście nie istnieje coś takiego jak niewyczerpane złoża, ale byt Polski 2 zależał od wydobywania minerałów, bez ich eksportu stworzone przez Tarkowskiego oceaniczne quasi-państwo upadnie, bo jest uzależnione od importu choćby żywności czy technologii z „góry”. Czy jego mocodawcy o tym wiedzieli? Przecież to niemożliwe, aby przysłano go niepotrzebnie!

– Ale bez eksportu minerałów... – zaczął, ale chłopak mu przerwał, pokazując na widniejącą nad świetlikami, w pewnej oddali, różową poświatę.

Sam ją zauważył i chciał zapytać, co to właściwie jest.

– To pasmo wulkaniczne zwane Osobliwością Pawłowskiego, pewnie pan słyszał, bo od tego się zaczęło, światło bije od wyrzucanej z wnętrza magmy. Po jego drugiej stronie rozciąga się pole wydobywcze pięciokrotnie większe od Doliny Jozafata, założyliśmy tam już odkrywkę numer dwa, zwaną Edenem, bo zarząd lubi biblijne skojarzenia, a wszak Raj był też krainą obfitości. Dzięki niej zwiększymy wydobywanie dwukrotnie, założymy też w pobliżu drugie miasto... to znaczy się stację. – Chrząknął zakłopotany, jakby powiedział za dużo. – No wie pan, nas tu przybywa, wczoraj narodził

się 17 228. oby... znaczy się mieszkaniac... a dziś są spodziewane dwa kolejne porody... Potrzebujemy przestrzeni dla nowych rezydentów.

Lewandowski sięgnął do kamery i ją wyłączył.

– To tu się rodzą dzieci? – zdumiał się.

Paweł, choć skupiony na instrumentach, zerknął na niego spod oka.

– Tak, bez problemu, zarząd nawet zachęca...

Światła w dole rosły, punkciki zamieniały się w rozmazane plamki – wyróżniał się jeden obiekt, kwadrat okolony szeregiem świateł, z pulsującym krzyżem pośrodku. Przypominał lądowisko dla helikopterów. Dziennikarz domyślał się, że to dokowisko, do którego zmierzał batyskaf prowadzony pewną ręką Pawła. Mimo młodego wieku okazał się zdumiewająco wprawnym pilotem i świetnie sobie radził bez automatyki. Kwadrat rósł w oczach, Lewandowski widział pogrążone w mętym półmroku zarysy położonych w pobliżu budowli o obłych, opływowych kształtach. Kilka okrągłych światełek pewnie oznaczało iluminatory, ale tak w ogóle było to równie ciemne i ponure miejsce jak niektóre warszawskie dzielnice nocą. Z tą różnicą, że nie było tu ulic, które należałoby oświetlać.

Lampy wyznaczające krawędzie lądowiska prawie zrównały się z batyskafem i Tadeusz odczuł lekkie stuknięcie. Pojazd przez moment szorował po podłożu i w końcu znieruchomiał.

Był zatem w Polsce 2.

*

Wyszli przez denny właz prosto do ciasnej i ciemnej śluzy. Tam musieli poczekać kilkadziesiąt sekund na wyrównanie ciśnienia, które w stacji było wyższe niż w batyskafie. Potem, gdy grodzie się podniosły, przeszli krótkim korytarzem do obszernego i jasnego pomieszczenia, niezbyt wysokiego – „komory celnej”, jak mu z uśmiechem wyjaśnił Paweł, który zaraz potem się zmył. Przy długim białym stole z terminalem kompa czekało tam na Lewandowskiego dwóch mężczyzn w średnim wieku. Za plecami urzędników widniało zainstalowane na ścianie okrągłe godło z polskim orłem w koronie, tyle że nie na pełnym czerwonym tle. Dolna część tarczy była niebieska, a w tle, między szponami orła, widniał jakby zarys góry czy wulkanicznego stożka. Pewnie, jak się domyślał, chodziło o symboliczne zaznaczenie dna oceanu. Nad tym czerwono-niebieskim godłem umieszczono stylizowany napis-logo: „Polska 2”. Niczego więcej w tym spartańskim wnętrzu nie było. Nawet krzesła dla przybysza.

Jeden z urzędników bez żadnych wstępów zażądał od niego dokumentów, udając, że nie wie, z kim ma do czynienia. Demonstracyjnie oglądał plastikową kartę, jakby podejrzewał fałszerstwo, potem starannie sprawdzał paszport w czytniku. No tak, reżimowych mediów z pewnością tutaj nie lubiano. A tym bardziej reżimowych dziennikarzy delegowanych przez „jedynekę”, państwowy telefon, o nazwie jak najbardziej słusznej, bo innych, także prywatnych, już od dawna nie było. Nie zauważył bramki skanera, ale domyślał się, że odpowiednią aparaturę zapewne ukryto w ścianach. Poczł lekki niepokój, choć ludzie „dyrektora” zapewniali go, że „gadżetu” żadnym systemem skanującym wykryć się nie da. Jeśli się mylili, to za chwilę zostanie zdemaskowany.

Drugi facet, szpakowaty brunet, zachowywał się znacznie bardziej przyjaźnie. A przynajmniej rzeczowo.

– Proszę się temu nie dziwić. – Wskazał na kolegę wciąż badającego paszport Lewandowskiego, jakby Bóg wie co chciał w nim jeszcze wyczytać. – Od kilku lat nie utrzymujemy oficjalnych stosunków z Polską 1... a dokładniej z rządem. Pańska wizyta może okazać się przełomem, kto wie, może zdołamy wznowić kontakty? O ile przygotuje pan rzetelny reportaż.

– No cóż, postaram się – odparł Lewandowski, byle coś powiedzieć.

– Dlatego zgodziliśmy się na pana wizytę. Wielu z nas pamięta pana relacje z powstania... Nie ukrywam, że miało to wpływ na naszą decyzję. Inne kandydatury odrzuciliśmy.

Lewandowski drgnął, starając się ukryć zmieszanie. „Dyrektor” powiedział mu dokładnie to samo.

– Cieszy mnie takie zaufanie... – powiedział niepewnie.

Brunet w odpowiedzi rzucił mu przeciągłe spojrzenie, jakby mówił: „Obyśmy się nie zawiedli”. Nawet go rozumiał po tych wszystkich historiach, do jakich doszło między zarządzającą Polską 2 fundacją a władzami Rzeczypospolitej skarżącymi swoich byłych a niewdzięcznych obywateli do wszelkich możliwych narodowych i międzynarodowych trybunałów. Sęk w tym, że Tarkowski zatrudnił naprawdę dobrych prawników i wytaczane mu jeden po drugim procesy wygrał. W myśl prawa międzynarodowego Polska 1 do Polski 2 od ładnych paru nic już nie miała.

Ale chce mieć, i to bardzo, pomyślał, odbierając paszport od pana podejrzliwego. Wyglądało no to, że przeszedł weryfikację. Zatem bezpieczniacy nie mylili się i ich „gadżet” nie został wykryty przez systemy skanujące stacji. Uprzejmy brunet wskazał mu następne pomieszczenie, także oddzielone wodoszczelną grodzią. Wszedł do przytulnego podłużnego pokoju

nieoświetlonego, jak „komora celna”, zimnymi ledówkami, lecz ciepłym, lekko żółtawym światłem emitowanym przez owalne panele przymocowane na suficie i na ścianach. Dawały doskonale złudzenie światła dziennego. Skądinąd koniecznego w tym świecie wiecznego oceanicznego mroku. A dokładniej czarnej jak sadza ciemności.

W pomieszczeniu, najwyraźniej o charakterze poczekalni, stało kilka okrągłych stolików obstawionych fotelami, w rogu zauważył samoobsługowy barek z napojami. Chciało mu się pić i postanowił skorzystać. Ze zdziwieniem stwierdził, że automat nie pobiera opłat! Wystarczyło zaprogramować na panelu napitek – wybrał klasyczną herbatę z cytryną – i zatwierdzić. Po minucie dostał kubek z parującą zawartością.

– W Polsce 2 nie używamy pieniędzy – usłyszał z tyłu dziwnie znajomy głos. – Nie są nam potrzebne.

Odwrócił się, wciąż z kubkiem ręce. W owalnych drzwiach – pełniących zarazem funkcję wodoszczelnego wjazdu – prowadzących do kolejnego pomieszczenia stał wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy, który mrugnął do niego porozumiewawczo niczym stary znajomy. Lewandowski przyjrzał mu się uważnie. Poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Tak, rzeczywiście, kiedyś już go spotkał, i to stosunkowo niedawno, przed kilkoma laty.

Nittribit.

*

Musiał źle skrócić – i to chyba niejednym razem. GPS padł mu przed godziną, pewnie znowu firma zalegała z opłatami i odcięto ją od satelity. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, dlatego przed wyjazdem wyciągnął z pawlacza i zabrał ze sobą starą mapę drogową. Ale musiał stracić wprawę w jej czytaniu, poza tym zrobiło się już ciemno i mało co widział, nie był też pewien oznakowań na drodze, z pewnością dawno nieaktualizowanych. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że od jakiegoś czasu jedzie w zupełnie nieznanym kierunku. Jak nic się zgubił.

Lewandowski przejechał jeszcze jakieś dwieście metrów. Droga stawała się coraz gorsza, w asfalcie ziały wielkie dziury. Omijał je z trudem i bał się, że lada moment wpadnie w naprawdę dużą i szlag trafi zawieszenie. Jego stary peugeot nie nadawał się na wóz terenowy. Wreszcie, porządnie już wkurzony, przyhamował i stanął. Na tym odcinku pobocza zarastały gęste chaszczki, zupełnie nie widział, co jest dalej. Siedział w bezruchu i wsłuchując się

w pracujący na jałowym biegu silnik, zastanawiał się, co powinien zrobić. Mógł oczywiście zawrócić, ale po zjechaniu z autostrady skręcał kilka razy, pięć albo sześć, nie pamiętał dokładnie ile. Powrót po śladach raczej nie wchodził w grę. Poza tym przez przypadek mógł się znajdować bardzo blisko tego cholernego domu starców. Zerknął na komórkę i prychnął sarkastycznie. No tak, oczywiście, nie ma zasięgu. Słyszał zresztą, że sieć zwija się systematycznie, wyłączając kolejne maszty – za priorytet uznano utrzymanie zasięgu wzdłuż głównych dróg i w miastach. Ci, którzy żyli na prowincji, zostali pozostawieni własnemu losowi. O ile jeszcze żyli. Pochylił się ku szybie i uniósł wzrok, odruchowo szukając na niebie gwiazd. I wtedy zauważył kabel rozpięty w koronach drzew.

Włączył długie światła, wysiadł z samochodu i przyjrzał mu się uważnie. Wyglądał na niedawno zainstalowany, gruby, kilkużyłowy, o nienaruszonej izolacji, rozpięty na hakach wbitych w pnie. Prowizorka, bo powinien być na słupach lub wpuszczony w ziemię, ale jak to w Polsce, będzie tak wisiał, póki drzewa stoją lub przestanie być potrzebny. Pomyślał, że weźmie latarkę i podejdzie do przodu. Ten przewód musiał dokądś prowadzić. Jeśli miał szczęście, to mógł natknąć się na wciąż zasiedlony dom. Nie mógł odjechać zbyt daleko od głównej drogi, a ludzie opuszczali peryferyjne osady, byle znaleźć się jak najbliżej resztek cywilizacji. Choć niektórzy nie chcieli i zostawali w umarłych wsiach, żyjąc nie wiadomo z czego. Istniała jeszcze inna możliwość – mógł tu mieszkać lokalny prominent, którego wciąż stać na prywatną linię energetyczną.

Podjechał jeszcze parę metrów i zaparkował na poboczu, na małej polance wolnej od krzaków. Dalej przez wyżarte w asfalcie dziury nie dało się już jechać. Wyciągnął ze schowka latarkę i mapę, którą zwinął w rulon i schował do kieszeni. Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien wziąć kamerę, ale doszedł do wniosku, że na nic mu się nie przyda. Polecono mu zrobić reportaż z otwarcia domu opieki, nic więcej by mu nie puścili. Zresztą, co mógłby w tej głuszy skreślić? Pustelnika żyjącego rzepą, kozim mlekiem i klepiącego paciorki za pomyślność narodowokatolickich przywódców? Też by nie puścili, a jeszcze dostałby opeer za próbę przemycenia „niesłusznej satyry”, o ile nie trafiłby na reedukację patriotyczną. Poza tym, jakby co, miał przecież goobinokle, choć wykonane mikrorejestratorem nagranie i tak nie nadawało się do emisji w trójwizji.

Zamknął wóz i ruszył skrajem szosy, co chwila świecąc latarką do góry w korony drzew, aby się upewnić, że wciąż biegnie tam przypięty do pni kabel. Noc zapadła już całkowita i zrobiło się naprawdę ciemno, czerń

afrykańska, nie świeciły gwiazdy, niebo musiało być zachmurzone. Na drodze tymczasem asfalt zanikł zupełnie, zmienił się w szutrowe i równie dziurawe klepisko. Czasem między zwartą ścianą drzew i chaszczki pojawiała się otwarta na pola przerwa – przystawał wtedy i wypatrywał choćby jednego światła. Nic jednak nie zobaczył. Wiedział, że w pozbawionych prądu wioskach ludzie kładli się spać z kurami. Tam po prostu wrócił wiek XIX i nie palono lamp po próżnicy, bo nafta kosztowała. Tym bardziej intrygował go kabel rozpięty na drzewach. Jego grubość wskazywała, że dostarczał prąd potężnej mocy. Dla kogo? Zatrzymał się, tknięty złym przecuciem. Może chodziło o jakąś tajną bazę? Ale nie, prędzej o zwykłą jednostkę wojskową, bo do naprawdę pilnie strzeżonej bazy nie pozwoliliby mu się zbliżyć. Już by go mieli na termokamerach. Na różne tajności władza wciąż znajdowała pieniądze.

Uszedł może ze dwa kilometry. Nic nie widział i nie słyszał, jedynym znakiem ludzkiej działalności był czarny kabel przeciągnięty w koronach drzew. Po kolejnych kilkudziesięciu krokach zwarta ściana zarośli urywała się gwałtownie, a kabel opadał i znikał pod ziemią. Po obu stronach drogi rozciągał się bezdrzewny ugor porośnięty suchymi badyłami. Zaklął brzydko pod nosem, przekonany, że na próżno szedł taki kawał, kiedy przed sobą na granicy zasięgu latarki zobaczył płot. Zwyczajny, z metalowej siatki, wysoki na co najmniej dwa i pół metra, zwieńczony kłębiasto skręconym drutem kolczastym. Pordzewiały, ale najwyraźniej nienaruszony.

Podszedł bliżej. To był narożnik – jedna część płotu ciągnęła się wzdłuż drogi, druga ginęła w ciemnościach na ugorze. Zdecydował, że pójdzie dalej drogą. Gdzie jest płot, tam powinna być w końcu i furтка. Podniósł wyżej latarkę i poświecił na obszar rozciągający się za siatką. W odległości może trzydziestu metrów zobaczył ścianę wysokiej budowli. Ruszył wzdłuż ogrodzenia, co chwila świecąc na budynek – przeszedł co najmniej sto metrów, a on wciąż tam był, ta sama szarawa ściana wysoka na dwanaście, piętnaście metrów, bez okien i drzwi, wykonana z żebrowanej blachy. Pomyślał, że musi być to jakaś hala fabryczna, może obiekt przemysłowy, od jakich w Polsce się roiło. Tylko po co to zasilanie? Kabel najwyraźniej został podciągnięty całkiem niedawno. Coś tu jednak produkowano? Przystanął i nadstawił ucha – jeśli w domniemanej hali cokolwiek wytwarzano, powinien usłyszeć odgłos pracujących maszyn.

Nic jednak nie słyszał poza pbrzękiwaniem zwojów drutu kolczastego poruszanego przez słabe podmuchy wiatru. Uznał, że przejdzie jeszcze kilkadziesiąt metrów i jeżeli nic się nie zmieni, zawróci do samochodu

i spróbuje jakoś dotrzeć do głównej szosy...

W pierwszej chwili pomyślał, że to nie dziura, ale wybrzuszenie w siatce. Dopiero kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł wąską, sięgającą połowy wysokości płotu szczelinę o wywiniętych na zewnątrz brzegach. Od biedy dało się przez nią przecisnąć. Przez chwilę zastanawiał się, czy warto. Może jednak ktoś tej hali pilnował? Przynajmniej dowiedziałyby się od dozorczy, gdzie się właściwie znajduje. Rozchylił brzegi dziury i przelazł na drugą stronę.

Hala musiała być naprawdę gigantycznych rozmiarów. Idąc wzdłuż płotu, przeszedł prawie dwieście metrów, a ona wciąż tam była, tak jakby ciągnęła się przez następne kilkaset metrów. Poświecił latarką wzdłuż ściany, ale nie zobaczył jej końca. Z pewnością postawiono ją kilkanaście lat temu, na stalowej żebrowanej blasze widniały jeszcze resztki obłazącej białej farby. Ruszył przed siebie wąskim betonowym chodnikiem biegnącym równoległe do metalowego muru i wyglądającym na część fundamentu.

Prawie kwadrans szedł wzdłuż ściany szarego zmatowiałego aluminium z nadzieją, że budowla wreszcie się skończy i dotrze na jakiś plac ze stróżówką czy czymś takim. Po kolejnych pięciu minutach zaczął żałować, że przelazł przez płot. Ile ta cholerna hala mogła mieć długości? Kilometr? A może dwa? Zrozumiał, że wpadł w niezłe tarapaty. Zawrócić nie mógł, bo nie potrafiłby odnaleźć dziury w ogrodzeniu – była naprawdę wąska, szukałby jej pewnie do rana, poza tym nie wiedział, jak długo pociągnie latarka. Pozostała tylko droga wzdłuż tego ginącego w ciemnościach aluminiowego muru. Gdzieś musiał się wreszcie kończyć. Powinien użyć goobinokli, ale zapomniał je naładować i bateria wystarczyłaby ledwo na parę minut. Potem mogły się okazać bardziej potrzebne.

Tak był zajęty mamrotaniem przekleństw na swoje roztargnienie, że o mało nie przegapił drzwiczek – wąskich i idealnie wpasowanych w ścianę, z ledwo widocznym napisem „SERVICE”. Już je prawie omijał, ale zaczepił rękawem o wystający na zewnątrz panel zamka magnetycznego. Przystanął i obejrzał go uważnie. Wyglądał na urządzenie starego typu, ze szczeliną na kartę z chipem. Raczej go nie otworzy. Rozzłoszczony, uderzył pięścią w kwadratową obudowę. Plastik chrupnął i zamek... zapadł się do wewnątrz. Przez moment zaskoczony patrzył w powstały otwór, aż dotarło do niego, że masa plastyczna panelu, pewnie nie najlepszej jakości, w przeciwieństwie do stalowych drzwi nie wytrzymała warunków atmosferycznych i po prostu skruszała.

Złapał za gałkę i pociągnął do siebie. Drzwi zrazu stawiały opór, po czym

ustąpiły z piskliwym skrzypnięciem. Wyłączył latarkę i ostrożnie wsunął głowę do środka.

Z początku wydawało mu się, że w hali panuje całkowita ciemność, ale po chwili zauważył, że na podłodze świecą się długie rzędy niebieskich diod wyznaczające ścieżki, po których zwykle poruszały się zasilane indukcyjnie droidy transportowe. Coś zatem jednak tu robiono. Potem dobiegły go odgłosy z wnętrza, osobliwa kakofonia złożona z głuchego szumu wentylatorów, buczenia jakiejś aparatury i czegoś, co brzmiało jak rytmiczna praca pompy ssąco-tłoczącej. Nad tym stłumionym hałasem dominował jednak przeciągły chóralny dźwięk: ni to szept, ni to zbiorowe sapanie przechodzące chwilami jakby w mlaskanie. Niezwykły był też zapach: mieszanina kurzu, rozgrzanego plastiku, stęchłego odoru kojarzącego się z fekaliami i mdląco-słodkawego, drażniącego smrodku nadpsutego mięsa.

Włączył latarkę, otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka.

Zobaczył przed sobą ciągi wysokich metalowych regałów z szerokimi półkami. Przemknęło mu przez głowę, że to z pewnością jakiś magazyn wypełniony towarem, bo na półkach leżały poukładane w regularnych odstępach podłużne pojemniki czy też pudła, wykonane z szarawej masy, długie na dwa metry, wysokie może na pół, szerokie na metr z okładem, otwarte od góry. Z tej odległości nie widział, co zawierały. Tu i ówdzie dało się zauważyć większy odstęp, puste miejsce najwidoczniej czekające na uzupełnienie.

Bezpośrednio za drzwiami, którymi wszedł, znajdowała się jedna z alejek, stał między dwoma rzędami regałów wypełnionych tymi dziwnymi pudłami. Zauważył, że podłączono do nich przewody. Kiedy przyjrzał się dokładniej, poznał, że to plastikowe rurki – wystawały z każdego pojemnika, biegły przymocowane klamerkami wzdłuż brzegów półek, na wspornikach zbierały się w grube pęki, które pięły się ku górze. Kiedy tam poświecił, zobaczył, że pod sufitem rozpięta jest gęsta sieć grubszych i cieńszych rur wyglądająca na skomplikowany system hydrauliczny podłączony do owalnych białych zbiorników o pojemności setek litrów.

Kiedy machinalnie zastanawiał się, co właściwie może w nich być i dlaczego zamontowano je tak wysoko, usłyszał przeciągły jęk przebijający się przez panujący w hali szum. Wydawało mu się, że dobiegał z jednego z pojemników znajdujących się w regale po prawej, z najniższej półki. Wziął to za omam słuchowy, ale jęk się powtórzył. Podeszedł bliżej, pochylił się nad pojemnikiem i zajrzał do środka.

W pierwszej chwili pomyślał, że to trup, a dokładniej mumia. Kobieta,

niewiarygodnie stara, o brązowej, wyschniętej jak pergamin, poznaczonej gęstą siatką zmarszczek skórze, leżała na wznak na podściółce z czegoś, co wyglądało jak wata, owinięta po szyję w półprzejrystą gazę. Żyłą jednak, jej pierś unosiła się nieznacznie w rytm płytkiego oddechu. Zwisająca z góry rurka wypełniona mętnym płynem biegła wzdłuż ciała, widział przez gazę wenflon wpięty w żyłę po wewnętrznej stronie prawego uda. Staruszka była niewiarygodnie chuda, jej kończyny przypominały piszczele obciągnięte skórą, bez śladów mięśni, żebra wręcz wystawały z ciała, dały się policzyć jak na szkielecie. Pomiedzy nogami kobiety sterczała gruba rura z przezroczystego plastiku, wypełniona brunatną cieczą – domyślił się, że to urządzenie do odprowadzania moczu i fekalii. Leżąca w pojemniku kobieta mogła ważyć najwyżej czterdzieści kilogramów. Na jej szyi zauważył czujnik mierzący puls i temperaturę. Ktoś chciał wiedzieć, kiedy umrze.



Staruszka musiała poczuć światło latarki na twarzy, bo nieznacznie drgnęła i poruszyła spieczonymi, czarnymi wargami. Jęknęła i otworzyła oczy. Cofnął się odruchowo, uderzony jej spojrzeniem, ciemnym i pustym. Nie widziała go, mimo że skierował snop światła ku górze i jej nie oślepił. Patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, w kącikach oczu zbierały się łzy, natychmiast znikające w labiryncie zmarszczek na policzkach. W pierwszym odruchu chciał się odezwać, powiedzieć coś do niej, ale zrozumiał, że to nie miało sensu. Kobieta wyglądała tak, jakby znajdowała się w stanie letalnym,

najpewniej pogrążona w śpiączce farmakologicznej.

Odsunął się i zajrzał do sąsiedniego pojemnika. Spoczywał tam mężczyzna równie wiekowy, choć nie tak wychudzony, także owinięty w gazę i podpięty do rurki z mętnawym płynem, niedający żadnych oznak życia. W następnym znowu kobieta, okaleczona, bez lewej nogi, co chwila wstrząsana przebiegającymi przez całe ciało drgawkami – płyn w jej rurce miał różowawe zabarwienie. Zaglądał dalej: w ośmiu pojemnikach na dolnej półce leżało pięć kobiet i trzech mężczyzn, w większości starych, choć dwoje wydawało się całkiem młodych, za to mocno fizycznie zdeformowanych; wszyscy wychudzeni, z czujnikami pulsu przyklejonymi do tętnic, niektórzy na skraju śmierci, z ledwo wyczuwalnym oddechem. Dwa miejsca były puste, wisały nad nimi rurki gotowe do podłączenia.

Każdy segment składał się z sześciu takich dziesięcioosobowych półek rozmieszczonych co półtora metra. Ostatnia, najwyższa, znajdowała się tuż pod rozpiętym pod sufitem systemem hydraulicznym – to on dostarczał pożywki i odbierał odpady. W alejce, w której stał Lewandowski, w rzędach po lewej i prawej znajdowało się po osiem takich segmentów, dalej, jak widział w świetle latarki, była przerwa na biegnący poprzecznie korytarz, za nim ciągnęły się następne alejki z regałami pełnymi szarych pojemników. Ile tego mogło być w tej gigantycznej hali? W jednej alejce dziewięćset sześćdziesiąt, a w całej hali? Setki tysięcy?

Chodził między rzędami, a snop światła latarki wydobywał kolejne segmenty zastawione pudłami z dogorywającym „towarem”. A właściwie trumnami, bo docierało do niego, że ma do czynienia z gigantyczną trupiarnią. Tych ludzi zgromadzono tutaj, aby umarli – cicho, w spokoju, z dala od niedyskretnych oczu. A więc tak wygląda ten „rajski dom”, pomyślał, czując, jak z grozy sztywnieją mu szczęki.

Z poprzecznego korytarza dobiegł go metaliczny wizg. Z ciemności wyłonił się droid transportowy, konstrukcją przypominający wózek widłowy. Automat prócz chwytaka, którym trzymał pojemnik, miał po bokach dwa wielofunkcyjne manipulatory. Zręcznie wymijając stojącego w przejściu Lewandowskiego, podjechał do jednego z segmentów po lewej, podniósł pojemnik na trzecią od dołu półkę i wsunął go na puste miejsce. Jeden z manipulatorów złapał za rurkę, drugi robił coś w środku pudła, pewnie podłączał urządzenie do odsysania odchodów. Gdy „pacjent” został już zainstalowany, droid obrócił się w stronę przeciwległego segmentu i jego manipulatory sięgnęły do jednego z pojemników na drugiej półce od góry. Przez kilka sekund go odłączały, po czym widły chwytaka wsunęły się pod

szare pudło i wyjęły je. Automat skierował się w stronę poprzecznego korytarza, skręcił w prawo i zniknął między segmentami.

Lewandowski stał bez ruchu między rzędami i stracił poczucie czasu, wsłuchany w odgłosy wydawane przez umierających, nie głośniejsze niż szelest liści. W głowie czuł kompletną pustkę, nie wiedział, co o tym myśleć – poza tym, że jest to zautomatyzowana fabryka śmierci. Choć wiedział, skąd wzięto „towar” do obróbki.

Z pewnością nie było to prywatne przedsięwzięcie, zbyt wielka skala. I z pewnością ściśle tajne. Dlaczego wybrali akurat taki sposób? Najtańsza i najprostsza wydawała się metoda katyńska – kula w potylicę i ciało zepchnięte do dołu. Lecz ten sposób pozostawiał ślad, spoczywające w ziemi kości przez setki lat świadczyłyby przeciwko mordercom. Poza tym chodziło o kwestie ideologiczne. Wiedział, że znaczna część gerontów poważnie traktuje narodowokatolickie oblicze reżimu. Oczywisty mord kompromitowałby rządzących we własnych oczach, nawet gdyby zdołali go ukryć. Wybrali zatem rozwiązanie zgodne z wyznawaną przez nich pokrętną logiką, na swój sposób miłosierne. Bo nikogo tu przecież nie mordowano, nadterminowi po prostu sobie spali, aby w końcu oddać ducha Panu... cicho i dyskretnie. Co potem z nimi robiono, gdzie droidy odstawiały pojemniki ze zmarłymi?

Lewandowski wzdrygnął się, wstrząśnięty zimnym dreszczem. Rozsądek nakazywał, aby czym prędzej zawrócić do drzwi i zniknąć z tej hali, zanim wpadnie w łapy ochrony. Kiedyś jednak, nim został propagandystą, był prawdziwym reportem, dlatego chciał wiedzieć więcej. Nawet ryzykując życie.

Wyciągnął z kieszeni goobinokle i założył je na nos. Na szczęście odpaliły bez problemu, kontrolka baterii wskazywała, że jest w połowie naładowana. Miał w nich zainstalowaną bardzo sprytną i całkowicie nielegalną aplikację do wykrywania kamer monitoringu, nawet tych pracujących w podczerwieni. Przez dłuższą chwilę wodził głową w prawo i w lewo, w górę i dół, ale skaner nic nie wykazywał. Czyżby byli tak pewni swego, że ich nie zainstalowali? Ostrożnie podszedł do poprzecznego korytarza i wyjrzał zza ostatniego regału. Ciągle nic, żadnych kamer. Przełączył na noktowizor i zobaczył przed sobą, na co najmniej pięćsetmetrowym odcinku, kilkanaście droidów transportujących pojemniki-trumny. Nadal żadnych kamer, za to daleko przed nim, na granicy widoczności, pulsowało ostre światło. Wydawało mu się, że dostrzega tam jakiś ruch. Ten obiekt był wyraźnie mniejszy od droida. Wykonał zoom i zobaczył niewyraźną plamę o kształcie ludzkiej sylwetki.

Plama po chwili zniknęła, a światełko zgasło.

Nie powinien tam iść. Dostatecznie długo wyzywał los. Jeśli nie zainstalowano kamer, to z pewnością po hali kręcili się strażnicy. Gdyby go złapali, nie pomogą żadne tłumaczenia, jego praca w teleforze stanie się wręcz okolicznością obciążającą. Przecież znał bezpieczniaków, zlikwidują go w mgnieniu oka, już teraz za dużo widział. Jeśli chciał żyć i wrócić do Hanki i dziecka, powinien się stąd natychmiast zwijać. Ale chciał też wiedzieć. Wszystko.

Włączył w biklach nagrywanie i ruszył biegnącym wzdłuż hali korytarzem równoległym do ściany – z pewnością jednym z głównych ciągów komunikacyjnych, szerokim na co najmniej dziesięć metrów. Po przejściu paru kroków nadział się na wyjeżdżającego spomiędzy regałów droida, ale automat znowu wyminął go zręcznie, widocznie traktując jak kogoś z obsługi, i pojechał ze swym szarym pakunkiem w stronę, gdzie Lewandowski widział światełko. Ruszył za droidem, ale nie był w stanie dotrzymać mu kroku, automat zbyt szybko się przemieszczał.

Wyciągając nogi, szedł wzdłuż świecącego na podłodze sznurka niebieskich paciorków, mijając dziesiątki rzędów regałów ustawionych w regularnych czterometrowych odstępach. Jak zauważył, dokładnie tyle miejsca potrzebował automat, aby móc swobodnie operować pojemnikami. W alejkach widział wiele droidów, nie tylko transportowych. Kilka wysokich samojazdów wyposażonych jedynie w komplet manipulatorów najwyraźniej zajmowało się wyłącznie serwisem, pracując przy zamontowanym pod sufitem systemie hydraulicznym. W którymś momencie doleciał go wyraźny smród fekaliów, pewnie puściła rura odpływowa. Czasem przez szum hali przebijał się głośniejszy jęk, raz czy dwa usłyszał coś w rodzaju skowytu. Niewiele, jak na tysiące umierających spoczywających w szarych pudłach.

Po przejściu trzystu metrów zauważył w mijanej właśnie po prawej stronie alejce jakiś ruch na regale – zatrzymał się i podkręcił noktowizor. Z pojemnika stojącego na jednej ze środkowych półek wystawała dłoń, starcza, sucha, przypominająca kurzą łapę. Obmacywała brzeg pojemnika, potem uniosła się i palcami dotknęła spodu półki. Przez dłuższą chwilę dłoń napierała na plastikową powierzchnię, tak jakby leżący człowiek usiłował ją od siebie desperacko odepchnąć. To mocowanie się trwało kilka sekund i ręka powoli, jakby z rezygnacją, opadła, znikając w pudle. Lewandowski stał i patrzył jak zahipnotyzowany na półkę, ale nic więcej się nie stało.

Przełknął suchy kłęb, który wyrósł mu w gardle, i ruszył dalej. Dochodził do krańca hali, widział już wyraźnie przeciwległą ścianę. Obok zamkniętej

bramy wjazdowej stało tam coś w rodzaju kontenera mieszkalnego – prostopadłościenne pudło z aluminium, z trzema okienkami przysłoniętymi szczelnymi żaluzjami, ustawione na niskim podeście. W środku paliło się światło, widział wąską smugę sączącą się przez szparę w niezbyt dopasowanych drzwiach. To właśnie zobaczył poprzednio, plamę światła z ludzką sylwetką, zapewne ktoś je otworzył i stanął w progu. Zatrzymał się tuż przy nich, zastanawiając się, kto może przebywać w środku. Jeśli strażnik pilnujący hali, to powinien stąd natychmiast zniknąć, nim go zauważy. Choć równie dobrze mógł być to admin nadzorujący system „obsługi”. Droidy musiały się czasem psuć, a system fiksować, ktoś musiał tego pilnować.

Nim podjął decyzję, czy chce to sprawdzić, drzwi się uchyliły i w progu stanął wysoki mężczyzna w białym kitlu, z papierosem w ustach – nie elektronicznym, lecz zwykłym, tytoniowym. Jeśli widok gapiącego się na niego faceta w goobinoklach na twarzy go zaskoczył, to nie dał tego po sobie poznać. Przez dłuższą chwilę patrzył na Lewandowskiego, potem wyjął z ust papierosa i cofnął się, zapraszając go do środka skinieniem ręki. No tak, pewnie go rozpoznał. I pewnie doszedł do wniosku, że czołowego dziennikarza „jedyńki” przysłano w tajnej misji. No bo co innego mógł robić w tym miejscu? Reportaż dla działu wiadomości?

W środku, w niezbyt obszernej kanciapie, stał stół z czterema monitorami. Na otwartych okienkach wideo było widać transmisję z pracy taśmociągów – ustawione na rolkach szare pudła równomiernie przesuwały się przez bramki ze skanerami. Do niektórych pojemników sięgały zamontowane po bokach manipulatory z iniektorami, coś robiły przy zawartości, przez moment, bo taśma nie stawała nawet na sekundę. Obok okienek z obrazem pulsowały słupki wskaźników, migały cyferki. Typowe stanowisko pracy kontrolera systemu.

Mężczyzna w kitlu, wciąż milcząc, wskazał na goobinokle, nakazując Lewandowskiemu gestem, aby je zdjął. Posłuchał go, a on wyjął mu aparat z ręki, wyłączył i położył na stole. Na wszelki wypadek kamerką do ściany.

– Jak pan się tu znalazł? – zapytał. – To teren zamknięty.

Początkowo chciał udawać rządowego agenta, ale doszedł do wniosku, że tamten jest za inteligentny na taką bajdę. Poza tym nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już go kiedyś spotkał.

– Wsiadł mi GPS i się zgubiłem w tej kompletnej głuszy, szedłem, aż natrafiłem na płot, potem na dziurę i drzwi w ścianie... Chciałem znaleźć kogoś, kto mi powie, gdzie jestem.

Mężczyzna go nie słuchał, chwycił klawiaturę i zaczął stukać w nią

gorączkowo, patrząc na jeden z ekranów, z którego zniknęły taśmociągi, a pojawiły się harmonijki wskaźników.

– Znowu padło zasilanie czwartego sektora – mruknął. – Teoretycznie system powinien przejść na awaryjne, ale nie przeszedł, bo generator wysiadł. Brakuje prądu.

Tego nie musiał Lewandowskiemu tłumaczyć. Deficyt energii się pogłębiał, nawet w miastach ludzie coraz częściej siedzieli w mieszkaniach przy świeczkach – chyba że ktoś miał nielegalnego UPS-a, którego zdążył naładować przed wyłączeniem prądu.

– To dlatego nie złapały cię kamery na zewnątrz. Przerwa trwała dwadzieścia osiem minut, można by tu sprowadzić w tym czasie całą wycieczkę. – Nieznajomy bez ceremonii przeszedł na ty. – System nie otrzymał komunikatu, bo nawalił czujnik. Nie potrafimy już nawet porządnie wyprodukować zwykłego kondensatora.

– Dlaczego w środku nie zainstalowano kamer? – zapytał Lewandowski.

Admin, nadal wpatrzony w ekran, stukał w klawiaturę.

– Nie są potrzebne – rzucił. – Jak się pewnie przekonałeś, nasi klienci raczej nie uciekną, a droidy mają własne czujniki.

Sięgnął po jego goobinokle i przez bezprzewodowego switcha podłączył pamięć kamery do swojego komputera. Na ekranie pokazał się noktowizyjny obraz wnętrza hali – rzędy regałów z półkami wypełnionymi szarymi pudłami. Mężczyzna w milczeniu przewijał nagranie, jakby ciekaw, ile Lewandowski zdołał zobaczyć. A potem, wciąż bez słowa, po prostu skasował nagranie. Dokładnie, wypalając pamięć. Będzie do wyrzucenia, pomyślał Tadeusz, kiedy admin oddał mu rejestrator.

– Wiesz, dlaczego nie wezwałem ochrony? A powinienem, nawet nie muszę ci mówić dlaczego.

Pokręcił głową.

– Pięć lat temu zrobiłeś reportaż z powstania we Wrocławiu. Uczciwy, bo widziałem nieocenzurowaną wersję w necie. Byłem wtedy adiunktem na uniwerku, studenci poprosili, abym ich reprezentował... Nawet ze mną rozmawiałeś.

Lewandowski pamiętał to doskonale. Wtedy po raz ostatni zrobił naprawdę rzetelny materiał. Zaczęło się od rozruchów studenckich, które wylały się na miasto i doprowadziły do trzydniowego powstania nazwanego przez media „rabacją dolnośląską” lub „powstaniem wrocławskim”, bo przyłączyli się mieszkańcy. Ludzie protestowali z jednej strony przeciwko zaciskaniu pasa i obcinaniu socjału, z drugiej – przeciw zamykaniu granic – w efekcie ani nie

mogli godziwie żyć na miejscu, ani emigrować. Rząd gerontów nie miał żadnego pomysłu na poprawę sytuacji poza reglamentacją podstawowych artykułów i represjami, które niczego nie poprawiały, oraz ofensywą propagandową skierowaną przeciwko „wrogom wiary i narodu”. Ale członkowie tego narodu mieli już powyżej uszu ideologicznego bełkotu, od snutych w publikatorach wizji rozmaitych „knujących wyrodków” dążących do upadku Polski znacznie bardziej przemawiała do nich realność pustych kieszeni. Wystarczyła iskra i wyszli na ulice. W regularnej trzydniowej bitwie padło przeszło tysiąc protestujących, w odwecie zamknięto wszystkie wrocławskie uczelnie. Przez kraj przetoczyła się fala podobnie burzliwych wystąpień, wyrosła z ruchu studenckiego partyzantka miejska utrzymała się przez kilka miesięcy, aż została zgnieciona. W rezultacie Wrocław, zrujnowany podczas walk ulicznych, odcięty od rządowych dotacji i z premedytacją skazany na degradację, stał się najbardziej upadłym miastem w Polsce. A geronci na dobre przykręcili śrubę.

– Tak, rozmawialiśmy... Takie dziwne nazwisko... Nitor... Nitro...

– Nittribit, Andrzej zresztą. To prawdziwy cud, że nie wywalili cię wtedy z telefonu za ten reportaż... Musiałeś odszukać, co?

Musiał. Potrzebował tej roboty, zwłaszcza że Hanka była w ciąży. Na socjalu groziła im wegetacja, właśnie po raz kolejny obniżyli świadczenia dla bezrobotnych, dlatego zresztą Wrocław nie wytrzymał, bo studenckie stypendia w ogóle wstrzymano. Musiał pracować, a oni o tym wiedzieli. Także to, że więcej się nie wychyli. Jeśli nie chce grzebać w śmietnikach. A nie chciał.

– Co to właściwie jest? – zapytał, wskazując za siebie, na halę. – Bo to mi wygląda na...

– Centrum logistyczne Extazona – dokończył mężczyzna, wręczając mu wyczyszczone z danych binokle. – Jedno z trzech, jakie wybudowali.

– Ale przecież Extazon wycofał się z Polski z dziesięć lat temu!

Nittribit nie odpowiedział, bo widocznie zaniepokojony czymś, co zobaczył na ekranie, przez dłuższą chwilę nerwowo stukał w klawiaturę.

– Prawda... – odparł w końcu, wciąż wpatrzony w skupieniu w ekran. – Zostawił jednak magazyny wraz z osprzętem, korporacji nie opłacało się tego demontować. Tutaj są trzy hale, w sumie pół miliona metrów kwadratowych powierzchni magazynowej obsługiwane przez dwa tysiące droidów. Obiekt jak znalazł na skład rzeczy niepotrzebnych... To znaczy, chciałem powiedzieć, nadterminowych.

Lewandowski patrzył mu przez ramię na okienka z taśmociągami. Ilu

system przerobił „klientów” podczas ich rozmowy? Stu, dwustu? Taśma przesuwiała się w jednostajnym tempie, bez przestojów.

– Od kiedy to działa? – zapytał.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem Nittribit. – Nie zdziwiło cię, że z ulic nagle zniknęli umierający z głodu emeryci? Ot tak sobie, z dnia na dzień? Bezradny do tej pory rząd nagle znalazł na nich sposób.

Też się nad tym zastanawiał. Tak zwani nadterminowi, emeryci, którym skończył się okres wypłat, czyli mający więcej niż siedemdziesiąt pięć lat, stanowili największy koszmar polskich miast. Odcięci od wszelkiego wsparcia, wyrzuceni z mieszkań, za które nie mogli już płacić, zalegali tłumnie w publicznych miejscach. Nie sposób było przejść przez ulicę, aby nie natknąć się na wychudzone ciała starców i staruszek leżących gdzie popadnie, na chodnikach, przed bramami i witrynami sklepów, okutanych w brudne kołdry i śpiwory. Służby miejskie interesowały się tylko trupami, umierający z głodu zostali pozostawieni własnemu losowi. Wychodzący z zakupami ludzie nie dzielili się z nimi niczym, kartkowe przydziały ledwo starczały dla nich samych, z tysiąca sześciuset kalorii nie było czego oddawać. Po prostu zręcznie omijali leżące na ziemi tłumoki. Nauczyli się ich nie widzieć. Tak jak mieszkańcy getta w czasie drugiej wojny światowej.

Jednak rzesza nadterminowych rosła i cała sprawa stała się zbyt jawnym skandalem. Resztki niespacyfikowanej opinii publicznej domagały się interwencji władz. Obiecano taką i rzeczywiście dwa miesiące temu na ulicach miast pojawiły się wojskowe ciężarówki zaadaptowane na karetki i sanitariusze zaczęli zbierać z ulic dogorywających staruszków. Rząd w telefonie z emfazą ogłosił otwarcie wzorcowej sieci domów opieki szumnie nazwanej Rajską Przystanią. Tam mieli trafiać wszyscy nadterminowi – tak przynajmniej oficjalnie stwierdzono, informując zarazem o wielkiej pożyczce na ten cel udzielonej przez bliżej nieokreślone międzynarodowe konsorcjum finansowe. Otwieranie kolejnych domów z pompą relacjonowano w mediach – po to przecież polecono mu udać się do Łasisk; miał nakręcić propagandowy materiał o emerytach dożywających swych dni w godziwych warunkach w jednej z takich placówek.

– Ktoś to dobrze wykombinował – rzucił jakby od niechcienia Nittribit. – Staruszkowie sami chętnie garną się do tych bud, bo kto by nie chciał do czystego łóżka i pełnej michy. I nawet jadą do tych słynnych ośrodków. Tyle że to jedynie punkty „wstępnego zapakowania”, jeśli można tak powiedzieć. Najpierw urządza im się prysznic, potem dezynfekcję, później pielęgniarze dają im szprycę z witaminami, na wzmocnienie, jak mówią. W rzeczywistości

są to środki znieczulające i usypiające. Kiedy staruszek straci przytomność, jest pakowany do pudła i przywożony tutaj. Dalej wiesz: jest kładziony na półce, podłączany do kroplówki z odrobiną glukozy i odpowiednio dużą dawką barbituranów. Tak żeby nie ocknął się nawet na moment. Trwa to dwa, trzy tygodnie, zanim zejdzie. Choć są twardziele, co wytrzymują nawet cztery. Nie, nie zabijamy ich, tylko pozwalamy umrzeć, bo żadnych odżywek nie dostają... Rozumiesz, moralność narodowokatolicka nie pozwala przecież na otwarty mord, a tak jest zgodnie z ich ideolo. Po stwierdzeniu zgonu klient trafia na taśmociąg do kremu... Extazon wybudował też spalarnie śmieci, wystarczyły niewielkie przeróbki. Te pudła są z papier mâché, kosztują grosze, trupy palą się jak wióry... Taaa, trudno wymyślić tańszy w utrzymaniu dom starców. To jest nawet w jakiejś mierze humanitarne... Oni nie czują, że umierają. Ten, kto na to wpadł, powinien dostać Nobla z dziedziny recyklingu ludzkiej mierzwy.

Lewandowski wiedział, na czym czy też na kim wzorował się nieznany pomysłodawca tego „ostatecznego rozwiązania” kwestii nadterminowych. Żydzi też chcieli być deportowani, byleby się wyrwać z piekła, jakie im w gettach zafundowali naziści. Dopiero teraz sobie uświadomił, że domów Rajskiej Przystani otworzono zaledwie kilka, słyszał może o sześciu czy siedmiu takich ośrodkach. Jakim cudem mogły pomieścić obliczaną na trzy miliony rzeszę nadterminowych? Ulice zostały praktycznie wymiecione z głodujących staruszków. Gdzie pomieścili taką masę ludzi? Nie zadawał sobie takich pytań. Albo sam zgłupiał od propagandy, którą produkował, albo... nie chciał ich zadawać. Tak jak inni.

– W tym momencie w tej hali znajduje się przeszło sto osiemdziesiąt tysięcy „klientów”, dziennie umiera około trzech tysięcy – kontynuował wyjaśnienia Nittribit. – Zapas magazynowy wynosi sześćdziesiąt tysięcy miejsc. – Jego głos brzmiał beznamietnie, jak nagranie spikera w metrze.

– Dlaczego to robisz? – spytał, niepotrzebnie, bo właściwie znał odpowiedź.

Mężczyzna oderwał wzrok od monitorów i spojrzał na niego. Lewandowski dopiero teraz zauważył, że tamten jest straszliwie zmęczony, wręcz wykończony. Twarz miał białą jak kreda.

– Dlaczego? Bo mnie złamali, tak jak ciebie i tylu innych. Też chcę, żeby moja rodzina miała co jeść. Jestem jednym z ostatnich informatyków w Polsce, który potrafi kontrolować tak skomplikowany system. Złożyli mi propozycję nie do odrzucenia.

Czyli szantażowali go losem bliskich. Ludzie, którzy zorganizowali ten

kombinat, dawno pozbyli się jakichkolwiek skrupułów. Jak kiedyś hitlerowcy.

– Powinieneś mnie wydać – stwierdził. – Zyskałbyś w ich oczach.

Nittribit milczał, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał. Pstryknął palcami i znowu przysunął do siebie klawiaturę.

– Wiem, jak cię stąd wypuścić. Zrobię lokalny blackout, na trzy minuty wyłączę wszystko: droidy, kamery, skanery, wszystko. W tym czasie musisz stąd zniknąć. Pokażę ci, którądy możesz się wydostać.

Stuknął jeszcze parę razy w klawiaturę, poderwał się i łapiąc Lewandowskiego za ramię, wypadł z nim z dyżurki. Zaciągnął go do małych drzwi w szczytowej ścianie hali, obok wrót wjazdowych, uchylił je i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

– Główna brama jest w odległości stu metrów. Jak zapadnie ciemność, pobiegiesz tam, skosem na prawo przez plac. Przedtem ją uchyle, niedużo, na metr, byleś się precyzyjnie. Pamiętaj, masz tylko trzy minuty. Jak wybiegniesz za bramę, to w prawo w krzaki po drugiej stronie drogi. Po przywróceniu zasilania minie jeszcze kilkadziesiąt sekund, zanim kamery skalibrują się po resecie.

– Dlaczego to robisz? – zapytał powtórnie.

Nittribit spojrział na zegarek, potem jeszcze raz wyjrzał przez drzwi.

– System wyłączy się za trzydzieści sekund, brama już się otwiera. Bo ktoś jeszcze powinien wiedzieć. Nie wiem, co z tym zrobisz, ale... uważaj, teraz!

W hali zgasły niebieskie paciorki ścieżek dronów, ustał też monotony szum maszyn. Słyszeć było jedynie głosy konających ludzi. W tej nagłej ciszy kakofonia jęków, szeptów i westchnień boleśnie wwiercała się w uszy, aż się wzdrygnął. Skrzypnęły otwierane szeroko drzwi i poczuł klepnięcie w plecy. Założył goobinokle, włączył noktowizor. Wciągnął głęboko w płuca zimne nocne powietrze i pobiegł.

*

Nittribit popijał kawę i zerkał spod oka na Tadeusza, zupełnie lekceważąc ciekawość palącą przybysza. Dziennikarz z trudem zachowywał zimną krew, czego wymagała przybrana przez niego maska profesjonalisty. Milczał zatem, czekając, co powie tamten.

– No dobra. – Informatyk odstawił kubek na stolik. – Jakoś tak trzy miesiące po naszym spotkaniu udało mi się stamtąd zwać... Pomogła mi pewna konspiracyjna organizacja. Potem przerzucili mnie za granicę – z żoną

i synami...

– Czekaj! – Lewandowski uniósł do góry palec. – To ty wpuściłeś do sieci nagranie z tej umieralni. Bardzo przypominało to, które sam wtedy zrobiłem... Tak mi się zdaje.

Jego rozmówca uśmiechnął się szeroko i przytaknął.

– Bo to było twoje nagranie... Zgrałem je z goobinokli przed skasowaniem. Sam nie miałem czym go wykonać, bardzo tego pilnowali, dlatego też nie zainstalowano kamer w środku, sam wiesz, prawdziwym grzechem jest jedynie grzech ujawniony, jak poucza narodowokatolicka moralność. Przechowałem je na penie i przekazałem, gdzie trzeba... Z tym że nic to nie dało. Tamci okazali się cwańsi.

Lewandowski oczywiście pamiętał tę aferę. Rzeczywiście w necie pojawiło się nagranie pokazujące, co się dzieje w opuszczonym centrum logistycznym Extazona. Świat rzecz jasna zatrząsł się z oburzenia na widok regałów z tysiącami umierających staruszków zapakowanych do puszek jak sardynki, a moraliści podnieśli wrzask, krzycząc o nowym Holokauście. Musiano zareagować: UE, ONZ, USA i opinia międzynarodowa zażądały wyjaśnień, grożąc totalną gospodarczą blokadą Polski. Na to rząd gerontów, mimo że od lat dążył do ekonomicznej autarkii – co głosiło zresztą jedno z haseł narodowokatolickiej ideologii „sprawiedliwego jutra” – nie mógł sobie pozwolić, bo tak naprawdę kraj istniał wyłącznie dzięki hojnym darowiznom na cele humanitarne. Gdyby tę pomoc odcięto, Polakom groził kanibalizm, jak w oblężonym podczas drugiej wojny światowej Leningradzie, bo własna produkcja żywności po wielkich suszach z lat dwudziestych mocno podupadła, wieś wytwarzała praktycznie tylko na własne potrzeby, do miast trafiały symboliczne nadwyżki. Dlatego PPL, chowając narodową dumę do kieszeni, natychmiast zgodził się na przybycie międzynarodowej komisji mającej zbadać sprawę, twierdząc zarazem, że nagranie jest fałszywką, prowokacją sprokurowaną przez wrogie Polsce siły współdziałające z organizacjami dysydenckimi. Wysłannikom ONZ i UE pokazano dostatnie domy opieki Rajskiej Przystani oraz dawne magazyny Extazonu. Oczywiście wyglądające na dawno opuszczone, bez najmniejszych śladów po odbywającej się w nich masowej eksterminacji.

– A jakżeby inaczej, szybko i dokładnie po sobie posprzątali – powiedział Tadeusz. – I odstawili szołowiznę, oburzenie urażonej niewinności, której by się Goebbels nie powstydział. A członkowie komisji im uwierzyli. Tak jak w czasie wojny delegaci MCK wizytujący odpicowane dla nich niemieckie kacety.

– Bo chcieli uwierzyć. – Nittribit upił jeszcze łyk kawy i odstawił kubek. – Tak było wszystkim wygodniej... Nikt z możliwych tego świata nie zamierzał pakować się do bagna, w jakie zamieniła się Polska, dlatego dali wzorcowy popis hipokryzji. Właściwie mogłem to przewidzieć... Karskiemu też nie uwierzono, gdy mówił o mordach na Żydach, zadziałał ten sam mechanizm ostentacyjnej niewiary. Potem, już na emigracji, dostałem zaproszenie od zarządu Polski 2 i jestem tutaj. Nadzoruję systemy automatyczne stacji, żona pracuje w szpitalu, a synowie się uczą... Nawet *musiałem* tu przyjechać, bo oni się w końcu domyślili, kto opublikował nagranie. Siedząc na Zachodzie, w końcu dostałbym czapę, tutaj ich macki nie sięgają.

Rzeczywiście, na dno oceanu bezpieka gerontów nie docierała. Nowi przybysze byli starannie filtrowani, Lewandowski wiedział, że wielu kandydatów na podwodnych osadników odesłano z kwitkiem, nawet gdy posiadali przydatne w stacji profesje. Nittribit wspominał o organizacji konspiracyjnej działającej „na górze” – czyżby ktoś uprzedzał zarząd Polski 2 o potencjalnych kretach? Sam słyszał, i to niejedną raz, że nawet w strukturach władzy gerontów istnieje tajna opozycja, ale z braku jakichkolwiek na to dowodów uważał tego rodzaju pogłoski za pobożne życzenia.

Jego gospodarz westchnął nostalgicznie. Dopiero teraz Tadeusz zauważył, że bardzo się zmienił, od kiedy go widział w hali Extazonu – wyglądał nadspodziewanie staro. Te kolejne miesiące w umieralni postarzyły go o co najmniej dziesięć lat.

– Tę rozgrywkę rząd wygrał. Wedle moich obliczeń pozbył się co najmniej trzech milionów nadterminowych, co było jak zdjęcie z grzbietu uciążliwego garbu. Polska, po wszystkich ubytkach ludności, liczy, jak sądzimy, bo oficjalne dane są zafałszowane, dwadzieścia trzy milionów mieszkańców. Odzyskała obecnie pewien rodzaj stabilności. Bezrobocie co prawda sięga pięćdziesięciu procent, a PKB skurczył się do poziomu z roku 1990, ale dzięki jałmużnie z UE przynajmniej nikt już nie głoduje. Niezadowolonym pozostaje ucieczka przez zieloną granicę, jak za komunizmu. Tylko że Polaków na świecie nikt nie chce, bo nic nie potrafią. Cofnięta do XIX wieku szkoła po prostu nie jest w stanie niczego przydatnego ich nauczyć. To oczywiście rodzi frustrację i raczej prędzej niż później doprowadzi do kolejnego wybuchu... Przy którym poprzednie bunty będą jak zefirki przy huraganie.

Nie objawiał mu żadnych rewelacji. Tadeusz miał wciąż kilku zaufanych przyjaciół, z którymi rozmawiał bez obaw. Wszyscy żywili przekonanie, że obecny spokój i względna stabilizacja nędzy, w którą Polska staczała się

systematycznie od początku lat dwudziestych, to cisza przed burzą. Buntowniczo nastawione było młode pokolenie, niezbyt liczne z racji zapaści demograficznej, ale za to bardzo zdeterminowane. Młodzi ludzie ani nie mogli wyjechać, ani normalnie egzystować w dysfunkcyjnym społeczeństwie. Podlegali szczególnej opiece bezpieczeństwa, ale w każdej chwili mogli wybuchnąć. Lewandowski zastanawiał się, czy tym razem skończy się jak w roku 2029, na kilku miejskich rabacjach, które rządzący zdołają izolować i stłumić. Jeśli do zdesperowanej młodzieży przyłączy się reszta ludności, głównie pozostałości po klasie średniej, może się to skończyć jatką i ostateczną ruiną kraju. Bo geronci doskonale wiedzą, jak bardzo są przez ludzi znienawidzeni, i będą się bili do upadłego. Do ostatniego żywego Polaka.

– Teraz jestem członkiem zarządu – kontynuował Nittribit – i polecono mi, abym został twoim przewodnikiem. Pokażę ci stację, wszystko, co będziesz chciał zobaczyć. Sekrety nie mają już większego sensu.

Lewandowski nie bardzo rozumiał, co informatyk ma na myśli, mówiąc ostatnie zdanie, ale mężczyzna nic więcej nie powiedział. Wstał energicznie i ruszył do drzwi, którymi wszedł. Otworzył je, skinął zachęcająco ręką, a Tadeusz podążył za nim. Znaleźli się w niewielkim owalnym pomieszczeniu, zupełnie pustym i zamkniętym dużą grodzią. Nittribit przyłożył dłoń do matowego panelu zamka i metalowe zapory rozsunęły się z głuchym sapnięciem.

– Śluz i grodzi jest dużo – wyjaśnił. – Niekiedy wydadzą ci się usytuowane w absurdalnych miejscach, ale wierz mi, niczego tu nie pozostawiono przypadkowi. Kiedyś było ich mniej, ale w 2032 roku doszło do przebiccia jednego z tuneli łączących moduły mieszkalne. Co prawda zainstalowano tam przegrodę, ale tylko jedną, która nie wytrzymała ciśnienia... Zginęło wtedy prawie sto osób, bo woda w ciągu niespełna minuty wypełniła moduł... Do czego by nie doszło, gdyby była jeszcze jedna gródź... Od tej pory na nich nie oszczędzamy.

Za grodzią znajdował się owalny tunel komunikacyjny – przy niewielkim podeście pełniącym najwyraźniej funkcję peronu stał elektryczny pojazd przypominający górniczą kolejkę, czteromiejscowy, z siedzeniami umieszczonymi szeregowo, inaczej by się nie zmieścił wewnątrz wąskiej tuby. Wehikuł nie wyglądał na specjalnie wygodny.

– Oszczędzamy przestrzeń – rzucił Nittribit, sadowiąc się na pierwszym foteliku. – Komfort ma drugorzędne znaczenie, liczy się funkcjonalność. Nie stać nas na szerokie arterie komunikacyjne. Każdy metr sześcienny tutaj kosztuje piętnaście razy tyle co na powierzchni.

Gdy Lewandowski umieścił się na małym i rzeczywiście niespecjalnie ergonomicznym siedzeniu, kolejka ruszyła. Pomknęli w głąb tunelu z prędkością może czterdziestu kilometrów na godzinę. Był naprawdę ciasny, wydawało mu się, że podczas jazdy ociera się rękawami o ściany. Podróż trwała niedługo, kilka minut, po drodze zauważył dwie jakby stacje, a raczej wnęki z krótkimi, może dwumetrowymi peronami. Najbardziej go zdziwiły wyświetlone na ścianach nazwy: Poznań i Katowice. Na tym drugim przystanku kolejka się zatrzymała – czekało na nią dwoje młodych ludzi około trzydziestki, szczupły blondyn i świetnie zbudowana rudowłosa dziewczyna. Oboje nosili szaroniebieskie kombinezony, całkiem nieźle skrojone. Usiedli na wolnych fotelikach za plecami dziennikarza i kontynuowali prowadzoną na peronie rozmowę, przez świst w uszach wywołany pędem nie słyszał dokładnie, o czym mówili, chyba o jakichś problemach z K 15 i że trzeba podgonić terminy... Więcej nie zdążył podsłuchać, bo skład dotarł do stacji Ogrody, na której z Nitribitem wysiedli. Para domniemyanych techników pojechała dalej.

Wyjście z peronu oczywiście było zamknięte solidną śluzą. Jego przewodnik już chciał położyć dłoń na panelu zamka, ale się zawahał.

– Powinieneś coś wiedzieć... – powiedział, odwracając się do Tadeusza. – Podstawowym problemem Polski 2 jest przestrzeń... a raczej jej brak. Każdy decymetr sześcienny jest na wagę złota, bo każdy oznacza wyporność, o której utrzymanie trzeba walczyć. Życie tu oznacza zmaganie się z powszechną ciasnotą. W modułach mieszkalnych na jednego człowieka przypada dwadzieścia pięć metrów... sześciennych, a i tak jest lepiej, niż było. To sprawia określone problemy, ludzie cierpiący na klaustrofobię nie mają tu czego szukać... Co gorsza, okazało się, że zupełnie zdrowy psychicznie osobnik może na nią tutaj zapaść na skutek długiego przebywania w zamkniętych i ciasnych pomieszczeniach, z których przecież nie można wyjść na dwór i popatrzeć sobie na niebo. Zwłaszcza w początkowym okresie istnienia stacji odnotowano dużo takich przypadków. Teraz każdy kandydat na rezydenta musi przejść specjalny test, to pozwala odsiać najbardziej podatnych na klaustrofobię... Trudno jednak zwalczyć w sobie tęsknotę za światłem i otwartą przestrzenią, dlatego to, co teraz zobaczysz, nie powinno wywołać twego zdziwienia.

Położył dłoń na panelu i śluza z sykiem zaczęła się otwierać. Lewandowski pomyślał, że najwyższy czas zacząć rejestrować, i włączył kamerę.

Nie spodziewał się, że półtora kilometra pod wodą może w ogóle istnieć podobne miejsce. Wypełniona słonecznym blaskiem owalna hala o dziwnie

nieregularnych ścianach zaskakiwała swoim ogromem, mierzyła bowiem, jak pobieżnie ocenił, co najmniej dwieście metrów w dłuższej osi. Światło padało z wielkiego okrągłego i wypukłego panelu widniejącego u szczytu kopuły, pod którą przepływały holograficzne chmury, co sprawiało wrażenie trochę jarmarcznej imitacji nieba; nie mógł ocenić, jak jest wysoka, bo nieboskłon też był holograficzną projekcją, poza tym w przeciwnym krańcu sufit wyraźnie się obniżał i spłaszczał, już poza zasięgiem emiterów, tam go po prostu pomalowano na niebiesko. Środkiem hali biegła wyłożona kolorową kostką aleja obsadzona młodymi klonami. Po bokach widział regularnie rozmieszczone zazielenione działki mieszczące typowo parkowe urządzenia – skwerki, fontanny, place zabaw, kawiarnie, puby, tor gokartowy, poletko golfowe, a nawet najprawdziwszą karuzelę. Powietrze wypełniał delikatny szum – dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to odgłos pracy wentylatorów tłoczących do tej gigantycznej przestrzeni powietrze.

W umieszczonym w kopule parku przebywały setki osób, w tym wiele par z dziećmi, ubranych w lekkie stroje, w jakich niegdyś wybierano się latem na pikniki. Lewandowski w zasięgu wzroku miał co najmniej tysiąc rezydentów płci obojga, w różnym wieku, choć przeważali raczej młodzi, przed czterdziestką. Co nawet rozumiał – emeryci, jako warstwa pasożytnicza, nie pasowali do tego w założeniu całkowicie utylitarne społeczeństwa. Co tu robili z tymi, którzy nie mogli pracować? – przemknęło mu przez głowę. To samo co geronci? Postanowił, że podpyta o to Nittribita.

Śluza znajdowała się kilka metrów nad płytą hali i musieli zejść po niewygodnych schodkach, szerokich może na trzydzieści centymetrów. Rzeczywiście oszczędzano tu na materiale i miejscu. Gdzie mogło być wąsko i ciasno, tam tak było. Z drugiej strony ta hala, ewidentnie przeznaczona do celów rekreacyjnych, świadczyła o niesłychanym marnotrawstwie przestrzeni.

– Musieliśmy to zrobić – oświadczył jego towarzysz, uprzedzając pytanie. – Potrzebowaliśmy maksymalnie otwartego obszaru, bo coraz więcej osób miało napady klaustrofobii. Psychologowie orzekli, że pomoc może właśnie coś takiego, dającego złudzenie przebywania w parku na wolnym powietrzu. No cóż, zamysł słuszny, ale jak to zrobić półtora kilometra pod wodą, gdzie wytworzenie i utrzymanie paru metrów sześciennych habitatu kosztuje miliony? Na szczęście geolodzy wpadli na bardzo dobry pomysł. Zaproponowali, aby wykorzystać naturalnie wytworzoną kawernę mieszczącą się we wzgórzu na skraju płaskowyżu – dlatego hala ma taki niesymetryczny kształt, dopasowywaliśmy się do pieczary. Wystarczyło ją pogłębić i wypełnić

naszym plastometalem... Zajęło nam to prawie trzy lata, ale udało się i mamy nasz ogród. Od kiedy możemy tu przychodzić i pobyc przynajmniej przez kilka godzin w tygodniu, przypadki klaustrofobii spadły właściwie do zera... Płyta ma dziewięćdziesiąt pięć tysięcy metrów kwadratowych, a kubatura wynosi prawie milion metrów sześciennych. To tak, jakbyśmy tu przenieśli Narodowy z Warszawy... W piłkę zresztą też czasem tutaj gramy...

Lewandowski skrzywił się, słysząc o warszawskim stadionie. Ostatnie rozgrywki odbyły się tam przed czterema laty i już wtedy obiekt znajdował się w półruinie. Potem został zamknięty, ale nie na długo, bo – jak sobie szeptano – podwarszawscy badylarze dali łapówkę komu trzeba i obiekt udostępniono do celów handlowych. I podobnie jak za czasów schyłkowej komuny zamienił się w targowisko, choć określenie „Jarmark Europa” już nie pasowało. Na skutek zamknięcia granic handlowano tu bowiem głównie krajowym badziewiem i warzywami, którymi można było uzupełnić kartkowe przydziały, o ile klient mógł sobie pozwolić na zapłacenie bająnskich cen dyktowanych przez chciwe mazowieckie chłopstwo. Ze wspaniałej niegdyś elewacji zostały smutne strzepy, rozkradane zresztą, jak resztki wyposażenia stadionu, przez wieśniaków, którzy ładowali wyszabrowane dobro na puste furmanki po ziemniakach. Z każdym miesiącem było go coraz mniej i pewnie niedługo pozostanie jedynie goła betonowa korona ze straganami. Tym samym historia zatoczy zgrabne koło, jak powiadali mieszkańcy Pragi znający opowieści o poprzedniku Narodowego, Stadionie Dziesięciolecia, i jego haniebnym końcu.

Schodki doprowadziły ich do szerokiej na kilkanaście metrów alei stanowiącej dłuższą oś hali, ładnie wybrukowanej sześciokątną kolorową kostką. W pobliżu spacerowała para młodych ludzi, pchając przed sobą wózek z dzieckiem. Druga pociecha, śliczna dziewczynka o blond włoskach, biegała z motylem na kijku wokół rodziców. Rodzice na widok Nittribita pomachali do niego wesoło.

– Chciałbyś z nimi porozmawiać? – zapytał Lewandowskiego. – To moi dobrzy znajomi.

Żachnął się, bo przecież zjawił się w stacji po to, aby przeprowadzić wywiady z jej mieszkańcami. Podeszli do pary. Mężczyzna, tęgawy trzydziestoparolatek, przedstawił się jako Adam Nowacki, biolog morski. Jego żona Anna, ładna blondynka, zajmowała się automatyką i sieciami neuronowymi. Kiedy się dowiedzieli, że Lewandowski jest dziennikarzem, który przyjechał z Polski, nie kryli zaskoczenia.

– W ogóle istnieją tam jeszcze niezależne media? – zdziwił się Nowacki. –

No, chyba że jest pan z „jedyńki”...

Nittribit w tym momencie chrząknął znacząco.

– To nie ma znaczenia – powiedział. – W stacji obowiązuje wolność słowa i każdego przedstawiciela mediów traktujemy tak samo.

Nowacki zamilkł, wyraźnie zakłopotany, za to jego żona patrzyła na przybysza z nieskrywaną ciekawością.

– Wyjechałam z rodzicami w 2028 roku, byli naukowcami i zostali tu ściągnięci przez Tarkowskiego... Jak teraz jest w Warszawie? – zapytała. – Bo my niewiele wiemy, połączenia do Polski ze stacji są zablokowane, krajowy internet cenzurowany, a zagranicznym korespondentom nie udziela się akredytacji, dlatego nie przekazują stamtąd żadnych relacji. Do wyjazdu mieszkałam na Bemowie. Jak tam teraz jest? Bo podobno nieciekawie, tak mi mówił jeden warszawiak, który zjawił się w stacji przed dwoma laty...

Lewandowski milczał. Co miał jej powiedzieć? Że Bemowo opustoszało w dziewięćdziesięciu procentach, mieszkańcy wymarli lub przenieśli się do lepiej egzystujących dzielnic? I większość opuszczonych domów się zawaliła, bo złomiarze wypruli z murów żelazo, wycinali nawet zbrojenie wystające z betonu? Kwitnąca niegdyś dzielnica przypominała miejscami getto po powstaniu – kupki gruzów po obu stronach porośniętych chwastami ulic. Pewnie domu, w którym mieszkała Anna, też już nie było.

Kobieta patrzyła na jego chmurną twarz i po chwili pokręciła z rezygnacją głową.

– A więc jest aż tak źle... – szepnęła.

Tadeusz wciąż nic nie mówił. Milczenie wydawało mu się lepsze od kłamstwa.

– Nasz gość ma przygotować reportaż o tutejszym życiu – wtrącił Nittribit.

– Nie mamy przed nim nic do ukrycia.

W tym momencie do Nowackiego podeszła córka i o coś cicho go poprosiła. Mężczyzna uśmiechnął się i wziął ją na ręce. Wyprostował się i patrząc prosto w kamerę, zaczął mówić:

– Z Polski udało mi się uciec po powstaniu studenckim przez zieloną granicę do Czech. Zdążyłem w ostatniej chwili przed zaminowaniem pasa granicznego i ustawieniem zapór z autokarabinami. Dwa tygodnie później zostałem pewnie zastrzelony przez drona albo wyleciał na minie. Mimo że miałem doktorat z biologii, nie miałem szans, jako element politycznie podejrzany i „niewystarczająco patriotyczny” albo nie dość „narodowy”, pracować ani na uczelni, ani w państwowym przedsiębiorstwie, a innych już właściwie nie było. Miesiącami szukałem zatrudnienia. Kiedy obcięli mi

kartki do tysiąca czterystu kilokalorii, bo tyle zaczęło przysługiwać bezrobotnemu, zrozumiałem, że albo dam nogę z takiej ojczyzny, albo zdechnę z głodu. No to dałem. Dwa lata wałęsałem się po Zachodzie, aż trafili na mnie wysłannicy Polski 2 i zaproponowali przyjazd tutaj. Wreszcie mogłem robić to, co potrafiłem i chciałem. Tu spotkałem i poślubiłem Annę. Jak widać, doczekaliśmy się dwójki dzieci. W lądowej ojczyźnie nigdy by mi się to nie udało jako podczłowiekowi „marnego sortu” o mizernej przydatności dla rządu... I jeszcze jedno... Wolałbym się w ogóle nie urodzić niż tam wrócić.

Lewandowski filmował tę tyradę, nie odzywając się ani słowem. Potem wyłączył kamerę, zsunął aparat z czoła i schował do plecaka.

– Nagrywanie nie ma najmniejszego sensu – powiedział w odpowiedzi na zdziwiony wzrok Nittribita i zapiął zamek. – Wszyscy w Polsce 2 będą mówić mniej więcej tak samo albo i jeszcze ciekawiej... Nie puszczą mi ani sekundy. Szkoda czasu i atłasu.

– Tak mawiał król Staś – zauważyła Anna. – A wie pan, że mamy tu kawałek pałacu Na Wyspie?!

– Jak projektowaliśmy nasz Ogród, to każdy chciał mieć kawałek swojego, zostawionego na lądzie. Gdybyśmy chcieli spełnić wszystkie życzenia, trzeba by zbudować ze trzy takie kopuły... – wyjaśnił Nittribit. – W końcu stanęło na tym, że wrocławianie dostali kawałek pergoli, poznaniacy Malty, krakusi Plant, a warszawiacy Łazienek.

Na dźwięk tego ostatniego słowa Lewandowski wzdrygnął się i zrobiło mu się zimno. Zupełnie jak wtedy.

*

Niklasz, jego nadzorca z bezpieczeństwa, którego przydzielono mu po tym, jak się zawieruszył w drodze do Łasisk, wysadził go na rogu Ujazdowskich i Agrykoli i pojechał do Śródmieścia, do siedziby ubecji mieszczącej się w podziemiach zrujnowanego Pałacu Kultury. Myślał wtedy o tym, co mu przed chwilą powiedziała przez telefon Hanka – że nerki Marysi są w coraz gorszym stanie i lekarze nie dawali dziecku więcej niż pół roku życia, o ile nie uda się przeprowadzić przeszczepu. Równie dobrze mogłaby żądać od niego zorganizowania wycieczki na Księżyc. Mimo to zastanawiał się, czy któryś z wysoko ustosunkowanych znajomych nie mógłby pomóc, i tak mu to zaprzętnęło głowę, że zamiast pójść Szucha przez w miarę bezpieczny północny Mokotów, gdzie wciąż dostarczano energię do częściowo

zasiedlonych domów, jak ostatni głupiec skręcił na wschód w stronę Łazienek, poza zasięg czynnych kamer. Wlazł do „ciemnej strefy”, od której każdy normalny warszawiak trzymał się z daleka, ponieważ stąd można było już nie wrócić do domu, jak niegdyś z nocnej wycieczki na Targówek.

Musiał go zmylić światła na ulicy, w kompletną ciemność nawet tak koszmarnie rozkojarzony nigdy by nie polazł. Kiedy przeszedł prawie dwieście metrów, lampy raptownie zgasły, a on przystanął, nagle otrzeźwiony i zarazem ogarnięty paniką, bo dotarło do niego, gdzie się znajduje. Zawrócił na pięcie, gotów pobiec z powrotem do skrzyżowania, i wtedy usłyszał hałas, dobiegający z chaszczki mających niewyraźnie po lewej.

– E, ty, frajer, gdzie ci tak pilno? – zapytał ktoś zachrypniętym głosem.

Sięgnął do przewieszanej przez ramię torby, w której trzymał goobinokle, ale nie zdążył ich wyciągnąć. Tym razem zaszeleściło po prawej stronie i usłyszał tupot kilku biegnących osób. W gęstym mroku zauważył zarysy trzech sylwetek. Otoczyli go, nim zdążył zareagować. Opór nie miał sensu, dlatego bez sprzeciwu dał sobie wykręcić i skuć z tyłu ręce. Jeden z napastników stanął przed nim i przyglądał mu się przez goobinokle, widział diodkę żarzącą się przy jego twarzy.

– Tia, to jakiś lepszy gość, z teleforu – powiedział bandyta, ten od schrypniętego głosu. Musiał zobaczyć plaketkę przypiętą do kieszeni kurtki. – Zabieramy go do króla, pewnie będzie chciał sobie z nim pogadać.

Do Lewandowskiego dopiero teraz w pełni dotarło, że naprawdę, przez kompletne gapiostwo, wdepnął w jeden z „czarnych rewirów” – obszarów niejako wyłączonych z miasta, do których już nie dostarczano ani energii, ani mediów z bardzo prostego powodu: braku mieszkańców skłonnych za nie płacić. Takich „ciemnych stref” przybywało, w miarę jak kolejne dzielnice pustoszały opuszczane przez warszawiaków, którzy woleli przenieść się tam, gdzie było więcej ludzi – zgodnie z zasadą, że w kupie raźniej. Pierwszym całkowicie wyludnionym rejonem miasta był, jeśli dobrze pamiętał, Czerniaków. Do opuszczonych dzielnic wprowadzały się gangi, a zniknęła stamtąd policja. Nie podejmowano żadnych prób rewitalizacji, po prostu władze odcinały media i udawały, że takiego miejsca nie ma – skądinąd jego ponowne zaludnianie przy gwałtownie kurczącej się populacji było pozbawione sensu. Podobnie przed paroma laty stało się z Łazienkami i Agrykołą – tutaj z powrotem zaczął się krzewić las, bo nikt nie dbał o wycinkę. Teren nieczynnego parku zamienił się na powrót w puszcę, w której jak mówiono, gnieździł się wyjątkowo nieprzyjemny element. I zarazem naprawdę sprytny, Tadeusz bowiem zdał sobie sprawę, że padł

ofiara podstępny. Bandziory specjalnie oświetliły fragment ulicy, aby zwabiać naiwnych w zasadzkę – i ci wpadali w nią, jak ćmy lecą do światła. „Leśni” z Łazienek musieli dysponować własnym generatorem, do którego podłączyli latarnie, albo znaleźli jakieś dojście do linii energetycznej.

Uprawdzili go ze sobą do „puszczy”. Szli przez splątany gąszcz, chyba nie dawną parkową alejką, ale wąską ścieżką wydeptaną zapewne przez mieszkańców „rewiru” – prowadził człowiek z goobinoklami widzący w ciemnościach, za nim postępował Lewandowski dozorowany z tyłu przez dwóch pozostałych. Nie rozumiał, o co im chodziło – powinien zostać ograbiony z rzeczy, rozebrany do majtek i wysłany kopniakiem w stronę domu. Taka była normalna procedura, zwykle obywano się bez krzywdy fizycznej, jeśli ofiara się nie opierała i pokornie pozwalała obrobić. Po co brali go ze sobą do matecznika położonego w głębi parku? Gadali coś o jakimś królu? O kogo im chodziło?

Brnęli krętą ścieżką kwadrans z okładem, chlastani gałęziami po twarzach, w prawie absolutnych ciemnościach, bo korony drzew pochłaniały światło gwiazd, a księżyc znajdował się w ostatniej kwadrze. Podążał za odgłosem kroków idącego przed nim mężczyzny, co chwila się potykając i zawadzając o sterczące korzenie i witki. Pilnujący go z tyłu osobnicy radzili sobie znacznie lepiej, choć nie mieli goobinokli z noktowizorem. Widocznie dobrze znali trasę lub nauczyli się patrzeć w ciemnościach jak koty. O „leśnych” z Łazienek opowiadano zresztą różne rzeczy – że całkiem zdziczyli i założyli sobie w głuszy własne barbarzyńskie państwo. To pewnie stąd ten król...

Wreszcie wynurzyli się z lasu i znaleźli się na otwartej przestrzeni. W nozdrza Lewandowskiego uderzył zatęchły zapach stojącej wody – szli teraz wzdłuż brzegu stawu, którego woda odbijała słaby blask księżyca. Po kilkudziesięciu krokach zobaczył na tle nieba niską budowlę o znajomym zarysie, wydawało mu się, że dostrzega charakterystyczny trójkątny portyk z czterema kolumnami. Wewnątrz ktoś przebywał, widział w ciemnych otworach po wybitych oknach kilka chwiejnych płomyków świeczek albo kaganków.

– Pałac Na Wyspie? – zapytał, nie dowierzając własnym oczom.

Ostatni raz odwiedził to miejsce z dziesięć lat temu, wtedy do Łazienek jeszcze przychodziło się na spacer.

– A gdzie miałby król urzędować, jak nie w pałacu? – odpowiedział pytaniem ten z goobinoklami.

Przeszli pod sypiącą się kolumnadą, ominęli skrzydło budynku i dotarli do oświetlonych drzwi wejściowych – stał w nich, zapewne w charakterze

odźwiernego, wysoki i brodaty drab ze sztormową lampą naftową w dłoni i ponurym wyrazem twarzy. Przez chwilę pogadał na boku z przywódcą grupy porywaczy, potem obrzucił Lewandowskiego znaczącym i zarazem niezbyt przyjaznym spojrzeniem.

– No dobra, skoro tak – powiedział tubalnym głosem. – Zapraszam na pokoje, Jego Królewska Mość oczekuje.

Poszedł przodem, żółtawe światło lampy wydobywało z ciemności zabytkowe wnętrza. A raczej niegdyś zabytkowe, bo tak gruntownie zdewastowanych pomieszczeń Lewandowski do tej pory nie widział. Ściany korytarzy i mijanych sal zostały ogołoczone dosłownie ze wszystkiego – zniknęły nie tylko meble, obrazy czy rzeźby, zdarto także płaskorzeźby, stiuki i sztukaterie, pozostały po nich wielkie dziury, z których wyzierała goła cegła, bo naruszony tynk podpadał całymi płatami. Zaścielał grubą warstwą podłogę, przemieszany z różnym śmieciem, puszkami, plastikowymi butelkami, tłuczonym szkłem i papierem. Pałac od dłuższego czasu musiał być miejscem libacji – cuchnął stęchlizną i moczem jak rasowa melina, zresztą i teraz przebywali w nim jacyś ludzie: w mijanych pokojach oświetlonych kagankami wykonanymi z puszek dostrzegał niewyraźnie sylwetki siedzących lub kręcących się ludzi, dobiegały go głosy męskie i żeńskie, bełkotliwe i wrzaskliwe, biesiadowano i wznoszono toasty. Zrozumiał z nich, że właśnie obchodzono imieniny jakiegoś Luśka.

Przez charakterystyczne łukowate wejście wkroczyli do obszernego pomieszczenia. Tych łuków było zresztą znacznie więcej, każdy wykusz miał taki kształt. Do Lewandowskiego dotarło, że znalazł się w Sali Salomona.

Pośrodku pokoju, gdzie niegdyś król Staś dysputował w doborowym towarzystwie, ustawiono coś w rodzaju stołu zbitego z kilku desek i chyba złomków drzwi, być może pochodzących z pałacu. Postawiono na nim coś w rodzaju trójramiennego świecznika wykonanego z grubego drutu – za świece robiły puszki z knotami, palący się w nich tłuszcz ohydnie śmierdział i kopał. Lecz najwyraźniej nie przeszkadzało to czterem dżentelmenom ubranym w stroje z grubsza wieczorowe, którzy obsiedli stół dookoła, racząc się trunkiem polewanym z plastikowego kanistra. Lewandowskiego dobiegł charakterystyczny odorek bimbru. Jeden z biesiadników, odziany w obszerny aksamitny szlafrok, mocno poplamiony oraz tu i ówdzie poddarty, miał na głowie papierową pozłacaną koronę. Zatem wreszcie trafił do „króla”, władcy puszczańskiego ludu... Niezbyt dobrze widział jego twarz w chybotliwym świetle kaganków, ale kiedy podszedł do niego odźwierny z lampą i zrobiło się jaśniej, pojął, że skądś zna

tego człowieka...

– Szczepan? – zapytał. – Szczepan Stoczek?

Mężczyzna, jego równolatek, zaczął mu się pilnie przypatrywać. Skinął na odźwiernego, aby podniósł wyżej lampę.

– Tadeusz? Własnym oczom nie wierzę...

Wstał z siedziszczą, poobijanego fotela z wysokim oparciem, i chwiejnie postąpił krok w kierunku Lewandowskiego, ale wyraźnie mu nie szło z utrzymaniem pionu, widać trunek zrobił swoje, i ze stęknieniem opadł z powrotem na „tron”. Po czym skinieniem – dostojnym, prawie królewskim – przyzwał go do siebie.

– Dobrze cię widzieć, chłopie, kopę lat, jakieśmy, chuj wie po co, studiowali tę filozofię... – rzekł, sympatycznie uśmiechając się do swego nieco przymusowego gościa.

Jak Tadeusz pamiętał, studiowali po to, aby myśleć nieortodoksyjnie i robić to, na co mieli ochotę. Tak sobie wówczas naiwnie klarowali. Nim się obronili, czasy się zmieniły, nastał PPL i skończyło się na „jedynce” – on pracował w dziale informacyjnym, Szczepan wylądował w publicystyce. W praktyce oznaczało to wykonywanie zleceń na PR dla rządu. Początkowo nawet Stoczek jakoś to łykał, ale kiedy kazano mu przygotować podczas rewolty studenckiej filipikę przeciwko „rozwydrzonej, chuligańskiej i antynarodowej młodzieży podjudzonej przez agentów wrogich mocarstw oraz wewnętrznych malkontentów”, nie zdzierzył. Przygotował, co chcieli „ci z góry”, a przed emisją podmienił plik na inny – w którym odstawił, jak się wówczas w Polsce mówiło, „rejtana”, czyli wygłosił namiętą mowę przeciwko rządowi gerontów, wzywając Polaków do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Osiągnął jedynie tyle, że dostał cztery lata pierdła o zaostrowym rygorze za podburzanie do zamieszek. Od tej pory Lewandowski go nie widział, słyszał tylko, że po wyjściu z więzienia, jak wielu innych, „się zniknął”. No i teraz mu się objawił. W krzakach.

– Napijesz się? – zapytał uprzejmie Stoczek. – Zareczam ci, robimy tu bardzo dobry bimber, w Pomarańczarni mamy takie alembiki, że niech się te ich państwowe gorzelnie schowają, zacier mieszają ludzie z doktoratami z chemii. Bo my w naszym królestwie stawiamy na fachowość i innowacyjność, chłe, chłe – zarzą, a współbiesiadnicy zawtórowali mu solidarnie.

Odźwierny usłużnie pochwycił ze stołu poszczerbiony fajansowy kubek i nalał z kanistra słuszną porcję. Lewandowski nie chciał pić, z drugiej strony bał się urazić gospodarza, a wyglądało na to, że on tutaj rządzi, i to

samowładnie. Ostrożnie powąchał podaną miarkę – z bliska trunek wydawał się pachnieć nieco sympatyczniej. Wychylił od razu pół kubka: Szczepan nie łągał, wchodził całkiem gładko, a i zawierał przyzwoite procenty, co poznał po gorącym prądzie przebiegającym od przełyku do żołądka. Wychylił do dna i poczuł, że zrobiło mu się wcale przyjemnie. Jego gospodarz patrzył na niego z sympatią, uśmiechając się pod nosem. Potem wskazał mu siedziszcze obok siebie, wyglądające na stołek zrobiony ze skrzynki po owocach.

– To dlatego mnie tutaj ci twoi, ehm, słudzy przyprowadzili? – spytał Lewandowski, sadowiąc się na deskach. – Po prostu lubisz sobie pogadać ze starymi kumplami z pracy, tak?

Stoczek zaśmiał się tak serdecznie, że aż mu się korona przekrzywiła. Czerpnął ze swojego naczynia podejrzanie kojarzącego się z posrebrzanym kościelnym kielichem.

– Miałem... to jest gościłem w moim pałacu nawet swojego byłego bezpośredniego szefa, ale z nim tak sympatycznie nie gwarzyłem. W ogóle mało rozmawialiśmy, bo skazałem go królewskim rozkazem na kąpiel w stawie... półgodziną. Wydawał się bardzo z tego niezadowolony, protestował i wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierali, a przecież w środku lata woda powinna być ciepła, chłe, chłe.

Jego towarzysze i tym razem zarzeli, po czym unieśli naczynia i ceremonialnie wypili, nie wiadomo, czy za zdrowie wspomnianego kąpielowicza, czy też mu na pohybel. Lewandowski dopiero teraz zaczął im się przyglądać. Mimo opuchłych od opilstwa facjat nie wyglądali na typowych meneli. Jednego to chyba nawet znał... Szczepan zauważył jego zainteresowanie i pośpieszył z wyjaśnieniami.

– Ciekawys pewnie, kim są moi kompani? Jak by ci to powiedzieć... masz oto do czynienia z najwybitniejszymi „biczami” Warszawy... To od bywszycj inteligentnyj czielawiek, bo samo zjawisko narodziło się dawno temu w Sowietach. Ten tutaj – wskazał tęgiego łysola w poplamionym smokingu, który wydawał się Lewandowskiemu znajomy – jest ewidentnie byłym Jego Magnificencją Rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Jak pewnie słyszałeś, wyleciał z posady, kiedy nie zgodził się na zredukowanie uczelni do dwóch wydziałów: komunikacji społecznej kształcącego PR-owców dla gerontów i matematyki – władzy pewnie chodziło o absolwentów umiejących liczyć trupy. Biedny kutas nie chciał się na to zgodzić, to go zlikwidowali razem z uniwerkiem, zastępując tę ostoję szkodliwego wolnomyślicielstwa i idei nienarodowych, jak za czasów carskich, Szkołą Główną wykuwającą wspomnianych profesjonalistów. No bo po co uniwerki w tym zdychającym

kraju? Nie mam racji, profesorku?

Łysol skinął głową, po czym przyssał się do kubka wielkością przypominającego dziecięcy nocnik, jakby chciał utopić w gorzale wspomnienia o niegdysiejszej chwale. Miał już nieźle w czubie, z ledwością trzymał się na plastikowym krześle, chwiejąc na wszystkie strony. Stoczek całkiem niekulturalnie, to znaczy palcem, pokazał na jego sąsiada, krępego bruneta o niskim czole i obfitej brodzie godnej Wernyhory, a nawet Marksa. Ten, widać zmorzony trunkiem, podsyział, pochrapując i lekko poświstując przez nos.

– A ten tu to znany profesor ekonomii, jeszcze parę lat temu gwiazda stronnictwa gerontów, czołowy ekspert od gospodarki. Zasłynął zawaleniem ostatniego jeszcze uchwalanego budżetu, proponując rządowi swój słynny manewr gospodarczy wprowadzający w kraju dwuwalutowość, w wyniku którego złotówka przestała się nadawać nawet do podcierania tyłka... Potem już nie potrzebowano żadnych budżetów, skoro jedynym źródłem dochodu stała się jałmużna z Unii i od jankesów. A nasz ekonomiczny geniusz dostał kopala w dupę, dzięki czemu zyskał zaszczyt degenerowania się w tym przyjemnym miejscu. Ale za to w jakim towarzystwie!

– To ma być Wieliński?

Tadeusz spojrział na brodacza z niedowierzaniem... no tak, wtedy, gdy prawie codziennie przemawiał z telewizora, przekonując Polaków do kolejnych posunięć rządu mających zapoczątkować tak wyczekiwaną prosperity, liczył parę lat mniej i nie nosił zarostu.

Biesiadnik, chyba usłyszawszy, że o nim mowa, wzdrygnął się i zaczął mamrotać przez sen:

– ...zlewarowane instrumenty pochodne poddane deprecjacji, a potem aprecjacji, rzucone na giełdę przy zachowaniu opcji niezerowej, powinny dać przychód w wysokości procent... – Chrapnął głośniej i umilkł.

Stoczek skrzywił się i skinął na odźwiernego, aby uzupełnił naczynia, co ten skwapliwie uczynił.

– Polewoj, Borys. Sam widzisz, jacy kretyni rządzą gospodarką. Nic dziwnego, że przestała istnieć, poza produkcją wódki, bimbru i marchewki.

Tadeusz wiedział to doskonale, jak każdy Polak. Alkohol stanowił, oprócz dolarów i euro, jedyną walutę, za którą można było cokolwiek dostać. Ludzie starali się posiadać w domu sprzęt do rozliczeń, czyli menzurkę i alkoholomierz. Bo trafiała się „waluta” zafałszowana, jeśli chodzi o procenty, i każdy chciał to sam sprawdzić.

Czwarty gość, tyczkowaty szpakowaty jegomość o pociągłej, nieco końskiej

w wyrazie twarzy, sam się odezwał:

– Wasza Królewska Mość pozwoli, że sam się przedstawię. Adalbert Glebowicz, były pisarz i sumienie narodu, obecnie „bicz”, jak słusznie zauważył nasz miłościwy monarcha.

Lewandowski o nim słyszał, a nawet czytał kiedyś jego najgłośniejsze dzieło, *Otchłań*, w czarnych barwach traktujące o przyszłości Polski opanowanej przez głupców, pożeranej przez niemoc i chaos. Powieść nie spodobała się władzom, została wciągnięta na indeks podobnie jak jej autor określony przez usłużną krytykę „pisarzem pośledniejszego sortu”, który „ewidentnie stracił kontakt z narodowokatolicką rzeczywistością”. Co zresztą okazało się na dobrą sprawę nieistotne, bo wkrótce zaprzestano produkcji książek. Skądinąd akurat ta decyzja gerontów wydawała się logicznym posunięciem – po co książki, skoro od dawna nie było czytelników?

– I wiesz już wszystko – zaśmiał się Stoczek. – Nauka, gospodarka, literatura i filozofia. Intelktualna biesiada jak u króla Stasia. Tyle że musimy obyć się bez francuskich win i pasztetów z dziczyzny. Ale poziom konwersacji utrzymujemy prawdziwie oświeceniowy, rzekłbym nawet, że wolteriański.

Tadeusz poczuł w głowie lekki szmerek i zarazem ochotę, aby się jeszcze napić. Spojrzał na swój pusty kubek. Borys zrozumiał aluzję i natychmiast uzupełnił trunek. W podzięcie przepił do Szczepana i pozostałych dwóch biesiadników – ekonomista wciąż spoczywał w objęciach Morfeusza.

– Czy to dlatego nazywają cię królem? – spytał, wskazując na papier zdobiący jego głowę. – Nawet cię koronowali...

Gospodarz przytaknął z poważną miną i poprawił nieco przekrzywiony atrybut monarszej godności.

– Nie inaczej, jestem elekcyjnym królem, wybranym na to zaszczytne stanowisko przez ludność Łazienek i Agrykoli i z jej woli władam tą krainą – oznajmił z udawaną pompatycznością. – Dalej już nie, bo tam, nad samą Wisłą, bliżej Czerniakowa, siedzi niejaki Marucha, typ naprawdę nieprzyjemny, z którym nie radzę się zadawać. Masz szczęście, że nie wpadłeś w łapy jego zbirów. Nie zwykł podejmować przybyszy tak gościnnie jak ja, a jeśli już kogoś ugości, to każe sobie za to słono zapłacić. Ale czego oczekiwać od plebejusza.

– Tak jest, Szczepan I jest najlepszym królem, jaki mógł nam się przydarzyć! – zawołał Glebowicz, wznosząc naczynie: prawdziwy krater wykonany zapewne z kryształowego wazonu na kwiaty. – Dysponuje najlepszą po tej stronie Wisły recepturą na bimber. Wiwat król nasz kochany!

Po tym toaście Tadeusz poczuł, że zakręciło mu się w głowie naprawdę

potężnie. Nie pił już od roku, a zdobyty alkohol wymieniał na warzywa, Marysia ze względu na swoją chorobę musiała być na specjalnej diecie. Borys dolał mu następną porcję, którą wychylił duszkiem pod toast, którego nawet dobrze nie usłyszał, chodziło zdaje się o imperatyw kategoryczny czy też sąd aposterioryczny. Głowa mu ciążyła, kiwał się coraz mocniej na stołku, nie próbując nawet uczestniczyć w dyskusji wywołanej przez profesora ekonomii, który, przebudzony i pełen świeżych sił, próbował przekonać pozostałych biesiadników do swojej nowej teorii gospodarczej, która na sto procent uratuje Polskę, a nawet cały świat...

Ocknął się o świcie na skrzyżowaniu Agrykoli z Ujazdowskimi. Leżał oparty o latarnię, okutany w stary koc. Nie miał zielonego pojęcia, jak tutaj trafił. Niezbyt tym się przejmował, gdyż obok spoczywał pięciolitrowy kanister z bimbrem. Prawdziwie królewski podarunek, tak wtedy pomyślał.

*

Z Nowackimi pożegnali się przy wielkiej karuzeli, na której koniecznie chciała się pokręcić ich córka. Wielki, podzielony na kilka sektorów plac zabaw mieścił się w centralnym miejscu kopuły, dokładnie pod lampą imitującą słońce. Znajdował się na nim tor dla elektrycznych samochodzików, Dom Baby-Jagi, duży namiot z neonem, Pałac Cudów, zjeżdżalnia i niewielki basen. Poszli z Nittribitem dalej, w stronę ściany kopuły, gdzie usytuowano ogródki zajmowane przez kawiarnie i restauracje. Przewodnik zaproponował bowiem dziennikarzowi, aby zjedli razem obiad.

– Ile możecie mieć dzieci? – zapytał Tadeusz, wciąż myśląc o Nowackich.

Dawno nie widział tak szczęśliwych ludzi.

– Zalecana jest dwójka, rozumiesz, chodzi o przestrzeń, choć dzięki ostatnim rozbudowom mamy dwudziestoprocentową rezerwę w stosunku do niezbędnego minimum. Zamierzamy jednak znieść to ograniczenie z chwilą uruchomienia nowej stacji... Tam będzie naprawdę dużo miejsca, opracowaliśmy nową technologię budowy wielkich obiektów opartą na aktywnych nanostrukturach... Zbudowanie hali takiej jak ta będzie trwało nie dłużej niż tydzień.

Lewandowski uśmiechnął się, przystanął i spojrzał twardo w oczy Nittribitowi.

– A jeśli ktoś przekroczy zalecaną liczbę? Co robicie? Skrobanka? A może likwidujecie nadliczbowych już po urodzeniu?

Tamten też przystanął. Nie patrzył na Tadeusza, tylko na matkę

z dzieckiem bawiących się w małym ogródku z piaskownicą. Budowali razem coś w rodzaju zamku i wyglądali na bardzo tym zaaferowanych.

– Tak mówicie o tym w „jedynce”... – odezwał się po dłuższej chwili. – No cóż, jedno kłamstwo więcej... Nikogo nie zabijamy, bo to wbrew naszym zasadom i prawu. Jeśli ktoś popełni przestępstwo, jest odsyłany do Mikronezji i tam sądzony. Ale wierz mi, to zdarza się naprawdę rzadko, bo nikt nie chce opuszczać Polski 2. A do rodzin łamiących zalecenia mamy stosunek ewangeliczny... Mówimy: „Idźcie i nie grzeszcie więcej”. Antykonceptja jest powszechnie dostępna.

– A jak ktoś jest uparty i nie chce się podporządkować?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– My tu naprawdę nikogo nie trzymamy na siłę. Ale też wyznajemy twardą zasadę: nie ma u nas miejsca dla ludzi łamiących ustalone reguły. Tak jak mówiłem, tacy zdarzają się naprawdę rzadko, po prostu osobnicy niepotrafiący się dostosować nie przechodzą już wstępnej selekcji. Wpuszczamy tylko tych, którzy są gotowi zaakceptować panujące tu normy.

Chciał na to odpowiedzieć, zarzucić totalitarne podejście, ale w tym momencie rozległo się jakby głucho stęknienie, dobiegające z góry i przechodzące w przeciągły zgrzyt. Przez kopułę przebiegło delikatne, ale też wyraźnie wyczuwalne drżenie. Odgłos przeszedł w serię metalicznych trzasków i po paru sekundach zamilkł. Tadeusz widział, jak zatrzęsły się listki na jarzębinie rosnącej w ogródku. Spojrzał z niepokojem na Nittribita, ale jego przewodnik nie wydawał się poruszony. Wciąż patrzył na matkę, która z niezmaconym spokojem odbudowywała mocno naruszone wstrząsem blanki zamku. Dziennikarz innych szkód nie zauważył.

– To nic wielkiego – stwierdził jego towarzysz, choć Lewandowski dostrzegł, że jednak odruchowo zerknął na kopułę. – Czasem masy wody przesuwają się w gwałtowny sposób, na przykład na skutek wybuchu wulkanu czy trzęsienia ziemi wywołanego napieraniem płyt kontynentalnych. Wtedy ciśnienie w głębinie momentalnie zwiększa się o kilka, kilkanaście procent i trochę trzeszczy... co oczywiście przewidziano już na etapie koncepcji budowy Polski 2. Zrozum, nasze zasady są ostre i ściśle ich przestrzegamy, bo tu, na dnie oceanu, nie ma miejsca na błędy. On często nam o tym przypomina. Tak jak dzisiaj.

Nie zdążył go zapytać o nic więcej, bo Nittribit odwrócił się i podążył przed siebie w stronę małej knajpki przytulonej do ściany kopuły, która w tym miejscu obniżała się i łączyła ze skałą, czarnym bazaltem. Do kamiennej płyty przylegał pawilon z ogródkiem wystylizowany na plażowy

karaibski lokal. Piracki, gdyż powiewała nad nim czarna flaga z czaszką i puszczelami. Goście siedzieli pod trzcinowymi parasolami, a pod stopami mieli najprawdziwszy piasek, wzorcowo żółty. Stolików nie było dużo, sześć zaledwie, z czego tylko jeden zajęty przez dwóch mężczyzn, którzy na widok Nittribita pomachali przyjaźnie.

– Znajomi? – zapytał Tadeusz.

– Tak, socjologowie – odparł. – Pracuje ich tu kilku.

– A po cóż wam oni? – zdziwił się Lewandowski.

Był przekonany, że Polskę 2 zaludniają jedynie przedstawiciele nauk ścisłych, najbardziej użytecznych w tym miejscu.

– Jesteśmy na etapie budowy uniwersytetu... i wbrew pozorom dyscypliny humanistyczne są nam potrzebne, bo stacja to nie tylko zespół naukowców i pracowników, lecz także społeczeństwo, w fazie tworzenia oczywiście. O czym, mam nadzieję, wkrótce się przekonasz.

Podeszli do stolika i dokonali wzajemnej prezentacji. Starszy z biesiadników, Witold Choromański, szpakowaty brunet w staroświeckich okularach w grubej oprawie, okazał się profesorem, ostatnim dziekanem Wydziału Socjologii UW. Jego młodszy towarzysz, Michał Grodecki, szczupły, o twarzy o wyostrzonych rysach przyozdobionej krótką czarną brodą, był doktorem socjologii. Siedzący przy stoliku mężczyźni nie wydawali się zdziwieni obecnością Lewandowskiego.

– Serwisy w naszym intranecie podawały informację, że się pan zjawi – wyjaśnił Grodecki. – Prawdę mówiąc, liczyliśmy na to.

Nawet nie ukrywał, że to „przypadkowe” spotkanie w pirackiej knajpce zostało zaaranżowane. Tadeusz właściwie mógł się tego spodziewać. Jego gospodarze z pewnością sterowali przebiegiem jego wizyty, w końcu Nittribit prowadził go tam, gdzie chciał – lub gdzie mu polecono. Mógł się na to irytować, choć i tak nie miało to istotnego znaczenia w kontekście prawdziwego celu, w jakim tu przybył. Dlatego uśmiechając się nieszczerze, przysiadł się wraz z nim do stolika socjologów. Zaraz zjawił się kelner ze staroświecką kartą menu, przebrany oczywiście za pirata, z obowiązkową przepaską na oku. Lokal oferował potrawy z ryb i owoców morza, w jadłospisie nie widniało nic z wołowiny, wieprzowiny czy kurczaka.

– Też czasami tęsknię za schabowym – stwierdził profesor Choromański, jakby czytał w jego myślach. – Mięsa zwierząt lądowych jemy bardzo mało, ze względu na koszty, wszystko trzeba sprowadzać z kontynentu. To, co z morza, jest bez ograniczeń, Polska 2 dysponuje flotą piętnastu podwodnych trawlerów, które dostarczają tygodniowo przeszło trzysta ton ryb i innych

stworzeń morskich. To zapewnia każdemu mieszkańcowi podstawowy wsad białkowy do posiłków, oczywiście uzupełniany produktami zbożowymi.

– Zboże sprowadzamy, bo musimy – dodał Nittribit. – Ale w nowym mieście urządzimy w niektórych kopułach farmy, będą tam pola uprawne i hodowla. Za kilka lat będziemy się raczyć kotletami znacznie częściej.

– Prawdziwy podwodny raj – rzekł z przekąsem Lewandowski. – Tylko gdzie jest haczyk? Bo na pewno gdzieś jest. Nie uwierzę w żadną utopię, zwłaszcza wymyśloną przez miliardera.

Choromański sięgnął po szklanę z bładozielonym płynem, pewnie sokiem z alg. Upił łyk, a potem dłuższą chwilę wpatrywał się w szkło w skupieniu, jakby myślał nad czymś intensywnie.

– Tarkowski nie był zwykłym miliarderm – odezwał się. Mówił powoli, starannie ważąc słowa. – Tak naprawdę był wizjonerem traktującym pieniądze wyłącznie jako środek służący realizacji jego planu. Bo w jego zamysłach Polska 2 miała się stać nie tylko umieszczoną na dnie oceanu stacją badawczo-produkcyjną, lecz rodzajem nowego społeczeństwa... Z republiki głupców i fanatyków, w jaką przekształciła się Polska 1, postanowił wyekstrahować państwo naukowców, Polskę 2, stanowiącą zaprzeczenie, za przeproszeniem, macierzy... I w znacznym stopniu mu się to udało.

– W pewnym stopniu wzorował się na kibucach, jeśli chodzi o model stosunków społecznych – wtrącił doktor Grodecki. – Ale to nie czyni go socjalistą, bo kładł bardzo silny nacisk na użyteczność i efektywność każdego uczestnika projektu. Każdy musi włożyć swój udział do wspólnego koszyka, a obiboków i kombinatorów bardzo szybko się pozbywamy. Takich już właściwie wśród nas nie ma. Pozostali ludzie najbardziej etyczni i pracowici.

– A jak regulujecie kwestię konsumpcji? – spytał Lewandowski. – Nie wzmówicie mi, że po odsiewie owych Leserów zostali sami asceci i stoicy?

– Czy ja wyglądam na ascetę? – zaśmiał się Choromański. Rzeczywiście, nie wyglądał, jego sylwetka świadczyła wręcz o lekkiej nadwadze. – Dobra pozyskiwane w znacznych ilościach są powszechnie dostępne, w mniejszych, jak na przykład mięso, są limitowane. W Polsce 2 nie ma pieniędzy, ale każdy otrzymuje co miesiąc pewną liczbę punktów, które jeśli chce, może wymienić na wybrane przez siebie dobra deficytowe. Takie rozwiązanie wydało nam się w naszej sytuacji najsprawiedliwsze i najmniej ograniczające wolność jednostki. Nie możemy mieć tu przecież wszystkiego, nie zapominajmy, gdzie jesteśmy. To dno oceanu, a nie galeria handlowa.

– Osobnik zainteresowany konsumpcjonizmem, czyli o wegetatywnym

stosunku do rzeczywistości, nie ma tu czego szukać – dodał Grodecki.

Tadeusz uśmiechnął się pod nosem. Stanowili z profesorem całkiem zgrany duet oratorski, mogliby razem występować w cyrku.

– Jako osobnik nieużyteczny jest całkowicie zbędny. My bowiem jesteśmy nastawieni na tworzenie, każdy na swoją miarę. Kreatywność, umiejętność odpowiedzi na coraz to nowe wyzwania to podstawowy warunek przetrwania w tym wrogim środowisku. Ocean to nasz żywiciel, ale zarazem największy wróg, trzymający w morderczym uścisku piętnastu ton na decymetr kwadratowy. Cały czas walczymy z nim o przetrwanie, bo przecież funkcjonujemy w krańcowo nieprzyjaznym środowisku. Gdyby nie siła i wytrzymałość naszych konstrukcji, zostalibyśmy w ciągu sekundy zmiażdżeni na krwawy naleśnik. Musimy wciąż o tym pamiętać.

Z pawilonu wyszedł kelner z daniami dla Lewandowskiego i Nittribita. Od zapachu, który bił z talerza, Tadeuszowi zakręciło się w głowie. Dawno nie widział tyle białka w jednej porcji. W Polsce 1 według oficjalnych danych spożycie mięsa, w tym ryb, wynosiło dwa kilogramy miesięcznie. W rzeczywistości było znacznie mniejsze. Przez ostatnie pół roku wykupił swój przydział jedynie trzy razy, tylko tyle razy w punkcie dystrybucji zastał wystarczająco dużo mięsa. Z musu przemienił się, jak większość Polaków, w ryżowego wegetarianina – bo jedynie tego zboża przydzielano w miarę dużo dzięki charytatywnym dostawom z USA. A w czasie ostrego kryzysu, „wielkiego głodu”, kiedy zniknęli nadterminowi, kilogram ryżu dla większości ludzi stanowił szczyt marzeń. Teraz patrzył na parujące ośmiorniczki i małże otoczone wianuszkami sałatek, nie mając odwagi dotknąć ich widelcem. Podświadomie wątpił w ich realność.

– Śmiało – zachęcił go Nittribit. – Nieźle smakują, nasi kucharze się starają. Podobnie jak inni mieszkańcy naszej, ehm, utopii... – zaśmiał się – bo dziwnie to określenie brzmi w podwodnym mieście – wyjaśnił. – Skoro musimy poprzestać na zasobach morza, przynajmniej je sobie urozmaicimy. Na przyprawy nie żałujemy.

Lewandowski zaczął jeść. Rzeczywiście, delikatne mięso wręcz rozpływało się w ustach.

– A co właściwie socjolodzy badają w tej idealnej krainie? – zapytał. – Skoro jest tu tak doskonale, to chyba nie macie nic do roboty?

Grodecki z trzaskiem zmiażdżył szczyptę ogromnego homara, którego kelner postawił mu przed nosem. Zaczął wydłubywać ze środka białą, parującą i smakowitą zawartość.

– Prowadzimy oczywiście projekt badań nad mieszkańcami Polski 2

i tworzącym się w stacji społeczeństwem – odparł. – Ale równolegle badamy przyczyny upadku Polski 1. Podejrzewam, że i ci nieliczni w kraju, którzy jeszcze myślą samodzielnie, też się nad tym zastanawiają. – Spojrzał na niego wymownie.

Tak, Tadeusz się na tym zastanawiał. Właściwie codziennie, podobnie jak jego przyjaciele – ci, którzy pozostali w kraju. Po wielekroć pytał sam siebie, co do cholery poszło źle. I gdzie znajdował się ten punkt, po przekroczeniu którego zaczęła się katastrofa? 2021? 2023? A może jeszcze wcześniej? Znał oczywiście najbardziej obiegową wersję.

– To dość powszechna wiedza – powiedział. – Zaczęło się od trzeciej fazy wielkiego kryzysu, z którego Polska już nie wyszła...

Profesor Choromański zachnął się i pokręcił przecząco głową.

– Tak się powszechnie uważa, ale w rzeczywistości zaczęło się znacznie wcześniej, w sposób dostrzegalny jedynie dla nielicznych. Kryzys ekonomiczny został bowiem poprzedzony przez kryzys kulturowy – powiedział, odcinając spory kawałek kotleta z rekina. Przez chwilę żuł go z widocznym brakiem przyjemności. No tak, pewnie wolałby schabowego. – Polacy, którzy zdumiewająco dobrze mentalnie i kulturowo przetrwali komunizm, po 1989 roku nieoczekiwanie dla samych siebie ponieśli cywilizacyjną klęskę w konfrontacji z globalizmem. W zdumiewającym tempie doszło do rozpadu wartości kulturowych, tych tak wydawałoby się dobrze ocalonych z komunizmu. Świadczy o tym choćby spadek czytelnictwa, dramatycznie się nasilający od początku XXI wieku. Na początku lat dwudziestych trzy czwarte Polaków nie miało w ogóle styczności z książką, zarówno drukowaną, jak i elektroniczną. Na efekty nie trzeba było długo czekać, bo z funkcjonalnego analfabety nie da się zrobić kreatywnego uczestnika płynnej ponowoczesności. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak to się odbiło na innowacyjności. Upadek kultury pisma pociągnął za sobą regres edukacyjny i w końcu szkoła nie potrafiła wyprodukować nawet fizycznego pracownika potrafiącego zrozumieć i wykonywać proste instrukcje. Pod koniec lat dwudziestych stało się jasne, że już nie nadajemy się na europejskie zagłębienie prekariatu i fabryczną montownię, bo te prace albo uległy automatyzacji, albo zostały przeniesione do krajów, w których jeszcze byli mało wymagający, a dostatecznie wykształceni pracownicy. Nie mając nic do zaoferowania na światowym rynku wysoko zaawansowanych usług i produktów, Polska po prostu z niego wyleciała. W pewnym sensie cofnęliśmy się do ery przedprzemysłowej, do, powiedzmy, XVIII wieku. To wtedy ojciec ekonomii Adam Smith napisał o naszym kraju, że nie produkuje

się w nim nic ponad środki niezbędne do przeżycia. W tej chwili nie ma nawet i tego, resztki mieszkańców wegetują dzięki jałmużnie z Unii i Stanów; także rolnictwo znalazło się w regresie. I temu zwijaniu się kraju i narodu końca nie widać. Przewidujemy, że za kilka, góra kilkanaście lat dojdzie do nowych rozbiórów. Od pewnego czasu przeciekają do nas informacje, że w państwach ościennych poważnie zastanawiają się, co zrobić z „polskim problemem”... Mogą uznać, że należy go zlikwidować wraz z Polską. Dokładnie tak jak w XVIII wieku.

Lewandowski patrzył w swój talerz, na owoce morza, które w Warszawie podawano być może jedynie w zakamuflowanych knajpach w dzielnicy rządowej, i w duchu przyznawał profesorowi rację. Istnienie Polski, która z normalnie funkcjonującego kraju zmieniała się w coraz mniej zaludnione terytorium, zakrawało na cud lub dziwactwo natury. Wciąż zachowywała niepodległość głównie z braku kandydatów do zaboru: Niemcy, przynajmniej na tym etapie, nadal trzymały się z boku, ograniczając do blokowania granicy, na której wyrosła nowa nieformalna żelazna kurtyna; wyraźnie nie odczuwały ochoty, aby pakować się w *Polnische Wirtschaft*, w Berlinie cierpliwie czekali, aż się głupie Polaczki same do końca załatwią, jak już zresztą bywało. Tym bardziej nie było z tym pośpiechu, że ze strony Rosji nie groziła żadna konkurencja – pogrążona w głębokiej recesji po upadku energetycznego imperium przeżywała wyjątkowo długi okres smuty i znajdowała się w stanie niewiele lepszym od Polski, na dodatek uwikłana w wojnę domową z muzułmańskim południem. Jeśli Niemcy szukaliby w przyszłości wspólników do rozbioru, to raczej w Kijowie, bo Ukraina, po uporaniu się z problemami wewnętrznymi i ostatecznym uniezależnieniu od Rosji, przeżywała okres spektakularnej prosperity, stając się dla nich głównym partnerem na wschodzie kontynentu.

Do wojny z Polską nikt się nie palił, bo skutecznie niszczyła się sama, i to od dawna, jak zauważał Choromański – potencjalni agresorzy po prostu czekali, aż gnijące jabłuszko samo spadnie im do kobiałki. Tadeusz jako dziennikarz specjalizujący się w problematyce społecznej mógł obserwować mordercze skutki podnoszonej przez profesora „dekulturyzacji” – przemianę świadomego wyborcy, człowieka starającego się rozumieć otaczający go świat, w „pustaka”, bezrefleksyjnego konsumenta medialnych sugestii, idealne tworzywo dla PR-u i politycznej technologii. Taki „pustak” nie kierował się – bo z powodu kulturowej i edukacyjnej degradacji nie był w stanie – racjonalnym osądem sytuacji, nie ważył racji, nie oceniał sensowności opcji, po prostu wybierał to, co uznawał za atrakcyjniejsze

w przekazie medialnym. W ten sposób polityczna rozgrywka stała się konkursem na to, która strona przedstawi najfajniejszą szołowiznę, przestały się liczyć argumenty, bo ludzie woleli błyskotki i fajerwerki. Co w końcu doprowadziło do rozkładu klasycznie rozumianej demokracji opartej na świadomej swoich wyborów klasie średniej. Dyktatura PPL-u, gerontów, stanowiła jedynie konsekwentne zwieńczenie tego procesu. Życie polityczne zastąpiono nieustannym spektaklem, to dlatego władze wciąż dbały o telefon – bo przerwanie przedstawienia i cisza w eterze oznaczały ich koniec. Ludzie jak narkomani uzależnieni od szołowizny wciąż łykali ładnie opakowane kłamstwa płynące z „jedyńki”, które on i inni złamani dziennikarze prokurowali na zlecenie, bo nie mieli żadnej alternatywy. Nawet nie wiedzieli, co to jest alternatywa – ci, którzy wiedzieli, uciekli po powstaniu studenckim na Zachód. Niektórzy dotarli aż tutaj.

Tacy jak Grodecki, który uporał się ze swoim homarem i popijając żółtego drinka, patrzył na niego spod oka z co najmniej dziwną miną... Tadeusz dopiero teraz zdał sobie sprawę, że musiał go kiedyś spotkać, wiele lat temu. Z pewnością bardzo się od tego czasu zmienił.

– Pan redaktor mnie nie poznaje... – odezwał się doktor, odstawiając szklanekę na stół. – No tak, trochę czasu od naszego spotkania minęło, no i okoliczności były wtedy zupełnie inne. Pamięta pan Wrocław?

Teraz, w nagłym rozbłysku, wszystko sobie przypomniał. No tak, to przecież Grodecki dowodził obsadą tej cholerne barykady.

*

Nie wyglądało to dobrze, bo za nacierającą od strony placu Kościuszki grupą jechały jako wsparcie dwa rosomaki. Posuwający się przed nimi żołnierze byli profesjonalistami, nie wystawiali się głupio na strzał, skakali od bramy do bramy, sprytnie wykorzystywali każdą przeszkodę terenową, wysoki krawężnik czy obmurowany kwietnik, aby się za nią przyczaić. Po drodze mijali leżące na jezdni zwłoki policjantów z prewencji, co z pewnością wzmagало ich ostrożność i determinację, aby się wreszcie jak należy rozprawić ze studenciakami.

Lewandowski oglądał zbliżających się żabimi skokami żołnierzy przez okno w lexusie, który wraz z sześcioma innymi samochodami stanowił kościć barykady tarasującej Świdnicką i broniącej od południa podejścia do rynku. Resztę konstrukcji stanowiły płyty chodnikowe i wyposażenie pobliskiego KFC, łącznie z ladą, za którą stali sprzedawcy. Wyglądało to imponująco, ale

nie sądził, aby zaporą oparła się działkom rosomaków. Jeśli transportery zbliżą się na odległość efektywnego strzału, będzie po wszystkim.

Obrócił się w stronę dowódcy odcinka, „porucznika Szarego”, jak się kazał tytułować. Młody, może dwudziestodwuletni chłopak wyglądał na bardzo zmęczonego. Nic dziwnego, regularne powstanie, w które przerodziły się zamieszki studenckie, trwało już trzeci dzień i pewnie niewiele w tym czasie spał. Na czwarty dzień się nie zanosilo, bo rząd po tym, jak buntownicy przejęli transport broni i dosłownie rozstrzelali atakującą ich policję, uznał, że należy wprowadzić do akcji wojsko. Armia się nie patyczkowała i w ciągu niespełna sześciu godzin odbiła połowę obszaru zajmowanego przez powstańców. Barykada na Świdnickiej była jednym z ostatnich punktów oporu. Lewandowski spodziewał się, że do wieczora dziarscy faceci w mundurach pozamiatają do końca i rabacja wrocławska przejdzie do historii. Jeszcze raz zerknął na ulicę i zobaczył, jak pierwsi żołnierze dopadli wywalonych drzwi Opery i skryli się w środku. Ich koledzy skryli się we wnękach bram po przeciwnej stronie ulicy. Czekali na transportery, które powoli mijają skrzyżowanie Podwała ze Świdnicką. Zbyt powoli, widać ich załogi obawiały się improwizowanych ładunków wybuchowych – rzeczywiście, wczoraj studenci umieścili w studziencie odpływowej beczkę z benzyną, którą podpalili w momencie, gdy w pobliżu znajdował się policyjny wóz szturmowy. Fajczył się potem przez kilka godzin.

„Szary” przez szczelinę w płytach z napięciem patrzył na zbliżający się oddział. Jego ludzie – dwunastu równie jak on zmęczonych powstańców – dysponowali ośmioma berydami i jednym granatnikiem przeciwpancernym – zapewne dlatego rosomaki podchodziły tak ostrożnie – ale to nie mogło wystarczyć na długo. Gdy trzydziestomilimetrowe działka transporterów rozpoczną ostrzał, barykada zostanie rozniesiona na strzępy wraz z bohaterskimi obrońcami. Chłopak doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego miał tak ponurą minę.

– Moim zdaniem trzeba się stąd zwijać – powiedział do niego Lewandowski. – Z nimi nie macie szans, to nie gliniarze, którzy myśleli, że rozgonią was pałkami i armatkami wodnymi. Ostrzału z rosomaków to te meble z KFC nie wytrzymają. Wiejcie, póki czas.

Nic mu na to nie odparł, tylko jeszcze raz spojrzął w głąb Świdnickiej, po czym dał znak powstańcowi z granatnikiem, niewiele od niego starszemu dryblasowatemu blondynowi. Tamten zajął pozycję, lecz nie w centrum barykady, gdzie jeszcze od biedy miał szansę skutecznie ostrzelać transportery, ale na jej lewym skraju, skąd w ogóle nie było widać

skrzyżowania, na którym się zatrzymały, pewnie czekając, aż idący przed nimi żołnierze sprawdzą teren. Tadeusz nie rozumiał, o co chodzi „Szaremu”. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo rozpoczęła się wstępna pukanina – żołnierze, którzy minęli hotel Monopol i wyszli na dobrą pozycję do strzału, zaczęli walić krótkimi seriami w kierunku barykady. Jej załoga odgryzała się skąpo, bo powstańcom brakowało amunicji. Zarazem usłyszał głośny odgłos silników – to rosomaki wreszcie ruszyły się ze skrzyżowania.

Przykucnął i spojrzął na swojego operatora, Solskiego, który z wyłączoną kamerą na kolanach siedział po turecku na poduszce wyjętej z kanapy wywleczonej zapewne z jednego z pobliskich mieszkań, które spanikowani lokatorzy opuścili jeszcze na początku zamieszek. Facet, wyraźnie spietrany, rozglądał się gorączkowo dookoła, tak jakby mógł cokolwiek z tej swojej poduszki zobaczyć.

– Chyba powinniśmy się stąd zwijać... – powiedział, patrząc z nadzieją na Tadeusza. – Nakręciliśmy dość materiału. To co, szefuniu, spadamy?

Na zdrowy rozum miał rację, bo ostrzał się wzmagał, komandosom amunicji najwyraźniej nie brakowało, na dodatek do kanonady włączyły się rosomaki – usłyszeli coś jakby ostry szczek i kawałek ściany budynku, pod którym siedzieli, bryznął gruzem na wysokości pierwszego piętra. Najwyraźniej załoga wozu niezbyt sobie dawała radę z celowaniem. Ale jak podjadą bliżej, to celność im się poprawi, Lewandowski nie żywił co do tego żadnych złudzeń.

– No to dylu, co? – powtórzył Solski. – Bo jak przywałą w barykadę...

Tadeusz obejrzał się na „Szarego”. Chłopak znajdował się przy swojej artylerii i wskazywał operatorowi cel – dziwny, bo usytuowany gdzieś wysoko, jakby na dachu hotelu. W tym momencie szczeknęło po raz drugi i stół z KFC, wieńczący szczyt barykady, rozpadł się, przemieniając w chmurę drzazg, które spadły na karki przycupniętych na dole powstańców. Rosomaki wstrzeliwały się coraz dokładniej, kolejne pociski uderzyły w samochody. „Szary” nakazał gestem swoim ludziom, aby położyli się na bruku. A potem krzyknął do Lewandowskiego:

– Chcecie mieć swój show? To schowajcie się w bramie i filmujcie kościół.

Tadeusz klepnął w bark Solskiego, który poderwał się, zarzucając kamerę na ramię. Pobiegli na drugą stronę ulicy, gdzie schowali się w przejściu między blokami. Nakazał operatorowi skierować obiektyw na kościół świętej Doroty, imponującą gotycką świątynię stojącą obok Monopolu. Rosomaki, których ze swego miejsca nie widzieli, musiały znajdować się całkiem blisko, bo na przemian waliły w barykadę – reduta dosłownie rozsypywała się

w oczach, zasypując gruzem i odłamkami rozplaszczonych pod nią obrońców. W tym momencie granatnik wystrzelił i pocisk walnął w szczyt masywnej bryły kościoła, w miejsce, gdzie dach łączył się z murami. Przez ułamek sekundy nie działo się nic, po czym górna część budowli z potwornym hukiem rozprysnęła się w górę i na boki. Na ulicę i okoliczne dachy spadł istny potop dachówek i cegieł, ściany świątyni zachwiały się i z majestatycznym łoskotem osunęły na jezdnię. Dokładnie tam, gdzie jak się domyślał Lewandowski, znajdowali się żołnierze i rosomaki.

Gdy rumor ucichł, dym opadł i odłamki przestały śmigać w powietrzu, wybiegł z przejścia i dopadł „Szarego”.

– Co to miało być?! – wrzasnął.

„Porucznik” wzruszył ramionami i pokazał swojemu artylerzyście wzniesiony do góry kciuk. Przybili piątkę, nie kryjąc satysfakcji.

– Podstęp wojenny – wyjaśnił chłopak, nakazując gestem swoim ludziom podnieść się z ziemi. – Wiedziałem, że będą atakować Świdnicką... W piwnicy jednego z bloków znaleźliśmy parę worków saletrzaka, chyba należały do działkowca. Kolega z chemii w prosty sposób zamienił go w materiał wybuchowy, który umieściliśmy na strychu kościoła... Resztę widziałeś.

– Święta Dorota nigdy wam tego nie daruje.

Lewandowski skinął na wciąż ukrywającego się za załomem muru Solskiego. Chciał zobaczyć, co kamerzysta zdołał nakręcić.

– Ale kupiła nam czas – odparł „Szary” i rozkazał członkom oddziału naprawić barykadę.

Kilku poszło do baru KFC po nowe krzesła i stoły.

– To bez sensu! Zniszczyliście gotycki kościół!

Tadeusz, nadal zszokowany, patrzył ponad częściowo zniwelowaną pociskami rosomaków barykadą na bury tuman zasnuwający Świdnicką. Coś tam się w nim poruszało, ktoś krzyczał rozzwierajaco, inny przeklinał na czym świat stoi. Kontratak gruzami świątyni okazał się skuteczny, bo żołnierze najwyraźniej się wycofywali, zabierając rannych.

– Aż tak zgłupiałeś w tym telefonie? – Student obrócił się ku niemu i wtedy zobaczył jego oczy, pełne zimnej nienawiści. – Dano nam jakiś wybór? Ktoś chciał z nami rozmawiać? Przecież wiesz doskonale, że w tym kraju nikt już z nikim nie rozmawia. Został nam tylko gniew i bunt. Tego już nie dało się zatrzymać.

Lewandowski milczał. Rząd PPL-u nie mógł i nie chciał rozmawiać, bo jego możliwości spełnienia przedłożonych przez demonstrantów postulatów były

żadne. Kasa państwa świeciła pustkami, a z powodu szalejącego kryzysu władze mogły albo dalej drukować zdewaluowany pieniądz, za który już niczego nie dawało się kupić, albo ograniczyć świadczenia do minimum. Wybrano to drugie wyjście. Prawdopodobnie cynicznie kalkulując w całej operacji koszty protestu społecznego i gniewu rozżalonych ludzi. Także ten kościół. Co tam komu zaszkodzi trochę trupów, a nawet ruin, tak pewnie myślano w kręgach władzy. Ludzie się poburzą, a potem grzecznie powrócą do podsuwanego im koryta z kaszą bez omasty. Bo czy mieli inne wyjście?

– Ta wasza ruchawka naprawdę do niczego nie prowadzi... – zaczął, ale „Szary” przerwał mu obcesowo.

– A dokąd zmierza polityka tego obłąkanego rządu? – wybuchnął. – Praktyczna likwidacja uniwersytetów ma nas zaprowadzić do świetlanej przyszłości? Rozmawiałem ostatnio z dziadkiem i powiedział mi, że tak głupio nie postępowali nawet komuniści. PPL wpycha Polskę w otchłań. Skończy się to tym, że stalinizm i zabory będziemy wspominać jako złotą epokę. O ile wcześniej ten pierdolony rząd nas do końca nie zagłodzi! Nie mają dla nas nic poza gębami w teleforze, pełnymi narodowokatolickich frazesów!

Chciał mu odpowiedzieć, że niezależnie od motywacji i słusznego gniewu ta studencka namiastka pospolitego ruszenia nie ma szans z armią, ale wtedy odezwał się Solski, który od dłuższej chwili niespokojnie popatrywał w niebo, jakby czegoś tam szukał. I w końcu coś zauważył.

– No, tym razem naprawdę ich wkurwiliście. – Podniósł kamerę do oczu i obserwował przez obiektyw niebo na południu, a Lewandowski wiedział, że mógł wykonać zoomem dwudziestopięciokrotne zbliżenie. – Jak nic F-16. Tymi swoimi granatami nic im nie zrobicie.

Teraz i on widział na niebie, jeszcze wysoko, dwa punkty szybko się powiększające. Para myśliwców. Wojskowi wezwali wsparcie z powietrza.

– Spadamy na Szewską! – wrzasnął „Szary”, który też spojrzął na niebo przez lornetkę i w lot pojął, co się święci.

Obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku przejścia między blokami, tam gdzie przedtem Tadeusz ukrywał się z operatorem. Jego ludziom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, pognali hurmem za dowódcą.

– A my na co czekamy?! – ryknął Solski, opuszczając kamerę. – Zaraz przywalą, chodu!

Pobiegli w stronę przejścia. Kiedy znajdowali się już po drugiej stronie bloku i gnali przez wewnętrzne podwórko, usłyszeli dobiegający z góry przeciągły gwizd i ulica za ich plecami w potwornym huku wyleciała

w powietrze. Podmuch cisnął Lewandowskiego na bruk, coś ciężkiego uderzyło go w plecy i nie mógł oddychać. Zamroczony, wijąc się na ziemi i łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona z wody, czuł, że tonie, pogrążając się w czymś miękkim i ciemnym...

*

Znaleźli go wówczas, przysypanego gruzami, żołnierze penetrujący to, co pozostało ze Świdnickiej i okolicznych domów po uderzeniu rakiety wystrzelonej przez F-16. Nieprzytomnego dostarczyli do punktu sanitarnego, gdzie go ocucono. Poza złamanymi dwoma żebrami i ogólnym potłuczeniem nic mu właściwie nie było, szybko doszedł do siebie. Za to Solskiemu nie dopisało szczęście – bryła betonu zmiażdżyła mu głowę. Ale kamera ocalała i szefowie „jedynki” z lubością na okrągło puszczali kawałek przedstawiający wybuch w kościele świętej Doroty jako dowód na zwyrodnienie „studenckiej dziczy”, tym samym usprawiedliwiając zastosowane ostre środki represyjne. Rozpирzenie przez raketę kilkunastu domów na Świdnickiej pominięto jako nieistotny detal. Tym sposobem Tadeusz niechcący wpisał się w kampanię władz zmierzających do ostatecznej likwidacji kierunków humanistycznych na wyższych uczelniach jako „niepraktycznych, nienarodowych i produkujących chuliganów dewastujących zabytki”. Na szczęście inne jego relacje z powstania nie zostały aż tak zmanipulowane, kilka nieocenzurowanych materiałów zdołał wrzucić do sieci, dzięki czemu zachował resztki szacunku do siebie. Nittribit widział je i dlatego wówczas w umieralni nadterminowych pomógł mu się wydostać.

Były „porucznik Szary”, obecnie doktor Grodecki, ze smakiem chrupał sałatkę z brązowych okrągłych liści, pewnie glonów. Wyglądał zdumiewająco młodo, choć od wrocławskich wypadków minęło prawie dziesięć lat.

– Jest pan pewnie ciekaw, jak udało mi się uciec – powiedział niegdysiejszy powstaniec, widząc zainteresowanie Lewandowskiego. – Wybuch rakiety zabił większość członków mojego oddziału. Mnie i jeszcze jednemu koledze udało się ująć z życiem, dołączyliśmy do grupy walczącej w rejonie Nadodrza... Ale to już nie miało sensu. Przed wieczorem zostaliśmy otoczeni i wezwano nas do poddania się... Wiedziałem, co to oznacza: czapę lub dożywocie, jeśli dopisze mi fart. Postanowiłem nie wyzywać losu. Odłączyłem się od oddziału i przekradłem nad brzeg Odry, a tam do wody. Zawsze dobrze pływałem. Pod osłoną nocy posuwałem się wzdłuż nabrzeża i przed świtem udało mi się wydostać z miasta. Po trzech dniach

przekroczyłem granicę z Czechami w okolicy Kudowy. Potem zwykły los uchodźcy, w Monachium dostałem stypendium i dokończyłem studia. A trzy lata temu dawni znajomi z Wrocławia zaproponowali, abym dołączył do Polski 2. Uznałem, że badanie tego rodzącego się na dnie oceanu społeczeństwa to dla socjologa niezwykła gratka, bo to przecież niezwykły fenomen, u którego źródła stoi projekt naukowy...

Lewandowski przestał go słuchać, bo znacznie ciekawszą rozmowę wiedli Nitribit z profesorem Choromańskim, którzy spierali się, czy tak zwane powstanie wrocławskie, zwane też studenckim, w rezultacie nie utwierdziło ostatecznie władzy PPL-u, rychło nazwanej dyktaturą gerontów, bo zmiany na jej szczytach następowały równie wolno jak niegdyś w zdominowanym przez starców biurze politycznym sowieckiej kompartii. Relacje z posiedzeń rządu przypominały sprawozdania nasiadówek klubu seniora.

– Czy to powstanie, a dokładniej fala rozruchów, często, jak we Wrocławiu, zbrojnych, która się rozlała po całej Polsce i kosztowała życie kilkuset ludzi, rzeczywiście było momentem przełomowym? – pytał z namysłem Choromański i w jego ustach nie brzmiało to jak pytanie retoryczne. – I tak, i nie. Bo nie ma tu oczywistej odpowiedzi.

– Racja, wszystko zaczęło się wcześniej.

– Tak właśnie twierdzą. – Profesor uśmiechnął się z właściwą każdemu wybitnemu naukowcowi powściągliwością. – Polska na początku lat dwudziestych ostatecznie uwięzła w tak zwanej pułapce średniego rozwoju. Kryzys kulturowy, o którym mówiłem i który zaczął się wiele lat wcześniej, doprowadził do zastoju w innowacjach. Powiedzmy to sobie jasno, naród ciasnogłowych analfabetów na żadne innowacje nigdy się nie zdobędzie. Nikt nie zdawał sobie wówczas sprawy, lub nie chciał zdawać, że glebą, na której wyrasta innowacyjność, jest kultura, uczestnictwo w niej rozwija bowiem wyobraźnię i kreatywność. A podglebiem każdej kultury jest literatura, sztuka słowa, na której krzewią się inne dziedziny. Zagłada piśmiennictwa, do której doszło w Polsce po roku 2000, pociągnęła za sobą regres całej reszty, gdyż poszczególne obszary kultury i sztuki tworzą system naczyń połączonych. To był kamień, który poruszył lawinę. W tym kontekście bunt społeczny zwany powstaniem wrocławskim (choć tak naprawdę chodzi o szereg lokalnych powstań, Wrocław był po prostu pierwszy) stanowił zwieńczenie procesu, który przesądził o ostatecznej degradacji Polski 1. A dokładniej pierwszego etapu tej degradacji. Oczywiście ten rozpaczliwy protest niczego nie powstrzymał, przeciwnie, wręcz przyśpieszył upadek.

Przerwał i sięgnął po szklanke, aby popić, zupełnie jak wykładowca,

któremu zaschło w gardle. Istotnie, Lewandowski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uczestniczy w wykładzie – co więcej, bez wątpienia był jego głównym słuchaczem. To spotkanie w knajpie piratów zostało specjalnie dla niego zaaranżowane. Ale po co?

– Jak wiemy, po tych wypadkach Polskę opuścili nie tylko bojownicy w rodzaju doktora Grodeckiego, ale blisko trzy miliony ludzi, przeważnie młodych i inteligentnych, którzy nie wyobrażali sobie dalszego życia pod rządami reżimu gerontów. Ci temu nie przeszkadzali, bo po pierwsze, pozbywali się z kraju elementu opornego i opozycyjnego, który mógł im w przyszłości zagrażać, po drugie, zyskali element nacisku na Zachód w postaci „wojny migracyjnej”. Po prostu za Odrą nie byli przygotowani na tak wielką masę ludzi, poza tym pamiętano o horrorze muzułmańskiej „wędrówki ludów” sprzed dekady. Geronci dali do zrozumienia Brukseli, że przymkną granicę dopiero wtedy, gdy dostaną za to kasę. Europejczycy przerażeni istnym przelewającym się przez granicę potopem Polaków, którym nie mogli odmówić azylu, bo spełniali wszelkie kryteria uchodźców, w końcu zapłacili, i to dużo, co tymczasowo uratowało sytuację. Po prostu dali kasę na założenie w Polsce gułagu, w którym przetrzymywano niechcianych przez nich ludzi. A PPL znalazł model gospodarczy, na którym wreszcie zaczął zarabiać.

Nittribit, który z uwagą słuchał coraz bardziej kąśliwych wywodów profesora, podniósł palec, sygnalizując, że chce wtrącić swoje trzy grosze.

– Kryzys kulturowy, o którym pan mówi, to tylko jedna ze składowych zjawiska – zauważył. – Do upadku Polski 1 przyczyniły się także czynniki ekonomiczne. Ci zasrani Przyjaciele Ludu, po to, by objąć władzę, obiecali wielkie podwyżki, zarówno zarobków, jak i socjału. Nie ma nic złego w tym, aby ludzie porządnie zarabiali, ale nie zbiegły się z tym konieczne zmiany w gospodarce, wzrost wydajności i innowacyjności. Polska wciąż nie miała świata nic do zaoferowania poza prostymi, nisko przetworzonymi towarami. Gdy pensje pracowników wzrosły, globalne koncerny przeniosły swoją produkcję tam, gdzie było taniej, na Ukrainę i Bałkany. Polska przestała być wielką montownią, plan B nie istniał, więc „reformy” PPL-u skończyły się hiperinflacją. Co zresztą niektórzy ekonomiści zapowiadali, ale nikt ich nie chciał słuchać. Rządzący woleli, tak jak przedtem komuniści, ideologicznie zaklinać rzeczywistość. Z wiadomym skutkiem, bo mechanizmów gospodarczych zakląć niczym się nie da.

W tym momencie palec podniósł Grodecki, który już uporał się z sałatką i widać doszedł do wniosku, że musi dodać swoje ad vocem.

– Zapominacie, panowie, o czynnikach psychospołecznych, które w istotny sposób zaważyły na rozwoju sytuacji. Polacy okazali się ludźmi niezdolnymi do odpowiedzi na „szok przyszłości”, przepowiadany przez Tofflera jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku. Osobiście sądzę, że w ogóle myślenie o przyszłości napawało ich wstrętem. Po prostu odwrócili się do niej plecami, bo jak inaczej interpretować powierzenie władzy debilom z PPL-u? Troskę o kraj zwalili na najgorszą w dziejach klasę polityczną, podobnie źle było może w czasach saskich, przed rozbiorami, gdy Sarmaci nie potrafili sprostać ówczesnemu „szokowi przyszłości”, czyli wyzwaniu rzuconemu przez ościenne oświecone absolutyzmy. Nie okazali się wystarczająco innowacyjni, dlatego obecny finał będzie podobny do tamtego, bo Polski 1 już prawie nie ma. Kolejnemu rozbiorowi, a pewnie do niego w końcu dojdzie, Europa tylko przykłaśnie.

Usłyszeli głośny śmiech, do wiklinowego płotu oddzielającego knajpkę od alejki spacerowej podeszła grupa młodych ludzi, dwie pary dwudziestoparolatków. Jednym z mężczyzn okazał się Paweł obejmujący blondynkę o idealnej figurze. Przybysze pozdrowili biesiadującą czwórkę, po czym dyskretnie usiedli przy jednym z odleglejszych stolików. Świetnie wyglądali, opaleni, pewnie kwarcówkami, wysportowani, o właściwej wadze. W Polsce podobnie odżywieni byli jedynie bezpieczniacy, policjanci i członkowie „aparatu”. Reszta narodu doświadczała nieustannych braków, okresami wręcz skrajnego niedostatku, jeśli dostawy z zagranicy się opóźniały. Tłuściochów na ulicach Warszawy się nie widywało, geronci już od paru lat nie opuszczali dzielnicy rządowej, po głodowych rozruchach sprzed paru lat zamienionej w prawdziwą twierdzę z betonowymi murami, wieżyczkami z karabinami maszynowymi i zaminowanymi podejściami. Chcieli być przygotowani... gdyby Wielki Głód miał się powtórzyć.

*

Zaczęło się od wielkiej suszy wiosną 2032. Czegoś podobnego Polska i Europa w swych dziejach nie doświadczyły: między styczniem a czerwcem na obszarach nadatlantyckich i nadbałtyckich nizin suma opadów wyniosła mniej niż w ciągu najbardziej skąpego w deszcz miesiąca roku poprzedniego. W praktyce oznaczało to rolniczą katastrofę, gdyż niektórych zbóż i roślin strączkowych zebrano o siedemdziesiąt procent mniej, innych aż o dziewięćdziesiąt, także ziemniaki nie dopisały, bo zaczęło padać zbyt późno i zbyt mało. Ten morderczy dla roślin efekt przyniosła kolejna odsłona

dramatu pod tytułem globalne ocieplenie – pojawienie się na Pacyfiku wyjątkowo intensywnego El Niño i zakłócenia w przebiegu Golsztromu. Arktyczna czapa powietrzna przesunęła się w stronę Grenlandii, a nad Europę napłynął afrykański upał, który zastygł nad nią na prawie pół roku. Gdy w końcu pojawiły się deszcze, zrosiły wypalone słońcem pola.

Ta katastrofa okazała się dla Polski – pozbawionej zapasów i zdanej nie tyle nawet na import żywności, ile na jałmużnę Zachodu – szczególnie dotkliwa. Europejczycy, zgodnie z filozofią, że bliższa koszula ciału, od razu wstrzymali dotacje – sami potrzebowali pieniędzy na import żywności z Kanady, USA i Australii. Nawet groźby wznowienia „wojny migracyjnej” nie zrobiły na nich specjalnego wrażenia, zapewne dlatego, że przezornie, przewidując kłopoty, zdążyli zaminować granicę. W zatrzaśniętej ze wszystkich stron Polsce zaczął się Wielki Głód.

Na początku ludzie zbyt mocno tego nie odczuli, bo kartki na wiele artykułów zaczęto wprowadzać już w połowie lat dwudziestych. Po prostu w kolejnym i w gruncie rzeczy logicznym kroku wydano kartki na całą żywność – reglamentowano nawet ocet i sól. Jedzenie niekartkowe można było dostać początkowo jedynie na nielegalnych bazarach, które urządzano w piwnicach, i to za walutę, bo zniszczona hiperinflacją złotówka miała wielokrotnie mniejszą siłę nabywczą niż u schyłku PRL-u. Dopiero potem, gdy najgorsze minęło, pozwolono na coś w rodzaju drugiego obiegu żywności na oficjalnych targowiskach.

Indolentne i źle poinformowane władze początkowo nie zdawały sobie sprawy ze skali problemu i pierwsze przydziały kartkowe okazały się całkiem obfite – ale szybko wyszło na jaw, że nie znajdowały pokrycia w punktach dystrybucji, w jakie zamieniły się sklepy i markety. Trzeba je było zmniejszyć i zróżnicować, w miarę jak kurczyły się szczupłe zapasy. Najlepiej zostali potraktowani ci, którzy jeszcze mieli pracę, najgorzej emeryci – starszkom po siedemdziesiątym piątym roku życia w ogóle cofnięto świadczenia i wprowadzono bony wymienne na żywność i leki. Starców nazywano nadterminowymi, bo rząd tłumaczył, że wypłacili już środki uzbierane w okresie składkowym. Kraj wszedł w okres permanentnej niestabilności, ucieczka młodych po powstaniu zachwiała całą piramidą społeczną, bo Polskę opuścili najbardziej wartościowi pracownicy. Już w roku 2031, poprzedzającym Wielki Głód, jeden zatrudniony utrzymywał 2,8 statystycznego emeryta. Aby wypłacić rosnące świadczenia, drukowano potrzebne kwoty, dobijając złotówkę. Starszkwowie dostawali emerytury warte trzy dolary według czarnorynkowego, czyli jedynie realnego kursu.

Właściwie skasowanie tak symbolicznych emerytur wydawało się krokiem w gruncie rzeczy rozsądnym, bo kończącym z fikcją.

Sytuacja dramatycznie zaostrzyła się wczesną jesienią. Zapasy żywności skurczyły się tak, że przydziały obniżono do norm, jak mówili ludzie, „oświęcimskich” – najgorzej mieli nadterminowi, po kilkaset kalorii dziennie. A i tak nie mogli zrealizować bonów, ponieważ do wyznaczonych dla nich punktów dystrybucji po prostu niczego nie dostarczano. Lewandowski pamiętał te niekończące się kolejki, dzień i noc sterczące przed zamkniętymi na głucho marketami. Między wychudzonymi staruszkami krążyli wolontariusze z organizacji religijnych, ale nie mieli dla nich nic poza wodą, która zresztą też o mało nie została objęta reglamentacją, bo susza odbiła się katastrofalnie także na szwankującym od lat bilansie wodnym kraju i w wielu miejscach wyschły krany. Zbliżała się zima, dostaw nie zwiększano i w końcu zaczęło się masowe umieranie nadterminowych. Padali w kolejkach z głodu i zimna, a wolontariusze mieli teraz pełne ręce roboty z uprzątnięciem ciał. Bywało i tak, że stojąca od wieczora kolejka przeżywała do rana jedynie w połowie.

Lewandowski nie mógł sobie przypomnieć, w którym mieście – wydawało mu się, że w Łodzi lub Krakowie – ślaniający się z głodu staruszkowie płci obojga zaczęli wychodzić na główne ulice, na rynek, pod siedziby lokalnych władz i tam rozkładać się na materacach i łózkach polowych, aby w milczeniu oddać ducha w obecności bardziej sytych bliźnich.

Ten protest błyskawicznie rozprzestrzenił się po całej Polsce, w setkach większych i mniejszych miast nadterminowi wychodzili na ulice i okutani w koce i kołdry „dochodzili na mrozie”, jak powiadano, bo zima okazała się sroga, temperatura potrafiła spaść do minus czterdziestu. Jak to przy globalnym ociepleniu – najpierw bardzo ciepło, potem bardzo zimno.

Po kilku tygodniach tego milczącego protestu odbijającego się coraz większym echem w świecie, gdzie media nazywały go „buntem skazanych na śmierć”, nadterminowi zaczęli tajemniczo znikać, rzekomo odwożeni do domów spokojnej starości... Wiosną Lewandowski na własne oczy zobaczył, gdzie.

*

Zamyślił się do tego stopnia, że nie usłyszał początku wypowiedzi Choromańskiego.

– ...dlatego schyłek i zagładę każdej cywilizacji poprzedza śmierć jej

kultury. Tak działo się na przykład w starożytnym Rzymie. Upadek klasycznej kultury, która od I wieku naszej ery wyradzała się w coraz bardziej splotony, uschematyzowany ówczesny „pop”, poprzedził katastrofę polityczną i militarną. Rzymianie nie byli w stanie znaleźć odpowiedzi na wyzwania, przed którymi stanęli, w rodzaju wędrówki ludów. W wielkim skrócie: stracili zdolność do innowacji, adekwatnej reakcji na zmianę. I w rezultacie niezwyciężone niegdyś legiony dostawały baty od odzianych w skóry barbarzyńców. Podobnie jak Polacy w XVIII wieku i obecnie, także i synowie Romy nie potrafili sprostać „szokowi przyszłości”... A że przyczyna pociąga za sobą skutek, zniknęli z kart historii.

Umilkł i spojrzął na pozostałych. Lewandowski zauważył, że także młodzi ludzie siedzący w drugim końcu knajpki umilkli i wydawali się słuchać profesora.

– Po Rzymianach coś jednak pozostało, wzorzec cywilizacyjny, który okazał się trwalszy od nich samych – dodał Grodecki. – Co pozostanie po Polakach? Puste miejsce na mapie, przestrzeń do zagospodarowania dla ludzi bardziej perspektywicznych?

Lewandowski nie mógł już tego słuchać, choć wiedział, że mają rację. Nie mógł niczego zarzucić ich logicznym wywodom prowadzącym do oczywistych – katastroficznych – wniosków. Jednak dla niego to „puste miejsce” było Hanką, Marysią, jego przyjaciółmi, milionami ludzi, którzy przecież wciąż żyli. Uczeń dyskutanci traktowali mieszkańców tej, jak mówili, Polski 1, jakby już przeszła do historii, a oni, ci wszyscy, których znał i kochał, mieli już postać zapisków w dziełach kronikarzy! A przecież to nieprawda, bo żyli, podle, beznadziejnie, nieperspektywicznie, ale żyli!

– Czego ode mnie chcecie? Dlaczego mi to mówicie? – zapytał, patrząc w surową, zasępioną wręcz twarz Choromańskiego.

Profesor nie odpowiedział, zmarszczył brwi, uśmiechając się nostalgicznie, nie do niego, bardziej do własnych myśli. Nittribit wstał i pochylił się nad Tadeuszem.

– Chcemy cię przekonać... do czegoś bardzo ważnego.

*

Ten batyskaf wyglądał na bardzo nowoczesny. Dwa razy większy od pojazdu, którym Lewandowski przybył z powierzchni, miał częściowo przeszklone dno i podwieszane u sufitu ekrany przekazujące obraz z zewnętrznych kamer, a cztery wygodne siedzenia kojarzyły się z fotelami w lotniczej klasie

biznesowej. Czyżby był używany głównie w celach wycieczkowych? Wiedział jednak, że tego rodzaju konstrukcje budowano w technologii modułowej – zapewne batyskaf za każdym razem adaptowano do konkretnych potrzeb, montując odpowiednie wyposażenie.

Odbili od przystani dziesięć minut wcześniej i stopniowo się wznosili. Tadeusz jeszcze raz mógł zobaczyć podwodne miasto, które wyrosło na płaskowyżu ze stacji produkcyjno-badawczej. Teraz wydało mu się znacznie rozleglejsze niż za pierwszym razem – pewnie dlatego, że panele pokazywały obraz w podczerwieni i doskonale widział nawet odległe budowle. Rzeczywiście, skala podjętego przez Tarkowskiego przedsięwzięcia była imponująca, w zasięgu kamer widniały dziesiątki mniejszych i większych sześciennych i kopulastych habitatów połączonych splątaną siecią grubszych i cieńszych rur i łączników. Tymi o największym przekroju, jak się domyślał, przebiegała kolejka zapewniająca komunikację między najważniejszymi obiektami. Szczególne wrażenie robiła tlenownia – gigantyczna kula podziurawiona okrągłymi otworami, w której produkowano tlen pozyskiwany z elektrolizy wody oceanicznej. Mimo ogromu konstrukcji nasunęło mu się pytanie o granice wydolności Polski 2, przecież wciąż przyjmowano nowych rezydentów, rodziły się dzieci, rosnąca populacja potrzebowała przestrzeni. Nie widział jednak, aby trwała budowa kolejnych obiektów, na terenie miasta nie pracowały żadne maszyny, poza tym przypomniał sobie, że Paweł napomknął coś o rozbudowie czy nowej stacji... Zapytał o to siedzącego obok Nitribita, który nie patrzył na panele ukazujące miasto, bo przeglądał informacje na małym tablecie.

– Tak, tego miejsca już nie rozbudowujemy – odparł, nie odrywając wzroku od czytanego tekstu.

Musiało to być coś naprawdę ważnego.

– To jak radzicie sobie z rosnącą populacją? – zdziwił się Lewandowski. – Zagęszczacie istniejące habitaty? Ale to oznacza coraz większy dyskomfort! Przeludnienie sprzyja rozwojowi klaustrofobii, a zdaje się, nie o to wam chodzi.

– Nie inaczej, o „przestrzeń dla twojego ja”, jak to kiedyś napisał autor jednej z powieści science fiction, której akcja rozgrywa się na przeludnionym statku kosmicznym. – Jego przewodnik uśmiechnął się i wyłączył tablet. – Zaraz zobaczysz, co wymyśliliśmy.

Batyskaf wznosił się coraz wyżej i zabudowania Polski 2 zaczęły znikać z ekranów, do skanerów nie docierało promieniowanie podczerwone wchłaniane przez coraz zimniejsze warstwy wody zalegające na tej

głębokości. Pojazd, wciąż się wznosząc nad miastem, zarazem ruszył do przodu, w kierunku północno-zachodnim, co wskazywał kompas zamontowany w staroświeckim zegarku Tadeusza. Płynęli w stronę Doliny Jozafata?

Nie chciał o to pytać Nittribita, który zachowywał enigmatyczne milczenie na temat celu ich niespodziewanej wycieczki i znowu wpatrywał się w tablet. Tadeusz oderwał wzrok od ekranu pokazującego jedynie radarowy obraz sfałdowanego dna oceanu i odruchowo spojrzął pod nogi, ale przez szkło – a pewnie stokroć bardziej odporny, ale równie przezroczysty materiał – też nic nie zobaczył, atramentowa czerń głębin pochłaniała wszystko poza rozproszonym blaskiem lamp pozycyjnych batyskafu. Życie w takim świecie musi być jednak straszne, pomyślał. Mieszkańcy Polski 2 zamknięci w blaszanych puszkach, ściśnięci jak sardynki, świadomi czającej się na zewnątrz śmierci w postaci wody mogącej z nieosłoniętego pancerzem człowieka zrobić w mikrosekundzie krwawą miazgę, w gruncie rzeczy zasługiwali na współczucie. Owszem, ocean ich żywił, ale zarazem więził w wiecznej ciemności. Wzdrygnął się mimowolnie, bo nie chciałby na dłuższą metę żyć w tej krainie zimna i mroku. Lepiej już mieli choćby mieszkańcy Łazienek, bo czego jak czego, ale przestrzeni, słońca i lasu to im nie brakowało.

Wznoszenie batyskafu osiągnęło swoje apogeum i po chwili zaczęli ostro opadać, pojazd przechylił się pod kątem co najmniej czterdziestu stopni, aż Tadeusz musiał zapiąć pasy, aby nie spaść z fotela. Pod stopami w nieprzeniknionej czerni pojawiły się małe, przenikliwe światełka przypominające rozżarzone do białości łebki szpilek. Niektóre się poruszały, inne tkwiły nieruchomo. Pojazd nieco wyrównał i łagodnie opadał, a punkciki rosły. Dopiero wówczas zrozumiał, że muszą być to światła pozycyjne kombajnów.

– Na ekranach lepiej to widać – powiedział Nittribit. – Dolina Jozafata widziana po raz pierwszy robi spore wrażenie. Obecnie prace wydobywcze prowadzimy głównie w południowej części pola, na północy złoża jest wyeksploatowane.

Niespodziewanie pojawiła się na ekranie – pilot batyskafu musiał zrobić zbliżenie – ogromna maszyna przypominająca metalowego kanciastego skarabeusza zagrzebanego w mule. Gigantycznymi „szczękami” – pomysłowym skrzyżowaniem szufli z wirnikową zgarniarką – kombajn pochłaniał podłoże, niwelując wierzchnią warstwę dna, na której licznie zalegały bulwiaste, kartoflopodobne konkrecje. Pożerane „paszczą” grudy

lądowały w jego przepastnym wnętrzu, „odwłoku”. Był do niego przymocowany podługowaty elastyczny balon, który, jak się Tadeusz domyślał, stopniowo wypełniał urobek, wstępnie wyselekcjonowany we wnętrzu maszyny, bo z jej boków wystawały rury, z których pod ciśnieniem tryskał odseparowany i niepotrzebny szlam. Balon został połączony holem z małym, automatycznym batyskafem, który unosił się nad kombajnem. Przybyli w momencie, gdy pojemnik, wypełniony konkrecjami, odłączył się od „odwłoku” i ciągnięty przez obłego drona popłynął na wschód, gdzie – to Lewandowski wiedział ze studiowanych wcześniej materiałów – mieściły się zakłady przetwórcze.



– Cały proces jest kierowany zdalnie z centrali – wyjaśnił Nittribit, właściwie niepotrzebnie. – Nad polem czuwa także ekipa techniczna w batyskafie, czasem coś się psuje, a drony nam w tym szlamie głupieją, bo tracą orientację. W pewnych sytuacjach człowiek jest jednak niezastąpiony.

– Z tego, co mi mówiono, złożę się wyczerpuje – zauważył. – Niedługo macie uruchomić nowe.

– Zgadza się. Właśnie tam płyniemy.

Pilot wykonał zoom wsteczny i Lewandowski ujrzał siedem podobnie

wielkich i kanciastych skarabeuszy pracowicie ryjących w podłożu i zasysających urobek.

– Idealni górnicy – stwierdził z lekkim przekąsem. – Nie męczą się, nie strajkują, nie trzeba im płacić ani organizować Barbórki.

– W istocie, bynajmniej na nich nie narzekamy – zaśmiał się Nittribit. – Sprawują się doskonale. To oni przez lata żywili Polskę 2.

Dlaczego użył czasu przeszłego? – zdziwił się Tadeusz, ale nie zapytał o to, batyskał bowiem ponownie zaczął się gwałtownie wznosić. Poczuł ucisk w dołku i mdłości, jakby miał zaraz dostać choroby morskiej. Zmierzali teraz bardziej na południe, oddalając się od Doliny Jozafata. Nie bardzo wiedział po co, bo przecież nowe pole powinno się mieścić obok starego... chyba że jego przewodnik chciał mu pokazać owe słynne podwodne wulkany, czyli Osobliwość Pawłowskiego, główne źródło konkrecji. Rzeczywiście, szybko pozostawili za sobą kombajny-skarabeusze i znowu wpłynęli w strefę całkowitej ciemności. Tym razem pokonali znacznie większy odcinek, bo nieprzenikniona czerń trwała prawie pół godziny. Tadeusz obejrzał sobie w tym czasie pogładowy materiał ukazujący proces przerabiania niekształtnych konkrecji na zgrabne metalowe sztabki, tak pożądane na światowych giełdach surowcowych. Nie było w nim nic porywającego poza jednym: linia hutnicza wraz z elektrycznym piecem martenowskim, bardzo przypominająca typowe instalacje na „górze”, funkcjonowała jednak na dnie oceanu. Tego rodzaju zakład metalurgiczny działał tylko w Polsce 2, z innych koncesji transportowano urobek na powierzchnię i dostarczano na ląd. Wiedział dlaczego. Podwodna huta stwarzała skrajne niebezpieczeństwo ze względu na wydzielaną temperaturę – najmniejsza nieszczelność czy awaria systemu chłodniczego mogła doprowadzić do wybuchu, gdyby woda oceaniczna zetknęła się z rozżarzoną do kilku tysięcy stopni surówką. Wówczas nagromadzona w zamkniętych przestrzeniach para natychmiast wysadziłaby instalację. Nigdy to się nie zdarzyło, jednak najbardziej newralgiczne fazy produkcji zautomatyzowano.

Przestał oglądać film, bo pod nogami zobaczył czerwoną poświatę. A na ekranie, z którego zniknął obraz taśmociągów z rozdrobnionymi konkrecjami wędrującymi do pieca, pojawiła się długa zygzakowata szczelina. Płynęła z niej rozżarzona lawa. Woda wokół brzegów tego rzeczywiście osobliwego wulkanu wrzała, uwalniając gigantyczne bąble nasyconej pary. Szczelina była usytuowana między dwoma skalistymi wzgórzami o popękanych zboczach, niewątpliwie wytworami działalności wulkanicznej. Ku podnóżom wzniesień spływały jarzące się w podczerwieni smugi. Tadeusz domyślił się, że to

kolejne szczeliny wypełnione lawą.

– Oto nasz dobroczyńca, podwodny wulkan – powiedział Nittribit. – Zbudowaliśmy w pobliżu tych szczelin rurociągi, które przechwytyują wrzącą wodę, właściwie parę, i kierują do turbin. Tym sposobem stworzyliśmy niewyczerpane źródło energii. To właśnie dzięki niej istnieje Polska 2, dlatego zdołaliśmy zbudować tak wiele... i jeszcze budujemy. Zaraz zobaczysz, jak nam idzie.

Pojazd znowu się wznosił, od dołu popychany ciepłym prądem bijącym od wulkanicznych wzgórz ku powierzchni. Wpadli w wir, który kilka razy obrócił batyskafem, ale wyrwali się z jego uścisku i popłynęli dalej na południe ku rozciągającej się za górskim pasmem kolejnej dolinie. Lewandowski domyślał się, że właśnie tam rozpoczęto eksploatację nowego pola nazywanego Edenem. Właściwie nie był ciekaw, jak wygląda, bo cóż mógł tam zobaczyć poza paroma kolejnymi kombajnami pożerającymi konkracje, a to już przecież widział. Nittribit jednak z jakichś powodów chciał mu je pokazać.

Weszli na powrót w strefę podwodnej ciemności, zostawiając za sobą rozjarzone stoki wulkanicznych wzgórz. Po kilkunastu minutach brnięcia przez totalną czerń coś wreszcie zaczęło przed nimi majaczyć – pole wydobywcze zaanonsowała blada poświata... bladoniebieska, jak uznał Tadeusz po chwili namysłu. Batyskaf opadał ku gigantycznej, płaskiej niecce wypełnionej tym dziwnym światłem. Nie dostrzegał jednak nigdzie ryjących muliste dno metalowych skarabeuszy i balonów z urobkiem. Choć w dolinie niewątpliwie coś się działo. Kamery pojazdu wykonały zbliżenie i zobaczył dziesiątki małych maszyn, orbitujących wokół niezwyklej obiektów – gigantycznych kopuł, z których każda była kilka razy większa od Stadionu Narodowego. Naliczył pięć skończonych i cztery w różnej fazie budowy. Nic nie rozumiał, przecież to w ogóle nie wyglądało na kopalnię! Spojrzał pytająco na Nittribita, ale ten jedynie uśmiechnął się enigmatycznie.

Powoli opadali ku temu dziwnemu placowi budowy, powierzchnią dorównującemu warszawskiej Pradze. Patrzył na olbrzymie kopuły mogące pomieścić niewielkie miasteczko i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bo, tego był pewien, nie istniała technologia umożliwiająca wznoszenie tego rodzaju konstrukcji, na dodatek zdolnych oprzeć się potwornemu ciśnieniu panującemu na tej głębokości. Z pewnością coś powinien o niej usłyszeć, gdyby ktokolwiek ją stosował. Chyba że była stosowana wyłącznie tutaj.

– Wiem, trudno uwierzyć w to, co się widzi – rzekł Nittribit, jakby znowu czytał w jego myślach. – Ale to się dzieje naprawdę. I nie ma w tym żadnego

cudu. Jak pewnie wiesz, Tarkowski ściągnął na stację najlepszych polskich naukowców, co zresztą nie było trudne, bo geronci systematycznie ścinali nakłady na badania i likwidowali instytuty badawcze. Także zespół, który na Politechnice Warszawskiej zajmował się nanotechnologią, w tym nanomorfowaniem. Tarkowski zaprosił tych uczonych do Polski 2 w bardzo konkretnym celu: dostali zadanie zbudowania podwodnego miasta dla stu tysięcy ludzi. A jeśli będzie trzeba, to dla kolejnych stu. Zajęło im to parę lat, ale wymyślili właśnie to, co możesz teraz zobaczyć.

Batyskaf siadał obok jednej z budowanych kopuły. To one wydzielają osobliwą bladoniebieską poświatę, te ukończone pozostawały ciemne, oświetlane jedynie przez automaty pracujące na ich powierzchni, które montowały tam jakieś urządzenia. Znajdowali się kilkanaście metrów od kopuły. Wpatrującemu się w ekran Lewandowskiemu wydawało się, że ściany niedokończonej, otwartej wciąż od góry czaszy drgają w chaotycznym, niezbornym rytmie, jakby poszczególne warstwy z trudem się do siebie dopasowywały. Krańce tych dziwnych „murów” pulsowały, wypuczały się, jakby od środka narastały wypychane przez niewidoczną siłę.

– Zaprojektowali nanomaszyny morfujące, które działając niczym kolonia termitów, lepią te kopuły z drobin plastometalu, spajając go i utwardzając zarazem. Wydzielają przy tym energię, która promieniuje w postaci światła... Jak skończą i zamkną budowlę, pozostaje tylko wypompować ze środka wodę, zrobić wykończenie wnętrza, zainstalować systemy powietrzne, zamontować ogrzewanie i tak dalej. W każdej kopule zbudujemy osiedle, z normalnymi domami, ogródkami, alejkami, wszystko pod sztucznym słońcem. W pewnym sensie powtórzymy to, co widziałeś w Ogrodzie, tylko w o wiele większej skali. Widzisz przed sobą największą tajemnicę Polski 2, na to właśnie przeznaczaliśmy zyski z eksploatacji Doliny Jozafata. Domyśliłeś się już, po co to wszystko?

Wciąż zdumiony Lewandowski patrzył na drgające ściany formującej się kopuły i wiedział, co tamten chciał mu powiedzieć. To tutaj miała się wkrótce przenieść znaczna część mieszkańców stacji, pewnie większość, dlatego właśnie drastycznie nie ograniczano przyrostu naturalnego mimo narzekań na brak przestrzeni. Pod nowymi kopułami miejsca starczy dla wszystkich.

Bo oni nie zamierzali wracać. Nigdy.

Tadeusz szedł przez labirynt ciasnych korytarzy wykonanych jeszcze dawną technologią spawanych płyt i segmentów, a w miejscach spojeń skręcanych śrubami. Habitat, który Nittribit określił jako „hotel dla nowych rezydentów”, musiał leżeć w bardzo starej części stacji, być może był jedną z pierwszych konstrukcji. Tam Lewandowski miał zamieszkać podczas pobytu w Polsce 2, jego przewodnik sumitował się, że pokój jest ciasny i standardem nie odbiega od kajuty na zdezelowanym wycieczkowcu.

– Rozumiesz, brakuje nam przestrzeni. Naprawdę wygodnie pożyjemy dopiero w nowym mieście. Na razie musimy wykorzystywać każdy metr sześcienny.

Do „hotelu” prowadził go, podążając przed nim, młody człowiek pracujący w administracji, który przedstawił się jako Marek. Chyba nie dbano już specjalnie o ten sektor, bo tu i ówdzie widniały pląty odłóżającej farby i ślady rdzy. Przeszli przez kilka śluz, których włazy należało otworzyć i zamknąć ręcznie. Po parunastu minutach dotarli do nieco szerszego, ślepego korytarza, w którym Lewandowski domyślił się modułu mieszkalnego, bo po obu stronach można było dostrzec po troje wąskich pancernych drzwiczek, też zamykanych na zwykłą wajchę.

– To właściwie muzeum, ten segment zainstalowano w drugim roku istnienia stacji i wówczas uchodził za bardzo luksusowy – wyjaśnił Marek, otwierając pierwszy wąż po lewej. – Przyjdę po pana za godzinę, spotka się pan z ważnym członkiem zarządu.

– To znaczy? – zapytał Tadeusz, zaglądając do pomalowanego na biało pomieszczenia. Nittribit nie przesadzał, warunki były spartańskie: piętrowa wąska koja, mały stolik przy ścianie, dwa plastikowe krzeselka, teraz wygaszony panel intranetu, półka z dwiema dwulitrowymi butelkami wody, szklankami, miseczkami i czymś, co wyglądało jak kostki liofilizowanego jedzenia leżące obok niewielkiej podgrzewarki. Dziupła miała może pięć metrów kwadratowych, tyle co standardowa cela więzienna. Zastanawiał się, jakim cudem mogli kiedykolwiek mówić o luksusie. – Z kimś ważnym? Jak bardzo ważnym?

– No cóż... tajemnica! – Marek się zaśmiał. – Łazienka jest wspólna, tam na końcu korytarza.

Tadeusz westchnął i wszedł do środka, tamten zamknął za nim grube, wodoszczelne drzwi, starannie je zatrzaskując. Wiedział już, że w stacji obowiązuje podstawowa reguła podyktowana względami bezpieczeństwa i przestrzegana z żelazną konsekwencją: wszelkie drzwi i włazy mogą być otwarte jedynie w momencie wchodzenia lub wychodzenia. Ocean – pełniący

funkcję żywiciela, ale zarazem śmiertelnego zagrożenia – mógł w każdej chwili wdrzeć się do wnętrza. Wtedy jedynym ratunkiem okazywały się grodzie i zamknięte śluzy. Jeśli zdołały wytrzymać ciśnienie napierającej wody.

Usiadł na dolnym łóżku, zastanawiając się, co dalej. Przede wszystkim powinien sprawdzić, czy w kanciapie zainstalowano kamery i mikrofony, ale doszedł do wniosku, że to bez sensu. Istniało nieskończenie wiele innych niewykrywalnych sposobów inwigilacji, na przykład sufit mógł być zamaskowanym skanerem odnotowującym każde drgnięcie jego powieki. Jego mocodawcy przewidzieli taką możliwość. To, co miał wykonać, powinno wyglądać na zwykłą grzebaninę roztargnionego reportera sprawdzającego swój sprzęt.

Wyciągnął z plecaka aparat i starannie go obejrzał, jakby podejrzewał uszkodzenie. Przeniósł się na stołek i położył kamerę na stole. Podczas szkolenia nauczył się wykonywać konieczne czynności, ale teraz usiłował przypomnieć sobie ich kolejność... Wyciągnął baterię i oglądał ją podejrzliwie, jakby zdziwiony, że jest już wyczerpana, o czym świadczyła paląca się czerwona diodka. Wyjął z plecaka nową i niby przypadkowo położył kciuk na zarysowanym na obudowie kwadraciku z logo producenta, aktywując zainstalowane w środku urządzenie. Teraz powinien włożyć baterię do gniazda w kamerze, pamiętając jednak, aby ją odwrócić, bo włożona normalnie będzie jedynie zwykłym akumulatorem... Reszta powinna zadziałać automatycznie: wystarczy, że w pobliżu będzie jakikolwiek dostęp do netu... Powinien jeszcze włączyć panel intranetu, a wtedy urządzenie się z nim połączy...

Nie zdążył tego zrobić, bo w tym momencie ostro szcęknął rygiel zamka i w otwartych drzwiach stanął Nittribit. Spojrzał na Tadeusza, wciąż trzymającego w dłoni baterię, i pokręcił głową, uśmiechając się ironicznie.

– To na nic – powiedział. – Ten moduł jest ekranowany, nic stąd nie przenika do informatycznej infrastruktury stacji.

Podszedł do Lewandowskiego i wyjął mu z ręki baterię, którą przekazał stojącemu w korytarzu Markowi. Ten włożył ją do podłużnej kasetki, pewnie dezaktywatora, z trzaskiem zamykając wieczko.

– Od początku wiedzieliśmy, w jakim celu tu przyjechałeś i co polecono ci zrobić – oświadczył Nittribit, patrząc Tadeuszowi twardo w oczy.

A on uświadomił sobie z przerażającą jasnością, że właśnie zabił córkę.

Od łóżka umierającej córki odciągnął go Niklasz, jego opiekun z bezpieczeństwa. Patrzył z natężeniem w bezkrwistą, woskową twarz oddychającej z trudem Marysi i chciał go posłać do diabła, bo w takiej chwili powinien być z żoną i odchodzącym dzieckiem i miał w nosie to, czego znowu chcą od niego władcy „jedyńki” czy nawet zwierzchnicy pilnującego go nadzorcy. Nawet gdyby w konsekwencji wylądował na „rozmowie dyscyplinującej” czy od razu w kazamaty na Szucha. Po śmierci Marysi mogli zrobić z nim, co im się podobało. Tylko na niej mu zależało... tylko ona utrzymywała go przy życiu w tym koszmarze.

Ale oni też o tym wiedzieli, dlatego Niklasz szepnął mu na ucho, że jeśli mu zależy na córce, to powinien natychmiast ruszyć dupę. Ton jego głosu wskazywał, że lepiej było wyjść na korytarz i porozmawiać z nim.

– Nawet teraz nie możecie dać mi spokoju?! – warknął do niego.

Hanka, siedząca po drugiej stronie łóżka, oderwała dłonie od twarzy i spojrzała na niego zapłakanymi oczami, ledwo widocznymi spod opuchniętych powiek.

Drażliwy zwykle bezpieczniak nie obruszył się, co więcej, posłał jego żonie krzepiący uśmiech.

– Córkę uratuje przeszczep nerki, tak? – zapytał ostentacyjnie głośno, choć pewnie był lepiej poinformowany o stanie jej zdrowia od Tadeusza.

– O czym ty pieprzysz, człowieku! – odwarknął. – Ostatni przeszczep w tym kraju wykonano pięć lat temu. Daj nam teraz spokój.

Hanka znowu wybuchnęła płaczem. Niklasz jednak nie chciał odejść.

– Ten, który chce z tobą rozmawiać, może to załatwić – powiedział. – Wyślą ją za granicę do specjalistycznej kliniki.

Drgnął, bo nie spodziewał się niczego podobnego. Spojrzał na nieruchomą twarz bezpieczniaka, zastanawiając się, o co mu chodzi. Bo z pewnością czegoś za to od niego chcieli. Z drugiej strony wiedział, że nie może odrzucić szansy ratowania dziecka. Żadnej.

Zwierzchnik Niklasza czekał na niego w gabinecie dyrektora szpitala – tym samym, w którym Tadeusz wielokrotnie słyszał, że w obecnie panujących w Polsce warunkach nic dla Marysi nie mogą zrobić. Ludzi przywożono tutaj, aby umierali, bo służba zdrowia od dawna była nią tylko z nazwy. Lekarze potrafili tylko przedłużać agonię pacjentów, środków na skuteczne terapie od dawna brakowało, a sprzęt medyczny się rozsypywał. Z braku możliwości napraw po prostu usuwano samą aparaturę. Szef placówki, stary doktor o sfrustrowanej, pobrużdżonej twarzy, bynajmniej tego nie krył – ostatni dializator zepsuł się przed rokiem i jedyne, co mógł zrobić, to podpiąć

dziecko do kroplówki ze środkami przeciwbólowymi... tak jak konających staruszków w Extazonie... Tadeusz zresztą o tym wiedział i wcale nie oczekiwał cudu. Wyrok już zapadł i czekali z Hanką na śmierć małej. Czyżby jednak cud miał się zdarzyć?

Jego sprawca wyglądał na zmęczonego życiem urzędnika wysokiego szczebla – ubrany w czarny garnitur krępy szpakowaty brunet o lekko łysiejącym czole siedział w fotelu dyrektora i machinalnie bawił się długopisem. Mężczyzna myślał nad czymś intensywnie ze zmarszczonymi brwiami i wzrokiem wlepionym w leżący na blacie tablet, na którym migotały obrazki przeplatane tekstem, ale na widok Lewandowskiego ożywił się i wskazał mu krzesło przed burkiem.

– Co pan wie o Polsce 2? – zapytał, nie bawiąc się w żadne wstępy i nie przedstawiając się.

Zupełnie nie spodziewał się takiego akurat pytania – prędzej propozycji zostania konfidentem z zadaniem przeniknięcia do jednej z grup konspiracyjnych, których aktywność zresztą w ostatnich miesiącach niemal zupełnie zamarła. Dysydenci nie podkładali już bomb, jakby przestali wierzyć, że to cokolwiek da. Bo i nie dawało.

– Podwodna stacja na Pacyfiku zbudowana przez miliardera Tarkowskiego... – zaczął, niepewny, co tamten chce usłyszeć – ... przepraszam, złodzieja, oligarchę i wyrodka.

„Dyrektor” – bo tak go postanowił w myślach nazywać – uśmiechnął się z przekąsem.

– Podarujmy sobie tę nomenklaturę – powiedział.

Sięgnął po leżącą na biurku paczkę papierosów i uprzejmie zaproponował Tadeuszowi, aby się poczęstował, ale on nie skorzystał. Rzucił palenie przed pięcioma laty, kiedy uznał, że nie stać go na tak ekskluzywny nałóg. Mężczyzna zapalił i zaciągnął się głęboko, strząsając popiół do stojącego na blacie kaktusa.

– Rząd doszedł do wniosku, że najwyższy czas odzyskać kontrolę nad stacją – oznajmił „dyrektor”, patrząc w skupieniu na żarzący się czubek papierosa. – Aktywa zawłaszczone przez Tarkowskiego i pomagierów muszą wrócić do kraju.

Tadeusz zakasłał, bo dym podrażnił mu nos. Ciekawe, w jaki sposób chcą to osiągnąć? – przemknęło mu przez głowę. Do tej pory Rzeczpospolita przegrywała wszystkie procesy wytaczane fundacji zarządzającej koncesją. Chcą ją znowu zaskarżyć? I był im potrzebny do zorganizowania w mediach kampanii promującej „słuszne” postulaty władz? To po co te ceregiele,

wystarczyłoby zwykłe polecenie służbowe. Kilka razy robił już coś podobnego i takie szopki przestały go wzruszać. I tak nie odnosiły skutku, bo od czasu powstania autorytet gerontów opierał się wyłącznie na policyjnych pałkach i operatywności bezpieki. Poza tym tego rodzaju propagandowe hece spływały po międzynarodowych trybunałach jak woda pod kaczcę. Facetowi musiało chodzić o coś innego...

– Jeśli się pan zgodzi na naszą propozycję – mówił „dyrektor”, chociaż wciąż niczego mu nie wyjaśnił – to natychmiast przewieziemy córkę do kliniki rządowej, tam jest sprawny aparat do dializy... A jeśli zdoła pan wykonać to, co chcemy panu zlecić, zostanie wysłana do Szwecji na przeszczep. Wcześniej wyeksponujemy jej komórki macierzyste, aby na miejscu wyhodowali z nich nowe nerki.

Słuchał i nie wierzył własnym uszom, miał wręcz wrażenie, że śni na jawie. O co temu człowiekowi właściwie chodziło? Bo na pewno nie o banalny materiał propagandowy dla teleforu czy kapowanie na kolegów.

Bezpieczniak znowu strzepnął popiół do kaktusa i kontynuował:

– To, co teraz powiem, to tajna informacja, nawet bardzo tajna... Otóż przed paroma tygodniami rząd zaproponował zarządowi stacji coś w rodzaju normalizacji stosunków. Na początek zaproponowaliśmy ocieplenie wzajemnego wizerunku... i zapytaliśmy, czy możemy wysłać reportera, który zrobi rzetelny materiał na temat Polski 2. Oczywiście taki materiał wyemitujemy w najlepszym paśmie. Namyślali się dość długo i już sądziliśmy, że nic z tego nie będzie, ale parę dni temu nadeszła odpowiedź. Zgodzili się. Jednak odrzucili nadesłane przez nas kandydatury dziennikarzy, którzy mogliby zrobić ten reportaż... i zaproponowali własną. Pana.

Teraz wszystko zrozumiał – choć zarazem niczego nie rozumiał. Dlaczego nieznanemu mieszkańcy podwodnej „anty-Polski” zapragnęli wizyty właśnie jego? Nic nie wiedział o tym, aby przebywał tam któryś z jego przyjaciół czy znajomych. Choć wreszcie pojął, dlaczego rozmawiał z „dyrektorem”: bezpieka nie miała po prostu innego wyjścia. Pozostawało tylko jedno, najważniejsze pytanie: czego chciał za życie Marysi?

– Początkowo oczywiście chcieliśmy wysłać profesjonalnego agenta, ale nasi podwodni przyjaciele to przewidzieli. Dlatego nalegają, aby to pan wizytował stację. A my, no cóż, zgodziliśmy się.

Zapalił następnego papierosa i odchylając się na fotelu i puszczając strużkę dymu pod sufit, patrzył spod zmrużonych powiek na Lewandowskiego, jakby próbując go otaksować.

– Jak pan wróci, mała będzie gotowa do operacji. Hodowla nerki trwa dwa

tygodnie.

Tadeusz wiedział, co powinien teraz powiedzieć. A raczej nie powinien. Ale nie mógł inaczej. Bo dla Marysi popełniłby każdą podłość. Oni doskonale o tym wiedzieli.

– To co mam dla was zrobić?

*

Znów jechali czteromiejscową kolejką ciasnym tunelem. Tym razem sami, nie brali na mijanych stacyjkach innych podróżnych. Nittribit powiedział mu tylko tyle, że udawali się na spotkanie z „szefem”. Nie wyglądał na specjalnie rozgniewanego czy choćby rozżalonego jego postępkami.

– Tarkowski zostawił w kraju coś w rodzaju siatki informacyjnej – mówił niewygodnie odwrócony w stronę Tadeusza na wąskim foteliku. – Chciał wiedzieć z pierwszej ręki, co się będzie działo w Polsce, poza tym ci ludzie organizowali kanały przerzutowe dla tych, których chciał mieć w stacji, specjalistów i naukowców z potrzebnych tutaj dziedzin. Ta struktura działa do tej pory. Niektórzy z tych, powiedzmy, „agentów”, zajmują wysokie miejsca w hierarchii rządowej. To od nich dowiedzieliśmy się, co było prawdziwym celem twojej misji. Nawet wcześniej niż ty.

Lewandowski spojrział na niego ponuro. Minęli właśnie stację z napisem „Farma”. Na peronie stało dwóch mężczyzn i kobieta – musieli znać Nittribita, bo pomachali do niego wesoło. Skinął im, ale nie zatrzymał składu. Najwyraźniej rzeczywiście się śpieszył.

– Powiedziano mi, że chodzi o robala, który miał szpiegować dla rządu, nic więcej – odparł. – Przecież chodziło o życie mojej córki! Nie mogłem odmówić.

Nittribit pokręcił głową. Nie wyglądał na przekonanego o rzekomej nieszkodliwości wirusa.

– Tak ci powiedziano, ale nie znasz całej prawdy. Gerontom chodzi o przejęcie kontroli nad stacją. To nie był zwykły robal stworzony do banalnego szpiegowania, tylko arcyniebezpieczny trojan, który miał głęboko wniknąć w nasz intranet i w odpowiednim momencie przejąć kontrolę nad całą automatyką i sterowaniem.

Nic a nic z tego nie rozumiał. Przecież to bez sensu! Po co rządowi kontrola nad stacją położoną na dnie oceanu po drugiej stronie globu? Jakim sposobem zamierzali ją utrzymać przy tak niechętnym nastawieniu miejscowych? Zapytał o to głośno. Jego towarzysz uśmiechnął się tajemniczo,

choć przy tym niezbyt wesoło.

– Niedługo się dowiesz, dlaczego chcą przejąć Polskę 2 – powiedział. – Tu wysiadamy.

Przystanek, tak jak wszystkie tutaj, nazywał się enigmatycznie: Zarząd. Na peronie przed służą czekał człowiek w uniformie przypominającym mundur, z przypiętą do pasa kaburą. Lewandowski uświadomił sobie, że do tej pory w podwodnym mieście nigdy nie widział broni, w ogóle nie zauważył ani jednego policjanta, choć przecież musiały istnieć służby porządkowe. Nitribit gestem nakazał mu, aby poszedł z funkcjonariuszem.

*

Lewandowski z pewnością znał tego mężczyznę – nie osobiście, ale z mediów, choć musiał widzieć go w teleforze dość dawno. Nie potrafił go rozpoznać, bo tamten pochylał się nad blatem biurka, który zarazem stanowił aktywny panel. Przeglądał jakieś materiały wideo, w skupieniu przesuwając migoczące obrazami okienka. Za jego plecami widniał wielki trójwymiarowy ekran pokazujący – jak się Tadeusz domyślał, w formie bezpośredniej transmisji – plac budowy nowego miasta. Na chwilę zapatrzył się w przestrzenną granatową otchłań rozświetloną przez jarzące się bladoniebiesko nieukończone kopuły i lampy pozycyjne setek pracujących automatów.

Chrząknął, chcąc przypomnieć o swojej obecności – mężczyzna podniósł głowę i wtedy go poznał.

Sidorski.

Wróg numer jeden PPL-u.

A więc jednak Tarkowski ściągnął go na stację, pomyślał, patrząc na surową, pobrużdżoną twarz byłego polityka. Mocno się postarzał od czasu, gdy pokazywano w teleforze, jak zakuty w kajdanki był wyprowadzany z willi do policyjnego samochodu wraz z kilkoma wysokimi oficerami WP, z którymi uknuł antynarodowy spisek, planując obalić władzę gerontów, jak głosiła oficjalna wersja. Reżimowe media przez kilka dni używały sobie na zatrzymanych spiskowcach, posądzając ich o jak najgorsze intencje – samego Władysława Sidorskiego z emfazą okrzyknięto „nowym Jaruzelskim i Pinochetem w jednym”, co brzmiało o tyle dziwnie, że ci czcigodni mężowie pasowaliby raczej na antenatów reżimu Przyjaciół Ludu. Ekran wręcz puchły od oburzonych twarzy polityków PPL-u opowiadających ze szczegółami, jak niedoszli autorzy zamachu stanu zamierzali rozwalić wszystkie konstytucyjne organy RP, zaprzepaścić dorobek socjalny programu „Lepsze jutro”

i wprowadzić autorytarne rządy, wpędzające Polskę na powrót w erę „ludobójczego, dzikiego kapitalizmu i zależności od obcych”. Lewandowski wiedział, że projektowano wielki show sądowo-medialny z Sidorskim w roli głównej. To zarazem miała być generalna rozprawa z resztkami legalnej opozycji, aresztowania bowiem zakrojono bardzo szeroko, przymknięto setki aktywistów w ogóle niezwiązanych ze sprawą, oskarżając ich o kunszachty z „wrogami ludu i sprawiedliwości”.

Ale widowisko się nie udało, bo główna gwiazda przedstawienia dała nogę przed rozpoczęciem procesu. Tadeusz miał teraz widomy dowód, że w tajemniczym zniknięciu prowodyra puczu maczali palce ludzie pracujący dla Tarkowskiego. Tylko dlaczego miliarder, który jak się wydawało, całkowicie stracił zainteresowanie tym, co się działo w jego lądowej ojczyźnie, postanowił uratować od stryczka akurat tego człowieka?

Sidorski zgasił panel i położywszy ręce płasko na matowym blacie, począł się uważnie przyglądać Lewandowskiemu. Patrzył przy tym prosto w oczy, tak intensywnie, że Tadeusz musiał spuścić wzrok. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli.

– Tarkowskiego znałem od bardzo dawna, spotkałem go na Oksfordzie, gdzie zaliczałem seminarium z ekonomii politycznej. Zaprzyjaźniliśmy się, wiele spraw postrzegaliśmy podobnie – powiedział były wróg numer jeden PPL-u, wciąż wpatrując się w dziennikarza. – Wiedziałem oczywiście, co planuje, i popierałem projekt Polski 2, nawet trochę przez swoje stare znajomości pomogłem. A od pewnego momentu... gdy siedziałem w areszcie i czekałem na przesłuchanie, zrozumiałem, że to jedyna szansa.

Lewandowski podniósł wzrok. Sidorski już na niego nie patrzył. Odwrócony bokiem na obrotowym fotelu spoglądał na trójwymiarowy obraz, na którym nanomorfy trudziły się przy budowie nowego miasta.

– Na co? – zapytał odruchowo, bo równocześnie pojął, że zna odpowiedź.

– Na Polskę. Jakąkolwiek.

Obrócił się w stronę Tadeusza i łaskawie wskazał na stojący przed biurkiem fotel.

– Pewnie ci, którzy tam na „górze” jeszcze są w stanie myśleć, zastanawiają się, jak do tego doszło, że tak się to wszystko, po obiecującym początku, zwinęło. Mam na ten temat prywatną teorię, profesor Choromański uważa, że nazbyt uproszczoną. Po prostu po 1989 roku, po upadku komunizmu, zaczęliśmy się zachowywać jak stado rozjuszonych troglodytów wypuszczonych z jaskiń do hipermarketów, dla których konsumpcja okazała się jedyną wartością. Jako naród zwyciężyliśmy komunizm, odrzucając jego

parcianą ideologię, lecz jako społeczeństwo okazaliśmy się słabi i ponieśliśmy klęskę w starciu z komercją i globalizmem. Już Norwid konstatawał naszą mizериę pod tym względem. Ćwierć wieku po upadku komunizmu doszło wręcz do psychospołecznej katastrofy, ponieważ poziom wzajemnego zaufania i zdolność do współpracy spadły do zera. Gdy zaczęliśmy się wobec siebie zachowywać jak wygłodniałe psy w studni, koniec był kwestią czasu. Socjolog powie w tym miejscu uczenie, że nie potrafiliśmy zbudować kapitału społecznego, na którym można było oprzeć dalszy rozwój. I w efekcie doszło do implozji Polski, zwijania się kraju. Czego nie muszę ci tłumaczyć, przecież oglądasz to od wielu lat. Polska wpadła w dryf, z którego nie potrafiła się wyrwać. W rezultacie wylądowała na skałach.

Lewandowski wciąż stał przy wejściu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rozmawia z kimś naprawdę ważnym. Na drzwiach do gabinetu nie zauważył żadnej wizytówki, a Nittribit nie powiedział mu, z kim ma się spotkać. Sądząc po wyposażeniu pokoju – w barek z mahoniem i biblioteczkę z prawdziwymi książkami, bardzo przy tym jak na miejscowe standardy obszerną – Sidorski zajmował w zarządzie stacji wysokie stanowisko. Zwrócił też uwagę na stojącą na regale srebrną figurkę orła w koronie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w stacji nie zauważył żadnych flag czy wizerunków godła poza tym w komorze przyjęć. Tak jakby mieszkańcy nie odczuwali potrzeby podkreślania w ten sposób swej tożsamości...

Podszedł i usiadł na fotelu przed biurkiem.

– Dryf ku zagładzie zaczął się moim zdaniem na dobre po roku 2000 – kontynuował były polityk. – Polacy z narodu aktywistów, którzy uwalniając się od komunizmu, śmiało parli przed siebie, zmienili się w naród wegetatywny, niedążący do niczego poza konsumpcyjnym spełnieniem na cudzy koszt. Taka sytuacja deprawuje społeczeństwo. Wtedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że w życiu Polaków nikczemność zdobywa przewagę nad przyzwoitością. Zbiegło się to z katastrofą kulturową, o której rozmawialiście z Choromańskim. Tak jest, nikczemnieliśmy moralnie i kulturowo, a deprawacja rozlewała się na kolejne dziedziny życia. Rzecz jasna, w pierwszej kolejności na politykę, która stała się w Polsce prawdziwym królestwem kłamstwa. Co gorsza, działo się to za pełną zgodą społeczeństwa, które w tym procederze z entuzjazmem uczestniczyło. Zdeprawowany wyborca chce bowiem bajek, a nie prawdy. Po odrzuceniu kłamstwa komunistycznego zapragnął nowego, obiecującego raj spełnionej konsumpcji. Darmowy i dla wszystkich. Wtedy zjawili się Przyjaciele Ludu z wizją „sprawiedliwego jutra”, czyli dobrobytu dla każdego i za nic,

a dokładniej za poparcie tych, którzy go obiecują. Do tego doszedł narodowokatolicki izolacjonizm. Tym samym Polacy sprokurowali sobie przepis na katastrofę, której usiłowałem zapobiec. Jak się okazało, za późno.

– Zamachem stanu? – zapytał Tadeusz. – Jak Piłsudski?

Jego rozmówca nie wydawał się tym porównaniem obruszony, wręcz przeciwnie, uśmiechnął się z nostalgią.

– Patrzyłem na to inaczej. Gdy kraj jak oszalały koń pędzi ku przepaści, to trzeba mu na gwałt ściągnąć cugle, inaczej w nią spadnie – odparł. – Tak uważałem ja i ci, którzy mnie poparli.

I którzy mieli mniej szczęścia, pomyślał Lewandowski, przypominając sobie, że większość uczestników spisku po pokazowym procesie transmitowanym przez telefon otrzymała wyrok śmierci, jedynie niektórzy załapali się na dożywanie. Po tym wydarzeniu PPL przejął całkowitą kontrolę nad armią, przeprowadzając czystki kadry oficerskiej i redukując jej stan o połowę. Wojsko de facto zamieniono w rodzaj zmilitaryzowanej policji. To dlatego dało się go użyć do tłumienia powstania studentów. W tym sensie Sidorski i jego wspólnicy bezwiednie przyczynili się do klęski społecznego protestu. Pytanie, czy wybuchłoby, gdyby jego plan się powiódł i spiskowcy przejęliby władzę...

– Tarkowski – ciągnął Sidorski – wiedział o tym samobójczym dryfie. Był przy tym mądrzejszy ode mnie, bo miał też świadomość, że nie da się go powstrzymać. Nie z tymi Polakami, których wytworzyła historia na przełomie XX i XXI wieku, mentalnymi karłami niezdolnymi do zmierzenia się z wyzwaniem przyszłości. Dlatego jego oceaniczny projekt bardzo szybko przestał być przedsięwzięciem wyłącznie biznesowym, zyskując coraz istotniejszy wymiar polityczny.

Lewandowski uśmiechnął się pod nosem, bo to akurat było tajemnicą poliszynela, także dla gerontów. Od momentu przybycia na stację każdy krok go upewniał, że władcy Polski 1 mieli rację, traktując podwodne miasto jako dysydencką alternatywę dla ideologii PPL-u.

– Ale czy można z zepsutych jabłek upiec dobry jabłecznik? – zapytał, nie starając się ukrywać przekąsu.

Tym razem uśmiechnął się Sidorski. Nim odpowiedział, obrócił głowę i zerknął na holoeckran. Coś w głębi obrazu musiało przykuć jego uwagę, bo wpatrywał się przez dłuższą chwilę w poruszające się w czerni blade światła. Ruchem palca otworzył na blacie okienko komunikatora i szybko przebiegł oczami wyświetlony tekst, po czym odetchnął z widoczną ulgą. Coś się dzieje? – przebiegło przez głowę Lewandowskiemu, ale jego rozmówca

zgasił panel i spokojnie podjął przerwany wątek.

– Owszem, jeśli się je umiejętnie przebierze i wyselekcjonuje zdrowe owoce. To właśnie przez lata robił Interoceanmetal. Odsiewał ziarno od plew. Wybierał najlepszych. Tarkowski postanowił zabrać to, co najlepsze z Polski 1, i przenieść tutaj. Był po trosze jak renesansowy wizjoner Campanella i w tym właśnie miejscu, na dnie oceanu, w królestwie wiecznego mroku zaplanował założenie własnego utopijnego Miasta Słońca... Bo tym w istocie, w miarę rozwoju projektu, stawała się Polska 2. Zamierzał stworzyć społeczeństwo otwarte, kierujące się pragmatyzmem i logiką, złożone z ludzi racjonalnych, mających jasno wytyczony cel...

– A jaki on właściwie jest? To znaczy, jaka jest naczelną idea Polski 2? – wtrącił Tadeusz.

Jego rozmówca milczał przez chwilę, po czym wskazał za siebie, na ekran z majaczącymi w oddali kopułami nowego miasta.

– Przetrawanie – rzekł. – Widzisz, co tam jest? Ocean. To najsurowszy sędzia naszych poczynań. Nie możemy pozwolić sobie na żadne błędy i zaniechania, bo tutaj, w świecie, w którym tak naprawdę jesteśmy nieproszonymi gośćmi, rachunek zostanie nam wystawiony natychmiast. Przekonaliśmy się o tym wielokrotnie i wielu z nas, zbyt nieostrożnych, zginęło zmiażdżonych potwornym ciśnieniem... Tak właśnie wygląda zasadnicza różnica między nami a Polską 1. Tutaj brak instynktu samozachowawczego skutkuje natychmiastową zagładą. Musimy być czujni i racjonalni, zważający na każdy krok, inaczej zginiemy. A tam, „na górze”, doszli do wniosku, że stać ich na każde szaleństwo, każde głupstwo, ponieważ przestali wiązać skutki z przyczynami... A one, choć odwleczone w czasie, nadeszły. Sam wiesz, co przyniosły: upadek kraju, wojny domowe i zbrodnię na miarę Holokaustu. Od lat Polska 1 pogrąża się w ciemności stokroć gorszej niż ta zalegająca na dnie oceanu.

W tym momencie rozległ się przeciągły zgrzyt, narastający niczym upiorne staccato, i przez pokój przebiegło wyczuwalne drżenie, zamigotał też wyświetlany na ścianie holoobraz. Sidorski znowu włączył panel w blacie biurka i z wyraźnym niepokojem przeczytał wyświetlony komunikat. Nieznacznie skinął głową, jakby komuś przytakiwał, i zgasił okno.

– Nie pozwala nam o sobie zapomnieć – powiedział, spoglądając w górę.

Lewandowski domyślił się, że znowu doszło do przesunięć mas wody zalegających nad stacją i skokowo zwiększyło się ciśnienie oddziałujące na habitaty. To musiało być zwyczajne zjawisko, skoro nastąpiło drugi raz w ciągu kilku godzin, dlaczego zatem Sidorski tak się zaniepokoił? Chciał go

o to zapytać, ale tamten go uprzedził.

– Zastanawiałeś się, dlaczego cię tu przysłano? Jaki był prawdziwy cel twojej misji? Nie mam na myśli instalacji szpiegowskiego oprogramowania, jak ci powiedzieli bezpieczniacy. Wiesz już, co naprawdę zawierał wirus. Nie zastanowiło cię, dlaczego rząd chce uzyskać możliwość przejęcia czasowej kontroli nad intranetem stacji, czyli tak naprawdę nad jej funkcjonowaniem?

To pytanie Tadeusz zadawał sobie od momentu, gdy został zdemaskowany przez Nittribita. Nie widział w tym posunięciu władców Polski 1 żadnej logiki. Zapewne prędzej czy później mieszkańcy Polski 2 zlokalizowaliby i zneutralizowali wirusa, odzyskując kontrolę nad stacją i cała intryga zdałaby się psu na budę. Zatem po co w ogóle został wysłany? „Dyrektor” nie sprawiał wrażenia głupca i z pewnością nie bawiłby się w misję od początku bezsensowną. Chyba że chodziło o coś zupełnie innego... Czyżby geronci zamierzali w ten sposób sparaliżować i w efekcie zniszczyć podwodne miastopństwo? Ale przecież ono w żaden sposób im nie zagrażało, obie Polski pozostawały względem siebie od wielu lat w całkowitej izolacji. A może gra, w którą dał się wplątać, miała drugie dno, o którym „dyrektor” mu nie powiedział?

Sidorski puknął palcem w blat biurka i obraz widoczny na ściennym ekranie mignął i zmienił się na inny – teraz przedstawiał widziany z dużej wysokości, pewnie z drona lub satelity, obszar wzburzonego morza. Kołysały się na nim dwa statki oddalone od siebie o kilka mil, na pierwszy rzut oka kontenerowce o sporym tonażu. Jednostki płynęły z trudem, walczyły z wysoką falą, która co chwila zakrywała je prawie po kominy. Lewandowski nie rozumiał, dlaczego Sidorski pokazywał mu te statki.

– Przed tygodniem, nocą, w głębokiej tajemnicy, w Cabo San Lucas, zapyziałym porcie na krańcach Półwyspu Kalifornijskiego, na te statki załadowało się dwa tysiące doskonale wyszkolonych najemników amerykańskiej korporacji Blackriver wyspecjalizowanych w działaniach morskich. Statki przyplęły z Tajpej, w ładowniach mają około trzydziestu batyskafów różnej wielkości... Już na morzu na te jednostki zaokrętowało się kilkudziesięciu specjalistów od prac głębinowych pochodzących z różnych krajów, w towarzystwie agentów polskiej bezpieki. W tej chwili kontenerowce znajdują się trzydzieści pięć mil od platformy, na której wylądowałeś... Którą już zresztą zatopiliśmy.

Patrzył na wielkie statki z trudem przebijające się przez spiętrzone wiatrem grzywacze i w oszołomieniu kręcił głową. To, co słyszał i widział, docierało do niego z trudem.

– Jeśli dobrze rozumiem, to miałyby być...

– Owszem, tak wygląda początek inwazji – dokończył za niego Sidorski. – Blackriver dostał zlecenie od gerontów, to wiemy na pewno, zapłacili im prawie sto milionów dolarów. Wiemy też, że od wielu lat planowali przejęcie Polski 2. Przyjazne gesty, które ostatnio wykonywali, stanowiły tylko zasłonę dymną, to akcja dezinformacyjna, normalna praktyka przed planowanym atakiem. Powiadomiono nas o tym i przygotowaliśmy pewne, powiedzmy, środki obronne. Superwirus, którym polecono ci zainfekować nasz intranet, miał je wykryć i obezwładnić, a potem otworzyć komandosom śluzę prowadzące do wnętrza stacji.

Lewandowski patrzył na zalewane falami kontenerowce i milczał. Tego się nie spodziewał, choć zaraz po wyrażeniu zgody na misję podejrzewał, że „dyrektor” nie powiedział mu całej prawdy, wolał jednak ze względu na Marysię nie myśleć o tym, a tym bardziej nie zadawać zbędnych pytań. Z drugiej strony cała układanka wreszcie zaczęła wyglądać logicznie – upadające wraz z całym krajem rządu gerontów mógł uratować jedynie spektakularny sukces. Dlatego pewnie przywódcy PPL-u postawili wszystko na jedną kartę – przejęcie stacji i jej zasobów dałoby reżimowi potężny zastrzyk finansowy i przedłużyło jego egzystencję może nawet o kilka lat. To dlatego bezpieczniacy potrzebowali agenta, który na pewno nie przejdzie na stronę wymyślonej przez Tarkowskiego podwodnej utopii. On nigdy by tego nie zrobił, świadom, że stawką jest życie jego córki... Ale i tak wszystko zostało z góry rozstrzygnięte, i to zanim w Warszawie wsiadł do samolotu do Hongkongu. Był tylko pionkiem, który zawiódł już w momencie wystawienia na szachownicę... Bo tak przewidywał scenariusz gry. Marysia od początku nie miała szansy, a on się tylko łudził. Przed oczami stanęła mu bezkrwista, woskowa twarz nieprzytomnej córki. Teraz nie mam nawet złudzeń, pomyślał.

– A więc tak to wygląda – powiedział i ukrył twarz w dłoniach. – Marny ze mnie agent. Chciałem zwieść innych, a sam siebie oszukałem.

Słyszał, że Sidorski wstał, obszedł biurko i stanął tuż przy nim. Mężczyzna położył mu rękę na ramieniu.

– Chciałeś ratować dziecko i pewnie na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. – Tadeusz poczuł na barku jego współczujący uścisk. – Nie sądź jednak, że znasz całą prawdę. W tym świecie prawda ma wiele warstw, a ty przeniknąłeś zaledwie pierwszą...

Znajdowali się wraz z Sidorskim – wiedział już, że został on po śmierci Tarkowskiego szefem zarządu fundacji – w długim, na oko pięćdziesięciometrowym i wysokim na kilkanaście metrów module pełniącym funkcję oranżerii. Pomieszczenie zastawiały rzędy półek z uprawami – widział mrowie roślin pnących się pod sufit i miał wrażenie, że znajduje się w dżungli, bo wolna od pnączy pozostawała tylko biegnąca pośrodku tunelu ścieżka. Ale mimo to skala upraw nie wydawała się duża, na pewno niewystarczająca dla kilkunastotysięcznego miasta. Poza tym rośliny zostały ogołoczone z owoców, część półek w ogóle świeciła pustkami. Tak jakby oranżeria została częściowo przynajmniej przeniesiona w inne miejsce, i to w pośpiechu. Rozmawiający z nim mężczyzna co chwila zerkał na przegub ze smartem, równoległe z kimś korespondował, bo na aparacie wyświetlały się coraz to nowe komunikaty.

– Tutaj przygotowujemy rozsady dla farm w nowym mieście – wyjaśniał Sidorski, odrywając wzrok od panelu smarta. – Planujemy zbudowanie na początek czterech kopuł z przeznaczeniem wyłącznie na uprawę i hodowlę, potem, w miarę jak populacja będzie się rozrastać, będziemy dobudowywać kolejne, zasoby Edenu, jeśli chodzi o konkrety, są bowiem przeogromne...

Lewandowski jednak nie o tym chciał słuchać. Cały czas myślał o rozmowie w gabinecie.

– A druga warstwa prawdy? – zapytał. – Skoro powiedziałaś A, powiedz i B.

Sidorski oglądał właśnie krzak obsypany dorodnymi pomidorami, których widocznie w pośpiechu nie zebrano. Urwał jednego i przyjrzał mu się uważnie, po czym ugryzł owoc, przez dłuższą chwilę rozkoszując się delikatnym mięszem. Drugiego podał Tadeuszowi, ale on nie miał ochoty na degustację.

– Gerontom nie chodzi o przejęcie Polski 2 wyłącznie ze względu na jej zasoby – powiedział szef stacji, przełykając ostatni kęs pomidora. – Oni wiedzą o wulkanie, a stacja to doskonała arka...

Lewandowski wytrzeszczył oczy na Sidorskiego: nie wiedział, o co mu chodzi. Jaki wulkan, jaka arka? Nie znośli, gdy jedną tajemnicę objaśniano drugą.

– Słyszałaś kiedyś o metanowym lodzie?

Nie słyszała.

– Zwany też hydratami lub wodzianem metanu. To biała substancja przypominająca z wyglądu tak zwany suchy lód, powstała z połączenia metanu z wodą. Wytwarza się w odpowiednio niskiej temperaturze

i ciśnieniu. Takie warunki panują na przykład głęboko pod wieczną zmarzliną i, uwaga, w głębiach oceanów. Tak zwane strefy stabilności hydratów w zależności od temperatury rozciągają się od głębokości poniżej około trzystu metrów w wodach arktycznych do tysiąca stu w wodach oceanicznych. Ta substancja jest bardzo wydajna energetycznie, z jednego litra wodzianu można uzyskać nawet sto siedemdziesiąt litrów czystego metanu, wystarczy podnieść temperaturę i gaz zaczyna się oddzielać od wody...

Tadeusz patrzył na swego rozmówcę i zupełnie nic nie pojmował. Przypomniał sobie, że kiedyś czytał o tych hydratách: przy okazji otwarcia kopalni metanu u brzegów Japonii pojawiło się sporo materiałów w necie, prognozujących kolejną rewolucję w energetyce.

– Ale co to ma wspólnego ze stacją i gerontami?

W tym momencie smart na nadgarstku Sidorskiego zapiszczał ostrzegawczo i błysnął alarmową czerwień. Sidorski podniósł aparat do oczu i czytał nadesłany komunikat, a na jego twarzy pojawiło się napięcie. Rozległy się kroki i w przejściu między dwiema ścianami zieleni pokazał się Nittribit. Obaj mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Zaczęło się – powiedział Sidorski, a tamten potwierdzająco skinął głową.

– Muszę dopilnować ewakuacji. Wyjaśnij mu resztę.

Odwrocił się i bez pożegnania szybkim krokiem poszedł do wyjścia z oranżerii. Lewandowski gapił się na jego oddalające się plecy, całkowicie już zdezorientowany.

– Co się dzieje? – zapytał. – Rozpoczął się atak?

Nittribit nie odpowiedział zajęty śledzeniem komunikatów na swoim smarce, na jego obliczu także dało się zauważyć napięcie. Ale widocznie to, co wyczytał, musiało go uspokoić, bo po chwili uśpił aparat.

– Doskonale, wszystko według planu – powiedział.

– Czyli co, storpedujecie te kontenerowce?

Tamten westchnął ciężko i gestem nakazał Tadeuszowi, aby poszedł wraz z nim w stronę drugiego krańca oranżerii, gdzie też widniała – jak wszędzie – solidna śluza zamykająca wyjście.

– Najlepiej będzie, jak pójdziemy do muzeum – powiedział. – A do żadnego ataku nie dojdzie.

Otworzył śluzę i przeszli do następnego pomieszczenia. Półokrągłego, o niskim suficie, dość starego, co poznał po wręgach biegnących wzdłuż krawędzi płyt, z których zmontowano kopułę. Taką technologię stosowano w pierwszych latach istnienia stacji. Środek modułu zajmował krąg dużego

holoekranu. Nittribit zamknął słuzę i podszedł do panelu, jednocześnie manipulując przy swoim smartwatchu. Nad ciemną, opalizującą płytą ekranu pojawiły się niebieskie smugi, które zaczęły się układać w przestrzenny obraz. Po kilku sekundach projekcja się ustabilizowała, ukazując animację fragmentu dna morskiego. W centrum dominował krater wulkanu wkomponowany w pasmo górskie, u którego podnóża ciągnął się szeroki rów.

– Stańliście, zdaje się, na hydratách metanu – odezwał się Nittribit. – To, co widzisz, to obszar dna oceanicznego położony kilkaset mil na południowy wschód od wybrzeży Nowej Zelandii. Struktura geologiczna dość typowa dla tamtego rejonu, problem w tym, że ten wulkan przed trzema laty się obudził...

Obraz był najpewniej zsynchronizowany z jego słowami, na szczycie krateru pojawiła się bowiem czerwona plama, która przez szczelinę w zboczu zaczęła ściekać ku podnóżu.

– W sumie nie powinno nas to dziwić czy zaskakiwać, sami przecież sąsiadujemy z podobną formacją wulkaniczną, wręcz czerpiemy z niej korzyści... Z jedną, ale za to istotną różnicą: tam, poniżej, w rowie, znajdują się pokłady metanowego lodu. Bardzo duże, być może największe na całym globie.

Tadeusz patrzył z zapartym tchem, jak wypełzające z wulkanu czerwone jęzory ciemnieją i nieruchomieją zestalone w zetknięciu z chłodną wodą. Ale niektóre, zapewne te o wyższej temperaturze, docierały aż do skraju rowu, nim skamieniałe zamarły. Co mówił Sidorski? Że metan z hydratów uwalnia się pod wpływem temperatury? Gdyby zatem lawa wdarła się do rowu biegnącego u podnóża wulkanu i zalała złoża suchego lodu, to...

– Ile tam tego jest? – zapytał, z trudem pokonując nagłą suchość w gardle.

– Dokładnie nie wiemy, szacujemy, że od stu do dwustu bilionów metrów sześciennych, oczywiście po uwolnieniu.

Projekcja powiększyła się i przybliżyła, ukazując detal – czerwona struga dosięgała krawędzi szczeliny, jej zestalone już strzępy wraz ze skruszoną skałą spadały w przepaść. Zarazem z jej głębi coś się unosiło, dziesiątki strumieni białych bąbli zdążających ku powierzchni.

– Aktywność wulkanu rośnie, co gorsza, obserwujemy tworzenie się nowych stożków, i to znacznie bliżej rowu... Rozumiesz, co to oznacza?

Nie musiał dalej mówić, bo wnioski potrafiłby wyciągnąć logicznie myślący przedszkolak. Przedostanie się do atmosfery takiej ilości metanu, zwłaszcza gdyby zjawisko miało przybrać żywiołowy, skokowy charakter, oznaczało gwałtowne nasilenie efektu cieplarnianego. Już teraz czterdzieści procent

obszarów jeszcze na początku XXI wieku zamieszkanym przestało nadawać się do życia, podobnie jak środkowa i wschodnia Polska, od kilkunastu lat ulegająca gwałtownemu stepowaniu. Na niektórych obszarach, jak na Lubelszczyźnie czy Podlasiu, susza osiągnęła stan permanentny.

– Z naszych symulacji wynika, że w ciągu dziesięciu lat średnia temperatura na Ziemi wzrośnie z tego tylko powodu od 1,5 do 2,5 stopnia, w zależności od tego, ile metanu trafi do atmosfery.

To będzie katastrofa, pomyślał Lewandowski, który miał dostęp do utajnionych raportów ekologów. Prognozy przewidywały, że do końca stulecia Polska zamieni się w pustynię i półpustynię. Geronci się nimi nie przejmowali, bo zawsze działali według zasady „po nas choćby potop”. Ale skutki tej metanowej katastrofy odczuliby na własnej skórze, bo nie każdy był aż tak stary, aby się tym nie przejmować, a wielu miało rodziny. To stąd pomysł przejścia stacji? Dlatego Sidorski mówił o arce? Podwodne klimatyzowane schronienie na ciężkie czasy, idealne miejsce na przeczekanie planetarnego upału.

– Geronci o tym wiedzą? – Ni to stwierdził, ni zapytał. – Dlatego chcą przejść Polskę 2... Bo Polska 1, podobnie jak reszta kontynentu, wkrótce nie będzie się nadawała do życia. Nawet dla nich. A inne rządy?

– Też wiedzą o zagrożeniu. Dlatego rozbudowują swoje stacje, ale nie mają takich możliwości jak my. Francuzi na przykład, też obecni na polu Clarion-Clipperton, zbudowali habitaty dla tysiąca dwustu osób, Amerykanie dla dwóch tysięcy. My jesteśmy najbardziej zaawansowani dzięki wymyślonej przez Tarkowskiego utopii...

Projekcja przeskoczyła na plan ogólny – Lewandowski domyślił się, że widzi teraz symulację hipotetycznych zdarzeń: tuż przy rowie wykwitło kilka nowych stożków, wprawdzie mniejszych niż stary wulkan, ale za to bardziej aktywnych. Wypluwane przez małe kratery czerwone nitki magmy ściekały wprost w głąb skalnej szczeliny, z której unosiły się setki bąbelkowych strumyczków łączących się w białą chmurę, rozpraszającą się, w miarę jak zdążała ku powierzchni. Można było odnieść wrażenie, jakby na zalegającym na dnie rowu złożu hydratów rozpalono gigantyczne ognisko podgrzewające metanem całą planetę. Nic dziwnego, że geronci się wystraszyli.

Pomyślał o statkach wiozących najemników. Musiały znajdować się już niedaleko.

– Co będzie, jak komandosi z Blackriver rozpoczną atak? Wasze systemy obronne mogą przecież nie wystarczyć! Poza tym są tu kobiety i dzieci, a starcie zbrojne grozi dehermetyzacją wielu habitatów. Nie pomyśleliście

o tym?

Nittribit milczał, majstrował tylko przy smarcie, obraz na holoeckranie znowu pokazywał zbliżenie dna, powiększał się i odjeżdżał w bok, aż w końcu zatrzymał się przy jednym z małych stożków.

– Wysłaliśmy cztery ekspedycje, aby zbadały ten rejon – powiedział. – Chcieliśmy wiedzieć, czy rzeczywiście dojdzie do uwolnienia aż tak wielkich ilości metanu. Dziś wiemy, że tak i że niestety dojdzie do tego w sposób nagły. Bardzo nagły. Widzisz tę okrągłą dziurę na zboczu krateru?

Wizualizacja ukazywała teraz sam stożek wulkanu, z wyraźnie teraz widocznym wielkim otworem w skale tuż powyżej podnóża.

– W 1976 roku w tym obszarze zaginał sowiecki podwodny okręt atomowy K-109 z dziewięcioma międzykontynentalnymi raketami wyposażonymi w ładunki atomowe. Rosjanie oczywiście utajnili sprawę, co gorsza, nie potrafili go nawet zlokalizować. Wrak znalazły dopiero nasze batyskafy.

Lewandowski patrzył na stopniowo oddalający się obraz znowu ukazujący zbocze starego wulkanu, mocno spękane i pokryte szczelinami, z których wypływała magma. Sens słów wypowiedzianych przez Nittribita docierał do niego stopniowo, bo jego umysł odrzucał to, co wydawało się najlogiczniejszym wnioskiem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że okręt z głowicami atomowymi znajduje się w tej dziurze na zboczu wulkanu?

– Gorzej, bo na skutek ruchów górotworu osunął się w szczelinę biegnącą w głąb mas skalnych. Próbowaliśmy go wydobyć, ale...

– Nie udało się wam.

Tadeusz zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na pokazywane na animacji pękające skały na zboczu krateru. Uszu jednak nie mógł zatkać. Słowa Nittribita wbijały mu się w mózg z siłą kafara.

– Zakleszczył się. Myśleliśmy nawet, aby go wysadzić, bo skażenie dna promieniotwórczymi materiałami byłoby w tej sytuacji o wiele mniejszym złem, ale nim podłożyliśmy ładunki, nastąpił kolejny wstrząs górotworu i szczelina się zamknęła. Zainstalowana w dziurze sonda z georadarem podaje nam pozycję K-109. Wrak się przesuwają, to skutek kolejnych erupcji, jest coraz bliżej głównego kanału wulkanu, którym płynie lava.

– Co się stanie, jeśli wtargnie do wnętrza łodzi i głowice atomowe zatoną w magmie? – spytał, nie otwierając oczu.

W głowie mu huczało, beznamiętny, rzeczowy głos Nittribita cichł, jakby dobiegał z wielkiej dali.

– Nastąpi momentalny wzrost ciśnienia i może nastąpić, nasi fizycy

obliczają prawdopodobieństwo na 97,6 procent, wybuch ładunku inicjującego co najmniej jednej głowicy, maksymalnie trzech, choć w tym wypadku prawdopodobieństwo spada do 12,4 procent. Ale nawet eksplozja jednej rakiety rozerwie zbocze stożka na strzępy i utoruje drogę milionom ton lawy wprost do złoża metanowego lodu... W ciągu kilkudziesięciu sekund temperatura wody w rowie osiągnie stan wrzenia. Efekt łatwo przewidzieć: z uwolnionych z lodu kilku bilionów metrów sześciennych metanu powstanie gigantyczny gazowy bąbel, który zacznie się wypuczać ku powierzchni oceanu...

Otworzył oczy. Symulacja ukazywała teraz zachodnią półkulę. Na Pacyfiku w pobliżu wybrzeży Antarktydy powstawał na powierzchni morza wielki bąbel podnoszący do góry masy wody. Gdy osiągnęły punkt szczytowy i zaczęły opadać, bąbel pękł jak bańka mydlana, na powierzchni oceanu pojawił się nieregularny otwór, przez który sprężony metan runął do atmosfery. Na obrzeżach dziury pokazały się błyskawice i w ułamku sekundy cały południowy Pacyfik po prostu eksplodował, a fala uderzeniowa, gnając przed sobą masy wody wysokie na kilka kilometrów, ruszyła we wszystkich kierunkach.

– Według naszych obliczeń fala uderzeniowa obiegnie Ziemię dwa, może trzy razy, to zależy od ilości uwolnionego metanu, towarzyszyć jej będą co najmniej trzykilometrowe fale tsunami. To będzie burza planetarna, katastrofa bez precedensu, większa od uderzenia meteoru, który załatwił dinozaury. Ludzie, jeśli przetrwają, to jedynie w najwyższych partiach gór i w schronach przeciwatomowych, dostatecznie wysoko położonych. Ci przynajmniej mają szansę... Większość umrze od razu na skutek wzrostu ciśnienia, bo fala będzie pchała przed sobą zagęszczone masy powietrza i po prostu popękają im płuca. To szybka śmierć.

Projekcja pokazywała, jak huragany i gigantyczne tsunami wdzierają się na setki kilometrów w głąb kontynentów, zamieniając lądy we wzburzone morza. Nic, co stworzył człowiek, nie miało prawa oprzeć się tej fali. Burza planetarna, pomyślał Tadeusz, czując, jak ze zgrozy sztywnieje mu twarz. Bał się spojrzeć tam, gdzie była Europa.

– Lody Arktyki i Antarktyda roztopią się w ciągu kilkudziesięciu godzin, wywołując globalną powódź – kontynuował Nittrabit beznamiętnym głosem wykładowcy. – Gdy wody po przejściu tsunami opadną, około siedemdziesięciu procent lądów pozostanie zalane, bo poziom mórz i oceanów wzrośnie od sześćdziesięciu do stu metrów. Świat, jaki znamy, odejdzie w przeszłość.

Symulacja ukazywała to z brutalną szczerością. Zawieszona metr nad panelem Ziemia wirowała powoli, aby mógł dojrzeć szczegóły. Zniknęły wielkie połacie kontynentów, w tym prawie cała Europa – Polska przemieniła się w archipelag kilku wysp, linia wody zatrzymała się na Karpatach, Bałtyk stał się wielki jak pierwotnie Morze Śródziemne, które z kolei wchłonęło Saharę wraz z prawie całą Afryką Północną. Pomyślał o Marysi, Hance i tych wszystkich, którzy zostali na „górze” i poczuł, jak miękną mu nogi. To, że szybko umrą, nie było żadnym pocieszeniem.

– I tylko wy o tym wiecie... – wyszeptał. – Bo nawet geronci...

Spojrzał w twarz Nittribita. Mężczyzna, marszcząc brwi, obserwował wirujący powoli trójwymiarowy glob – symulacja pokazywała uspokajające się wody. Atmosfera się stabilizowała. Wodny świat, w jaki zamieniła się Ziemia, stopniowo wracał do równowagi. Tadeusz wiedział, że tak się po wielu latach stanie. Lecz wszystko, co kochał, na czym mu zależało, będzie leżało na dnie morza.

– Zostawiliście nas – powiedział. – Tak po prostu...

Ale tamten zdawał się go nie słyszeć, wciąż z uwagą wpatrzony w wirującą kulę, na której ukazywały się zarysy nowego świata.

– Chcieliśmy ocalić z Polski 1 to, co najlepsze – odparł powoli, z pewnym wahaniem, jakby odpowiadając nie tyle Tadeuszowi, ile samemu sobie. – Nic więcej nie mogliśmy zrobić. Tylko to. Nie jesteśmy bogami, lecz naukowcami. Nie powinieneś jednak uważać Polski 2 jedynie za arkę dla garstki wybranych. To raczej początek nowego etapu naszych dziejów, faza przejściowa do Polski 3.

Dotknął panelu smarta i kula wizualizująca glob przestała wirować – odwróciła się biegunami i zapadła w ekran, pokazując tylko fragment z Antarktydą, a raczej z archipelagiem większych i mniejszych wysp, w jaki dawniej zamrożony kontynent przemienił się po ustąpieniu wiecznego lodu.

– Po mniej więcej kilkuset latach sytuacja się ustabilizuje. Średnia temperatura w stosunku do obecnej podniesie się o siedem stopni i będzie to świat subtropikalny przypominający mezozoik. Klimat umiarkowany będzie panował na Antarktydzie, która zacznie się dynamicznie wypiętrzać na skutek silnych procesów górotwórczych wywołanych zniknięciem przytłaczającego ją lądolodu.

Rzeczywiście, ocean na biegunie południowym ustępował i wyspy widoczne na symulacji powiększały się, łączyły w większe całości, tworząc w efekcie zwarty kontynent o kształcie grubego półksiężyca, z biegnącym przez środek pasmem górskim i kilkoma wewnętrznymi morzami.

– Proces górotwórczy zakończy się piętnaście, dwadzieścia tysięcy lat po rozpadaniu się burzy planetarnej. Polska 2 będzie liczyła wtedy, tak to dziś obliczamy, półtora do trzech milionów mieszkańców, do tego czasu zasiedlimy całe pole Clarion-Clipperton. Gdy warunki na nowym kontynencie się ustabilizują, opuścimy dno oceanu i przystąpimy do budowy Polski 3. Dokładnie tutaj, na tej równinie między morzem a górami, na obszarze porównywalnym z Polską 1. Nad tą rzeką założymy Warszawę, tutaj Kraków, tam Poznań i Wrocław...

Wizualizowany kontynent rozpląszczył się i zaczął zanikać na krańcach, pozostała tylko równina, o której mówił Nittribit. Wyrastały na niej wirtualne miasta, wokół starannie odtworzonych rynków i starówek. Zabudowa ta tylko przypominała pierwowzory, w Warszawie nie widział na przykład Pałacu Kultury, który zresztą, porzucony i nieremontowany, sam się rozpadał i nie potrzebował burzy planetarnej do swego unicestwienia. Wokół tych zabytkowych centrów, pewnie mających pełnić funkcje czysto muzealne, rozciągały się zupełnie inne miasta – funkcjonalne, z szerokimi arteriami i wygodnymi, niskimi apartamentowcami w alejach drzew. Wieżowców nie zauważył, bo – przy niewielkiej liczbie potencjalnych mieszkańców, a przecież nie wszyscy mogli mieć ochotę na przenosiny z głębin oceanu, które do tego czasu staną się ich naturalnym światem – nie trzeba było oszczędzać miejsca. Piękne miejsca do życia, pomyślał. Będą w nich mieszkać wreszcie szczęśliwi Polacy... Jeśli będą.

– Oczywiście nie wiemy, co zrobią ci, którzy wówczas, za te tysiące lat, zostaną postawieni przed wyborem: zostać w głębinach czy wrócić na „górze”, ale taki im zostawimy testament. Jeśli zechcą, stworzą Polskę 3.

– Jeśli zechcą – powtórzył Lewandowski.

Myśłami był przy Hance i Marysi. Nawet się z nimi nie pożegnał. Mimo tak logicznych i naukowo racjonalnych wywodów Nittribita nie potrafił pogodzić się z tym, co je czeka. Co czeka ich wszystkich tam, na „górze”. Jakoś nie wierzył w tę szybką i niemal bezbolesną śmierć, raczej czekał ich koszmar konania w rozpadającym się świecie...

Patrzył na rozkwitające na holoeckranie metropolie, nierealne jak miraż, bo może w istocie okazały się niczym więcej jak imaginacją projektantów, i prócz bolesnego żalu za tym, co pozostawił „na górze”, odczuwał coś jeszcze – dojmującą świadomość, że większy od lęku przed śmiercią bywa lęk przed życiem. Życiem tutaj, w tej racjonalnej utopii, obcej i odpychającej, bo jego Polską była ta złachmaniona, obumierająca, skazana na zagładę „jedyńka”.

– Co ja tutaj robię? – zapytał. – Dlaczego ja, a nie ktoś inny?

Nittribit dotknął smarta i holoeokran zgasł.

– Mówiłem, chcieliśmy ocalić z Polski 1 to, co najlepsze... i najlepszych. Mieliśmy się zgodzić na zawodowego agenta bezpieczeństwa i tym samym jemu uratować życie? Z Sodomy wyprowadza się zawsze sprawiedliwych. Uznaliśmy, że akcja z próbą przejęcia stacji to okazja do uratowania jeszcze jednego człowieka, który jest tego wart. Nie zastanawiałeś się, dlaczego właściwie nie przytknęliśmy cię zaraz po tym, jak się tu zjawiłeś? Po co ci to wszystko opowiadamy? Poznałeś całą prawdę, którą zna jedynie wąska grupa, blisko związana z zarządem. Reszta mieszkańców stacji nic nie wie o burzy, sądzą, że chodzi o zwykłe trzęsienie, tyle że większe niż normalnie. Wiedzę o rzeczywistym zagrożeniu utrzymywaliśmy w tajemnicy... bo wielu zostawiło na „górze” rodziny i... – Urwał, wyraźnie nie chcąc dokończyć. To oczywiste, nie byli pewni, czy ktoś jednak nie znalazłby sposobu, aby przesłać wiadomość.

Lewandowski patrzył na wygasły panel holoeokranu i zastanawiał się, dlaczego zarządcy stacji okazali się wobec niego tak szczerzy i wylewni. Od pewnego czasu zaczynał zdawać sobie sprawę, że w tym dramacie o końcu wszystkiego władcy podwodnej Polski wyznaczili mu do odegrania konkretną rolę, tylko wciąż się nie domyślał, na czym miała ona polegać.

– Nasz świat będzie potrzebował kronikarza, świadka tego, co umarło, i tego, co się narodzi. Ściągnęliśmy cię tutaj, ponieważ uznaliśmy, że stworzysz dla nas taką historię... opowieść, która stanie się mentalnym fundamentem nowego społeczeństwa. Polska 2 potrzebuje swojego Galla Anonima, który opíše tragedię przeszłości i przedstawi wizję przyszłości, taki nasz odpowiednik Księgi Wyjścia. Masz pretensje do losu, że padło na ciebie?

Milczał, bo i nic nie było do powiedzenia. Tamten miał rację, po prostu wygrał bilet na arkę. Niestety, tylko dla siebie.

– Spójrz na to inaczej. To, co się stanie, burza planetarna, dla tej zwijającej się Polski 1 jest w gruncie rzeczy niczym cios łaski, skrócenie długiej i bolesnej agonii... Bo tym stała się jej egzystencja, co sam dobrze wiesz. W grze o przetrwanie Polska 1 przegrała już dawno, rychły koniec był przesądzony. Burza planetarna w istocie niczego nie zmienia, tylko przyspiesza to, co nieuniknione.

Lewandowski pomyślał, że w tej żelaznej logice jest coś diabelskiego... Opalizująca czerń wygaszonego holoeokranu kojarzyła mu się z otchłanią. Podniósł głowę i spojrział Nittribitowi prosto w oczy.

– Naprawdę nie mogliście nic zrobić z tymi głowicami czy też nie chcieliście?

Tamten nie odpowiedział, zerknął tylko na smarta, który piknięciem oznajmił pilny komunikat.

– Statki z najemnikami Blackriver są dokładnie nad stacją – oznajmił. – Czekają na sygnał od opanowanego przez wirusa systemu sterującego, że mogą rozpocząć atak.

Smart piknął po raz drugi. Jednocześnie poczuli pod nogami delikatne drżenie.

– Zaczęło się! – wykrzyknął Nittribit. – Atomówka odpaliła! Musimy się stąd zwijać!

Drżenie się nasilało, zaczęły dygotać ściany, rozległ się zgrzyt naprężonego metalu. Informatyk podszedł do widocznego po drugiej stronie modułu śluzu i otworzył go.

– Większość mieszkańców została przewieziona do nowego miasta, są w gotowych kopułach, one wytrzymają kataklizm, ewakuacja trwa już od kilku godzin! – krzyknął do niego. – Musimy się pośpieszyć. Ten sektor to najstarsza część stacji i nie ma pewności, czy wytrzyma wstrząs. Mam polecenie, aby cię przewieźć do nowej kopuły, musimy zdążyć przed główną falą, bo wodne tornado przetoczy się też przez dno oceanu...

Stał nieruchomo, czując, jakby stopy przyspawano mu do podłoża. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zdjęcie Hanki i Marysi. Obie wtulały się w siebie, uśmiechnięte i radosne, zrobił tę fotkę jeszcze przed chorobą małej... Zostawiłem je same w obliczu końca świata, pomyślał. Jak mam to sobie wybaczyć? Szczęście w loterii życia wszystko tłumaczy i usprawiedliwia?

– No więc jak, zabierasz się ze mną? Rusz się, do cholery! – wrzasnął Nittribit, stojący już w progu śluzu i wyraźnie zdenerwowany.

Ściany drżały coraz mocniej, kopuła trzeszczała naciskana masą przemieszczającego się oceanu. Gdzieś u góry rozległ się suchy trzask i w głąb modułu trysnęła cienka jak igła struga wody, rozpraszając się w opar delikatny jak mgła.

Lewandowski wciąż stał nieruchomo i milczał, wpatrzony w twarze żony i córki. Na wargach poczuł posmak morskiej soli.

Życie gorsze od śmierci, śmierć lepsza od życia.

Tylko tyle? Aż tyle?

Ocean grzmiał ogłuszająco...

Wrocław, 2012–2015

Przyszłość, Polaku!

Od lat żywię przekonanie, że większość Polaków to ludzie bez wyobraźni, którzy na dodatek boją się myśleć o przyszłości – zastanawianie się nad czymkolwiek odleglejszym niż następny tydzień wydaje im się sprawiać ból wręcz fizyczny. Z dzisiejszej perspektywy to wprost nie do uwierzenia, że właśnie w Polsce tworzył taki tytan science fiction jak Stanisław Lem, mistrz w kreowaniu światów jutra. Wielu współczesnych Polaków żyje wyłącznie terażniejszością, jakby przyszłość miała nigdy nie nastąpić. I właśnie ta niepokojąca i świadcząca o krótkowzroczności tendencja skłoniła mnie do zadania sobie pytania – jeśli Polacy nie chcą się zastanawiać nad przyszłością, to może należałoby ją im pokazać? Unaocznic w literackim obrazie, jak potoczą się losy kraju w zależności od tego, czy jego mieszkańcy coś zrobią lub czegoś nie zrobią? Bo przyszłość przecież nastąpi, ze wszystkimi dramatycznymi konsekwencjami obecnych działań lub zaniechań.

Ta książka powinna ukazać się wcześniej, na pomysł napisania *Polski 2.0* wpadłem bowiem jesienią 2012 roku. Ukazało się wówczas nakładem Narodowego Centrum Kultury wznowienie mojej powieści *Quietus*, historii alternatywnej z czasów rzymskich. Zastanawiając się nad możliwościami tej konwencji literackiej, doszedłem do wniosku, że można ją odnieść także do przyszłości – bo przecież i ona jest wyobrażalna w różnych wariantach. O ile jednak historyczna powieść alternatywna istnieje w opozycji do historii rzeczywistej (którą czytelnik zna i do niej odnosi zmienioną w dziele wersję), o tyle w przypadku utworu o alternatywnej przyszłości musi on istnieć w opozycji do innej wersji historii przyszłości – inaczej nie byłby alternatywą. Stąd okazało się już blisko do pomysłu dwukrotnego opowiedzenia tego samego dnia z życia dwóch bohaterów, a właściwie kilku godzin z tego dnia – i osadzenia fabuły w dwóch różnych wariantach przyszłych dziejów Polski. Wybór daty 14 kwietnia 2037 roku zawdzięczam przypadkowi – po prostu sprawdzałem, jak daleko ustawiono na komputerze kalendarz – i kursor zatrzymał się akurat na tej dacie. Równie dobrej jak każda inna, ale ponieważ planowana opowieść miała się dziać pod koniec lat trzydziestych XXI wieku, została.

Książka ostatecznie przybrała postać dyptyku złożonego z mikropowieści, których bohaterami są Polacy żyjący w alternatywnych – i opozycyjnych względem siebie – krajach przyszłości. Szybko powstał konspekt (ostateczna

realizacja niewiele odbiega od skreślonych w listopadzie 2012 założeń). Zniechęcony brakiem zainteresowania ze strony wydawców, odłożyłem ten projekt i zająłem się innymi sprawami.

Wróciłem do niego w 2014 roku, ale udało się poczynić konkretne ustalenia dopiero na początku 2015 r. z wydawnictwem W.A.B. Część pierwszą, *Polskę 2.1. Wojnę dronów*, napisałem do lipca tego roku, drugą, *Polskę 2.2. Burzę planetarną*, ukończyłem w początkach listopada. Prace redakcyjne spowodowały, że dyptyk ukazał się po kilku miesiącach. Nie jest zatem reakcją na ostatnie wypadki polityczne, lecz wynikiem głębokiej analizy procesów, które – jako pisarz science fiction, szczególnie zainteresowany przyszłością – obserwuję od lat.

Dla każdego myślącego Polaka jest oczywiste, że jego kraj stoi przed olbrzymim wyzwaniem cywilizacyjnym, być może największym w swojej historii, i od tego, jak na nie zareaguje, zależą jego dalsze losy. W dziejach każdego państwa czy narodu można wskazać tak zwane punkty zwrotne, momenty, po których przekroczeniu nie ma już odwrotu i nie da się cofnąć skutków podjętych decyzji (tym na przykład w przypadku Polski okazało się stanięcie w 1939 roku po stronie zachodnich aliantów, a nie hitlerowskich Niemiec). Stawiam tezę, że współczesna Polska znajduje się tuż przed tego rodzaju punktem zwrotnym – lub, kto wie, już go przekroczyła, z czego nikt jeszcze nie zdaje sobie sprawy (kto we wrześniu 1939 roku przypuszczał, jakie skutki – wymordowanie sześciu milionów ludzi, pół wieku komunizmu, przesunięcie granic – przyniesie przegrana wojna?). Taka zresztą jest natura dziejów: uczestnicy wielkich przemian zazwyczaj nie zdają sobie sprawy, w czym biorą udział. Dopiero po wielu latach historycy, znający już zarówno przyczyny, jak i skutki zaistniałych procesów, są w stanie wskazać, kiedy nastąpił punkt zwrotny inicjujący radykalny zwrot w historii. I być może stwierdzą, że stało się to w roku 2012 czy 2015, lub 2020 czy 2022 – jedno jest dla mnie jako autora *Polski 2.0* oczywiste: punkt zwrotny nastąpi lub nastąpił i jego przekroczenie przyniesie dramatyczne skutki i całkowicie zmieni nasz kraj. Zamieszczone w książce mikropowieści zawierają dwa odmienne scenariusze tej zmiany. Na ile prawdopodobne, to już muszą ocenić czytelnicy. Wizja, jaką zawarłem w obu opowieściach, jest wynikiem wielu analiz, dokonałem w niej ekstrapolacji (to jest przeniesienia w przyszłość) tendencji, które już obecnie dają się zaobserwować. Moim zdaniem to, co się obecnie dzieje i będzie dziać w Polsce, ma swoje źródła w niedawnej historii, w tym, co zdarzyło się po 1989 roku i przed nim.

Czy ta książka zmieni stosunek Polaków do „kształtu rzeczy, które

nadejdą” – by przywołać tytuł traktatu H.G. Wellsa? W innym dziele, słynnym *Wehikule czasu*, ten sam Wells kazał powiedzieć swemu bohaterowi, podróżnikowi w czasie, który właśnie powrócił z wyprawy w przyszłość: „Nie spodziewam się, że mi uwierzycie. Traktujcie to jako fantazję lub wizję przyszłości. Przypuśćcie, że wszystko to przyśniło mi się w pracowni, i sądźcie, że rozmyślając nad przeznaczeniem ludzkości spłodziłem w końcu tę fikcję. Biercie moje zapewnienia, że jest ona prawdziwa, za sztuczkę aktorską użytą dla spotęgowania wrażenia. Traktując moją wyprawę jak fantazję, co jednak o niej sądźcie?”¹.

Tak też traktuję *Polskę 2.0* – jako literacką wycieczkę w przyszłość, która, taką mam nieskromną nadzieję, powinna sprawić, że przynajmniej niektórzy Polacy zaczną wreszcie myśleć o „rzeczach, które nadejdą”. Czas na to najwyższy, ponieważ przyszłość, która się przed nami rysuje, może być naprawdę straszna. I to już nie będzie fantazja.

Jacek Inglot

¹ Herbert George Wells, *Wehikuł czasu*, tłum. Feliks Wermiński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985.

Redakcja: Jerzy Wachowski
Korekta: Anna Sidorek, Krystian Gaik
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Ilustracja wykorzystana na okładce: Jakub Kowalczyk
Ilustracje we wnętrzu: Tomasz Majewski
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3287-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo